

Polskie drogi

Jerzy Janicki



calibre 0.9.27

JERZY JANICKI

POLSKIE DROGI

OD WYDAWCY

Przekazujemy do rąk Czytelnika tekst opowieści filmowej „Polskie drogi”.

Tytuł ten kojarzy się oczywiście ze znanym serialem telewizyjnym, dlatego

Czytelnikowi należy się kilka słów wyjaśnienia.

„Polskie drogi”, zwłaszcza jako serial, są jedną z prób ukazania możliwie szerokiej panoramy wojennego losu narodu; mówią o strasznych latach okupacji, okrutnych, ale i pełnych chwały dniach, o których pamięć trwa i pozostanie w świadomości pokoleń. Obraz filmowy, z natury rzeczy ulotny, wspieramy więc zapisem drukowanym, po który zawsze można sięgnąć na półkę nie tylko po to, by porównać z filmem (choć konfrontowanie zapisu filmowego z tym, co powstaje w wyobraźni czytelnika, jest zawsze interesujące), lecz aby głębiej zastanowić się nad losami bohaterów, symbolizujących dzieje wielu milionów Polaków.

Polskie drogi to nie tylko pojęcie geograficzne określające wszystkie te miejsca, w których Polacy uczyli się okrutnej lekcji, jaką zadała nam wówczas historia: lekcji patriotyzmu, uporczywości, polskości i siły przetrwania.

Chodzi tu również o drogi, którymi podążała myśl wolna, poszukująca wśród wielu ideowych ścieżek tego najwłaściwszego gościńca, który doprowadzić miał do Polski prawdziwie wolnej.

Podobnie jak w filmie, tak i w tej książce nie ma wielkich bitew, brawurowych akcji, bohaterów nieustraszonych i wychodzących cało z najgroźniejszych opresji. Jest to bowiem nie opis przygód, lecz zwykłego życia, w niezwykłym za to czasie; nie historia, lecz kronika losów zwykłych ludzi, których utarło się nazywać szarymi, ludzi z ulicy, ogonka, tramwaju: dozorców, kolejarzy, szmuglerów, uczniów; ludzi bez oficerskich stopni i odznaczeń, ale właśnie tych, na których spoczywał ciężar przetrwania.

Podobnie jak sam serial - nie będąc w stanie pokazać wszystkich grup, ugrupowań i środowisk - jest tylko skrótowym odbiciem okupacyjnego życia, tak z kolei książka stanowi, z konieczności, pewną kwintesencję tego, co zawierał film. Nie spotkamy na następnych stronach niektórych wątków opowiadających o walce i akcjach tych ugrupowań politycznych, które wniosły ogromny wkład w dzieło podziemnego życia, lecz z którymi główny bohater mijał się na swej drodze, zrazu wskutek zbiegu okoliczności, później - świadomie. Droga Władysława Niwińskiego - jednego z wielu - to podstawowy motyw tej opowieści, i w książkowej, skróconej wersji podporządkowano ciąg narracji głównie jego osobie.

Książka nie jest bowiem ani wiernym tekstem scenariusza, ani też jego adaptacją, lecz obszerną opowieścią filmową, toteż trudno stosować do niej kryteria, które zwykło się przykładać do w pełni rozwiniętej fabularnej powieści. Opowieść filmowa nie narusza w niczym losów głównego bohatera, z konieczności jednak pomija niektóre wątki, a co za tym idzie - niektóre postacie występujące w serialu. W filmie spełniały one rolę uzupełniającą tło wydarzeń, w książce - jak się nam wydaje - kierowałyby narrację w stronę zbyt drobiazgowych obserwacji. Wystarczy powiedzieć, że opis czterech lat wojny, które są tematem filmu, zajął Autorowi dokładnie tyle samo lat pracy nad scenariuszem i dialogami, czego plonem było prawie dwa tysiące stron maszynopisu, a później szesnaście i pół godziny telewizyjnej emisji.

Wydanie „Polskich dróg” w ścisłym związku z serialem jest pewnym eksperymentem ze strony wydawcy. Pragniemy, aby Czytelnicy, którzy śledzą losy bohaterów na ekranie, mogli zawrzeć z nimi bliższą, a może i głębszą znajomość na zadrukowanych kartach książki. Mamy zamiar tego rodzaju inicjatywy wydawnicze kontynuować w przyszłości, dlatego będziemy wdzięczni za wszelkie listowne uwagi Czytelników na temat tego rodzaju edytorskiego przedsięwzięcia.

MISJA SPECJALNA

Mijał czternasty dzień wojny. W ciągu tych czternastu dni z plutonu, którym dowodził podchorąży Władysław Niwiński, pozostało siedmiu strzelców; z pułku, do którego ten pluton należał - nie pozostało nic.

Brakowało łączności, brakowało paliwa do aut, które zepchnięto do rowów, by nie tamowały rzeki uchodźców, brakowało map, brakowało snu strzelcom, obroku koniom, bandaży rannym...

A jednak kiedy żołnierze z plutonu, nasyciwszy oczy widokiem płonących wiosek, nieba sypiącego bombami, gościńca zasłanego trupami ludzi i wrakami pojazdów, przynosili pytające spojrzenie na swego młodego dowódcę, Niwiński odpowiadał niezmiennie, że chwilowe niepowodzenia zdarzają się na każdej wojnie, więc i ta nie może być wyjątkiem.

Wierzył w to święcie. Nie on jeden, bo nikt jeszcze wtedy nie wiedział, jaka naprawdę będzie ta dopiero co rozpoczęta wojna.

Niwiński znał wojnę z podręczników historii, z mglistych i trochę nudnych wspomnień ojca, który tę historię wykladał w gimnazjum jemu i jego kolegom.

Ale i inni, dla których ta wojna była już drugą z kolei, przykładali do niej miarki i stereotypy jej poprzedniczki. Ludzie lękali się więc gazów trujących, ufali w bezpieczeństwo okopów, wierzyli, że wysadzony most powstrzyma nacierających. Niemcy byli naturalnymi wrogami i, oczywiście, należało się lękać ich bezwzględności, ale były to wciąż jeszcze pojęcia uformowane przez wiedzę o wozie Drzymały. Wciąż jeszcze pokutowało przekonanie, że lojalność, przyrzeczenia i podpisane dokumenty coś znaczą.

Ufano więc w konwencje chroniące jeńców, w Czerwony Krzyż osłaniający rannych, w nietykalność ludności cywilnej...

Jeden tylko człowiek w plutonie, kapral Leon Kuraś, myślał o tym wszystkim

sceptycznie. A kiedy trzeciego czy czwartego dnia wojny, przejeżdżając obok opuszczonego bunkra, spostrzegli niewypał bomby, Kuraś poradził, aby umieścić go w bunkrze, a przed wejściem rozłożyć trochę żywności, niby to porzuconej w panicznej ucieczce. Pierwszy patrol niemiecki, zwabiony tym widokiem, poszybowałby, zdaniem kaprała, do nieba, nawet nie wiedząc, że za przyczyną własnej bomby.

- Nie, kapralu - powiedział wówczas Niwiński - nie po polsku takie wojowanie.

- Może i po niemiecku - zgodził się Kuraś - ale na nic lepszego nie zasłużyli. Ja ich znam.

Kuraś mieszkał na Pomorzu blisko granicy i to sąsiedztwo dało mu większą wiedzę o nieprzyjacielu, z którym teraz walczyli, niż Niwińskiemu matura i podchorążówka.

Niwiński wyniósł z podchorążówki nie tylko rycerskie zasady wojowania, ale także bezwzględną karność oraz wiarę w nadrzędność i celowość rozkazów.

Z tego to właśnie powodu bez szemrania znosił już od tygodnia obowiązek

konwojowania pewnego ważnego cywila, pana Gozdalskiego. Pułkownik ze sztabu, który powierzył mu tę misję, podkreślił jej specjalny, państwowy wręcz charakter. Odtąd, przez siedem dni i nocy, tłukąc się taborowym wozem, Niwiński i jego ludzie nie spuszczała oka ani z Gozdalskiego, ani z jego ogromnego worka opieczętowanego ołowianymi stemplami.

Czternastego dnia wojny dotarł Niwiński do stron, które znał z harcerskich obozów.

Poczuł się pewniej, spodziewał się bowiem łatwej przeprawy przez rzekę, za którą jego misja specjalna powinna się zakończyć, co pozwoliłoby mu dołączyć do formujących się na nowo (jak sądził) oddziałów przeznaczonych do kontrnatarcia.

Spodziewał się ponadto zobaczyć w tych stronach kogoś, kogo nie widział już od dwóch lat.

Ale na razie musiał zalec z oddziałem w zagajniku, by przeczekać noc.

Świt przekreślił wszystkie plany i przewidywania. Cały ten skrawek ziemi, znany mu z harcerskich podchodów, zamknięty w trójkącie, który wytyczały szosa, rzeka i jezioro, otoczony był przez Niemców.

A więc nadszedł ten świt...

Znad rzeki oddzielającej las od gościńca unosiła się mgła. W lesie, ukryci między drzewami strzelcy konni Niwińskiego: Kuraś, Waligórski, Iwaniuk i paru innych, których zagarnął po drodze, szykowali się do wymarszu. Na ich nie ogolonych od kilku dni twarzach malowało się zmęczenie. W głębokim wozie taborowym, jak w kołysce, drzemał jeszcze pan Gozdalski, wspierając głowę o opieczętowany worek. Konie leniwie skubały trawę. Niwiński, przecierając od czasu do czasu przekrwione ze zmęczenia oczy, uważnie wpatrywał się w gościńiec, po którym przejechały właśnie dwa niemieckie patrole motocyklowe. Po chwili motory zatrzymały się, a siedzący w przyczepach oficerowie wyciągnęli mapy i zaczęli naradzać się, wskazując na las.

Żołnierze pytająco spojrzeli na swego dowódcę, który w milczeniu sięgnął po lornetkę i w napięciu obserwował scenę na drugim brzegu rzeki: do motocyklistów dołączyła właśnie ciężarówka wyładowana niemiecką piechotą.

Potem druga, która ciągnęła za sobą ponton. Niemcy zeskoczyli z wozów, wyraźnie szykując się do spuszczenia pontonu na rzekę. Nadjechał otwarty wóz terenowy, w którym zapewne znajdował się jakiś ważny oficer, bowiem Niemcy z motocykli doskoczyli do niego. Rozpoczęła się ponowna narada nad rozpostartą mapą. Oficer w samochodzie wskazał przed siebie. Niemcy nawoływali się czas jakiś i wreszcie ściągnęli ponton.

Żołnierze Niwińskiego odetchnęli z ulgą. Ale Niemcy wcale nie zamierzali jeszcze odjeżdżać. Zza mgły słychać było zbliżające się dalsze motory.

Pojawiła się ciężarówka ciągnąca kuchnię polową, a za nią czołg.

Minęło kilka chwil i obraz uległ całkowitej zmianie. Widać teraz było, jak kucharze rozpalali ogień pod kotłem, a czołgści wyskakując na szosę ściągali bluzy, schodzili nad wodę. Zanosilo się na dłuższy postój. Jeden z czołgistów, z nie zmytą jeszcze pianą po goleniu, podszedł do kotła i uniósł pokrywę. Buchnęła para. Czołgista zanurzył garnuszek w dymiącej cieczy.

Smakowity zapach dotarł aż na drugą stronę rzeki, gdzie między drzewami skrył się oddział Niwińskiego. Żołnierze z trudem przełykali ślinę.

Niwiński oderwał wreszcie lornetkę od oczu i podszedł do wozu, w którym drzemał Gozdalski.

- Z wozu! - rozkazał głosem nie znoszącym sprzeciwu.

- Jak to - z wozu?

- Z wozu, powiedziałem.

- Uprzedzałem już raz, panie podchorąży, żeby ze mną nie tym tonem... - zaprotestował Gozdalski.

- Może to pana przekona - przerwał Niwiński, podając jednocześnie lornetkę i wskazując na drogę.

W soczewce ujrzał Gozdalski grupę Niemców smacznie zajadających śniadanie.

Zbladł i jak młodzieniaszek lekko zeskoczył z wozu.

- No to... no to... kochany panie Władeczk, na co my jeszcze czekamy?

Ruszyli. Po kwadransie osiągnęli parów, którego dnem płynęła rzeczka.

Przez rzeczkę przeprowiał się właśnie wiejski chłopak ciągnący krowę na postronku.

- Do młyna tędy dojedzie? - zaczepił go Niwiński.

- Dojedzie.

- A ty skąd?

- Z Porytego.

- Cóż to, ze wsi uciekasz? Niemcy u was, czy jak?

- Niemców nie ma, ale we wsi strach siedzieć. Bombardują i bombardują.

Może i na krowę popaść, to tatko kazał wypędzić.

- A jak tam we młynie? Pan Heimann żyje? Zdrowy?

- A co by miał być chory. Zdrowy.

- Z całą rodziną?

- Ja tam nie wiem.

- A córkę pana Heimanna znasz? Pannę Anię?

Chłopak niespokojnie spojrzał na niebo.

- Znasz? - powtórzył Niwiński.

- Co bym miał nie znać...

- Jest w domu?... Ania, pytam, jest w młynie?

Ale tego pytania chłopak już nie dosłyszał, Przeskakując po kamieniach, dopadł drugiego brzegu rzeczki, spuścił krowę z postronka, sam zaś wyciągnął się pod drzewem chowając twarz w trawie. W tym momencie nadleciał samolot i zaczął walić z broni pokładowej wzdłuż rzeczki. Żołnierze, zeskoczywszy z koni, przypadli do ziemi.

Po chwili znów było cicho. Otrzeputując mundury, wolno podnosili się z trawy.

- Hej, Jasiu! - zawołał Niwiński. - Już po wszystkim! Chłopak nie poruszał się jednak.

Podchorąży przeskoczył rzeczkę i stanął nad nim.

- No? Widziałeś pannę Heimannównę, czy wyjechała może? Ogluchłeś?! - potrząsnął leżącym.

I nie doczekał się odpowiedzi; pocisk trafił chłopaka w sam środek czoła...

Potem znów skręcili w las. Żołnierze szli przy koniach prowadząc je za uzdy. Szli

ostrożnie. Do konia Kurasia przytroczono worek pana Gozdalskiego.

- Za tymi brzożami powinien być karmnik dla jeleni - Niwiński wskazał ręką kierunek.

- Panu podchorążemu można by w tym lesie oczy zawiązać... - w głosie Kurasia

można było wyczuć pochwałę.

- Byłem tu na obozie harcerskim. Kiedyś...

- Wydostaniemy się? - Gozdalski był wyraźnie zaniepokojony.

- Po to tu skręciłem.

- Może nie powinienem tego mówić - Gozdalski ściszył głos - ale ponieważ jesteśmy

w matni, czuję się upoważniony. Żołnierzom... po prostu dla zachęty, żeby wiedzieli... może

pan oświadczyć, że za bezpieczne doprowadzenie mnie na miejsce czeka ich poważna

gratyfikacja pieniężna.

- To są żołnierze, panie Gozdalski, a nie wynajęci przewodnicy.

- Wiem, ale moja misja jest szczególnej natury. Panu, personalnie, jeszcze powiem,

że...

- Że pański szwagier jest dyrektorem w MSZ - cie. Słyszałem już.

- To może nie być bez znaczenia dla pańskiego awansu, mimo że pan z tego kpi. Jeżeli

bezpiecznie dobrniemy...

- Niech pan w ten sposób ze mną nie rozmawia - ostro uciął Niwiński.

Nagle przystanął i rozejrzał się. To już był koniec brzożowego lasku.

Przed nimi niewielka przecinka, dalej las bukowy.

- Jest! Jest karmnik! - zawołał uradowany.

Szybko przebiegli leśną przecinkę i przystanęli przed karmnikiem. W korytkach siano,

żołędzie...

- Ma się tę pamięć, co? - Niwiński nie ukrywał zadowolenia.

- Zaczynam w pana wierzyć - powiedział Gozdalski.

- Tam jest wieś Poryte. Ale ją omiemy i pójdziemy prosto na młyn...

W tej samej chwili dobiegł ich tętent kilku koni. Z dna parowu nie mogli dojrzeć jeźdźców. Tylko Kuraś, stojący najwyżej, dostrzegł nadjeżdżających.

- Panie podchorąży, to nasi! - zawołał.

Wkrótce oddział dowodzony przez porucznika Zawistowskiego zbliżył się do nich.

- Co za ludzie? - spytał Zawistowski, nie zsiadając z konia.

Podchorąży, stając na baczność, zameldował:

- Panie poruczniku. Dowódca plutonu dziewiątego pułku strzelców konnych, podchorąży Niwiński.

- Co pan tu robi, panie podchorąży?

- Straciłem kontakt z pułkiem.

- Jadąc tędy, nigdy go pan nie odzyska.

- Przypadkowo znam te strony...

- Zna pan, panie podchorąży, a od wsi pan stroni? Jeżeli gdziekolwiek ma kwaterować pański pułk, to chyba właśnie we wsi. Wygląda na to, że nie bardzo panu śpieszno do tego kontaktu.

- Panie poruczniku!

- Na razie pojedziecie ze mną. A ten pan w cywilu, kto właściwie?

- Proszę na stronę, panie poruczniku.

Zawistowski niechętnie zeskoczył z konia i po krótkim wahaniu odszedł wraz z Niwińskim.

- Mam rozkaz konwojować tego człowieka do Krzemieńca - zaczął swe wyjaśnienie podchorąży.

- Dokąd? Pan uczył się kiedykolwiek geografii, panie podchorąży?

Krzemieniec to już koniec Polski.

- Owszem. Wiezie ze sobą przesyłkę z upoważnienia pana prezydenta.

- Z czyjego upoważnienia?!

- Panie Gozdalski! Można pana tu prosić? - Niwiński zwrócił się w stronę cywila, który wiedząc, że o nim mowa, podbiegł natychmiast.

- Cóż pan takiego transportuje? - Porucznik nie ukrywał zainteresowania.

- Pozwoli pan, moje nazwisko Gozdalski. Jestem dyrektorem...

- W porządku. Ale co pan wiezie, do diabła?

- Wybacz pan, poruczniku, ale na to odpowiedzieć nie mogę.

Sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę opatrzoną dwiema lakowymi pieczęciami.

Zawistowski dłuższą chwilę obracał zaklejony list w dłoniach.

- Cieszę się - ciągnął dalej Gozdalski - że spotkałem kogoś wyższego rangą.

Początkowo konwojował mnie pewien kapitan, później porucznik, ale wskutek ciągłych niespodzianek dostałem się pod opiekę pana podchorążego i...

- W porządku - przerwał Zawistowski - zwracajcie, panowie. Wyspowiada się pan przed majorem. Kwaterujemy we dworze.

- Ja, panie poruczniku, muszę na młyn - wtrącił Niwiński.

- Nigdzie pan nie musi. Cały trójkąt tej ziemi jest dokładnie otoczony przez Niemców.

Wracam z ostatniego patrolu, myśz nie prześliznie się przez ten pierścień...

Zawistowski, niestety, mówił prawdę. W dworku, dokąd przybyli, Niwiński poznał majora Korwina, który dowodził resztkami rozbitego pułku. Korwin, sam ranny w nogę, przyjął Niwińskiego, wysłuchał i polecił mu przebijać się wraz z ważną przesyłką na własną rękę. Jadąc w kierunku młyna miał tylko Niwiński wstąpić do szkoły, gdzie, według zeznań

chłopów, kwaterował lekarz - uciekinier. Ranna noga majora puchła z godziny na godzinę, zachodziła obawa gangreny i pomoc lekarska była niezbędna.

Zanim jednak Niwiński zdołał wyruszyć z dworku, przed ganek zajechał dziwny zaprzęg, który skupił na sobie uwagę wszystkich oficerów. Dwa zmęczone konie przyciągnęły uwiązanego do orczyków polskiego fiata, z którego wyskoczył oficer sztabowy w randze kapitana. Natychmiast zażądał widzenia się z dowódcą.

- Moje nazwisko Miszczyk - meldował majorowi Korwinowi. - Jestem pracownikiem GISZ - u. Wiozę dokumenty, które pod żadnym warunkiem nie mogą znaleźć się w ręku wroga. Dołączę do was. Mój samochód, jak pan widzi, już na nic.

- Proszę, niech pan siada - Korwin wskazał na stojącą w pokoju kanapkę. - Słucham, kapitanie.

- Ma pan tabory?

- Dwa furgony.

- Doskonale. Tu właściwie chodzi o jedną kasetę pancerną.

- Chwileczkę - przerwał Korwin. - Pan dawno z Warszawy?

- Piąty dzień w drodze.

- Jeśli zamierza pan swoją kasetę zawieźć z powrotem do Warszawy, serdecznie zapraszam.

- Nie rozumiem... - kapitan lekko się speszył.

- Wyruszam tam jeszcze dzisiaj - wyjaśnił Korwin.

- Ależ to nonsens!

- Pocieszmy się, że nie pierwszy w tej wojnie.

- Sądziłem, że zmierza pan do jakiegoś pułku koncentracji.

- Pan słyszał o czymś takim? Baby na wsi, wybierając rano jajka, nic nie mówiły na

ten temat, więc nie wiem. Całą dobę jestem bez łączności ze światem.

Miszczyk nie podzielał wisielczego humoru Korwina. Zdjął rogatywkę i przetarł spocone czoło.

- Gdyby to, co wiozę, dostało się Niemcom, lepiej by było poddać cały pułk. Cały garnizon.

- Nie dowodzę tak wysoko. Ale i tak pana nie zabiorę.

Miszczyk zerwał się z kanapki.

- Czy pan naprawdę sądził - ciągnął Korwin spokojnie - że będę obciążał moich do krańca wyczerpanych ludzi, których w dodatku czeka bój w nocy, dźwiganiem papierów, którymi za godzinę, dwie będzie można sobie tyłek podetrzeć?

Miszczyk rozpiął guziki bluzy i podał Korwinowi legitymację, dowód oraz jakieś zaświadczenie.

- Mógłbym traktować moją prośbę jako rozkaz. Obecnie zmusza mnie pan do tego.

Wiozę akta personalne z fotografiami i adresami członków defensywy.

Chyba pan sobie zdaje sprawę, że w ręku nieprzyjaciela stają się one wyrokami śmierci na tych ludzi rozsianych po całych Niemczech?

- Niech pan je spali, zakopie, utopi. One są bardzo ważne ale również ciężkie.

Miszczyk zdawał się nie słyszeć tych uwag i sięgnął po dalsze argumenty:

- Ponadto mam podręczne zeszyty inspektorów armii, zawierające poufne charakterystyki naszych oficerów. Być może, część z nich przebywa już w niewoli. Czy Niemcy mają się dowiedzieć, kogo trzymają w swoich obozach?

Korwin w milczeniu rozważał to pytanie. Korzystając z tej chwili wahania, Miszczyk wybiegł na ganek, by przynieść swoje cenne kasety.

Już nie powrócił... Przelatujący nad zabudowaniami dworskimi niemiecki myśliwiec

przeszył pociskami, jak fastrygą, całe podwórko.

Korwin dłuższą chwilę stał w oknie, trzymając w dłoni dokumenty Miszczyka.

- Czy któryś z panów pochodzi z Warszawy? - zapytał wreszcie.

- Ja, panie majorze! - krzyknął Niwiński.

- Niech pan weźmie te papiery. Kiedyś, po wojnie, odda je pan jego żonie.

Będzie miała przynajmniej co postawić na nocnym stoliku.

Potem zlecił Zawistowskiemu, by zatopił kasety kapitana w dworskiej studni z zachowaniem wszelkich środków ostrożności i w tajemnicy przed mieszkańcami dworku.

Niwiński niezbyt chętnie upychał w kieszeni munduru papiery po zabitym.

Czy mógł wówczas przypuszczać, że w tym momencie chował swoją własną przepustkę na dalsze życie w okupowanym kraju?...

Zgodnie z rozkazem oddział Niwińskiego, poszukując lekarza, dotarł do wsi Poryte i rozlokował się w wiejskiej szkole. Podchorąży z Kurasiem zajęli miejsca w ławkach i jak uczniowie, studiując swoje mapy, oczekiwali przyjścia doktora.

W klasie, za stołem nauczycielskim, jakby prowadził lekcję, siedział trzydziestoletni mężczyzna, ostrzyżony niemal przy samej skórze. Na ramiona zarzucony miał prochowiec.

Nad nim, na ścianie za katedrą, wisiał krzyż i trzy portrety:

Piłsudskiego, Rydza - Śmigłego i Mościckiego. W klasie panowało milczenie;

przerwało je dopiero wejście kierowniczkii szkoły. Otyła, o dobrodusznym wyglądzie kobieta niosła na tacy w fajansowych garnuszkach parującą herbatę. Już od progu informowała:

- Jest doktor, jest, proszę panów. Uciekinier z Radomia. Posłałam już po niego, ale akurat opatruje poparzoną kobietę. Zaraz przyjdzie - mówiła, stawiając przed gośćmi filiżanki. - Herbatka lipowa, bardzo zdatna, bardzo.

Tylko cukru nie ma, niestety...

- Ja mam cukier i służę. Chwileczkę... - milczący dotychczas mężczyzna wyszedł z klasy.

- To pani nauczyciel? - zainteresował się Niwiński.

- W tym roku szkolnym miał zacząć lekcje. No, ale pierwszego nie było otwarcia. Nie wiem...

- Długo pani tu uczy? - Niwiński starał się podtrzymać rozmowę.

- O, dosyć, dosyć.

- Anię Heimannównę uczyła pani?

- Tę z młyna? Nie, ona tu chodziła jeszcze za czasów świętej pamięci pani Borkowskiej. Ale znam ją, znam...

I znów nie było dane Niwińskiemu dowiedzieć się czegoś więcej o młodej Heimannównie, gdyż w tej właśnie chwili wrócił nauczyciel z torebką cukru.

- Służę. Ale w zamian proszę o papierosa.

Kuraś podsunął mu paczkę.

- Różne rzeczy zaczynają ludzie wymieniać. - Nauczyciel znowu zajął miejsce za katedrą. - Benzynę na transport, cukier na tytoń... Wracamy do epoki handlu wymiennego.

- Słuszne spostrzeżenie - przytaknął podchorąży.

- Niezbyt oryginalne, przyznaję. Handel wymienny jest zjawiskiem rozkwitającym w dobie każdej wojny. Pieniądz zatracą wartość jako płatniczy środek umowny, ważne stają się rzeczy, przedmioty. A raczej ich brak.

Zresztą, to, co nas czeka, cofnie nas jeszcze dalej.

Niwiński zerknął uważniej na mówiącego i spytał:

- Pan, przepraszam, czego tu na wsi uczy?

- Jeszcze nie zdążyłem niczego. Ale pani kierowniczka przeznaczyła mi rachunki.

- Pan Mrowiński dawniej uczył w Kielcach... - kierowniczka uzupełniła tę informację.

- Przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska. Mój ojciec jest również nauczycielem, więc

może... - Niwiński z uwagą wpatrywał się w elokwentnego nauczyciela.

- Nazywam się Mrowiński.

Kierowniczka wyjrzała przez okno.

- Jakoś nie widać doktora - westchnęła. - Przepraszam, że tak pytam. Ale męża zmobilizowano. Jestem taka niespokojna. Kiedy się to skończy, panowie?

- Niedługo. Całkiem niedługo. - Słowa nauczyciela są uspokajające, ale szczególny ton jego głosu zaintrygował Niwińskiego.

Wstał więc z przyciasnej dla niego ławki, chrząknął i, przechadzając się po klasie, zaczął wyjaśniać:

- Ma pan rację. Anglia, która jest morską potęgą, już odcięła Berlinowi łączność ze światem, a kiedy ruszą Francuzi z linii Maginota i odciążą nasz front...

- Może pan zajmie moje miejsce za stołem. To brzmi jak wykład - przerwał mu nauczyciel.

Niwiński spojrział na niego niechętnie, ale opanował się i spokojnie kontynuował:

- Trzeba to przetrwać, trzeba, niestety. Byliśmy nie przygotowani i teraz ponosimy konsekwencje. Jedno wszakże jest pewne: nie sposób było tego uniknąć.

- Owszem. Był sposób - spokojnie zauważył nauczyciel.

- Bzdury. Oddać Gdańsk?

- Nie. Należało dobrać innych sojuszników.

- Innych? Nie ma potężniejszych od tych, których mamy, Marszałek ten dobór pozostawił w swoim testamencie. Przypomniał to trzeciego dnia wojny minister Beck.

Pamiętaj, powiedział Komendant, że kiedy będzie bardzo źle, najważniejsze, żebyśmy się

znaleźli w dobrym towarzystwie.

- Towarzystwo może jest i dobre. Tyle że odległe.

- Pan zna bliższe? - zainteresował się milczący dotychczas Kuraś.

- Owszem. Ale już za późno. Czesi nienawidzą nas za Zaolzie, Litwini pamiętają nasze pogroźki w sprawie Kowna. Czy musieliśmy przykładać do tego rękę? A przecież wystarczyło zgodzić się na przemarsz Rosjan do Czech, żeby uratować i Czechów, i nas.

- Mój drogi, przy takich poglądach, przestaję się dziwić, że poruczono panu nauczanie rachunków właśnie tutaj. - Niwiński nie był w stanie opanować wzburzenia. - Trzy dni temu, na moich oczach zabito dwóch harcerzy, którzy bronili mostu. Na szczęście nie byli pańskimi uczniami.

Oddali życie. Może i za pana. A pan, czego mógłby ich nauczyć? Zdrady?

- To duże słowo - zauważył Mrowiński, wciąż jeszcze spokojny.

- W sam raz. Ileż pan ma lat? I dlaczego nie jest pan w wojsku?

- Wodzowie nie chcieli. A teraz może by i chcieli, ale gdzie ich dogonię?

W Rumunii?

- Może jaśniej? - Niwiński tracił coraz bardziej opanowanie.

- Jeszcze jaśniej? Panie podchorąży, przecież nawet tutejsi pastuszkowie wiedzą, że wodzowie uciekli.

- To oszczerstwo! - Niwiński jednym skokiem znalazł się przy nauczycielu.

- To prawda. Pozostawili was na pastwę losu, a pan mnie nazywa zdrajcą?

Nie ich?

Niwiński zamachnął się i niechybnie wymierzyłby nauczycielowi policzek, ale ten cofnął się i zawadzając o kant stołu, ściągnął z ramion deszczowiec, który spadł na posadzkę.

Prawy rękaw nauczyciela był pusty, wetknięty w kieszeń.

- Masz szczęście - wycedził przez zęby Niwiński.

Nauczyciel schylił się po płaszcz, zagarnął go pod zdrowe ramię i wyszedł. W klasie zapadło milczenie.

- Tak mi nieswojo - kierowniczką niezdarnie próbowała rozładować napięcie. - W panach cała nasza nadzieja i nagle taki afront... Chyba sama pójde po doktora... Nie wiem...

Przysłali mi tego nauczyciela przed samym początkiem roku. Nawet się zdziwiłam: z samych Kielc i taki, przepraszam, awans? Podobno był i w kryminale... Przepraszam...

Niwiński boleśnie odczuł tę pierwszą lekcję historii najnowszej. Jak na ironię otrzymał ją w szkolnej klasie i chociaż sam czuł się mentorem, odpowiedzi egzaminowanego stawiały go w pozycji ucznia, który wykuł się przedmiotu nie z tego podręcznika, co trzeba. Po raz pierwszy ktoś obalał twierdzenia, w które podchorąży wierzył i które traktował jak aksjomaty ustalone raz na zawsze i nie do podważenia. Wiara w wodza, w zwartość, siłę i gotowość równała się wierze w niepodważalność przypadków przystawiania trójkątów. Człowiek za katedrą wydał mu się więc zdrajcą i heretykiem lub co najmniej nieukiem. A przecież to, co usłyszał, było zaledwie programem przedszkolnym wobec najbliższych lekcji historii, które go dopiero czekały.

Na razie czekała go inna, nie przewidziana przeprawa. Gdy wyszedł przed ganek, by ochłonać po niefortunnej dyskusji, oczom jego ukazał się zdumiewający widok. W świetle dwóch dopalających się we wsi chałup, na tle kościoła widać było kłębowisko rozwrzeszczanych ludzi zgromadzonych na obszernym majdanie. Niwiński i Kuraś wsiedli na konie i zbliżyli się do placu. Jednak poprzez cisnący się tłum długo nie mogli dojrzeć, co się tam właściwie dzieje.

Jakaś kobiecina, stojąca przed nimi, też ciekawie wspinała się na palcach.

- Co tam, babciu, sprzedają? - przyjaźnie zagadnął Kuraś.

- A śpionów wieszają.

- Co takiego?! - zaniepokoił się Niwiński.

- Lusterkiem dawał znaki. Posterunkowy nareszcie ich przyłapał - wyjaśniała.

Niwiński koniem roztrącał groźny, nie ustępujący i wciąż wyjący tłum.

Wreszcie dojrzał: przed gminą, na zwieńczeniu bramy, wiązano dwa bliźniacze stryczki. Tłum krzychał o spalonych chałupach, o zabitych dzieciach. Jacyś ludzie, już zupełnie niepotrzebnie, wylewali wiadra wody na rozżarzone głównie dogasającej chałupy.

Reszta rozwrzeszczanej ciżby otaczała dwoje ludzi: mężczyznę po pięćdziesiątce i dwudziestoparoletnią, ładną dziewczynę. Mężczyzna bezmyślnie poprawiał co chwila na nosie zdezelowane okulary, patrząc na przygotowania do egzekucji, kobieta zaś wrywała się z żelaznych uścisków chłopów, nie przestając powtarzać ochrypłym głosem:

- Ludzie, mylicie się! Ludzie...

Z gminy wyniesiono ławy i ustawiono na nich dwa taborety. Przodownik policji i sołtys, obaj dobrze podpici, z powagą dyrygowali przygotowaniami.

Na widok żołnierzy tłum uspokoił się nieco. Tylko co bardziej rozhisteryzowane kobiety krzychały nadal: „Śpiony”, spluwając starały się dosięgnąć strzępów ubrania lub włosów skazańców.

- Na miłość boską, ludzieeee! - krzychała osaczona dziewczyna.

- Co się tu dzieje?! - Niwiński zwrócił się do policjanta.

Przodownik sprężył się, brzęknął szablą i, chwiejąc się lekko, stanął przed koniem Niwińskiego.

- Złapaliśmy dwóch szpiegów. Dawali znaki samolotom...

- Ależ tatuś się golił! Golił się na łące, ludzie! - z rozpaczą tłumaczyła dziewczyna.

- Cicho! - krzyknął przodownik. - I plany mieli... - wyjaśniał Niwińskiemu. - To przez

nich, widzi pan, co się stało.

- Dokumenty tych ludzi! - zażądał podchorąży.

Kuraś wyciągnął rękę do policjanta, ten zaś wziął od sołtysa skórzaną teczkę i wyjął z niej plik papierów.

- Tu jest wyrok spisany w gminie. A z kim mam okoliczność? - zapytał.

W tym momencie do akcji włączył się Kuraś.

- Stań porządnie na baczność i nie bujaj się na flekach! - wrzasnął. - Oddział specjalny żandarmerii polowej. Nie widzisz? Nie widzisz, boś się zaprawił!

Niwiński lekko zbaraniał i bezmyślnie przeglądał podane mu papiery. Kuraś zaś perorował dalej:

- Szpiedzy powinni być przesłuchani przez władze wojskowe i rozstrzelani.

Nie znasz, chamie, prawa międzynarodowego i za postronek się bierzesz?! Mam spisać personalia tego przodownika, panie podchorąży?

Niwiński lekceważąco machnął ręką; spostrzegłszy, że wrzaski Kurasia robią na policjancie duże wrażenie, włączył się do gry, zaproponowanej przez podwładnego.

- Pokwituję wam odbiór skazanych. Kuraś, bagnet na broń i wyprowadzić podejrzanych!

Kapral natychmiast spełnił rozkaz. Niwiński, nawet nie schodząc z konia, napisał coś na świstku papieru, a plik dokumentów zabrał ze sobą.

- Wieszać! - wykrzykiwał nadal Kuraś. - Oni muszą wpierw wszystko wyśpiewać.

Rozumiecie czy nie? Was powinienem też przed sąd polowy, boście na służbie pijani jak świnia.

- Pozwolę sobie powiedzieć, że nie ma pan insygniów żandarmerii i dlatego... - usiłował tłumaczyć się przodownik.

- Może go jednak zabierzemy, panie podchorąży? Nie wiecie, że my na czas wojny

jesteśmy tajni? Właśnie po to, żeby taki baran, jak ty, nie mógł nas rozpoznać!

Z najwyższym trudem doprowadzili nieszczęsną parę do szkoły. Profesor Zygadlewicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego okazał się egiptologiem, jego córka Justyna pełniła funkcję asystenta przy tej samej katedrze. Wojna zaskoczyła ich na sympozjum w Warszawie.

- Kiedyż skończy się ta koszmarna komedia? Przecież pan widzi, że to hieroglify...

No, przyznaję, że hieroglify wyglądają dość tajemniczo. Ale oni je wzięli za szyfr. Inskrypcje uznać za szyfr! - Stary profesor powiewał przed Niwińskim wyciągniętymi z teczeki papirusami.

- Tym ludziom nie można się dziwić. Taka panuje psychoza. Najważniejsze, że wszystko skończyło się dobrze - uspokajał go Niwiński.

- Dziękuję to nie jest właściwe słowo za to, co pan zrobił, młody człowieku. Gdyby nie stanowczość pańskiego żandarma...

Niwiński uśmiechnął się. Coraz bardziej przywiązywał się do tego swojego kaprała.

Kiedy już byli w dalszej drodze, przypomniała mu się ta scena z profesorem i wtedy dopiero pochwalił kaprała:

- Wy, Kuraś, faktycznie moglibyście być żandarmem. Dobrze wam szło. Macie głowę na karku.

Kuraś przyjął ten komplement dość obojętnie. Mało go jeszcze widać ten młody podchorąży znał, jeśli prosty wybieg wzbudził w nim aż taki entuzjazm. Zdolności mistyfikacyjne Kurasia i jego umiejętność mimikry, pozwalające swobodnie przystosowywać się do wszystkich okoliczności, nie raz jeszcze miały im obu ocalać życie. Ale o tym wszystkim, rzecz jasna, nie mógł wówczas jeszcze wiedzieć Władysław Niwiński.

- Jego oddział zbliżał się właśnie do młyna.

Stary Heimann stał przy bramie. Zrazu zląkł się, widząc jeźdźców i wojskowy wóz taborowy. Nie od razu też rozpoznał w Niwińskim młodego gimnazjalistę, który zjeżdżał tu na wakacje. Potem, gdy przyjrzał mu się dobrze, szczerze ucieszył się z tej wizyty.

- Zachocicie ale do domu, zachocicie. Ja widzę: szolnierze i myślę: nietopsze. A to nasz Władek! No, to topsze... Eweline, Eweline!

Pobiegł z radosną wieścią w stronę domu. Kuraś, słysząc tę dziwną rozmowę, zaniepokoił się.

- Jak to? To Niemcy, panie podchorąży?

- To kolonia osadników niemieckich. Od stu lat ta rodzina jest w Polsce.

Bardzo, bardzo porządni ludzie.

- Wie pan, który Niemiec jest porządny? Nieżywy... - Kuraś niechętnie zeskakiwał z konia.

Ludzi i taborowy wóz umieścił Niwiński w stodole. Postanowił tu przeczekać do wieczora, by świtem przeprowić się jeziorem na drugą stronę, do swoich.

Heimannowa przyjęła go ze łzami prawdziwej radości.

Po pierwszych powitaniach Niwiński spytał o ich syna Janka. Jakoś niezręcznie było mu zagadnąć o Anię.

- Janek? Zaraz powinien przyjść na obiad. Oni pilnują krów i koni w lesie.

- Oni? To znaczy Janek i kto...?

Niwiński miał nadzieję usłyszeć, że i Ania, ale okazało się, że młody Heimann pilnuje zwierząt z jakimiś kolegami.

- Boicie się państwo rekwizycji?

- Boimy się wszystkiego, Władek... - westchnęła Heimannowa.

- Tych, co przyjdą, także? Myślę o waszym wojsku.

- Nie znam ich, więc też się boję - wtrącił Heimann. - O, idzie Johann.

Ależ się zdziwi.

- A Ania? - spytał niby od niechcienia Niwiński.

- Anna Liza? - Heimannowa powtórzyła to pytanie i wyczekująco spojrzała na męża.

- Pamiętasz ją jeszcze? Ona... - Heimann nie dokończył odpowiedzi.

Do izby wszedł Johann. Widok podchorążego zaskoczył go. Starając się jednak nie okazać zdziwienia, w milczeniu podał Niwińskiemu dłoń, jakby widzieli się zaledwie wczoraj.

- Zmieniliśmy się, co? - zagadnął podchorąży.

- Wszystko się zmieniło - odburknął Johann i zaczął zaglądać do garnków oraz koszyków stojących pod piecem.

- Więc co właściwie z Anią? - powtórzył pytanie Niwiński.

- Jej nie ma - zdecydowanie odpowiedział Johann.

Heimannowie milczeli.

- Wyjechała? Czy... Ale to chyba niemożliwe... Wyszła za męża?

- Nie. Nie ma jej - uciął Johann, nie przestając sprawdzać zawartości koszyków.

- Przygotowałam, przygotowałam - uspokoiła go Heimannowa. - Zjesz z nami, Johann?

- Nie. Czekają... Pójdę po koc. Noce już zimne.

Stary Heimann postawił na stole karafkę z wiśniówką, gospodyni zaś zajęła się krajaniem słoniny. Kurasiowi i Waligórskiemu zaświeciły się oczy na ten widok.

- Przepraszam na chwilę... - Niwiński ujął Johanna pod ramię.

Wyszli na podwórko i usiedli na zwałonym konarze drzewa.

- Co masz zamiar dalej robić? - zapytał Johann.

- Cóż mogę zrobić? Jest wojna.

- To już niedługo potrwa. Nie widzisz, co się dzieje...?

- Widzę.

- No, więc... - Johann przysunął się bliżej. - Ja ci coś powiem. Zostań tu z nami, ludzi puść, niech wracają, dużo jest zajęć w domu...

- Nie rozumiesz...

- Wszystko rozumiem. Kiedy się to skończy, wrócisz do domu i tyle.

Ubranie się znajdzie. A w razie czego powiem, że jesteś naszym krewnym.

Taka jest moja rada.

Niwiński uśmiechnął się z przymusem.

- Tyś jednak nie był w wojsku. Bo to, do czego mnie namawiasz, to dezercja.

Rozumiesz to słowo?

- Ja cię namawiam do ratowania własnej głowy. Niczego innego już nie uratujesz.

- Wojna jeszcze trwa, Jasiu. A na wojnie jak na wojnie. Różnie bywa...

- Różnie.

- W coś trzeba wierzyć, Janek.

- Tylko w co?

- Ja wiem.

- I ja też wiem.

- Widzisz... Jeżeli już koniecznie chcesz mi pomóc...

- Przecież powiedziałem.

- Daj łódź i albo sam popłynij nocą, albo...

- Dokąd?

Niwiński wskazał w stronę połyskującego zza szuwarów jeziora.

- Do naszych, Jasiu. Jest przesyłka, która musi dotrzeć do... no, w każdym razie musi.

Ważna przesyłka. Pomożesz?

Johann namyślał się przez chwilę.

- Będziesz tu wieczorem, jak wrócę? - spytał.

- Tak...

- To pogadamy - Johann podniósł się z pnia.

- Nie popadaj w panikę. - Niwiński poklepał młodego Heimanna. - Wiem, że nie jest najlepiej, ale komu wiadomo, od czego to jeszcze zależy. Anglicy i Francuzi dotrzymają gwarancji naszym władzom.

- Słyszałem, że te władze są już bardzo daleko.

- To dużo słyszałeś.

- Sporo ludzie gadają.

- Gadają dużo i niepotrzebnie.

- Ano właśnie. Czas na mnie, nie gniewaj się. Chłopcy czekają.

- Jacy chłopcy?

- Koledzy.

Johann odszedł, dźwigając swoje koszyki.

I rzeczywiście wrócił. Nie wieczorem. W nocy. Niestety, nie sam i niestety, nie po to, aby przyjacielsko pogawędzić.

Oddział spał wtedy w stodole. Niwiński z Kurasiem drzemali na poddaszu, w tym samym pokoiku, który w dawnych latach wynajmowano harcerzom w czasie ferii. Strzelec Iwaniuk pełnił wartę na podwórku. O północy miał rozkaz postawić oddział na nogi, ale zrobił to znacznie wcześniej...

Okolo jedenastej dostrzegł zbliżającą się do młyna postać. Poderwał karabin, ale zaraz

się uspokoił, rozpoznając w nadchodzącym syna właścicieli.

- Swój, swój. Nie poznaje mnie pan? - uśmiechnął się Johann.

- W porządku - Iwaniuk opuścił karabin.

- Zapali pan?

Iwaniuk sięgnął po papierosa i wtedy właśnie otrzymał cios w plecy.

Zwinął się i osunął na ziemię. Johann jednym skokiem dopadł drzwi szopy. Po chwili był już przy wozie. Waligórski z panem Gozdalskim spali tuż obok, zakopani w sianie. Koło nich stała wielka towarowa waga, na której wazono mąkę.

- Pora, Iwaniuk? - przez sen wymamrotał Waligórski.

- A pora - odburknął Johann, porywając odważnik i wymierzając dwa ciosy w głowę Waligórskiego.

Również Gozdalski, zanim zrozumiał, o co chodzi, otrzymał potężne uderzenie odważnikiem.

Johann błyskawicznie zaprzągnął konia do dyszla i ułożył się płasko w furgonie; nawet głowa nie wystawała poza burty. Smagnął konia batem i zaprzęg wyskoczył na podwórko.

Iwaniuk żył jeszcze. Jego niedźwiedzia siła pozwoliła mu zagarnąć ręką odrzucony przy upadku karabin. Kiedy furgon mijał go w pędzie, nacisnął spust. Jeden koń padł i furgon, zataczając łuk, uderzył o narożnik domu.

Johann wyskoczył z wozu i rozpląnął się w ciemnościach.

Huk wystrzału obudził Niwińskiego. W jednej chwili dopadł do okna mansardy. W tym momencie posypały się pociski. Młyn był otoczony.

Rozgorzała zażarta strzelanina między resztkami oddziału a niewidocznym nieprzyjacielem.

Tymczasem rozbudzony strzelaniną stary Heimann wybiegł zaintrygowany na ganek. I

kiedy tak stał w swej przydługiej, nocnej koszuli, wyteżając wzrok i starając się dociec przyczyn niespodziewanego alarmu, dosięgły go pociski. Stary padł na stopnie wiodące na ganek i legł tuż przy drzwiach, jakby pragnął ciałem zagrozić wejście do domu.

Niwiński, ostrzeliwując się z okna pokoiku na piętrze, widział, jak nad trupem starego młynarza uklękała żona. I jeszcze ktoś, w kim rozpoznał Annę.

Jej obecność w tym domu, jej bliskość i wreszcie jej bezsilny płacz nad ciałem ojca sprawiły, że podchorąży zapomniiał na moment o grozie sytuacji, w jakiej znalazł się on sam i jego ludzie. Przerwał ogień i patrzył w dół na stopnie, gdzie wciąż klęczały obie kobiety. One zaś, jakby czując jego wzrok, uniosły w górę głowy i patrzyły oczami pełnymi przerażenia, rozpaczony i niemego wyrzutu. Przez mgnienie zapragnął zawołać, wytłumaczyć, wyjaśnić obu, kto naprawdę odebrał im ojca i męża, ale one już nie patrzyły na niego. Z wysiłkiem dźwignęły bezwładne ciało młynarza, usiłując przenieść je z ganku do sionki.

- To wasi, wasi! - zawołał Niwiński, ale nie mogły go słyszeć, bowiem strzelanina znów przybrała na sile.

Od strony wioski nadbiegali chłopci uzbrojeni w widły i łomy; okazało się, że strzały zaalarmowały ludność Porytego. Widząc zbliżających się chłopów, napastnicy wycofywali się do lasu, zostawiając dwóch zabitych. Ludzie ze wsi rozpoznali w nich chłopców z podobnych co Heimannowie kolonii niemieckich.

Krążąc po pobojowisku, Niwiński usłyszał tuż obok głos Kurasia:

- Nie mógł pan wiedzieć, to byli przecież bardzo porządni Niemcy. Byli...

Iwaniuk już nie żył. Gozdalski półprzytomnym wzrokiem patrzył, jak żołnierze nieśli jego bezcenny worek. Przy upadku z furgonu płótno rozdarło się o leżącą na podwórku broneę. Z rozprutego worka wysunęła się płachta zadrukowanego papieru. Kilka ryz poskręcanych wężowo leżało teraz na ziemi.

Kuraś zdębiał.

- Chryste Panie! To forsa! - zawołał.

Ludzie otoczyli dziwny ładunek. Ktoś schylił się i podniósł jeden arkusz.

Były to świeżutkie, pięćsetzłotowe, jeszcze nie pocięte banknoty.

Niwiński pochylił się nad Gozdalskim.

- Co to właściwie jest?

- Walory. Widzi pan chyba. Złoto miało opuścić granice państwa, a sześćset milionów mieliśmy zniszczyć przez spalenie.

- Przez spalenie?

- Tak. Komisyjnie odnotowana wartość. Ta emisja nie zdążyła wejść do obrotu.

Praktycznie jest nieważna, ale...

- Przez spalenie? - powtórzył Niwiński.

Nagle podniósł się, mnąc w dłoni szeleszczący arkusz.

- Kuraś! Bańka z naftą i zapałki!

- Panie podchorąży, dałoby się pociąć. Dałoby się...

- Tak. Na wkładki do butów. Więc to była ta misja specjalna... I za nią zginął Iwaniuk.

Na co czekacie, do cholery?! Nafta!

Chlusnęło z bańki śmierdzącym płynem. Niwiński rzucił zapałkę. Papier w jednej chwili stanął w płomieniach i prawie natychmiast zaczął popieleć.

Podchorąży teraz dopiero przeniósł wzrok na ganek, spodziewając się raz jeszcze ujrzeć Annę. I ponownie odczuł potrzebę powiedzenia jej tego, czego, być może, ani Anna, ani jej matka nawet się nie domyślały. To przecież kule ich rodaków, kolegów Johanna, dosięgły tam na ganku starego młynarza. Niwiński już nawet postąpił krok w stronę domu, lecz w tej właśnie chwili w dali, od strony wioski zagrały działa czołgów. Spojrzał na jezioro.

- Tym razem chyba to już koniec... - usłyszał głos Kurasia. - Wijemy dalej?

- Już nigdzie nie będę uciekał.

Kuraś ze zdziwieniem spojrział na dowódcę.

- Przecież tym razem to już... koniec, panie podchorąży.

Niwiński machinalnie przegarniał patykiem tłący się papier.

- Za to trzeba wziąć się od razu.

- Za co, panie podchorąży?

- Już ja wiem, za co...

Odwrócił się od ogniska. Patrzyli na niego żołnierze, chłopcy z wioski.

Niwiński powtórzył sam do siebie:

- Już ja wiem, za co...

OBYWATELE GG

Październik wciąż był jeszcze pogodny i ciepły. Tylko słońce nie miało w czym się odbijać, bo w całej Polsce brakowało szyb w oknach i ludzie zabijali je dyktą albo deszczułkami po skrzynkach na owoce. Szklarze zapamiętali miesili kit, obiecując sobie wkrótce dojść do wielkiej fortuny, ponieważ jednak o szkło trudniej było niż o cukier, więc i szklarze snuli się beczynn timer, jak zresztą wszyscy, którzy nie wiedzieli, co począć z nagłym nadmiarem czasu. Nie kursowały pociągi, nie działała poczta, stoły w pustych urzędach pokrywały się kurzem, bo i petentów, i urzędników zabrakło.

Było więc pogodnie i ciepło. Tylko na Podkarpaciu, jak zwykle już o tej porze, ranki zdarzały się chłodne i mgliste. We wsi Owczary mgła tego październikowego dnia opadała tak wolno, że z okna na piętrze plebanii ksiądz Pyclick nie tylko nie mógł dojrzeć gór, ale z trudem rozróżniał krzyże na cmentarzu położonym w najbliższym sąsiedztwie kościoła.

W dni bezchmurne węgierską granicę widać stąd było jak na dłoni. Od kilku dni ksiądz Pyclick gościł dwóch przybyszów z Warszawy, którzy zamierzali przedostać się właśnie na Węgry. Na razie odpoczywali w przytulnej plebanii i, podobnie jak wszyscy ludzie w Polsce, dokonywali przymiarki do nowego życia. Nikt jeszcze nie wiedział, jakie ono będzie, nikt jeszcze nie wiedział, jak długo potrwa. Tu, w pocziwych Owczarach, nikt nawet jeszcze żywego Niemca nie widział na oczy, toteż i pocziwe toczyły się na plebanii rozmowy.

Dwaj uciekinierzy, panowie Wiślicz i Boczkowski, obaj oficerowie, oczekując na przewodnika, zabawiali księdza wiadomościami przywiezionymi z Warszawy. Rozmawiali przy oknie, skąd widać było, jak kościelny Kulpiński szykuje wóz do drogi. Ksiądz Pyclick wysyłał go do miasteczka po baterie do radia.

- Ksiądz w ogóle słucha tu radia? - zdumiał się Wiślicz.

- Światła nie mamy, ale jakoś sobie radzimy. Bardzo dobra kryształówka.

Bardzo. Nie mówiłem panom wczoraj, co Londyn o dziewiątej podawał?

- Zabiorą księdzu ten aparat. Przy pierwszej lepszej rewizji - ostrzegł Boczkowski.

- Jak to, zabiorą? - zdziwił się ksiądz.

- Po prostu, szukają broni, a zabierają radia.

Wiślicz uzupełnił:

- W Warszawie lada dzień ma wyjść ogłoszenie o oddawaniu aparatów. Na razie za słuchanie Londynu aresztują... Jest wyraźny Bekanntmachung. Nie wie ksiądz?

- Wspominał mi o tym kościelny, ale to kolorysta.

Boczkowski roześmiał się.

- A za rozpowszechnianie wiadomości radiowych - kara śmierci - ciągnął Wiślicz.

- To aż tak... - zamyślił się ksiądz.

Teraz z kolei przybysz nie bardzo rozumiał.

- Otóż wyobraźcie sobie, panowie - zmienił temat rozmowy proboszcz - Rumunia ogłosiła, że w wypadku ataku na nią zapali specjalną zaporę naftową i pod jej osłoną przeprowadzi mobilizację.

- Hm... - mruknął z niedowierzaniem Wiślicz.

- Tak, niestety, byliśmy zupełnie bezbronni. Zapora naftowa? Kto przez to przejdzie?

Francuzom też nic nie robią, całkiem sobie zęby połamią na linii Maginota.

Takie to były rozmowy w owe dni, o których nikt jeszcze nie wiedział, że osiągną sumę lat sześciu i zwać się będą okupacją. Nikt też jeszcze nie słyszał o sposobach przerabiania ludzi na mydło ani o gazie zwanym cyklonem B; wówczas jeszcze lasek w Palmirach był po prostu laskiem, Wawer po prostu stacją kolejki otwockiej, oceniano więc okupanta podług wiedzy dziadków, którzy zapamiętali jako najjaskrawszy przykład gwałtu

zamknięcie szkoły we Wrześni. Również i scenę teatru wojny, mimo własnego

doświadczenia, obserwowali ludziska z łoży pocziwego Remarque'a, ufając w żelbetony

Maginota i wszechwładną na morzach i oceanach Anglię.

- Nie wiem, czy dokładnie powtórzę - perorował ksiądz - ale w Anglii sporządzono maszynę, która wykonuje trzysta pocisków armatnich na minutę.

Czy to możliwe? Panowie są oficerami, może coś przekręciłem? - dopytywał się ksiądz.

- Najwyżej trochę ksiądz dodał, ale możliwe, owszem - odparł Boczkowski.

- Poza tym wynaleźli specjalny przyrząd, który automatycznie nastawia działo przeciwlotnicze. Automatycznie! - ksiądz był wyraźnie zafascynowany tym wynalazkiem. -

Tak, proszę panów, Hitler jednak jest głupcem, porywając się na Anglię... Co on wyrabia, na Boga?!

Ta ostatnia uwaga nie dotyczyła już Hitlera, a po prostu kościelnego Kulpińskiego, który pod stajnią wykonywał jakieś dziwne manewry.

Kulpiński, który przed chwilą spokojnie wszedł do stajni, teraz gwałtownie ją opuszczał, wycofując się tyłem z rękami podniesionymi wysoko do góry, jakby za chwilę miał być rozstrzelany.

Na ten widok dwaj goście porwali wiszące na poręczach krzesel marynarki, ksiądz zaś pośpiesznie wypychał ich w kierunku drzwi, powtarzając:

- Do kościoła, do kościoła! Tam nie ośmielą się wejść.

Po chwili drewniane schody plebanii zadudniły pod butami. Za uciekającymi biegł z wysoko podciągniętą sutanną ksiądz Pyclik, śpiesząc na pomoc Kulpińskiemu.

Aby należycie pojąć przerażenie kościelnego, wypada spojrzeć na to wszystko z

punktu widzenia wnętrza stajni, w której do tej chwili, umieszczeni w miękkim sianie, spali

utrudzeni ponad wszelki wyraz, na pół już cywilni: podchorąży plutonowy Władysław

Niwiński oraz kapral Leon Kuraś.

Teraz, rzecz jasna, już nie spali, obudziło ich bowiem skrzypienie wrót i szuranie buciorów jakiegoś dziwnego człowieka, który z rękami uniesionymi w górę wycofywał się ze stajni, nie spuszczać oka z Niwińskiego.

Podchorąży, wyrwany ze snu, nie od razu połapał się w sytuacji. Dopiero zduszony szept Kurasia: „Panie podchorąży, spluwa! Spluwa!” - uzmysłowił mu położenie.

Niwiński, waląc się w nocy na siano, zasnął dla bezpieczeństwa z pistoletem w garści.

Teraz wciąż jeszcze trzymał go w wyciągniętej przed siebie dłoni i wyglądało to tak, jakby chciał nim terroryzować nieszczęsnego kościelnego. Oprzytomniawszy, Niwiński schował wreszcie broń do kieszeni spodni i zsunął się z siana na klepisko.

- Zaspaliśmy, kuchnia Felek - mrucał niezadowolony Kuraś.

W tym samym momencie w otwartych drzwiach stajni pojawił się ksiądz Pyclik.

- Niech będzie pochwalony. Skąd Bóg prowadzi?

- Z wojny - odrzekł Niwiński, usiłując pośpiesznie wepchnąć koszulę w nieco za szerokie na niego spodnie.

- To widać, to widać - stwierdził ksiądz.

Stali przed nim w swych dziwnych, na wpół cywilnych, na wpół wojskowych strojach.

Stara klacz chrupiąca owies w kącie spoglądała na całą trójkę sennym, obojętnym spojrzeniem. Ksiądz medytował nad czymś przez chwilę - wreszcie powiedział:

- I cóż? Jak widzę, dalej na wojaczkę?

- Jeśli się uda. Tłuczemy się już drugi tydzień. Zawsze we dwóch raźniej - odparł Niwiński.

- Bez wątpienia, bez wątpienia - przyznał ksiądz.

- Na szczęście już bliżej jak dalej.

- O, nawet całkiem już blisko! Widzi pan ten szczyt? Tam już Węgry, czy też

Słowacja, jak pan woli...

Niwiński bez specjalnego zainteresowania skierował wzrok w stronę rysujących się na horyzoncie gór.

- Pan z Warszawy? - indagował ksiądz.

- Tak jest.

- Dalej pójdzie pan ze swoimi ziomkami. Mam tu na plebanii jeszcze dwóch takich.

- Też wracają? - spytał zaintrygowany Niwiński.

- Jak to, wracają? - ksiądz nie zrozumiał.

- Do domu.

- A pan do domu? - ksiądz pokręcił głową. - No, tak... to rzeczywiście nie po drodze wam. Nie po drodze. Hm... Prawdziwa wędrówka ludów. Bóg raczy wiedzieć, kto tu ma rację.

Po południu, wraz z dwoma warszawiakami, leżeli w sadzie za kościołem.

Kuraś przymknąwszy oczy sprawiał wrażenie śpiącego. Nie opodał ksiądz Pyclik majstrował przy ulach. Słońce odbijało się na kościelnej wieżycze.

Wydawało się, że wojny nie ma. Wojna była tu na razie tylko w słowach.

Warszawiacy opowiadali o gruzach na Marszałkowskiej i w Alejach, o tym, że w całej

Warszawie kursuje tylko jeden tramwaj - od placu Teatralnego do Zbawiciela, że wciąż nie ma światła, a ludzie z wiadrami ustawiają się w kolejkach do przedmiejskich studni.

- Po co pan tam wraca, kolego? - dziwił się Boczkowski. - Walczyć?

Prędzej czy później skończy się na tym, że będzie pan handlować bibułkami „Solali” i wędzonym boczkiem.

- Dopóki pana nie zamkną - uzupełnił Wiślicz.

- Tak jest. Aresztują wszystkich, jak leci. Inżynierów, księży, weterynarzy. -

Boczkowski usiłował odwieść Niwińskiego od jego zamiaru.

- Przepraszam, a dlaczego weterynarzy? - odezwał się spod ula ksiądz.

Boczkowski zaśmiał się cichutko:

- Oj, ludzie, ludzie, zupełnie jeszcze nie wiecie, jaka to wojna... Więc jak? Ucieka pan z nami?

- Uciekałem siedemnaście dni. Znudziło mi się.

Boczkowski wzruszył ramionami, a po chwili milczenia powolnym głosem powiedział:

- We Francji rekonstruuje się armia. Czekają na nas. Tylko tam jest nasze miejsce.

- Nie wiem jeszcze, gdzie jest moje miejsce, ale zawsze uczono mnie, że w ojczyźnie.

- Wielu rzeczy nas uczono - wtrącił Wiślicz - ale przy egzaminie nie my, a pedagodzy okazali się zupełnie do dupy, przepraszam księdza.

- Nie szkodzi, pszczołki brzęczą, prawie nie słyszałem - pocieszył go proboszcz.

Boczkowski uniósł się z ziemi i stojąc nad Niwińskim wyrzucał z siebie całe nagromadzone rozgoryczenie:

- Wie pan, co przeżyliśmy w Warszawie trzydziestego września, kiedy Rommel podpisał kapitulację? Kilkunastu oficerów prawie jednocześnie palnęło sobie w łeb. Tłum uważał ich za bohaterów, a następnego dnia ten sam tłum ustawił się w kolejce na placu Na Rozdrożu i żarł grochówkę z niemieckiej polowej kuchni. Jak pan widzi, honor staniał z dnia na dzień.

Kraj to wszystko musi przeżyć, a my musimy się bić tam zatoczył ręką w stronę zachodu - aby przeżywał jak najkrócej.

- Ma któryś z panów żonę i dzieci? - odezwał się niespodziewanie Kuraś, nie otwierając powiek.

Po kamieniach zaturkotała furka, więc wszyscy spojrzeli w stronę wioski.

Nadjeżdżał następny kandydat do ucieczki na Węgry. Był nim major Linowski.

Nazajutrz przysłała pora rozstania. Istotnie rozstali się i rozjechali wszyscy, choć niezupełnie według tego scenariusza, jaki sobie ułożyli. Otóż rankiem nieoczekiwanie zjechał na plebanię patrol niemieckiej żandarmerii.

Boczkowski i Wiślicz zdołali umknąć do lasu, zaś nasi bohaterowie oraz major Linowski wyciągnięci zostali z konfesjonałów, które uznali za kryjówkę nie do wykrycia.

Niemcy, wbrew zapewnieniom proboszcza, „ośmielili się” wejść do kościoła...

Już po godzinie bryczuszka, wesoło podskakując po wyboistej podkarpackiej drodze, wiozła trzech więźniów w stronę miasteczka. Konwojował ich podoficer wraz z żandarmem, który tyłem siedząc na kozle obserwował aresztantów.

Na ławeczce pod kozłem podskakiwał odbiornik radiowy księdza oraz anodówka „Daimon” i akumulator. Po to właśnie żandarmi zjawili się we wsi, a że przy okazji udało im się złowić trzech nie posiadających dokumentów mężczyzn, w tym lepszych wracali nastrojach. Podoficer pogwizdywał nawet arię z „Wesołej wdówki”.

Linowski, wytrząsłszy się nieco, szarmancko zapytał oficera:

- Pozwoli pan zapalić?

Pytanie zadane było po polsku, więc żandarm zbył je milczeniem. Kuraś w imieniu Linowskiego powtórzył je po niemiecku. Oficer przyzwalająco skinął głową. Linowski wyciągnął papierośnicę, poczęstował Niwińskiego i Kurasia, ostentacyjnie omijając Niemca, po czym zaczął wywodzić:

- Niepotrzebnie pan przetłumaczył. Dobrze znam niemiecki, ale konwencja haska

zwalnia jeńca od odpowiadania w języku wroga. Oficer - jeńiec ma prawo do tłumacza.

- Ale pana nikt nie pytał, panie Linowski, sam pan poprosił o tego dyma - spokojnie zauważył Kuraś.

Linowski surowo spojrział na kaprala i zaciągnąwszy się głęboko podjął dalszy wywód o międzynarodowej umowie w sprawie traktowania oficerów w niewoli:

- Nie wiem, dokąd nas wiozą, panowie, w każdym razie po przybyciu na miejsce powinniśmy stanowczo żądać widzenia się z oficerem równym co najmniej naszym stopniom.

- U mnie już po kłopotcie. Ten na koźle jest w sam raz kapralem.

- Pan nie jest oficerem? - zdumiał się Linowski. - Nie czuję się aresztowany, czuję się jeńcem przyłapanym na próbie ucieczki. Panu - zwrócił się do Niwińskiego - radzę również trzymać się tej linii postępowania. Chroni nas konwencja haska, która gwarantuje oficerowi wziętemu do niewoli prawo do ucieczki.

Żandarm, który nic z tego wszystkiego nie rozumiał, a miał w dodatku do

Linowskiego anse za ostentacyjne ominięcie go przy częstowaniu papierosem, wrzasnął nieoczekiwanie:

- Maul halten! Kein Wort mehr!

Linowski zamilkł i Zamyślił się, być może, nad interpretacją odezwania się Niemca w świetle międzynarodowej ustawy. Kuraś zaś, odczekawszy chwilę, powiedział:

- Ponieważ ma pan prawo do tłumacza, tłumaczę panu, że rozchodzi się jemu o to, aby pan zamknął pysk.

Żandarm trącił Kurasia karcąco kolbą automatu w plecy i dalej jechali w milczeniu.

Tymczasem na plebanii ksiądz Pyclik wraz z gosposią i kościelnym uprzętały pokój po rewizji. Spośród wielu przedmiotów walających się na podłodze wyciągnęli prochowiec Niwińskiego. W kieszeni, do której przezornie sięgnął Kulpiński, znaleźli portfel. Wysypali

jego skromniutką zawartość na stół: dwa zdjęcia młodej dziewczyny, dwadzieścia złotych w czterech piątkach i wizytówkę.

Ksiądz głośno odczytał jej treść:

- Tadeusz Miszczyk, kapitan dyplomowany WP. Jest tu jeszcze adres, panie

Kulpiński. Okropnie małe literki. Niech pan przeczyta. Taki młody i już kapitan?

- Nie wie ksiądz? Pewnie z dwójki. A to żona?

Odebrano gosposi zdjęcie młodej dziewczyny, wszystko zapakowali do portfela i postanowili, że przy najbliższej nadarzającej się okazji wyekspediują to do Warszawy, do pani Miszczykowej.

Bryczka z aresztantami podążała do miasteczka. Podoficer spojrzał do przodu.

Stwierdziwszy, że las niebawem się skończy i przeminie dobra okazja, wstrzymał konie i oddał lejce żandarmowi. Zeskoczył z bryczki, przelazł przez rów i rozpinając po drodze rozporek skierował się za najbliższą sosnę.

Kuraś zawołał w jego kierunku:

- Panie feldfebel! Można skorzystać z okazji? Też bym kartofelki odcedził.

Niemiec, którego już tylko plecy widać było zza sosny, pomyślał chwilę i przyzwalająco skinął głową.

Kuraś zeskoczył i już stali obok siebie. Pasażerowie bryczki bezmyślnie patrzyli na nich i może nawet dziwili się, dlaczego to tak długo trwa. Z tej odległości nie słyhać było głosów. A tam, za sosną, toczył się następujący dialog:

- Powiem szczerze, panie feldfebel, jak jest. Łać mi się nie chce, ale mam coś ważnego do powiedzenia.

- Na?

- Jestem handlarzem bydła i przyjechałem tu kupić parę sztuk.

- Mensch! Mnie to nie obchodzi, tłumaczyć się będziesz komu innemu.

- Szkoda, bo w handlu, kto pierwszy, ten lepszy. Mówię handlowo, jak jest. Po co ma zarobić kto inny, jak mógłby pan. Mam dużo forsy przy sobie.

Chwilę siusiali w milczeniu.

- Jestem zwyczajny handlarz i każdy mnie zwolni. A pieniądz jest pieniądz.

- Skończyłeś? Wracamy - podoficer wydawał się być nieprzejednany.

- Tysiąc - powiedział od niechcienia Kuraś.

- Idziemy.

- Trzy tysiące... Cztery, jak dla pana - dorzucił pośpiesznie.

- W markach? - zainteresował się Niemiec.

- W złotych, ale każdy handlarz panu wymieni. Nowiutkie, wprost z banku.

- W złotych dasz dziesięć tysięcy - stwierdził podoficer rzeczowo.

- Ile?! Za dziesięć tysięcy przed wojną chevroletę szóstkę starosta sobie kupił... - Po chwili złagodniał i dodał: - W porządku, dostanie pan dziesięć.

Niemiec spojrział w stronę bryczki i skinął na Kurasia, by odeszli nieco głębiej w las.

Niwiński, Linowski i żandarm na kozłach z zainteresowaniem patrzyli, jak dwaj kaprale

- polski i niemiecki - z niewiadomych powodów oddalili się w krzaki i rozsiedli wygodnie z trawie, jakby postanowili w serdecznej zgodzie zjeść śniadanko w tajemnicy przed resztą towarzystwa.

Żandarm z kozła zawołał niespokojnie:

- Was ist denn los, Udo?

- Moment, Moment! - odkrzyknął podoficer, zafascynowany w tej chwili nogawką

spodni, spod której kapral wytoczył na podstawioną dłoń nie tasowaną jeszcze, śliską talię nowiuteńkich banknotów.

Dlatego właśnie musieli się na murawie, by Kuraś mógł zdjąć saperkę.

Kapral, popluwając w palce, odliczał systematycznie. Niemcowi ze zdenerwowania latała grdyka i liczył po swojemu. Nigdy w życiu tyle naraz banknotów nie widział. I chociaż brał majątek, kiedy zobaczył, ile Kurasiowi jeszcze zostało, stawał się, zgodnie z ludzką naturą, coraz bardziej zachłanny.

- Dziesięć - skończył liczenie Kuraś - i jesteśmy wolni.

- Ty jesteś wolny. Oni jadą dalej.

Tym razem Kuraś spytał rzeczowo:

- Ile?

- Taryfę już znasz.

Rozpoczął więc Kuraś liczenie od nowa, beznamiętnie, fachowo. A jeszcze przed miesiącem każdemu kasjerowi przy operacji na takim poziomie trzęsłyby się w zdenerwowaniu ręce.

Pasażerowie na bryczce czekali coraz niecierpliwiej, a żandarm na koźle tak był niespokojny, że kiedy Linowski sięgnął po papierośnicę, Niemiec zagroził mu automatem i polecił podnieść ręce do góry. W tej pozycji doczekał Linowski nadejścia Kurasia z podoficerem, który spokojnie zakomenderował:

- Aussteigen! Dalej pójdziecie piechotą.

Linowski, nie opuszczając ramion, podniósł się jednak z siedzenia i zawołał:

- Protestuję! Mam prawo, zgodnie z konwencją, żądać odstawienia mnie do...

Nie dokończył, bo Kuraś ściągnął go brutalnie z bryczki.

- Zamknij dziób, mendo! Pan feldfebel zgodził się darować nam tym razem - tu porozumiewawczo mrugnął do ogłupiałego Niwińskiego.

Podchorąży wciąż siedział głęboko wetknięty w siedzenie bryczki, nie bardzo

dowierzając słowom Kurasia. Ale poparł je wrzaskiem podoficer:

- Raus! Raus!

Był już znowu sobą. Wskoczył na kozioł, przejął lejce z rąk żandarma i zaciął batem.

Bryczka potoczyła się rażno kulawą dróżką.

- Dyla, panie podchorąży! - zakomenderował Kuraś.

Przeskoczyli przez rów i biegiem puścili się w las. Kiedy zatrzymali się w przyzwoitej odległości od dróżki, Niwiński spytał:

- Co to wszystko ma znaczyć?

Kuraś wykonał charakterystyczny gest potarcia palców.

- Tylko ryba czasem nie bierze, panie podchorąży. Szwab - zawsze.

Linowski sapał po biegu, opierając się o sosnę.

- A pieniądze? Skąd, u licha, mieliście pieniądze, Kuraś? - dopytywał Niwiński.

- A było tego trochę. Pan podchorąży pamięta to ognisko? No, to ja... wtedy...

Słowem, nie wszystko się sfajczyło... Mnie jeszcze ojciec nieboszczyk uczył, że w gospodarstwie wszystko się przyda. U nas nawet złamany trzonek od łopaty a i to był schowany.

Wyciągnął z kieszeni pozostały, okazały jeszcze, plik banknotów.

- Wy, Kuraś, nie umrzecie w łóżku. - Niwiński z uznaniem kręcił głową. - Przecież to nic niewarte pieniądze.

- A żandarm coś wart? Jaka władza, takie pieniądze.

Linowski wysapał się wreszcie i uznał za stosowne powiedzieć:

- Łapówka, panie podchorąży, jest formą podstępu, zgodnie zaś z literą prawa, dozwala się podejmującemu ucieczkę stosowanie podstępów.

Niwiński, który dopiero teraz w pełni uzmysłowił sobie sytuację, po raz pierwszy od

wielu tygodni zaniósł się serdecznym śmiechem i uściskał Kurasia.

Linowski odczekał, aż te keresy skończą się, i oświadczył:

- Gotów jestem zapomnieć wam niestosowne zachowanie wobec mnie, jako wyższego ranga, a za pomoc w ucieczce dziękuję. - Z dygnitarską dobroduszością wyciągnął prawicę w stronę Kurasia.

- Jak to, dziękuję? - Kuraś udał zdziwienie. - Jest mi pan normalnie winien dziesięć tysięcy złotych.

Linowski ponownie oparł się o sosnę.

- Odda mi pan po wojnie - uspokoił go Kuraś.

- Teraz byle do Krakowa - powiedział Niwiński. - Mam tam ciotkę.

Na drodze coś turkotało, pośpiesznie więc ruszyli w głąb lasu.

W Warszawie również dokonywano przymiarek do nowego życia. Już w pierwszych dniach października było wiadomo, że szkoły średnie nie podejmą nauki. Ojciec podchorążego Niwińskiego, pan Leopold, snuł się więc beczynnie po mieście i naradzał z kolegami z gimnazjum, co dalej robić.

Któregoś ranka postanowił odwiedzić dawną swą kamienicę, a raczej miejsce, które po niej zostało.

W dniach obrony stolicy dom runął pod bombami, i państwo Niwińscy wynajmowali teraz sublokatorski pokój w Śródmieściu, na Wilczej. Od czasu kapitulacji miasta była to pierwsza wizyta pana Leopolda na Kole. Dzielnica nie ucierpiała zbyt wiele, ale i tu leżały gruzy. W drodze na swą ulicę natknął się Niwiński na przewrócony tramwaj obłożony płytami chodnika i workami - pozostałość dawnej barykady. Gdzieś kłaniały się jezdniom powyginane w precle latarnie gazowe, a splątane przewody tramwajowe leżały na chodnikach utrudniając przejście.

Dawny dozorca zburzonego domu, pan Tosiu, usuwał właśnie resztki gruzu, wywożąc go żelaznymi taczkami na usypisko przy sąsiedniej posesji.

Dostrzegłszy Niwińskiego, ucieszył się szczerze i natychmiast rozpoczął pogawędkę.

Dla wygody przysiedli na wywróconej i pogiętej wannie.

- To jest wanna z mieszkania Sommerów - wyjaśnił rzeczowo. - Oni ją sprowadzili aż z miasta Łodzi. Firma „Herkules”, to zaraz widać - popukał w żeliwne dno. - Pan profesor takiej nie miał w mieszkaniu. Gdzie się teraz żyje?

- Najważniejsze, że w ogóle się żyje, panie Tosiu - filozoficznie odpowiedział

Niwiński i spojrzał w górę na rozłupaną dwupiętrową ścianę. - Na Wilczej.

- Pan Władeczek wrócił?

- Nie. Nie mamy żadnych wiadomości. To znaczy była jedna, ale niepewna.

Podobno przedarł się do Rumunii.

- W Rumunii podobnież kradną - smętnie zauważył dozorca. - Ale co robić...

Małżonka na poczcie, po staremu?

- Trzy dni temu kazali zgłosić się do pracy, ale poczta, wie pan... stoi, jak wszystko.

Dozorca spojrzał w głąb ulicy. U jej wylotu widać było zbliżającą się sylwetkę człowieka z mozołem pokonującego przejście przez splątane kable.

- Idzie Sommer. On tu przychodzi codziennie. Staje i patrzy. Taka chałupa, powiedz pan, panie profesorze, a dzisiaj czapki śliwek i popalić nikt za nią nie da.

- Jestem mu winien komorne za wrzesień - skonstatował Niwiński.

- Sommerowi? - upewnił się pan Tosiu.

- Brał zawsze z góry...

- Coś pan, chory? - dozorca sięgnął po wystający spod cegieł mosiężny stojak do lampy.

- Mam prośbę, panie Tosiu. Wyrzebuje pan tu czasami to i owo. Podstawowe rzeczy mieliśmy, na szczęście, popakowane w walizach i schowane w piwnicy.

To ocalało. Ale w żaden sposób nie mogę znaleźć notesu za ostatni rok szkolny.

- Notesu? - dozorca z osłupieniem spojrzął na Niwińskiego.

- No, właśnie. Wczoraj byli u mnie dwaj chłopcy z mojej klasy. Wiem z całą pewnością, że mieli poprawkę. Oni twierdzą, że nie. Chciałbym się upewnić, wie pan, żeby być w porządku i wobec nich, i wobec szkoły.

Dozorca podniósł się z wanny, chwilę postął w milczeniu i wreszcie zapytał:

- A tak poza tym dobrze się pan czuje? - Widząc zbliżającego się Sommera, zawołał przyjaźnie: - Szanowanie, panie gospodarzu!

Stary Sommer stał już przy nich i uśmiechał się niewyraźnie.

- Pan profesor z wizytką? - spytał.

Niwiński wyciągnął rękę na przywitanie.

- Pan się nie boi? Żydowi podawać rękę? - Sommer przyjrzał się dyndającemu

łańcuszkowi od rezerwuaru i ciągnął dalej: - Ja powiedziałem do mojej żony, ty nie chodź patrzeć się na ten dom. Ty się patrz na mnie.

Zobaczysz ausgerechnet to samo. Nic. Mnie też już nie ma, panie profesorze.

- Powiem coś panu... - przerwał mu profesor.

- Co mnie pan powie? Że jestem? A jutro też to pan powtórzy? Co ja mówię?

Jutro? Za godzinę, za pół godziny mnie już może nie być. Pan słyszał, że na

Bielańskiej gestapo robiło rewizję i znaleźli u jednego kuśnierza dwa tysiące złotych i jeszcze pięćdziesiąt. To jego zabrali, jego żonę zabrali, jego dwie córki zabrali. Pan wie, że nam wolno mieć w gotówce tylko dwa tysiące, a resztę mamy oddawać do banku? Ja już widzę ten bank...

- Skoro o tym mowa - przerwał Niwiński i sięgnął po portfel - jestem panu winien za wrzesień.

- Za wrzesień to mi jest winien Rydz - Śmigły co najwyżej, ale nie pan. - Sommer odpychał od siebie pieniądze, które usiłował mu wetknąć profesor. - Komu pan to daje? Trupu?

Niwiński ujął Sommera pod ramię.

- Niech pan posłucha. Słyszałem z bardzo pewnego źródła, że Warszawę w zamian za Borysław lada dzień mają zająć Rosjanie. Głowa do góry.

- Ja pana bardzo przepraszam, ale jak pan mnie chciał płacić komorne, to ja pana nie mogę traktować poważnie.

- Mnie tak. Ale wiadomość?

- Wiadomość? Wiadomość to nie jest ten towar, w który można dzisiaj lokować. Ja już słyszałem na początku takie wiadomości o Ameryce i o Anglii, że Hitler z samego strachu, jakby to słyszał, powinien przyjść do mnie i powiedzieć: panie Sommer, ja pana bardzo przepraszam. A pan widzi, co on zrobił z moją kamienicą. Przepraszam...

Urwał w pół zdania i oddalił się pośpiesznie, znikając w bramie sąsiedniego, ocalałego domu. Niwiński usłyszał za sobą warkot motocykla i pojął tę nagłą rejteradę.

W ich stronę nadjeżdżał motocykl prowadzony przez gestapowca. W koszu siedział podoficer. Jechali wolno, sprawdzając numery przy bramach kamienic. Tak dojechali aż do rumowiska. Podoficer gestapo stanął w koszu, sprawdził coś na karteczce i przywołał dozorcę, który znów porwał się do taczek.

Tym młodym podoficerem był Johann Heimann, który, jak wiadomo, dobrze mówił po polsku i teraz po polsku właśnie indagował dozorcę:

- Numer czternaście to tutaj?

- Kiedyś był - filozoficznie odparł pan Tosiu.

- Jesteś tu dozorcą?

- Znaczy... byłem kiedyś dozorcą.

Johann wygramolił się z kosza, zadarł w górę głowę i przyglądał się ruinie.

- A lokatorzy... gdzie są teraz?

Pan Tosiu zatoczył ramieniem szerokie koło.

- Po mieście. Rozeszli się.

- Niwińscy gdzie mieszkają? Nie wiesz czasem?

- Niwińscy? - powtórzył pytanie dozorca.

Pan Leopold podniósł się z wanny, ale dozorca uprzedził go i powiedział pośpiesznie:

- Młody, jak poszedł na wojnę, to tyle go widzielim, a stary... cholera go wie.

Johann podszedł do Niwińskiego.

- Ty także mieszkałeś tutaj?

Pan Tosiu przejął inicjatywę. Zanim Niwiński zdołał wykrztusić słowo, odpowiedział:

- To kolega, także samo stróż, spod szesnastki. Też bez roboty - wskazał na

wyburzoną sąsiednią posesję. - Uprzątamy, żeby był ordnung, nie?

Johann przeszedł kilka kroków, kopnął jakiś walający się i pognieciony nocnik.

- To Władysław Niwiński nie wrócił z wojny?

- Nie - odpowiedział Niwiński.

- A jego ojciec? Leopold ma na imię, tak?

- Zaraz... - zamyślił się pan Tosiu. - Tak jest, Leon albo Leopold. Coś w tym guście.

- Nauczyciel? - dopytywał się Heimann.

- A niech go krew zaleje! Stary pierdoła, mojego syna dwa lata w czwartej klasie

trzymał. Pamięta pan, panie Strózik - zwrócił się pan Tosiu do Niwińskiego - tego

Niwińskiego? Na drugim piętrze w oficynie u mnie mieszkał.

Niwiński niepewnie skinął głową. Johann wsadził jedną nogę do kosza.

Gestapowiec na siodełku powiedział po niemiecku:

- Tego młodego nie znajdziesz.

- Wystarczy mi stary - warknął Heimann. - Im też mój ojciec wystarczył...

Gestapowiec kopnął w starter, motor zawarczał. Johann, siedząc już w koszu, krzyknął do kierowcy motocykla:

- Jedź do biura adresowego!

Gestapowiec zawrócił z miejsca i motor, przechylając się na nierównościach, pomknął w stronę wylotu uliczki.

- Dziękuję panu, bardzo dziękuję. - Pan Leopold trząsł się jeszcze z wrażenia. - Nie ma pan może papierosa? Nie palę, ale... Jest pan nadzwyczajnym człowiekiem, panie Tosiu.

Nie wiem dlaczego, ale szukają mnie. Na szczęście, nie przemeldowaliśmy się, więc jest jeszcze trochę czasu...

Zakaszłał, zgniótł papierosa w palcach i ruszył w przeciwną stronę, niż pojechali Niemcy.

Pan Tosiu dźwignął swoją taczkę i krzyknął za oddalającym się już panem Leopoldem:

- A za tego pierdołę bardzo przepraszam.

Niwiński odwrócił się i spróbował uśmiechnąć.

- A w razie bym znalazł ten notes, to...

Niwiński machnął ręką i przyśpieszył kroku.

Nie mógł, rzecz jasna, pocziwy pan profesor wiedzieć, dlaczego gestapo szuka

właśnie jego i jego syna. Nic nie zrobiłem - myślał, biegnąc do żony - dlaczego więc mnie

szukają?

Pani Zofia Niwińska miała własne zmartwienie. Tego dnia wezwał ją naczelnik poczty, na której pracowała od lat, starannie zamknął za nią drzwi i przystąpił do poufnej rozmowy.

- Pani Zofio. To, co za chwilę powiem, nie jest poleceniem, lecz prośbą.

Chciałbym, żeby to zostało ściśle między nami. Wyłącznie między nami.

Pani Niwińska spojrzała pytająco.

- Wpływają już pierwsze listy. Zaczynamy pracować. Otóż chciałbym, aby niektóre z tych listów zatrzymała pani u siebie. Żeby nie kierowała ich pani do ekspedycji. Żeby najpierw... no... krótko mówiąc, żeby wpierw zajrzała pani do środka.

Pani Zofia szeroko otworzyła oczy.

- Mam otwierać listy?!

- Tak. Tak.

Niwińska chrząknęła. Nie zaprotestowała wprawdzie, ale polecenie zupełnie nie mieściło się w jej urzędniczych pojęciach.

- Widzi pani - ciągnął naczelnik - proszono mnie o to... Nieistotne kto, ale to bardzo ważne. Komu innemu nie proponowałbym tego, ale znamy się tyle lat, znam dobrze pana profesora i wiem, że...

- Wszystko jest teraz do góry nogami, ale to, czego pan żąda...

- Nie żądam, proponuję.

- Tajemnica korespondencji...

- Sądzi pani, że Niemcy jej nie naruszają? - Naczelnik podszedł bliżej i nachylił się nad panią Zofią. - Sądziłem, że zrozumiała pani, o co mi chodzi. Dobrze, więc powiem wprost. Chodzi o listy skierowane do gestapo, policji, władz niemieckich...

Pani Niwińska przeraziła się:

- Ależ, jeżeli oni to wykryją, to...

Naczelnik podszedł do biurka, sięgnął do szuflady, wyjął z niej kilka listów i

potrząsnął nimi. Z rozciętej już koperty wyjął zapisaną kartkę ze szkolnego zeszytu. Nałożył okulary i odczytał:

- „Do komendy policji. Zawiadamiam, że Kazimierz Strupiński zamieszkały Potocka 2

- A mieszkania osiem jest wrogo nastawiony do obecnej rzeczywistości, co jest nic dziwnego,

bo jego żona, Halina, usługiwała przed wojną u pułkownika polskiego wojska, przez co

ukrywa do dnia dzisiejszego pistolet i amunicję tego pułkownika wojska polskiego, który jak

poszedł na wojnę, to więcej nie wrócił. Strupińska Halina, zamieszkała Potocka 2 - A

mieszkania osiem, przechowuje ten pistolet i amunicję na pawlaczu, zaraz jak się wejdzie z

korytarza, a w razie jakby mówiła, że nieprawda, to jeszcze może być w łodzi.”

- Ohyda!

- Przeczytać pani inne?

- Nie. To straszne...

- Są to, niestety, z pewnością sąsiedzkie porachunki. I tacy ludzie istnieją. Ale, pani

Zofio, zdarzyć się mogą i donosy prawdziwe. Tysiące ludzi ukrywa się, setki podjęły walkę z wrogiem.

- Ale, panie naczelniku, nasz urząd to kropla w morzu. Czy sądzi pan, że donosiciel nie napisze powtórnie?

- Z pewnością, ale do tego czasu możemy ostrzec zagrożonych.

- Czy to też... chciałby pan, żebym ja?...

Naczelnik rozłożył ręce.

- To już zależy od pani.

- Co do listów, dobrze - westchnęła pani Zofia. - Chociaż, jeżeli to się wykryje... Ale konspiracja... Tak bardzo chciałabym jakoś przeżyć ten koszmar. Jako zwyczajnej urzędniczce nic mi nie grozi, i nagle...

- Nie nalegam. Sporządzi pani tylko codziennie wykaz osób, które trzeba ostrzec.

Dziękuję i za to.

Pani Zofia podniosła się z krzesła i ciężkim krokiem skierowała do drzwi.

W korytarzu czekał już na nią roztrzęsiony pan Leopold.

- Zosiu... Po raz pierwszy dziękowałem Bogu, że zbombardowano nasz dom.

Byli dziś po mnie.

- Kto?

- Niemcy. Pytali o mnie i o Władka. Co robić?

Pani Zofia potarła dłonią czoło.

- Poczekaj. Do domu na razie nie wracaj.

- Nowego adresu nie znają, na szczęście, sprawy meldunkowe... - Każdy im może podać ten adres - powiedziała bardziej do siebie niż do męża.

- Kto? - nie zrozumiał pan Leopold.

- Nic nie wiesz, Poldziu, nic nie rozumiesz... Poczekaj...

Zostawiła go zdumionego przy pulpicie, a sama zapukała do drzwi naczelnika. Był sam.

- W porządku, panie Stefanie, mogę chodzić do tych ludzi.

- Co się pani stało?

- Nic. Po prostu. Namysliłam się.

Pani Zofia nawet własnego męża nie wtajemniczyła w pracę, której się podjęła. To

były dopiero początki; mozolna, cicha mobilizacja, formowanie pierwszych szeregów, z

których niebawem powstać już miała ogromna podziemna armia, nieustannie, dzień w dzień walcząca z Niemcami. Ta armia bez mundurów i bez dystynkcji, ze sztabowcami udającymi aptekarzy albo buchalterów, z szeregowcami rekrutującymi się spośród gimnazjalistów, harcerzy, podlotków, ta armia rozpoczynała właśnie wytyczanie linii frontu, którego Niemcy nigdy nie mieli sforsować. Miał to być front bezustannie trapiący nieprzyjaciela, angażujący jego siły; front bez okopów, zasieków i min. Związek Walki Zbrojnej, przekształcony potem w Armię Krajową, mobilizował swe przyszłe szeregi. Jedną z powołanych do służby była pani Zofia Niwińska. Mężowi nie wspomniała o tym nawet słowem. Jej zdaniem, nerwy pana Leopolda nie predestynowały go do roli konspiratora. Niestety, ułomność ta była prawdopodobnie rodzinna.

W kilka dni później, w Krakowie, rodzona siostra pana Niwińskiego, ujrawszy w progu bratanka, omal nie zemdląła ze strachu. Była już uprzedzona listem bratowej, że gestapo poszukiwało Władka. Ciotka Aldona zdołała mu tylko szepnąć, aby nie ważył się wracać do Warszawy ani pokazywać u nikogo z rodziny, bo gestapo to podobno straszna policja i gotowa go szukać nawet u niej.

Niwiński już zatęsknił za swoim kapralem, chociaż rozstał się z nim zaledwie kilka godzin temu, kiedy szczęśliwie dobrnęli do Krakowa. Kuraś śpieszył się na swoje Pomorze. Na wszelki wypadek zostawił Niwińskiemu adres i odjechał.

Odjechał, niestety, wprost do stalagu; przyłapano go bowiem na granicy województwa poznańskiego, która to granica - o czym ani Niwiński, ani Kuraś wiedzieć nie mogli - urosła w czasie ich wędrówki do rzędu granicy państwowej.

O tej nowej granicy dowiedział się Niwiński jeszcze tego samego dnia, kiedy opuściwszy dom ciotki błąkał się bez celu po krakowskim rynku.

Właśnie pod narożną kamienicą przy Szewskiej kipiała gromada ludzi zaczytana w

świeżo rozlepionym plakacie kolosalnych rozmiarów. Niwiński podszedł; ale od muru odgradzał go taki tłum, że z daleka dojrzeć mógł tylko rozpostartego niemieckiego orła wspartego na swastyce i tytuł:

Proklamation des Generalgouverneuer. Oraz po polsku: Proklamacja Gubernatora Generalnego.

Jakiś mężczyzna, zapoznawszy się widać dostatecznie z treścią obwieszczenia, z najwyższym trudem przebił się przez tłum. Niwiński zatrzymał go.

- O co chodzi? - zapytał.

- Proklamowali Generalne Gubernatorstwo.

- To znaczy, że co?

- Pan się mnie pyta? Cywilna administracja, koniec wojny, stolica w Krakowie.

- A Warszawa?

- Prowincja. No, Bogiem a prawdą, historycznie rzecz biorąc...

- Co pan plecie? A Poznań? Bydgoszcz? Katowice?

- To wszystko już Reich.

- Kto to podpisał?

- Jakiś Franek czy Franaszek, wie pan, nie zwróciłem uwagi... Nie, Franaszek to od klisz fotograficznych. Ale jakoś tak podobnie.

Mężczyzna odszedł informować następnych, że zostali obywatelami Generalnego Gubernatorstwa i że rozpoczynała się okupacja prawdziwa.

Niwiński skierował się w stronę ulicy Sławkowskiej rozmyślając, co z sobą począć.

Mijając długą kolejkę ustawioną przed sklepem, niemal zderzył się z granatowym policjantem, który z rękami założonymi do tyłu przyglądał się stojącym w ogonku ludziom.

Kiedy wyminęli się, Władek usłyszał za plecami skierowane najwidoczniej do niego wołanie:

- Kawalerze! Na moment!

Niwiński nie oglądając się przyśpieszył kroku, ale powtórne wołanie zatrzymało go.

- Sekundę, kawalerze! Dokąd tak śpieszno?

Odwrócił się niechętnie, ale za sobą zobaczył tylko plecy oddalającego się policjanta.

Zatrzymywał go starszy pan w okularach, wciśnięty pomiędzy oczekujących w kolejce. Nie poznał go, więc niepewnie przystanął. Tamten natomiast, opuściwszy kolejkę, podbiegł do Niwińskiego i wylewnie ścisnął go za przeguby obu dłoni.

- Nie poznaje pan? Zygadlewicz jestem. - Widząc niezbyt mądrą minę Niwińskiego, wyjaśnił: - Pański dłużnik. Wieś Poryte. No? W dalszym ciągu nic to panu nie mówi?

- Poryte?

- Będę ją pamiętać do końca życia, który to koniec tam miał właśnie nastąpić, gdyby mnie pan nie odwiązał ze stryczka.

Teraz dopiero Władek rozpromienił się i zawołał:

- Pan profesor!

Zygadlewicz uzupełnił pogodnie:

- Zwyczajny. I były nadzwyczajny szpieg niemiecki.

- A co pan profesor tu robi?

- W tym mieście czy w tej kolejce? W tym mieście przed wielu laty jego

magnificencja pan rektor postawił mnie za katedrą archeologii. W kolejce zaś postawiła mnie moja żona, która sama przed sklepem bławatnym oczekuje na kaszę gryczaną, ja zaś tu na słoninę. Nie wiedziałem, że pan również z Krakowa.

- Tylko przypadkiem.

- Dokąd pan śpieszy? - dopytywał profesor.

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

- Hm... - zamyślił się profesor. - Nil admirandum. Nie należy dziwić się niczemu.

Zatem i człowiekowi, który śpieszy, choć nie wie, dokąd. Mamy jakieś kłopoty?

- Kto ich dziś nie ma, profesorze?

- To nie jest retoryczne pytanie, ponieważ pan ich mieć nie będzie.

Splacę mój dług uczciwie.

Profesor dotrzymał słowa. Zamieszkał więc Niwiński we wspaniałym, obszernym, tchnącym spokojem i galicyjską secesją mieszkaniu. Pani profesorowa i gospościa Andzia chodziły przy nim niemal na palcach, starając się we wszystkim dogodzić, wciąż podkreślając, że nie ma takiego życzenia i zachcianki, której by nie spełniły dla bohaterskiego wybawiciela profesora i panienki. W tych pierwszych miesiącach dach nad głową i odpowiednie papiery, umożliwiające swobodne poruszanie się po mieście, były dla młodego człowieka sprawą najwyższej uwagi. Jedynym dokumentem, jaki Niwiński posiadał, była legitymacja wojskowa, która przy pierwszym lepszym ulicznym sprawdzaniu zaprowadziłaby go prościutko do jenieckiego obozu. Posiadanie więc jakiegokolwiek cywilnego dokumentu było drugą po mieszkaniu kwestią, którą profesor podjął się załatwić. Nie tyle zresztą on, co Justyna.

Wymagało to jednak dotarcia do ludzi związanych z konspiracją, która ledwie raczkowała i, szczerze mówiąc, była pojęciem dość odległym dla profesora.

Należało więc cierpliwie czekać.

Zygadlewicz posiadał własną receptę na przetrwanie, jak również własną interpretację wrześnieowej klęski. Godzinami, chodząc po swym gabinecie, pocieszał Niwińskiego:

- Niech pan nie mówi głupstw o końcu tego kraju. Mamy do czynienia wyłącznie z klęską militarną. Lecz nie hańbiącą. Historia wie coś o tym...

Bonaparte, kiedy w kampanii włoskiej spadł z Alp na tyły Wurmsera, czy Gustaw

Adolf, ekspressem zajmujący całe Niemcy, zaskakiwali swych współczesnych znacznie bardziej niż dzisiaj Hitler. Nie mówię już o Hannibalu czy Aleksandrze Wielkim. Niech więc się pan nie przejmuj.

Pozostaje natomiast pytanie: co dalej?

- Powiedziałem już panu profesorowi swoje zdanie. Walczyć. W kraju panuje terror i naszym obowiązkiem...

Profesor przerwał.

- Że niby gwałt; niech się gwałtem odciska? Widzi pan, mamy tu pomnik

Mickiewicza, ale gdyby on, zamiast stać, mieszkał po prostu w Krakowie, może by tego nie napisał. Mamy za sobą, panie Władysławie, przykłady, kiedy bez gwałtu przetrwaliśmy, nic nie tracąc z polskości. Pan mówi terror, terror. To prawo wojny. Oczywiście, rozstrzeliwano zakładników, słyszałem nie dalej jak tydzień temu. Lecz niech pan zważy, że od niedawna okupant wprowadził władzę cywilną. Cywilną. Wojsko, zamiast prawa, ma karabiny, więc strzela. Władza cywilna ma administrację, administracja to urzędnicy, a z urzędnikami, niech pan wierzy staremu krakusowi, zawsze się można dogadać.

- Nawet z niemieckimi?

- Chodzi o to, by przetrwać. Rzecz jasna, godnie. Obawiam się jednak, że godność w pojęciu Polaka oznaczać zaraz musi podniesioną głowę. Panie Władku, niech ta głowa będzie nawet opuszczona, byleby ta głowa myślała.

Czy sądzi pan, że gdyby Wyspiański chodził po Bronowicach i prał Austriaków po pysku, mielibyśmy dzisiaj „Wesele”? A jednak pozwalali wystawiać, pozwalali drukować, pisać.

Niwiński pokręcił głową.

- Austriacy. Niemcy natomiast, wie pan, co drukują? Nie czytał pan „Gońca

Krakowskiego”?

- Nie. Na ogół czytuję moje papirusy. Może nie są to wiadomości najświeższe, ale wciąż pouczające. Umysł zawsze zwyciężał pięść. Zawsze.

Jeśliś mądry, powiadał Seneka, bądź pszczołą. A Seneka, może panu wiadomo, w młodości był szewcem, miał więc sporo czasu do myślenia. Bądźmy pszczołami, pracujmy, to znaczy uczmy się. Tę uwagę kieruję i do pana.

Profesor był zdania, że lada dzień uczelnia otworzy swe podwoje. Widział już Niwińskiego jako swego studenta, co przy okazji, dzięki indeksowi, rozwiązywałoby i kwestię dokumentów.

W pierwszych dniach listopada profesor, po powrocie z miasta i codziennej nie słodzonej kawie u Noworolskiego, wbiegł do domu z radosną nowiną.

- A nie mówiłem? - zawołał od progu. - Rektor zawiadomił mnie, że jutro o dwunastej pułkownik Miller ma mieć w auli na Gołębiej odczyt o poglądach rządu Rzeszy na szkolnictwo wyższe.

- Ale to jeszcze nie oznacza otwarcia uniwersytetu.

- Nie ośmieliliby się nie otworzyć. Wiedzą, z kim mają do czynienia. To Jagiellonka!

Cały cywilizowany świat ująłby się za nami. Wolą nie ryzykować. Mróweczko, czy mój czarny garnitur jest aby odprasowany? - zwrócił się do żony.

- Zaraz to Andzia zrobi. Pójdziesz w lakierkach?

- Oczywiście. Tak właśnie - w czarnym wizytowym ubraniu, w lśniących lakierkach,

ufny w swe poglądy - przeniesiony został nazajutrz wprost z murów Almae Matris

Jagiellonicae w mury Montelupich, a później za druty Sachsenhausen, skąd już nigdy nie wrócił.

Niwiński dzielił rozpacz całego domu, z całym też domem wierzył, że aresztowanie

było nieporozumieniem, jakimś nie przemyślanym posunięciem lokalnych władz i że lada dzień profesor powróci.

W tym czasie Justynie udało się nawiązać kontakt z kimś, kto obiecał wreszcie załatwić Niwińskiemu potrzebne dokumenty.

Należało tylko dostarczyć fotografię i w tym celu udał się Niwiński do pobliskiego zakładu firmy Foto - Białas. Miła i młodziutka córeczka właściciela, Basia, zrobiła zdjęcie. Po odbiór zgłosić się miał za trzy dni.

Zdjęcie młodej fotografce udało się do tego stopnia, że przyjrząwszy się pierwszej odbitce postanowiła wykonać portret dla reklamowych potrzeb firmy. Od dawna już z wystawy trzeba było zdjąć portrety paru krakowskich dostojników, którzy kiedyś pozwali do nich, ogołoczone więc po portretach miejsce należało co rychlej uzupełnić. Władysław Niwiński, i to w dwóch ujęciach - z profilu i en face - uświetnił więc wystawę firmy, trzeba przyznać, że w doborowym towarzystwie, bo obok Eugeniusza Bodo i Leona Wyrwicza.

Jakież było zdumienie mistrza Białasa, kiedy któregoś dnia pod wieczór wpadł do jego zakładu młody gestapowiec. Już od wejścia wrzeszczał:

- Kim jest ten mężczyzna na wystawie? Kiedy robił ten portret?

Odpowiadać! Odpowiadać natychmiast!

Wystraszony fotograf wetknął głowę za połówkę wystawowej szyby.

- To jest, proszę pana, Eugeniusz Bodo. Kiedy bawił w Krakowie, właśnie w naszej firmie...

- Milcz, durniu: Nie o niego pytam. Ten portret w dwóch ujęciach? Czyj to?

- Ach, ten - odetchnął z ulgą fotograf. - Klient zamówił zdjęcie do dowodu, ale z uwagi na dużą, i że się tak wyrażę, fotogeniczność, zrobiliśmy powiększenie.

- To bardzo dobrze, że ci to przyszło do głowy. Bardzo dobrze. Jego adres?

- Nie wiem.

- Kiedy robił to zdjęcie?

- Kilka dni temu. Mogę sprawdzić. - Sięgnął do książki.

- Sprawdź. I przy okazji nazwisko.

- Nie podał.

- Jak to, nie podał? Więc go znasz? Adres! Szybko!

- Nie, uczciwie mówię...

- Wobec tego źle prowadzisz książki.

- Doskonale prowadzę książki. Proszę - podsunął zapisany skoroszyt. - Zdjęcie

robione było przedwczoraj. Dziś odbiór. Są już gotowe - sięgnął na półeczkę, gdzie w małych kopertach tkwiły fotografie.

- Dziś odbiór - ucieszył się Niemiec, biorąc do ręki kopertę ze zdjęciami Niwińskiego.

Potem zwrócił je fotografowi, rozsunął kotarę odgradzającą atelier od reszty zakładu, siadł w głębi na taborecie. Zapalił.

- Poczekamy. Jeszcze żadne zdjęcie nie udało ci się tak dobrze, jak właśnie to - powiedział. - Poczekamy...

Johann Heimann spojrział na zegarek. Do godziny policyjnej brakowało zaledwie trzech kwadransów. Trzech kwadransów, a czekał przecież na to spotkanie już trzy miesiące.

I pomyśleć, jaki przypadek. Ściągnięto ich tu wszystkich do Krakowa, wszystkich znających język polski. Mieli być tłumaczami przy przesłuchaniu aresztowanych profesorów. Jeszcze kilka dni temu z przykrością przyjął to polecenie; oczekiwał misji bardziej ambitnych niż rola tłumacza.

Teraz to polecenie błogosławił. I czekał...

NAJSPOKOJNIEJSZE MIEJSCE NA ŚWIECIE

Johann Heimann wciąż siedział na krzeselku w atelier fotograficznym, ukryty za

kotarą oddzielającą studio od ciemni. Stary fotograf zajęty był wpisywaniem pozycji do księgi rachunkowej.

Johann coraz częściej spoglądał na zegarek.

- Będzie miał pan dużo kłopotów, panie Białas - odezwał się wreszcie. - Bardzo dużo kłopotów... Zataja pan wiadomości o człowieku, który jest przestępcą.

- Ależ dla mnie on jest takim samym klientem, jak stu innych. Nawet nie ja go obsługiwałem.

- A kto?

- Córka.

- To jest jej znajomy?

- Pierwszy raz go widzę.

- Rodzice często dowiadują się ostatni. Imię córki?

- Barbara, ale...

- Gdzie ona jest?

- Sądzę, że w domu, ale...

- W domu, to znaczy gdzie? - ostro przerwał Heimann.

- Stradomska dwadzieścia. Ale proszę pana... cóż, ona może wiedzieć?

- To się zobaczy. Który to numer?

- Dwadzieścia, mówiłem...

- Numer kwitu, pytam!

Białas; coraz bardziej zdenerwowany pytaniami gestapowca, sięgnął do szufladki z kopertami, w których trzymał fotografie, i sprawdził numer.

- Sto jeden - powiedział drżącym głosem.

- Na pewno dziś odbiór?

- Tak. Nawet napisane: „pilne”.

- To dobrze. Wszystkim nam się spieszy. O której pan zamyka, panie Białas?

- O siódmej.

- Więc ma pan jeszcze pół godziny - powiedział Heimann. - Na pańskim miejscu

modliłbym się, żeby ten klient przyszedł jeszcze dzisiaj. W przeciwnym razie nie czeka pana nocleg w domu. - Po chwili dorzucił: - Ani córki...

Tego dnia w domu państwa Zygadlewiczów pojawiła się iskierka nadziei na

uwolnienie profesora, do Krakowa przybył bowiem profesor Gleibnitz, kolega Zygadlewicza

z wielu wspólnych wypraw śródziemnomorskich i międzynarodowych sympozjów. Ten

wybitny archeolog niemiecki, człowiek wysokiej kultury i niesłychanej towarzyskiej ogłady,

zaanonsował swą wizytę w mieszkaniu Zygadlewiczów. Żona profesora знаła go osobiście.

Uprosiła Niwińskiego, by był obecny przy tym spotkaniu. Po odbiór zdjęć wysłano więc

Andzię.

Profesor Gleibnitz zjawił się z bukietem róż. Był w mundurze majora Wehrmachtu,

ale od razu zastrzegł się na wstępie:

- Jestem szczerze ujęty, że mimo tego munduru nie traktujecie mnie państwo jak

wroga. Jeszcze dwa miesiące temu ten młody człowiek strzelałby do mnie, dziś wspólnie

popijamy herbatę. Mijają emocje, pora na rozum.

Niwiński siedział w milczeniu, bębniąc tylko niespokojnie palcami po blacie stołu.

- To, oczywiście, przykre - kontynuował Gleibnitz - że spotykamy się w takich

okolicznościach. Osobiście jestem wrogiem przemocy, ale my wiemy najlepiej, że

historyczne racje nie liczą się z poglądami takich szarych ludzi, jak my.

- Racje historyczne? Czyje? - nie wytrzymał Niwiński.

Justyna, obecna przy tej rozmowie, kopnęła go pod stołem. Nie uszło to uwagi

Niemca.

- Niech pani nie kopie młodego człowieka. Ten mundur nie jest uniformem policyjnym - powiedział z uśmiechem.

- Panie profesorze - wtrąciła Zygadlewiczowa - mówi pan inaczej niż inni... a po tym, co się tu widzi i słyszy...

- Wiem, wiem, niestety - przytaknął Gleibnitz.

- Kiedy pana się słucha, można nabrać jakiejś nadziei. Tak bym chciała, żeby była to także moja osobista nadzieja.

- Zrobię, co w mojej mocy. Po telefonie do państwa, kiedy dowiedziałem się o tym fatalnym... internowaniu profesora, podjąłem już pewne kroki...

- Wierzyłam. Wierzyłam - wyrwało się gospodyni.

- Otóż profesora i jego kolegów odosobniono jako zakładników - wyjaśnił Gleibnitz. - Mówiono mi, że nastąpiło to przed jakimś świętem państwowym.

- Tak. Jedenastego listopada - uzupełnił Niwiński.

- Cóż to za data?

- Tego dnia niejaki Józef Piłsudski po zwolnieniu z więzienia niemieckiego w Magdeburgu, pod eskortą hrabiego Kesslera, przybył do Warszawy, by zostać naczelnikiem nowego państwa.

- Ciekawe, doprawdy - Gleibnitz nie wyczuł ironii w głosie podchorążego.

- Więc jednak i pan jest historykiem.

- Nie... Polakiem.

- Aa! Rozumiem... A więc sami widzicie państwo - zakładnicy. To brutalny zwyczaj, przyznaję, ale w wojnach nie wynaleziono dotąd innych gwarancji.

- Myśli więc pan, że po pewnym czasie...? - odezwała się Zygadlewiczowa z nadzieją w głosie.

- Oczywiście. Tak. Nad czym profesor ostatnio pracował? - gość zwrócił się do Justyny.

- Tatuś nie zdążył opublikować, ale to rewelacja - Oczywiście ciągle dynastia Abbasydów?

- Nie. Tym razem Fatymidowie.

- No, proszę, wkroczył na moje podwórko, a tu się mówi o naszej okupacji - roześmiał się. - Cóż to takiego?

- W kwietniu przywieźliśmy z tatusiem szczątki pylonu flankującego wejście do...

- To niemożliwe! Tego nie ma! - wykrzyknął Gleibnitz.

- To jest, panie profesorze. W tamtym pokoju...

Gleibnitz aż uniósł się z krzesła.

- Oczywiście, Justyna później pokaże panu, tylko tam taki straszny bałagan - sumitowała się Zygadlewiczowa. - Andziu! A, prawda, Andzia wyszła do fotografa.

Zapadło milczenie, które po chwili przerwał Gleibnitz:

- Przychodzi mi na myśl jeszcze jedno rozwiązanie. I ono byłoby najprostsze... Tak...

- O czym pan myśli, profesorze? - zainteresowała się Zygadlewiczowa.

- Tak. Teraz sobie przypomniałem. Kiedyś, to chyba było na zjeździe w San Sebastian... czy i pani tam wtedy była?

- Zawsze wyjeżdżałam z mężem.

- Profesor wspomniał mi wtedy, że jego pradziad nazywał się Siegdltitz.

Nie mylę się chyba, prawda?

- Rzeczywiście. Ale nie pradziad. Pierwszy Siegdltitz osiedlił się tutaj, na Kleparzu,

jeszcze w szesnastym wieku, nabywając prawa kupieckie.

- Ale jednak Siegdltitz?

- Tak, ale tylko on. Już jego syn był Zygadlewiczem. Ależ pan profesor ma pamięć! -

z podziwem powiedziała Zygadlewiczowa.

- Nie chodzi o pamięć. Chodzi o szansę.

- Nie bardzo rozumiem...

- Profesor mógłby zadeklarować narodowość niemiecką. Oczywiście!

Speszona tą propozycją Zygadlewiczowa bąknęła nieśmiało:

- Ale... po co? Jeżeli mówi pan, że to kwestia kilku dni jeszcze?

- Nie sądzę, żeby tatuś mógł się zdecydować - dodała Justyna stanowczo.

- Ale dlaczego? - Gleibnitza najwyraźniej zaskoczyło takie stanowisko. - Przecież nie proponuję mu, żeby został Żydem!

Niwiński chrząknął, uniósł się z krzesła, ale Justyna przytrzymała go za rękę.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - Gleibnitz zwrócił się do Niwińskiego. - Nie jestem

rasistą i Rosenberga osobiście uważam za durnia. Ale pojęcia Niemiec, Francuz, Polak,

Norweg są w perspektywie historycznej anachronizmem. Im w dalszej siedzę przeszłości, tym

bardziej szanuję dystans czasu. A przecież w przyszłości będzie się liczyć tylko Europa. Nie

należę do partii, bo i ona nie rozumie, kim jest naprawdę Adolf Hitler.

Tłum myśli pojęciami dnia dzisiejszego i dlatego takimi sloganami trzeba go karmić.

Ale Hitler myśli kategoriami ponadczasowymi. Jest człowiekiem, który wyprzedził już tę

epokę. Świat może go uważać za zbrodniarza, bo według dzisiejszych pojęć te bicie Żydów,

obozy, wojny traktuje się jak zbrodnie. Kto to jednak odnotuje? Czy może pan dziś rzucić

kamieniem choć w jednego nadzorcę niewolników, skoro piramidy przetrwały do dziś i

wyrosła na nich cała cywilizacja?

Słuchali tego wywodu w milczeniu, Gleibnitz zaś, rozgrzany widać własnym krasomównem, zabierał się do rozwinięcia tematu.

Tymczasem do zakładu fotograficznego weszła Andzia. Na widok podoficera gestapo, który uniósł się na dźwięk dzwonka przy drzwiach, zrobiła ruch, jakby chciała się cofnąć. Opanowała się jednak i podeszła do lady, kładąc na niej rewers.

Fotograf wziął kwit do ręki. Spostrzegłszy numer, zbladł z przerażeniem spojrzął na Andzię, a potem ukradkiem na Johanna. Nagle zdecydował się.

- Dwieście osiemnaście... Numer dwieście osiemnaście... - Przesadnie głośno powtarzając ten numer, zaczął grzebać w szufladzie. - Chyba powinien już być gotowy. - Drżącymi palcami przebierał koperty. - A może mam to jeszcze w ciemni... Z kwitem w rękę, przepaszając, minął Johanna i wszedł do pomieszczenia za kotarą.

Na suszarce leżało mnóstwo odbitek. Białas porwał pierwsze z brzegu zdjęcie, pochylił się nad nim i szybko napisał coś na jego odwrocie. Potem wziął kilka innych zdjęć, włożył je do koperty i wychodząc z ciemni obwieścił triumfalnie:

- Wiedziałem, że musiały być gotowe. Proszę. - Wcisnął Andzi kopertę do rąk i sięgnął do książki. - Odnotuję, że dwieście osiemnaście już zrobione.

Podkreślił coś w swojej książce, a następnie kwit Andzi podarł na drobne kawałki, które wrzucił do stojącej na stole popielniczki.

Johann w milczeniu obserwował tę scenę.

Dopiero po wyjściu z zakładu Andzia spostrzegła portret Niwińskiego na wystawie.

Stanęła na moment zdziwiona, obejrzała się i, wzruszywszy ramionami, poszła dalej.

W mieszkaniu państwa Zygadlewiczów Gleibnitz perorował dalej:

- Jesteśmy świadkami porodu nowej epoki. Akuszer ma, niestety, zawsze trudną i niewdzięczną robotę. Niemcy podjęły się tego zajęcia. Przypadek zdarzył, że akurat jestem

Niemcem. Ale nawet gdybym nim nie był, popierałbym tę misję. - Profesor uniósł się z

krzesła. - Wszystko, co najpiękniejsze, najbujniej wyrasta, niestety, na gnoju i ta

prawidłowość botaniczna dotyczy również historii... A teraz umieram z ciekawości. Pokaże mi pani wreszcie to odkrycie?

Justyna gestem ramienia wskazała gabinet i wraz z gościem zniknęła za drzwiami.

Pani Zygadlewiczowa pośpiesznie udała się do przedpokoju, po którym jak po klatce krążył Niwiński.

- Narwańcze jeden. Niech sobie gada - upominała go profesorowa.

- Nie, nie - zaproponował Niwiński. - On jest groźniejszy od żandarma.

Muszę wyznać, że dopiero on odebrał mi resztki nadziei. Pan profesor zapewniał, że wystarczy bierny opór, by przetrwać. Nie! Jeżeli najświetlejsze warstwy tego narodu są zarażone tak samo jak sklepikarze, nie ma dla nas ratunku.

- Nie wiem, nie wiem... - profesorowa rozłożyła ręce. - Niechby tylko pomógł jakoś mężowi, a potem niech się dzieje, co chce.

W tym momencie zgrzytnął klucz w zamku; wróciła Andzia.

- Alem struchlała - mówiła wręczając kopertę Niwińskiemu. - Wchodzę, a tam gestapo.

- Gdzie? - dopytywała się Zygadlewiczowa.

- No, u tego fotografa.

Niwiński niezbyt uważnie słuchał dialogu gosposi z profesorową, zajęty był bowiem wyjmowaniem zdjęć z koperty. Nagle krzyknął zdziwiony:

- Cóż on mi tu dał? Zwariował?

Profesorowa wzięła z jego rąk fotografie. Były to podobizny dwóch różnych mężczyzn, jakiejś staruszki w welonie, ponadto widoczek Barbakanu i Sukiennic.

- Rzeczywiście...

- Pójdę sam - zdecydował Niwiński i włożył zdjęcia do koperty.

Wkładając na siebie płaszcz zawadził rękawem o odłożoną na stolik kopertę i fotografie wysypały się na dywan. Niwiński schylił się, by je podnieść, i wtedy dopiero spostrzegł, że na odwrocie jednej z nich coś jest napisane.

- Szukają pana - czytał głośno. - Absolutnie nie przychodzić do mnie.

Błagam ostrzec moją córkę natychmiast, niech opuści mieszkanie...

Zygadlewiczowa pytająco spojrzała na Niwińskiego, ale po jego niezbyt mądrej minie zorientowała się, że i on nic nie rozumie. Po chwili otrząsnął się i sięgnął po książkę telefoniczną, by wyszukać w niej telefon Białasa.

Tuż przed godziną siódmą do zakładu fotograficznego przyszedł starszy pan z małym pinczerkiem. Staruszek był roztrzepany, gadatliwy, długo szukał swego numerka.

- Gdzieś go wetknąłem... - mamrotał sam do siebie. - Ale pamiętam dobrze, że dwieście osiemnaście...

Johann poderwał się i uważnie przyglądał starszemu panu. Temu wreszcie udało się znaleźć pokwitowanie, które położył przed Białasem.

- Moment! - odezwał się nagle Johann.

Jednym skokiem zbliżył się do lady i dłonią nakrył karteczkę leżącą przed fotografem. Pinczerek, zdenerwowany widocznie gwałtownymi ruchami gestapowca, zawarczał na Johanna, a nic nie rozumiejący staruszek z przestachem podniósł psinę do góry.

Johann uważnie sprawdzał pokwitowanie.

- Dwieście osiemnaście wydał pan niedawno - powiedział.

- Skądże. Dopiero ten pan... - usiłował zaprotestować fotograf.

Johann skierował spojrzenie na wielką popielniczkę, w której leżały podarte skrawki

pokwitowania. Białas również spojrział w to samo miejsce.

- Pozwoli pan, że wydam klientowi... - Białas odwrócił się w stronę szufladek z kopertami.

- Nie! - warknął Johann.

Pinczerek znów wyszczerzył na niego zęby.

- Co to był za numer? - dopytywał Heimann, wskazując na popielniczkę.

- Nie pamiętam.

Johann otworzył księgę i na końcu zapisanej stronicy wskazał liczbę 218.

- Nie pamiętasz?

Heimann już nie panował nad sobą. Wypchnął staruszkę za drzwi, a następnie wysypał zawartość popielniczki na ladę.

- Zabawimy się teraz w układankę. Miałeś kiedy takie klocki?

- Ależ...

- Językiem posklejasz, jak będzie trzeba.

Johann sam zaczął układać fragmenty pokwitowania. Białas zeszywniały z przerażenia wspierał się dłońmi o ladę. Układanie trwało denerwująco długo.

Wreszcie na poprzedzieranym prostokącie dawnego kwitu pojawiła się wyraźna drukowana liczba: 101.

Johann milcząco wskazującym palcem kazał sobie przysunąć szufladkę z kopertami.

Wyjął tę oznaczoną numerem 101. W jego dłoni pojawił się wachlarzyk portrecików Niwińskiego.

Po kwadransie dwóch sklepikarzy sąsiadujących z zakładem fotograficznym z nosami przyklejonymi do wystawy obserwowało, jak fotografa Białasa wyprowadzają z zakładu i sadowią w samochodzie pełnym gestapowców.

Niwiński bez większego trudu odszukał na Stradomskiej córkę fotografa. Z nieco większym trudem udało mu się przekonać dziewczynę o konieczności opuszczenia domu. Nie potrafił wyjaśnić przyczyn niebezpieczeństwa, nie wiedział, co grozi fotografowi ani dlaczego pytają o niego. Dopiero sąsiedzi, świadkowie aresztowania Białasa, przekonali dziewczynę, że dzieje się coś dziwnego.

Zebrawszy najpotrzebniejsze rzeczy, Basia zaprowadziła Niwińskiego do swego stryja, maszynisty kolejowego, jedyne w Krakowie krewne i jedyne, jej zdaniem, człowieka, który mógł znaleźć radę w tej dziwnej sprawie. Pana Białasa nie zastali w domu. Odnaleźli go dopiero na boczniczy kolejowej, gotowego już do drogi.

- Cóż ja w tej chwili wymyślę? - zatroskał się maszynista. - Nic.

Dwudziesta zero cztery prowadzę skład do Bielska...

- Kiedy stryj wraca?

- Jutro po południu... Może do tej pory Tadka wypuszczą... Do domu w każdym razie nie wracaj. Masz... - z kieszeni bluzy wyjął pęk kluczy zawieszonych na kółku i wręczył je Basi. - Górny zamek zacina się ździebełko, trzeba kłamkę podnieść.

- Pan jedzie do Bielska? - wtrącił Niwiński. - Przecież to już Reich...

- Na razie jeszcze nas puszczają. Nie wiadomo, jak długo... Idź, Baśka, idź już, godzina policyjna tylko co. Pan daleko mieszka? - zwrócił się do Niwińskiego.

- Koło rynku.

Maszynista spojrzał na zegarek.

- Nie zdąży pan.

- Ona ma dwa kroki. To tu, na kolonii kolejarskiej. - Ruchem głowy wskazał za parowozownię.

- Nie martw się, stryju. Jakoś sobie poradzimy - wspięła się, by pocałować starego w

policzek.

Maszynista zaczął wstępować na drabinkę parowozu, ale po chwili rozmyślił się, zeskoczył i przywoławszy na stronę Niwińskiego, powiedział:

- Panie, to porządna dziewczyna. Rozumiemy się?

Niwiński spojrzał zdziwiony.

- No, bo do domu nie zdąży pan. Rozumiemy się?

Niwiński był zbyt oszołomiony toczącymi się i niezrozumiałymi wypadkami, by pojąć obawy starego kolejarza. Dopiero potem, gdy siedzieli już w skromnym mieszkanku Białasa, przypomniał sobie niepokój maszynisty.

Pomyślał przy tym, że niepokój ten nie był pozbawiony podstaw; Basia była wyjątkowo pociągającą dziewczyną.

Dopiero tutaj, w ciszy zaciemnionego kawalerskiego pokoiku, kiedy przed nocą nie można już było oczekiwać ani pomocy, ani wyjaśnień, dziewczynę zawiodły nerwy. Patrzyła na Niwińskiego z rosnącym przerażeniem, jakby go w ogóle teraz dopiero po raz pierwszy zobaczyła. Spytała z nagłym przestrawem:

- Kim pan jest? Zaraz znów mi pan powie, że niczego pan nie wie... A przecież to przez pana cierpi teraz mój ojciec... Boże, Boże, po co pan wtedy tam wszedł?

- Raczej po co chciała się pani mną zabawić? Po co ten portret?

- To moja sprawa, po co... Po co portret, pyta pan? Więc jednak bał się pan być rozpoznany?

- Nie.

- Szukają pana. Kim pan jest?

- Odpowiem pani, Basiu. Nazywam się Władysław Niwiński i dotychczas nigdy nie musiałem się ani wstydzić tego nazwiska, ani go ukrywać. Lecz przyszły czasy, których

dopiero musimy się uczyć. Nie znam ich jeszcze i dlatego nie wiem, naprawdę nie wiem, dlaczego mam ukrywać własną twarz i własne nazwisko. Teraz szukają również i ciebie, a przecież wiesz, że nie zrobiłaś nic złego.

Odniosł wrażenie, że zdołał, jeśli nie pocieszyć, to w każdym razie uspokoić dziewczynę. W nocy, poprzez drzwi wiodące do kuchni, gdzie spała, słyszał wprawdzie jej ciche pochlipywania, ale nie dziwił się temu.

Ileż to córek, żon i matek - myślał - wtóruje jej w tej samej chwili, nie mogąc jeszcze pojąć, dlaczego los czyni z nich sieroty i wdowy. Nie wiedział jeszcze, że Basia, wciąż nie pogodzona z nieszczęściem, prócz wylewania łez znalazła jednak czas i na uparte rozwiązywanie zagadki. Kiedy się nazajutrz obudził, stała już nad nim i głosem pozbawionym przyjaznych akcentów pytała:

- Dlaczego mnie okłamałeś?

Był rozespany, nie całkiem jeszcze świadom miejsca, w którym się znajdował, nie od razu też pojął, że go oskarżają. Ponowiła więc pytanie:

- Dlaczego mnie okłamałeś, Tadziu?

- O kim ty mówisz? Skąd ci to imię przyszło do głowy?

- Skąd? Stąd, panie Miszczyk.

Białasówna wyciągnęła przed siebie skrywaną do tej pory za plecami rękę: powiewała jakimiś papierami oraz kartonikiem legitymacji. Niwiński zrozumiał, że przetrząsając jego kieszenie, trafiła na zaświadczenie i kartę wioślarską - resztki dokumentów pozostałych po nieszczęsnym kapitanie.

- Czy to ładnie grzebać po cudzych kieszeniach? - uśmiechnął się do niej.

- Szukałam grzebienia, bo w tej panice nie zabrałam swojego. Szukałam grzebienia, a znalazłam to.

- Nie okłamałem cię. Te papiery noszę przy sobie zupełnie przypadkowo.

Ten człowiek dawno już zginął.

Nie uwierzyła mu. Ale Niwiński już się tym nie przejmował. Przeciwnie, rozsadzała go radość z nagłego odkrycia, z olśnienia, które nawiedziło go na widok tych pomiętych i nikomu już niepotrzebnych papierków.

Niepotrzebnych nawet i wdowie, którą Bóg raczy wiedzieć, czy kiedykolwiek w ogóle zdołałby odnaleźć. A gdyby nawet i odnalazł, włożyłaby może te papiery do starego rodzinnego albumu lub do koperty, w której sentymentalna rodzina przechowuje pierwszy mleczny ząbek dziecka, pierwsze celujące świadectwo, laurkę sporządzoną na imieniny.

Pamiętkom dla przyszłych pokoleń Mischczyków przybyłby jeszcze jeden rodzinny eksponat - wspomnienie o poległym we wrześniu kapitanie, który w dobrych czasach i w wolnych chwilach lubił oddawać się sportowi wioślarskiemu.

Dla Niwińskiego zaś ten archiwalny papierek nabierał teraz cech najbardziej aktualnej i mocnej przepustki uprawniającej - nie wahał się w myślach użyć tego słowa - do życia.

Niemcy - poszukują go, choć wciąż nie wiedział, dlaczego. Nie będzie więc musiał przed nimi umykać, ba - niestraszne mu będą ani legitymowania, ani oficjalne meldowania się, bo nikt jeszcze, nawet gestapo, nie tropił człowieka, który już nie żył.

- Jesteś wspaniała! - zawołał całując oszołomioną Basię.

Gdyby nie jej podejrzliwość, kto wie, czy sam zdołałby wpaść na ten najprostszy pod słońcem pomysł. To ona pierwsza nazwała go Tadeuszem Mischczykiem. Dziś jeszcze postanowił Niwiński przekazać Justynie swe odkrycie, wraz z prośbą, by przygotowywane dla niego dokumenty oprzeć na danych poległego kapitana.

Białasówna, która ten nagły pocałunek przyjęła jako dowód innych zupełnie uczuć, spytała niepewnie:

- To wszystko tak strasznie dziwne... Kim ty naprawdę jesteś?

- Nie okłamałem cię. Ciebie - nie.

- Ale szuka cię gestapo. Dlaczego ukrywasz się pod innym nazwiskiem?

- Nie. Przysięgam.

- Więc dlaczego aresztowali tatusia?

I znów, jak poprzedniego dnia, z tkliwości przeszła nagle w napastliwość.

Odsunęła Niwińskiego i zaczęła wyrzucać z siebie słowa pełne rozpacz i oskarżeń:

- Co on tam robi...? Tak strasznie bał się Niemców. I raptem... właśnie on... -

przeniosła wzrok pełen wyrzutu na Niwińskiego. - Uratował cię. Tak, tak... Ojcu

zawdzięczasz, że nie jesteś tam, gdzie on... Oddaj mi ojca!

Przyzwoity człowiek sam powinien się zgłosić, żeby nie cierpiał ktoś niewinny.

Niwiński stanął w oknie, i zapatrzył się w oddalający pociąg. Po chwili głuchym

głosem spytał:

- Skąd wiesz, że tak właśnie nie zrobię?

Poprawił krawat, dłońmi przyczesał włosy i sięgnął po płaszcz wiszący na gwoździu.

Wtedy zawołała gwałtownie:

- Nie, nie! To stało się przeze mnie! To ja zrobiłam ten portret.

- Po co? To nie jest, Basiu, czas na kawały!

- To nie był kawał.

- A co?

- Nic nie rozumiesz - westchnęła. - Nic. Albo nie chcesz...

- Może i rozumiem.

- Nie idź nigdzie - poprosiła. - Nie mam teraz nikogo. Przepraszam za te pretensje o

ojca.

Wyszedł, obiecując wrócić pod wieczór, by naradzić się, co czynić dalej.

Na razie spieszo mu było do Zygadlewiczów i do sfinalizowania sprawy fałszywych dokumentów. Poprosił także Justynę o kontakt z jej przyjaciółmi.

Wiązał z nimi właściwie wszystkie swoje plany. Spodziewał się wstąpić wreszcie w szeregi konspiracji lub przy pomocy tych przyjaciół przedsięwziąć ucieczkę do tworzącej się we Francji armii.

Dom profesorostwa zastał w straszliwym nieładzie, jak po trzęsieniu ziemi. Okazało się, że tej nocy przeprowadzono rewizję, zabierając wszystkie manuskrypty profesora i przywiezione znaleziska. Telefoniczne poszukiwania profesora Gleibnitza nie zdały się na nic. Więcej już się nie pokazał. Dopiero w jakiś czas potem w prasie niemieckiej znaleźć można było wzmiankę o roli, jaką ten wnikliwy i pełen dobrych manier uczonec odegrał w organizowaniu wystawy pod nazwą: „Wpływ kultury niemieckiej w kraju nadwiślańskim”.

Na wystawie eksponowano dzieła sztuki i odkrycia naukowe, przywiezione z Krakowa przez ekipę naukowców niemieckich, w skład której wchodził także słynny archeolog.

Niwiński przekazał Justynie papiery po Miszczyku, według których sporządzony miał być jego aktualny dokument. Po południu znów znalazł się w domku Białasa. Stary maszynista zaprosił na naradę swego kolegę, również kolejarza. Ten, bez ogródek, zażądał od Niwińskiego wyjaśnień, które pozwoliłyby ustalić motywy aresztowania, Bogu ducha winnego, fotografa.

Stary kolejarz rozmawiał z Niwińskim w cztery oczy; Basia i stryj oczekiwali rezultatów tej narady zamknięci w kuchence.

- Kim pan naprawdę jest, kawalerze? - spytał kolejarz.

- Już panu mówiłem.

Kolejarz machnął lekceważąco ręką.

- Jak pan uważa. Może pan powiedzieć, może nie. Przypadkowo znam się trochę na konspiracji i wiem, że bez racji nie przygryza pan sobie języka.

Ale tu chodzi o człowieka. Jak mamy mu pomóc, jeśli nie wiemy, o co go posądzają.

Kiedy Białas przybiegł z tą wiadomością, poruszyliśmy różne nasze guziczki. To poważna sprawa. Dzień trzymali go na Montelupich, a od rana jest w Płaszowie. Szwaby obóz tam taki zrobiły. Mało z tym, w mieszkaniu rewizja trwała do świtu i wszystkich lokatorów pytali o Baśkę.

Więc pytam pana raz jeszcze, o co tu chodzi?

- Nie wiem.

- Panie, tu o ludzi chodzi. A może i o życie. To mordercy, ja ich w Hiszpanii poznałem i...

- W Hiszpanii? - z zainteresowaniem spytał Niwiński.

- Nieważne - tamten z przesadną gorliwością ubijał fajkę, która wcale nie zgasła. - Od pana tu wszystko zależy.

Niwiński podniósł się zza stołu i nerwowo przechadzał po pokoju, powtarzając uparcie:

- Nie wiem, nie wiem. Wyczuwam w tym wszystkim jakąś moją winę, choć jej nie popełniłem. Pan Białas nie ukrywa swego żalu przede mną, a ja naprawdę nic nie wiem.

- Dziwi mu się pan? Człowiek jest tylko człowiekiem. A to przecież brat.

Naradzałem się dziś z towarzyszami nad tą sprawą. Powiem panu otwarcie...

Niwiński zatrzymał się w swym marszu po pokoju i spojrzał pytająco.

- Były głosy, że powinien się pan sam zgłosić - oświadczył kolejarz. - Bo przecież nic pana z Białasem nie łączy?

- Nic. Przez przypadek u niego właśnie robiłem sobie to cholerne zdjęcie.

- Ano właśnie, to ta fotografia. I kim pan, człowiecze, jest?

Niwiński bezradnie rozłożył ręce.

- Ale fotografowi nic by pan przez to nie pomógł - ciągnął kolejarz. - Sam się wplątał przez to pisanie do pana. I otwarcie panu powiem: zadziwiło mnie to. Bo jak mu tam teraz jest, to jest, ale prawdę mówiąc - to tchórz.

Nam nigdy nie chciał pomóc.

- Komu?

- Nieważne. I że się zdobył na takie coś... Chyba ze strachu o córkę. To jasne. Więc ja powiedziałem: nie. Tym fotografowi nie pomożemy. Będą mieli ich obu. Już ja ich znam...

Raczej, mówię, pogadam z tym panem. No, ale jak pan nic nie chce powiedzieć...

- Pan mi nie wierzy, ale doprawdy sam gubię się w domysłach.

- A szkoda, że nie chce pan mówić. Bo może i panu pomoglibyśmy. Baškę skryjemy, dziś jeszcze pojedzie.

- Dokąd? - spytał Niwiński.

- Pan nie mówi, ja nie mówię. W najspokojniejsze miejsce na świecie.

Dziura. Nikt jej nie znajdzie. I pana moglibyśmy ukryć.

- Kiedy, widzi pan, ja wcale nie chcę się ukrywać. Mam dość. Bezbronnych wygniotą nas jak robactwo. Po kolei. Tu trzeba walczyć.

- Ile pan ma lat? - Tym razem fajka zgasła mu naprawdę, więc mozolnie zaczął ją ubijać. - Na mój gust, mógłbym być pańskim ojcem. Sam pan chce walczyć?

- Chociażby. Wszystko mi już jedno...

- To nie jest wszystko jedno. Walczyć trzeba, otwarcie mówiąc, ma pan rację. Ale nie wszystko jedno, czy samemu, i nie wszystko jedno, z kim do spółki. Wspomni pan moje słowa...

- Wyboru wielkiego nie ma. Mimo tego wszystkiego, co się tu dzieje, nie jesteśmy sami. We Francji tworzy się armia, Sikorski tworzy nowy rząd...

- Ano, tworzy - przyznał kolejarz. - Ale czy on jest faktycznie nowy?

Nie, nie, proszę pana, jakąś lekcję z tego września trzeba wyciągnąć. Ale to już wielka polityka, a tymczasem mały fotograf za drutami, a pan mu pomóc nie chce.

Tymi słowami zakończył rozmowę i skierował się do drzwi. Na widok wchodzących Basia i maszynista Białas zerwali się z miejsc.

- Otwarcie mówiąc - oświadczył im kolejarz - stoimy w miejscu. Gotowa jesteś, Basia?

- Tak.

- Dziś na noc?

To pytanie skierował do Białasa, który potakująco kiwnął głową.

- Ty, Józek - zwrócił się do niego kolejarz - żal z serca wyrzucić, bo czasy są takie i ten człowiek nic temu nie winien, otwarcie mówiąc. Jemu samemu warto by pomóc. Nie znajdzie się tam miejsca i dla niego?

- Może by się znalazło - odparł Białas po krótkim namyśle.

Słyszając to Basia, ku zdumieniu stryja, gwałtownie przytuliła się do Niwińskiego i poprosiła:

- Pojedziesz ze mną, prawda? Pojedziesz?

- Ale dokąd? - spytał niepewnie, zdziwiony nieco reakcją dziewczyny.

- Do naszej rodziny. To jest...

Kolejarz jednak nie pozwolił jej dokończyć, odciągnął Basię od Niwińskiego i powiedział ostro:

- Wszystko jedno, dokąd. Mówiłem już. To najspokojniejsze miejsce na świecie.

Dziura zabita deskami. Tylko papiery by trzeba jeszcze dzisiaj...

Zrobimy z pana palacza, co, Józefie? - dodał już łagodniej.

- Nie! - nieoczekiwanie sprzeciwił się temu Niwiński.

- Władek! - rozpaczliwie krzyknęła Basia.

- Nie, Basiu, nie...

Białasówna odwróciła się i z płaczem wybiegła do pokoju, wołając:

- Niech on już stąd idzie! Niech on już idzie!

Kolejarz i Niwiński stali chwilę w milczeniu. Wreszcie stary wyciągnął rękę na pożegnanie i skierował się ku drzwiom. Białas z wyrzutem spojrzał na Niwińskiego:

- I coś ty zrobił, człowieku?

- Niech mi pan wreszcie uwierzy... - w głosie Niwińskiego wyczuwało się bezradność.

- Ja już nie o bracie mówię. Ja o niej... A tak cię, człowieku, prosiłem.

- Też niech mi pan wierzy...

Maszynista nie sprawiał wrażenia przekonanego. Niwiński odszedł rozmyślając nad ironią losu, który uparcie kazał mu być odpowiedzialnym za nie popełnione czyny. Posądzali go o coś Niemcy, posądzali poczciwy kolejarz. Nie przypuszczał wówczas Niwiński, że nie wyczerpała się jeszcze lista podejrzewających go ludzi.

W kilka dni później, a był to już początek grudnia, Justyna zawiadomiła go, że dokumenty, na które z takim utęsknieniem czekał, są już gotowe.

Podawała mu miejsce spotkania, którym była druga - licząc od - Barbakanu - ławka na krakowskich Plantach, oraz hasło.

Zjawił się więc w umówionym miejscu i zatrzymał przed ławeczką, na której siedział jakiś młody mężczyzna czytający gazetę. Drugą ręką miarowo posuwał tam i na powrót dziecięcy wózek osłonięty wielką budą. Niwiński starł śnieg z ławeczki, przysiadł i wymienił

hasło:

- To chłopczyk czy dziewczynka? - spytał wskazując na wózek.

Mężczyzna nie oderwał wzroku od gazety, więc Niwiński powtórzył pytanie.

Po chwili tamten oświadczył nagle:

- To, o co pan prosił, jest gotowe.

- Dziękuję.

- Kilka pytań dla pewności. Czy ten człowiek na pewno nie żyje?

- Zginął na moich oczach.

- To dobrze. Najpewniejsze są dokumenty osób, którym na pewno nic już zagrażać nie może ze strony Niemców. Ponadto legitymacja ta jest prawdziwa, jedyny fałsz to zmiana fotografii na pańską. Teraz na jej podstawie może się pan już ubiegać o nowe papiery, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Skąd u pana znalazł się ten dokument?

- Wręczono mi go po zmarłym. Gdyby nie przypadek przed paroma dniami... nawet by mi do głowy nie przyszło, że mogę go wykorzystać.

- To wszystko - zakończył mężczyzna, złożył gazetę i przysunął wózek. - Niech pan nachyli się nad małym, tak jakby go pan oglądał. Ma to pod główką.

Dzieciak spał smacznie i nawet nie drgnął, gdy Niwiński wkładał rękę pod poduszeczkę i wyjmował legitymację. Jeszcze chwila i miał ją już w kieszeni płaszcza. Znow usiadł na ławce.

- To wszystko - powtórzył mężczyzna.

- Ale ja prosiłem o coś jeszcze... Ja...

- Wiem. Zrobiliśmy dla pana bardzo wiele. Wyłącznie na życzenie profesora Zygadlewicza. Sądzę, że spłacił już dług.

- Może panu źle powtórzono moje życzenie?

- Powtórzono je dobrze. Ale jest ono nierealne.
- Nie rozumiem - zdziwił się Niwiński.
- Pan chce kontaktu ze Związkiem Walki Zbrojnej? Dlaczego?
- Oficerowi nie zadaje się takich pytań. Odpowiedź jest chyba jednoznaczna.
- Nie w pańskim przypadku.
- Raz jeszcze nie rozumiem.
- Kim pan naprawdę jest, panie Niwiński?
- Już nim nie jestem. Od paru minut.
- Dlaczego szuka pana gestapo?
- Nie wiem.
- Jeżeli jest pan po prostu zwykłym podchorążym, cóż panu może grozić więcej od oflagu? A to nie jest dziedzina policji politycznej.
- Nie wiem.
- Ale przyzna pan, że to zastanawiające. Od dawna zna pan Grzędzielę?
- Kogo?
- Grzędzielę.
- W ogóle nie znam nikogo o tym nazwisku - stanowczo odpowiedział Niwiński.
- W ten sposób nie możemy rozmawiać. Chciałem być z panem w miarę szczerzy, ale skoro pan zaprzecza oczywistym faktom... Widziano pana z nim w okolicach dworca.
- Kto?
- To obojętne.
- Zaręczam panu, że musiano mnie pomylić z kim innym. Nie znam tu prawie nikogo, a tych, których znam, zna również i pan.
- Ostatnio rozszerzył pan krąg znajomych.

- Jak widzę, nie tylko Niemcy mnie szukali.

- Chcieliśmy wiedzieć, komu pomagamy. Przez pana aresztowano pewnego fotografa.

Ten człowiek akurat nie ma z tym nic wspólnego.

- Z czym, może wreszcie się dowiem? - zniecierpliwił się w końcu Niwiński.

- Z panem. To wiemy na pewno. Ale gwałt, jaki gestapo robi wokół pańskiej osoby, jest jednak wytłumaczalny. Oni też ich bardzo nie lubią.

- Kogo, mianowicie?

- Was, komunistów.

Niwiński wybuchnął śmiechem.

- Nas? Pan to mówi o mnie? O mnie?!

- Panie Miszczyk, czasu mam już niewiele. Powiem krótko Grzędziela jest tu osobą dość niezłe znaną Jeszcze od czasów strajku na Solvayu.

- Pan mówi o tym kolejarzu?

- Niech pan nie udaje.

- Ależ panowie... Mnie zarzucacie coś podobnego, to po prostu śmieszne.

Mnie?!

- Niech pan tak nie gestykuje, to zwraca uwagę.

Niwiński był coraz bardziej zdenerwowany.

- Nie rozumiem, nic nie rozumiem - powtarzał. - Przecież musimy walczyć,

odpowiadać gwałtem na gwałt, jeżeli nie mamy stać się ich kolonią - wskazał na

przechodzącą grupę niemieckich żołnierzy. - W kraju dzieją się bestialstwa, a pan... a pan...

Jeszcze mnie pan obraża posądzeniami. Musi nas być jak najwięcej, bo na tych z Francji

przyjdzie jeszcze trochę poczekać. Przecież tu liczy się każdy karabin, każdy...

Mężczyzna złożył gazetę i schował ją do kieszeni.

- Owszem. W tym względzie myślimy podobnie.

- Więc dlaczego pan mnie odtrąca? Chcę się bić i dlatego nie uciekłem jak inni.

Mężczyzna podniósł się z ławki i już na odchodnym dorzucił:

- Do tych, którzy chcą się bić, trzeba mieć zaufanie. Powodzenia, panie Miszczyk.

Popychając przed sobą wózek, ruszył Plantami w kierunku placu Szczepańskiego.

Niwiński jak wmurowany siedział na ławce i patrzył w ślad za oddalającym się wózkiem. Urażony nowymi posądzeniami, bez dalszej nadziei na nawiązanie kontaktów z podziemiem, z goryczą myślał, że nawet tak krwawa i tak okrutna lekcja, jak ta we wrześniu, nie na wiele się zdała. Odtrącony, był teraz zdany wyłącznie na własne siły i własną decyzję. Mógł na własną rękę podjąć przedarcie się do Francji albo - jak radził profesor Zygadlewicz - przeczekać to wszystko w spokoju.

Godzinę później był już w domku maszynisty. Miał nadzieję, że Białas skontaktuje go z kimś, kto zna bezpieczne przejście graniczne. Maszynista, wysłuchawszy go, powiedział:

- Uciekać? Mówił pan, że ma pan inne papiery? Temu komuś już nic przecież nie grozi?

- Nie.

- No, to po co uciekać?

- Źle się wyraziłem. Nie chciałem uciekać. Chciałem... No, zresztą nieważne, co chciałem, ale i na to liczyć nie można. Nie podano mi ręki i też nie wiem dlaczego. Może rzeczywiście trzeba to wszystko przeczekać.

- Ano, trzeba - westchnął Białas.

- Zapomnieć. Zająć się czymś innym... Nie wiem. To przecież długo nie potrwa, wiosną Francuzi ruszą. Jak Basia? - zmienił temat rozmowy.

Białas bezwiednie wyciągnął zegarek kieszonkowy.

- Jutro znów przejeżdżam tamtędy. Pojedzie pan? Czego będzie pan szukał innego? To najspokojniejsze miejsce na świecie. Mieszka tam moja siostra.

Mają z mężem ogrodnictwo. Pracowników dużo, każdy się zgubi... Pokaż no pan te papiery. Trzeba by z pana palacza zrobić. - Obejrzał nową legitymację Niwińskiego. - Toś pan teraz Tadeusz?

- Właśnie - odpowiedział Niwiński.

- Co pan jej zadał, powiedz pan, tak między nami chłopami? Przecież ją pazurami trzeba było stąd zabierać... No, to jutro osiemnasta zero cztery, panie Miszczyk.

Od tej rozmowy minęła doba. Nazajutrz przed zmierzchem z parowozu ciągnącego skład do Bielska, na małej stacyjce leżącej na trasie, wyskoczył palacz nazwiskiem Tadeusz Miszczyk.

Przyjrzał się stacyjce, na której wysiadł. To tu, w tej mieścinie zabitej deskami, miał doczekać się bliskiego, jak sądził, końca wojny. Na ścianie dworca, pod białą farbą, prześwitywała jeszcze dawna nazwa stacji, ale stare litery powleczone były wapnem i już ich dokładnie nie można było odczytać. Widniał tylko świeży wyraźny napis: „Auschwitz”.

Tak więc przybył do miasteczka, o którym świat naprawdę nic nie wiedział, bo jeszcze wtedy, w grudniu, historia nie wyznaczyła mu roli, jaką dla całego świata miało wkrótce odegrać.

NA TROPIE

W siedzibie warszawskiego gestapo przy Szucha, od pierwszych niemal dni po zajęciu stolicy przez Niemców, trwały energiczne poszukiwania polskiego oficera, który - według doniesień członków piątej kolumny - w początkach września wywiózł z archiwum Sztabu Głównego kasetę zawierającą akta niezmiernie ważnej. Zdaniem niejakiego majora Heinckesa, który z ramienia kontrwywiadu ponaglał gestapo do poszukiwań, były to akta zawierające dane o siatce defensywy polskiej na terenie Rzeszy. W początkowej fazie poszukiwań natrafiono na ogromne trudności. Niemcy nie znali ani nazwiska oficera konwojującego kasetę, ani kierunku, w którym je wywiózł. Równie dobrze dotrzeć mógł z nimi do Rumunii, jak dostać się do niewoli, uprzednio pozbywając się kompromitującego ładunku. Po pewnym czasie Abwehra znalazła się w posiadaniu danych, na razie dość hipotetycznych, pozwalających jednak żywić pewne nadzieje. Wszystko zdawało się wskazywać, że tajemniczy oficer był w randze kapitana i wywiózł kasetę z Warszawy w dniu 9 września polskim fiatem 508 o numerze rejestracyjnym H 72 - 14. Dalsze intensywne śledztwo ustaliło, że kierowcą samochodu o podobnej rejestracji był zawodowy plutonowy nazwiskiem Bugajczyk. Administracje wszystkich stalagów w Rzeszy otrzymały polecenie natychmiastowego odszukania jeńca o tym nazwisku, gdy by znalazł się on w ich rejestrach. W grudniu z obozu jenieckiego pod Wälzem nadeszła informacja, że przebywa tu plutonowy Bugajczyk. Major Heinckes z Abwehry natychmiast postanowił wysłać tam swego człowieka, niejakiego Gorączkę, który, podając się za jeńca przeniesionego z innego obozu, miał za zadanie dyskretne wybadanie kierowcy.

Zanim jednak Gorączko zdołał podjąć tę mistyfikacyjną misję, wydarzyła mu się zastanawiająca przygoda, z którą początkowo nie bardzo wiedział, co zrobić.

Otóż przypadek zdarzył, że w ręce pani Zofii Niwińskiej, wciąż wytrwale zajmującej

się na poczcie kontrolą listów adresowanych do gestapo, wpadł donos denuncjujący niejakiego Henryka Gorączkę. Jak zwykle pani Zofia udała się po instrukcje do swego zwierzchnika.

- Jest nowy donos, panie Stefanie - oznajmiła, kiedy byli już sami. - Dotyczy pracownika archiwum. Jest byłym wojskowym i donos dość obszernie mówi o jego przeszłości. Chce pan rzucić okiem?

Sięgnęła do torebki po list, ale naczelnik powstrzymał ją gestem dłoni.

- Trzeba go przestrzec, pani Zofio. Niech to pani załatwi.

- Postaram się. Chciałam panu pokazać, bo ten donos to wcale nie anonim jak zwykle.

Gość podaje swoje nazwisko, imię, adres, wszystko.

- W takim razie istotnie rzucę okiem - zdecydował się naczelnik.

Przebiegł szybko wzrokiem treść listu, po czym odnotował nazwisko nadawcy.

- Helmuth Piwonik - powtarzał głośno, notując. - Chyba volksdeutsch, dlatego tak otwarcie. Poszukamy go sobie. A pani, oczywiście, odszuka jak najszybciej tego nieszczęsnego Gorączkę...

W taki to właśnie sposób zawędrowała pani Zofia, jeszcze tego samego dnia, pod drzwi Henryka Gorączki, który - o ironio - wybierał się właśnie do gestapo, i jego to przestrzec zamierzała gorliwa konspiratorka.

Na podeście klatki schodowej na pierwszym piętrze pani Zofia podeszła do drzwi z wizytówką: H.i Z. Gorączkowie. Już miała sięgnąć do dzwonka, kiedy drzwi otworzyły się nagle i na klatkę schodową wyszedł mężczyzna w jesionce, kapeluszu, najwyraźniej śpieszący z jakąś pilną sprawą. Obrzucił okiem Niwińską, która niezdecydowanie ruszyła schodami na drugie piętro.

Mężczyzna zstępował w dół, kiedy nagle dobiegł go głos z góry:

- Czy pan Gorączko?

- Słucham?

Zawrócił zaintrygowany.

- Henryk? - upewniała się jeszcze nieznajoma.

- O co chodzi?

Pani Zofia zerknęła na sąsiednie drzwi, po czym wolno zaczęła schodzić.

- Chodźmy - powiedziała - wyjaśnię panu po drodze.

W ten właśnie sposób list, który miał ominąć gestapo, trafił tam już po godzinie, i to wprost na biurko obersturmbannführera Kliefhorna.

- I któż to taki, ten Helmuth Piwonik? - spytał gestapowiec Gorączkę. - Pan go zna?

- Owszem. To dawny znajomy. Obecnie narodowości niemieckiej.

- Ach, volksdeutsch! Widać, że nie ma pan w nim przyjaciela. Odbił mu pan żonę czy co, u licha?

- To dawne dzieje - odparł niechętnie Gorączko.

- Ale zgadłem?

- Coś w tym sensie.

- Biedny człowiek - powiedział Kliefhorn - ale porządny Niemiec. Zna swoje obowiązki. Lecz to również świadczy, że jest pan dobrze zakamuflowany. A ta kobieta?

- Już nie żyje.

- Jak to, nie żyje? Przed godziną przyniosła panu list i natychmiast umarła?

- Sądziłem, że pan o Piwonikowej - odparł Gorączko. - Ta... nie wiem...

Kliefhorn uderzył dłonią w otwarty list.

- Pan nie wie! - zawołał. - Sprzątają nam listy sprzed nosa, jak się okazuje, być może

połowa korespondencji do nas wisi teraz w wychodkach pańskich rodaków, a pan nie wie!

Przypadek zdarza, że naiwny i pełen dobrej woli Niemiec denuncjuje naszego akurat człowieka, a ten człowiek nie potrafi wykorzystać takiego zbiegu okoliczności. Nie mógł pan od niej nic wyciągnąć? Pójść za nią?

- Przyznam, że byłem zbyt wstrząśnięty...

- Pozna ją pan? Jak wyglądała?

Gorączko zamyślił się, ale widać było, że nie wygląd kobiety zaprzętał mu myśli, lecz odpowiedź, jaką w końcu ociągając się udzielił Kliefhornowi:

- Daruje pan - powiedział z naciskiem - ale to nie jest dziedzina mojej pracy. Nie jestem policjantem.

- Od siedmiu lat pracuje pan z nami.

- Ale nie z policją. Major Heinckes wyjaśni panu różnicę między pracą w wywiadzie a donoszeniem na ludzi.

Kliefhorn przygryzł wargi: wiedział zbyt dobrze, że ten major Heinckes, przybyły tu ze specjalnymi pełnomocnictwami, zarezerwował sobie osobę Gorączki wyłącznie dla swoich zadań. Gorączko, ośmielony milczeniem Niemca, dorzucił jeszcze:

- Miałem, jak pan się orientuje, nieco poważniejsze zadanie niż śledzenie małych pionków.

- Pionków, pionków! Tych pionków zaczyna być coraz więcej - Kliefhorn ledwo tłumił narastający w nim gniew. - Zaczynają się organizować. Jakiś związek walki zbrojnej, czy coś tam takiego. Jedenastego listopada znaleźliśmy na setkach grobów żołnierskich napisy: „pomścimy was”. Jak pan myśli, czy to jeden człowiek biegał tak od krzyża do krzyża z pędzlem i piśmakiem? Co ona powiedziała, ta kobieta?

- Przejeliśmy list i radzimy nie nocować w domu.

- Przejeliśmy. Kto? Oczywiście, chodzi o jakąś pocztę, ale tą pocztą ktoś kieruje. I

pomyśleć, że od tygodnia zmieniliśmy oficjalną nazwę na skrzynkach na Deutsche Post Osten. Czyste kpiny... Przy okazji będę pana jednak prosił o odwiedzenie kilku urzędów pocztowych. Musi ją pan znaleźć.

- Na razie wyjeżdżam - spokojnie odparł Gorączko - i kto wie, kiedy wrócę z tego stalagu.

Sądził, że jego pozorowany pobyt w stalagu przeciągnie się i do tego czasu Kliefhorn zapomni o całej sprawie. Prosił również majora Heinckesa, by wyperswadował gestapowcowi posługiwanie się nim jako zwyczajnym szpiclem. Heinckes słowa dotrzymał, a jednak i Kliefhorn doczekał się chwili, by do tego tematu powrócić. Była to najmniej odpowiednia dla Gorączki chwila, ale na razie dzieliło go od niej wiele jeszcze czasu: wyjechał do stalagu, by wkraść się w łaski jeńca Bugajczyka.

Gorączko udał się do obozu w Wałczu prawie dokładnie w tych samych dniach, kiedy Władysław Niwiński rozpoczynał w Oświęcimiu nowy okres wojennego życia, obliczonego na spokojne przetrwanie przy boku coraz bardziej zakochanej w nim Barbary Białasówny.

Basia mieszkała u swego wujostwa. Jej wuj, Siemiński, prowadził dobrze prosperujące ogrodnictwo, zatrudniał wielu sezonowych robotników, wśród których bez trudu ukrył i nowego pracownika, Tadeusza Miszczyka. Ogrodnik Siemiński zwykł był mawiać:

- Wszyscy chleb potracili: nauczyciele, doktorzy. Ale tej cebuli i marchwi każdy potrzebuje do garnka. Niemiec nie Niemiec. Ogrodnik zawsze jest na wierzchu. Przy mnie nie zginiecie.

Pierwsze tygodnie istotnie upłynęły Niwińskiemu spokojnie. Rad był i z powziętej decyzji, i z nowych dokumentów, które pozwoliły wszelkie ślady ostatecznie zatrzeć po poszukiwanym Niwińskim. Nie mógł wówczas wiedzieć, jak fatalnej dokonał zamiany.

Uciekając przed zemstą jednego esesmana, przedzierzgnął się w skórę człowieka, którego

poszukiwały wszystkie służby wywiadowcze Rzeszy. Nie mając o tym najmniejszego pojęcia, raz tylko poczuł się zagrożony, kiedy otrzymał wezwanie do Arbeitsamtu. Już w tym czasie polskich robotników masowo wywożono na roboty przymusowe w głąb Niemiec.

Potwierdziły się wtedy racje ogrodnika. Uproszony przez siostrzenicę, Siemiński bez specjalnego trudu oddał niebezpieczeństwo. Kierownik Arbeitsamtu, Prahl, przyjął okazałego prosiaka oraz kwiaty, które zdobiły później sylwestrową salę balową Arbeitsamtu, i skreślił Miszczyka z rejestru.

Ten, wydawać by się mogło, szczęśliwie zakończony incydent okazał się jednak fatalny w skutkach. Basia od dawna wyczuwała, że Siemiński darzy ją względami znacznie większymi, niż wymagałyby tego więzy powinowactwa.

Teraz, po zażegnaniu niebezpieczeństwa w urzędzie zatrudnienia, podochocony ogrodnik niedwuznacznie zażądał od niej dowodów wdzięczności. Dalszy pobyt w tym domu stał się co najmniej uciążliwy. Tej samej nocy Basia próbowała namówić Niwińskiego do wyjazdu.

- Nie wiem, co będzie dalej. Nie możemy jednak tu zostać. Ani ty, ani ja.

- Możemy. Na razie znów jest spokój - uspokajał Niwiński, nieświadom prawdziwych przyczyn niepokoju dziewczyny.

- Nie, nie - protestowała.

- Co ci się stało?

Zamiast odpowiedzi Basia wybuchnęła płaczem i mocno przytuliła się do niego.

- Nie bój się, na razie dali mi spokój.

- Nie boję się Niemców. Ale uciekajmy...

- Dokąd?

- Uciekajmy.

Niwiński westchnął, sięgnął po papierosa, zapalił i przez chwilę siedział w milczeniu.

Wreszcie zaczął mówić:

- Nie chciałem ci tego powiedzieć, ale zaczęłaś sama. Masz rację, muszę wyjechać.

- Tak, tak, na pewno!

- Jechałem tu do ciebie sądząc, że mi się uda. Nie, nie uciec. Zapomnieć o tym

wszystkim, co się ze mną stało. Ale to stało się nie tylko ze mną. Z nami wszystkimi. Nawet w miłości nie ma teraz ratunku.

- Nie mów tak! - krzyknęła Basia.

- Myślałem nad tym, ale nie robię nic. Nie wiem. Może należało uciec wtedy, na początku, ale chciałem walczyć. Więc może teraz... Nie wiem...

Coś muszę zrobić! Wszyscy coś robią, tylko nie ja, tylko nie ja! Znam pewną wioskę...

pewnego księdza... to niedaleko słowackiej granicy. Może jeszcze można... Ale wciąż nie wiem, czy tak właśnie trzeba.

- Chciałeś mnie zostawić? - zawołała Basia z przestrawieniem. - Tak?!

Niwiński nie odpowiadał.

- Odpowiedz!

- Wróciłbym przecież, kiedyś... Byłoby ci tu dobrze.

- Nieee!

- Bezpiecznie... Tu naprawdę nic ci nie grozi.

Basia zamierzała coś odpowiedzieć, ale zasłoniła tylko oczy rękami i Niwiński zobaczył, jak bezgłośny płacz wstrząsał ramionami dziewczyny.

Nazajutrz przybył maszynista Białas. Polscy kolejarze wciąż jeszcze obsługiwali kursujące tędy pociągi. Jak zwykle wyszli do niego na stację.

Parowóz pobierał wodę, a Białas wsparty o tender popijał z butelki kawę z mlekiem.

Prośba Basi, by ich stąd zabrał, wydała mu się niedorzeczna.

- To nie są czasy na kaprysy. W Krakowie coraz niebezpieczniej. Oświęcim to

Oświęcim. O co tu chodzi właściwie? Co jej się stało? Nie może jej pan tego przetłumaczyć?

Niwiński milczał.

- Jego niech stryj nie pyta. On też się dusi.

- Dusi? - Białas nie bardzo pojął, co to znaczy.

- Z bezczynności - wyjaśniła Basia.

Białas wolno podszedł do studni, odkręcił kurek i długo pod strumieniem splukiwał butelkę po kawie. Wreszcie wrócił i jakby ociągając się, powiedział:

- Dla pana znalazłoby się nawet zajęcie, panie Władziu...

- Pan mnie źle zrozumiał. Pracować, byle przeżyć, mogę i tutaj...

- Nie! - gwałtownie przerwała Basia. - Tutaj już nie!

- Poczekaj - nie dał jej dokończyć Niwiński. - Nie tę bezczynność miałem na myśli.

Wojna jeszcze nie jest przegrana.

- Miejmy nadzieję - zgodził się maszynista.

- Ale zwycięstwa nikt nam nie da w prezencie. No więc... widzi pan... nie chcę już tylko czekać. Nie wiem, czy mnie pan zrozumiał?

- Ja też nie zwykle zajęcie miałem na myśli.

- A jakie?

- Jakie? - Białas zamyślił się na chwilę. - Doszły słuchy, że oni tu coś budują.

- Tak - Niwiński potwierdził obojętnie. - We Dworach. IGFarben jakąś fabrykę chemiczną tu stawia.

- Nie, nie we Dworach. Ale tu, w koszarach. Podobno mur dokoła koszar podnieśli o parę metrów.

- A owszem - przytaknął Władek.

- No, właśnie. I na dziedzińcu coś stawiają. Parę ton samego drutu kolczastego zwieźli. Co jest za tym murem, panie Władziu?

- Nie wiem.

- Dowiedz się pan.

- Ja?

- Będzie miał pan zajęcie.

- Rozumiem...

- Im prędzej, tym lepiej. I im dokładniej, tym lepiej. A gdyby jakiś... planik, szkic...

Niwiński nie odpowiadał.

- Zrobi się? Musu nie ma - dodał kolejarz widząc niezdecydowanie Niwińskiego. - Bezpieczne zajęcie to nie jest...

- Tak ze mną rozmawiać nie trzeba. Raczej niech mi pan odpowie. To jest życzenie pana Grzędzieli?

- Zapomnij pan to nazwisko. W ogóle wszystkie nazwiska. Na nazwiska to pan ma sklerozę. Rozumiemy się?

- No, to inaczej. Komu to ma służyć? Rosji?

- Pan się upił, panie Władziu?

- Zobaczę, co się da zrobić. Jeżeli to ważne... - zdecydował się Niwiński.

- Różne słuchy krążą - westchnął maszynista.

Usłyszeli gwizdek zawiadowcy. Robotnicy odczepili już przewód od wodociągu.

Białas skierował się ku lokomotywie.

- W przyszłą środę znów będę! - zawołał.

Wskoczył na podest parowozu, pomachał Basi ręką i po chwili zasłoniła go para.

Ta niespodziewana okazja do działania i poczucie, że znów może być potrzebny dla celów wyższych niż własne, podnieciły Niwińskiego do tego stopnia, że zadanie swoje zamierzał wykonać znacznie gruntowniej, niż tego od niego żądano. Postanowił dostarczyć Białasowi informacji najbardziej wiarygodnej, bo w postaci kompletu fotografii placu budowy za tajemniczym murem koszar.

Plan ten wraz z Basią obmyślili bardzo starannie i w najdrobniejszych szczegółach. Miejscem, które najlepiej nadawało się do sfotografowania placu budowy, było pierwsze piętro budynku położonego po przeciwnej stronie ulicy, na wprost bramy wjazdowej do koszar. W budynku tym mieściła się przychodnia rentgenologiczna prowadzona przez Niemca, niejakiego Wimmera. U Wimmera codziennie prześwietlały się tłumy miejscowych i okolicznych robotników wyznaczonych przez Arbeitsamt do wysyłki w głąb Rzeszy.

Dostanie się do budynku nie nastęrczało większych trudności, problem polegał na tym, by w tym budynku pozostać. Niwiński zamierzał ukryć się w ciemni rentgenologa, przeczekać tam noc i o świcie, gdy tylko grudniowe słońce na to pozwoli, nie zauważony przez nikogo, z okna przychodni dokonać zdjęć całego obszaru rozciągającego się za murem koszar.

Długo rozważali warianty możliwie najbardziej bezpiecznego przedostania się do ciemni Wimmera. Ten, który wybrali, wydał im się prosty, naturalny i właściwie nie wzbudzający podejrzeń. Wymagał tylko ścisłej, prawie minutowej współpracy Basi.

Dwudziestego ósmego grudnia, dokładnie pięć minut przed zamknięciem przychodni, Niwiński udał się na pierwsze piętro i przez okienko rejestracji podał urzędnicze swoje autentyczne wezwanie do Arbeitsamtu, szczęśliwie zachowane z okresu, kiedy wywiezienie groziło mu naprawdę.

Doktor Wimmer, który już tego dnia nie oczekiwał pacjentów i właściwie zabierał się do wyjścia, przyjął go niechętnie, ale wymaganiom urzędu zatrudnienia nie mógł się

sprzeciwić. A kiedy Niwiński ślamazarnie i długo rozbierał się, doktora wywołano do telefonu.

Z poczty dzwoniła Basia. Udając jakąś dawną znajomą Wimmera, której ten w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, celowo przeciągała rozmowę.

Pozwoliło to Niwińskiemu ponownie stanąć w okienku rejestracji i oświadczyć urzędnicze:

- To ja nie będę przeszkadzał. Przyjdę jutro z rana.

Rejestratorka, gestem głowy wskazując na doktora, usiłowała uciszyć pacjenta; doktorowi nie można przeszkadzać w rozmowie.

- A więc jutro - powiedział szeptem Niwiński i zniknął z pola widzenia rejestratorki.

Po chwili usłyszała oddalające się kroki i trzaśnięcie wyjściowych drzwi.

Choć drzwi trzasnęły, pacjent poczekalni nie opuścił. Ale tego nie mogła już wiedzieć.

Niwiński schylając się nisko, bezszelestnie przemknął się pod okienkiem rejestratorki i wrócił do ciemni, gdzie skrył się w fałdach ciężkiej kotary przysłaniającej okno. Był prawie przyklejony do ściany. Czekał. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Wreszcie usłyszał czyjeś kroki i dobiegł go głos doktora Wimmera:

- Gdzie ten Polak? Freulein Truda! Gdzie on jest?

Do uszu Niwińskiego znów dotarł odgłos kroków. Prawdopodobnie do ciemni weszła rejestratorka. Niwiński wstrzymał oddech za kotarą.

- Gdzie podział się ten Polak, panno Trudo? - powtórzył pytanie lekarz.

- Powiedział, że przyjdzie jutro.

- Oszalał?

- Nie chciał przeszkadzać panu doktorowi...

- Zwariowane telefony - mruknął Wimmer. - Musi pani sprawdzić, może to nasz

aparatu zepsuty. Prawie nic nie słyszałem...

- Tak jest, panie doktorze. Czy... zamykamy?

- Oczywiście. Idzie pani do kina, Freulein Truda?

- Tak. Dają wspaniałą komedię z Hansem Moserem.

Jeszcze chwilę trwała krzątanina i wreszcie Niwiński usłyszał trzaśnięcie drzwi i przekręcanie klucza w zamku. Odetchnął. Nareszcie był sam.

Wczesnym rankiem, w oknie na pierwszym piętrze budyneczku, w którym mieściła się przychodnia rentgenologiczna, powoli rozsunęła się ciemna zasłona kotary. Za szybą pojawiła się sylwetka Niwińskiego, który z uwagą obserwował teren rozciągający się za wysokim murem z cegły.

Tuż za murem wznosił się jednopiętrowy czerwony budynek dawnych koszar, w pobliżu stały jakieś dwa mniejsze domki. Za nimi rozciągała się obszerna przestrzeń najeżona wkopanymi w ziemię betonowymi słupami. Słupy, oblepione od góry do dołu porcelanowymi izolatorami, ciągnęły się równymi rzędami w różnych kierunkach. Wszystko to wyglądało jak wielka mielizna, z której dopiero co ustąpiło morze, a całe rafy muszli poprzyklejały się do kamiennych beli.

Niwiński nastawił aparat fotograficzny i przyłożył go do oka. Zaczął robić zdjęcia.

Jedno, drugie, trzecie... W obiektywie widać było, że pierwsze rzędy słupów są już ze sobą połączone siatką drutów kolczastych.

Na dalszym planie - trzy jednopiętrowe baraki, nie mające jeszcze okien ani drzwi.

Następne ujęcie to zwałowisko papy. Obok niej - zwoje kolczastego drutu...

Zaabsorbowany robieniem zdjęć Niwiński nie zauważył, że tuż za murem, czego obiektyw jego aparatu w tej chwili nie obejmował, dwóch esesmanów przekazywało sobie wartę. Obaj ubrani byli w obszerne szuby, spod furazerek wystawały nauszники, a stopy

wartowników tkwiły w wołokowych, ciężkich, nienaturalnie wielkich buciskach.

- Wszystko w porządku, Gerd? - spytał esesman przejmujący służbę.

- Nie wszystko, bo mróz - zaśmiał się pierwszy wartownik. - Nie można było tego robić latem?

- Wiesz dobrze, że nie. Na czerwiec wszystko musi być gotowe.

- To już w czerwcu pierwsi goście?

Drugi wartownik nie odpowiedział, wszedł bowiem do budki wartowniczej, gdzie zajął się wykładaniem baniastego hełmu ciepłym szalikiem. Dopiero później wcisnął go sobie na głowę. Po chwili w budce pojawił się wartownik przekazujący służbę. Zdjął z szyi lornetkę i wręczył ją koledze, który rękawicą zaczął przecierać szkła.

- Zamarzły - stwierdził i chuchnął w soczewki. - Jest ona jeszcze? - spytał.

- Jest - odpowiedział pierwszy wartownik. - Wiesz, kto to jest? Służąca lekarza.

Drugi wartownik przyłożył lornetkę do oczu i skierował ją na wysokość okien drugiego piętra budynku naprzeciw ulicy.

- Za wcześnie. Nie masz co patrzeć. Wstaje dopiero o ósmej. Wtedy idzie po mleko.

- Sama ma niezgorszą mleczarnię - zażartował drugi wartownik.

Roześmieli się z udanego dowcipu. Nagle patrzący przez lornetkę przestał rechotać.

- Co to jest? - spytał zaintrygowany. - Spójrz no tylko.

Zwrócił lornetkę koledze, który natychmiast przyłożył ją do oczu. W oknie pierwszego piętra, na tle ciemnej kotary, widać było jakiegoś mężczyznę z aparatem fotograficznym przy twarzy, zwróconego w ich kierunku.

Drugi wartownik wybiegł przed bramę i zadarł głowę do góry. Mężczyzna w oknie ani na moment nie przestawał fotografować. Wartownik, wymachując do niego rękami, wrzasnął:

- Mensch, Mensch, was machst du dort?

Mężczyzna z aparatem dopiero teraz spostrzegł, że jest obserwowany.

Drgnął, a po chwili esesmani zauważyli już tylko falującą kotarę.

W tym samym momencie wartownik schodzący ze służby strzelił, celując w okno na piętrze. Pierwszy strzał roztrzaskał szybę, drugi trafił w ramę okna. Szkło posypało się na chodnik.

Drugi esesman już zdążył przebiec przez ulicę i waląc kolbą, zaczął dobijać się do zamkniętej jeszcze bramy.

Niwiński wybiegł z ciemni do poczekalni przychodni rentgenologicznej. Z oddali dobiegł go odgłos walenia kolbą o bramę. Pośpiesznie przekręcił do końca rolkę aparatu fotograficznego, wyjął zwinięty film i schował go do kieszeni. W półmroku szukał wzrokiem miejsca, gdzie mógłby ukryć płaską lejkę, w tej chwili już rozłożoną na dwie połówki.

W kącie poczekalni zauważył wysoki piec kaflowy. Bez chwili wahania otworzył drzwiczki i dwie części aparatu upchnął w otwór paleniska. Na blachę posypał się popiół.

Łomot do bramy wzmagął się. Niwiński jednym skokiem znalazł się w przedpokoju, przekręcił gałkę yalowskiego zamku i wypadł na klatkę schodową. Tutaj dobijanie się do bramy i wołanie „aufmachen!” słyhać już było bardzo wyraźnie.

Niwiński wbiegł na podest między piętrem a parterem, wyjrzał przez malutkie okienko. Na podwórku dostrzegł starą szopę, drewniane rusztowanie do trzepania dywanów i wysoki mur odgradzający podwórko od sąsiedniej posesji. Próba wyrwania ram nie powiodła się; zbyt mocno przybite były gwoździami do futryny. Bezradnie obejrzał się za siebie i w tej samej chwili nad głową, na wysokości drugiego piętra, usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi, a potem kroki po stopniach. Zanim zdołał wykonać jakikolwiek ruch, dojrzał schodzącą po stopniach piersiastą, zdrową dziewczuchę, trzymającą w ręce bańkę na mleko.

Służąca Wimmerów usłyszała właśnie dobijanie się do bramy i mamrocąc: - Zaraz,

zaraz, nie pali się - minęła zakręt schodów.

W tym momencie dostrzegła nieznanego mężczyznę.

- Jezus Maria! - krzyknęła i zrobiła ruch, jakby zamierzała uciec z powrotem na górę.

W dwóch skokach Niwiński znalazł się przy niej. Na dole esesmani wściekle szarpali klamką bramy.

- Jest tu jakieś tylne wyjście? - Niwiński mocno ścisnął ramię dziewczyny.

Odpowiedział mu przeczący ruch głową. Służąca była tak wystraszona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Kto tam mieszka na górze?

- No... Wimmer... doktor... - wyjąkała wreszcie.

Klamka na dole załomotała jeszcze dwa razy i nagle zapanowała cisza.

- Szukają mnie - powiedział Niwiński.

Dziewczyna wlepiała w niego okrągłe z przerażenia oczy.

- Nie jestem złodziejem - znów ścisnął jej pulchne ramię. - Czy rozumiesz, dlaczego mnie szukają...?

Niepewnie potaknęła głową. Ale po chwili jakby coś do niej dotarło. Raz jeszcze spojrzała na obcego jej mężczyznę i w tym momencie dojrzało w niej jakieś postanowienie. Chwyciła Niwińskiego za rękę i pociągnęła za sobą na górę. Bezwiednie wspinał się za nią.

Na drugim piętrze otworzyła drzwi opatrzone wizytówką K. Wimmer -

Privatwohnung i wciągnęła go do obszernego przedpokoju, z którego kilka par oszklonych drzwi rozchodziło się w różne strony. Dziewczyna wepchnęła go do kuchni. Tu za barchanową zasłoną przysłaniającą wejście do wnęki znajdowała się służbówka, a w niej rozbabrane, nie zasłane jeszcze łóżko.

- Rozbieraj się! - rozkazała dziewczyna.

Niwiński kompletnie ogłupiały stał z bezradnie opuszczonymi rękami.

Dziewczyna natomiast w pośpiechu zrzuciła z siebie palto, ściągała pilotkę z głowy, pozbywała się sweterka. Widząc wahanie Niwińskiego, szepnęła:

- Spałeś tu. Spałeś całą noc...

Zrozumiał. W okamgnieniu ściągnął z siebie ubranie. Po chwili leżeli już obok siebie przykryci pierzyną. Dziewczyna obejmowała Niwińskiego za szyję i udawała, że śpi.

- Ja nazywam się Hela - szepnęła mu prosto w ucho. - A ty?

- Władek.

- Władek?

- Nie, Tadek, Tadeusz... - sprostował Niwiński i spod przymrużonych powiek wpatrywał się w falującą zasłonkę oddzielającą kuchnię.

Dobijanie ponowiło się znowu, ale tu, w służbówce Wimmerów, było ledwie słyszalne.

- Miałam iść po mleko i napalić w piecach na dole - szepnęła Hela - ale raz wolno mi zasnąć, nie? Z chłopem. - Mimo całego zdenerwowania, wyrażającego się w pośpiesznym falowaniu obfitego biustu, zaśmiała się cichutko.

- Jak będziesz palić w piecu na dole... - zaczął Niwiński.

- Co tam?... - przerwała mu.

- Uważaj. Zostawiłem coś... w popielniku. Zgarnij wszystko do kubła.

- O Jezu! - wystraszyła się znowu. - Rewolwer?

- Nie.

- Na pewno?

- Słowo.

W tej chwili trzasnęły drzwi w kuchni i usłyszeli czyjeś kroki. Hela mocno zacisnęła

powieki, starając się opanować nierówny, przyśpieszony oddech.

- Helena, Helena! - dobiegł głos Wimmera. - Trzeba bramę otworzyć. Śpisz jeszcze?

Niwiński spojrział: zasłona oddzielająca służbówkę od kuchni rozsunęła się i w otworze wnęki stanął rozespany Wimmer.

- Helena, mleko przywieźli. Dlaczego... - urwał, spostrzegłszy głowę mężczyzny obok głowy służącej. A kiedy pierwszy szok minął, wrzasnął: - Co to ma znaczyć?!

Helena rozespana siadła na łóżku. Na widok Wimmera wydała okrzyk przerażenia i nieudolnie starała się naciągnąć róg pierzyny na głowę Niwińskiego. Odegrała tę rolę znakomicie.

- O Jezu, zasnęłam! - przemówiła z udanym przerażeniem.

Wysunęła rękę spod betów i sięgnęła po spódniczkę.

Wimmer jeszcze nie ochłonał całkowicie.

- No, Helena, porozmawiamy jeszcze - mruknął, wycofując się do kuchni, skąd głośno zawołał: - Elzo, Elzo! Komm schnell!

Helena, ogarnawszy się trochę, pośpieszyła za Wimmerem. Z dołu wciąż dobiegało dobijanie się do bramy.

- Kto to? - spytał Wimmer, wskazując w kierunku Niwińskiego.

- O matko! A kto ma być? Chłop - wzruszyła ramionami i sięgnęła po bańkę na mleko.

- Brama! - rozkazał Wimmer. - A potem porozmawiamy sobie...

Kiedy Helena zniknęła w przedpokoju, doktor Wimmer, już całkowicie opanowany, szarpnął zasłonkę. Niwiński siedział na brzegu łóżka i wdzierając buty, z tępym wyrazem twarzy spojrział na Wimmera.

- Rozumieć niemiecki? - spytał doktor.

Niwiński, uśmiechając się głupawo, zaprzeczył ruchem głowy.

- Raus! Raus! - Wimmer rozkazująco wskazał palcem na wyjście.

W tej samej chwili wpadła do kuchni wzburzona Helenka.

- Panie doktorze! O Jezu! To nie mleko... O Matko cudowna... Do gabinetu się wdzierają! Musiałam im otworzyć...

- Komu? Himmelgott!

Wimmer miał dość tych niespodzianek i jak bomba wypadł na schody.

Rozbudzona już Wimmerowa - za nim. Kiedy zniknęli za otwartymi drzwiami przychodni, na klatce schodowej pojawił się Niwiński i błyskawicznie zbiegł na dół. Po chwili słyhać już było tylko skrzypnięcie bramy.

Helenka z kubłem na popiół i łopatką zeszła na pierwsze piętro do przychodni. Zastała tam istne piekło. Dwóch esesmanów miotało się po gabinecie zaglądając pod brezenty przykrywające w ciemni aparaturę rentgenowską, zdzierając zasłony z okien. Wimmer nie odstępował ich ani na krok, drąc się wniebogłosy.

- Co to wszystko ma znaczyć, do diabła?! Ja natychmiast idę do komendanta policji.

Jakim prawem! Jestem Niemcem... Ja żądam...

I tak w kółko. Helenka przyklękła przed piecem w poczekalni i szufladką zaczęła wygarniać popiół do wiaderka. Połówki aparatu fotograficznego uderzyły o dno kubła.

Dziewczyna natychmiast przysypała je nową porcją popiołu.

Hałas oczyszczania pieca ściągnął do poczekalni Wimmerów.

- Zaraz będzie ciepło - uspokajająco powiedziała Helenka. - Tylko popiół wyrzucę i napalę. - Wzięła wiaderko do ręki i wyszła na klatkę schodową.

W tym czasie Niwiński był już na dworcu kolejowym. W ostatniej chwili zdążył wskoczyć do pociągu wyruszającego właśnie w kierunku Katowic.

Jedynym adresem na ziemiach przyłączonych do Reichu, który znał, i jedynym

miejszem, gdzie mógł się spodziewać schronienia oraz pomocy, był dom jego dawnego kaprała, Kurasia.

W tym samym czasie, gdy Niwiński szukał dogodnych połączeń kolejowych z Katowic na Pomorze, z Wałcza wracał do Warszawy konfident Gorączko, wioząc swym mocodawcom informacje o oficerze konwojującym we wrześniu tajne kasety. Według szczerych wyznań kierowcy Bugajczyka, oficer ten w stopniu kapitana nazywał się Tadeusz Miszczyk i piętnastego dnia wojny poległ na terenach zabużańskich, gdzie obecnie przebywali Rosjanie. Major Heinckes, tak energicznie prowadzący śledztwo w tej sprawie, stropił się tą wiadomością; wraz ze śmiercią Miszczyka urywał się bowiem dalszy ślad po bezcennych kasetach. Na wszelki wypadek odnalazł jednak wdowę po kapitanie, panią Marylę Miszczykową, i zlecił staranną jej inwigilację.

Nie mógł wiedzieć, że jego koledzy z Oświęcimia w tych dniach tak bliscy byli pochwycenia człowieka o nazwisku Tadeusz Miszczyk.

Oficer prowadzący dochodzenie w sprawie tajemniczego osobnika fotografującego plac przyszłego obozu, po dokładnym przesłuchaniu wszystkich domowników Wimmera, rozmawiał właśnie z rejestratorką, panną Trudą Lipowsky.

- Panno Lipowsky. Sprawa jest bardzo poważna. Tylko wy dwoje, pani i doktor, dysponujecie kluczami. Tymczasem był tu ktoś trzeci, ktoś, kto dostał się do przychodni bez włamania, bez hałasu. Zamki były nie naruszone, służąca otworzyła wartownikom drzwi kluczem pana Wimmera już po incydencie.

- Jeżeli pan pozwoli, mam własną teorię dotyczącą tego, w jaki sposób ten człowiek dostał się tutaj. Klucza w każdym razie nie potrzebował.

- Tylko? - zaintrygowany uważnie spojrzał na Trudę.

- Był gdzieś ukryty, kiedy opuszczaliśmy z doktorem gabinet.

- Brawo! A zatem? W jaki sposób mógł się ukryć?
- Może do ciemni weszło dwóch, a wyszedł tylko jeden. Doktor Wimmer mógł tego nie spostrzec, w ciemni panuje zupełna noc.
- A zatem będzie to ktoś z wczorajszych pacjentów?
- Przygotowałam już wykaz dla pana.

Panna Truda sięgnęła po arkusz wypełniony nazwiskami i podała go oficerowi.

Gestapowiec długo wertował listę.

- Ostatni był Miszczyk, tak? Tadeusz?
- Ale jego doktor już nie prześwietlał. Było bardzo późno i pacjent zrezygnował.
- Jego karta!

Oficer wyciągnął rękę w stronę panny Trudy. Przez chwilę grzebała w skrzyneczce z kartami rejestracyjnymi, wreszcie wyciągnęła właściwą. Oficer rzucił na nią okiem i stwierdził:

- Miejscowy, jego zawsze zdążymy sprawdzić. Pozna go pani?
- Oczywiście.

Gestapowiec cofnął się do korytarza i przywołał Wimmera. Lekarz pojawił się natychmiast.

- Czy pozna pan wczorajszego ostatniego pacjenta?
- Szczerze mówiąc, nie - przyznał Wimmer. - Widziałem go tylko w ciemni.

Oficer krzyknął coś i z głębi poczekalni zjawił się gestapowiec ubrany po cywilnemu.

Oficer wręczył mu kartę Miszczyka.

- Sprowadzi pan tego człowieka - rozkazał.
- Tutaj?
- Nie. Do nas, do wydziału. Niedługo tam będę, porozmawiam tylko jeszcze ze

służącą. Poprzez szklany, spadzisty dach szklarni przebijało zimowe słońce. Wewnątrz szklarni ciągnęły się długie rzędy skrzynek wypełnionych ziemią, z której wyrastały już zielone listki warzyw. Ogrodnik Siemiński z małymi grabkami i sekatorem spulchniał ziemię i wrywał chwasty.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem, buchnęła przez nie para i do środka wbiegła zdyszana Basia Białasówna.

- Drzwi! Zamknij drzwi! - krzyknął Siemiński.

Basia zignorowała to polecenie i dopadła do ogrodnika.

- Wujku... - uczepiła się rękawa jego kurtki.

- Drzwi, mówię. Mróz. Tu pieniądze rosną. - Wyrwał rękaw z jej dłoni i poszedł przymknąć drzwi.

Basia pobiegła za nim i znów przytrzymała go za kurtkę.

- Gestapo! - wykrztusiła wreszcie.

Siemiński w jednej chwili złagodniał.

- O co chodzi?

- Byli już w domu, pytają ludzi. Szukają Tadeusza. Wujku...

- Niemożliwe. Prahł wziął w łapę. Co ty myślisz, że ja dlatego... że za tamto...

- Jego nie dlatego szukają. Całą noc truchlałam... Ale jeżeli go szukają, to znaczy, że go nie złapali! Boże...

Siemiński spojrzał na dziewczynę niespokojnie.

- O czym ty mówisz?! Dlaczego mieli go złapać?

- Niech wuj o nic nie pyta, ale... To kwestia życia i śmierci. Wuj zwolnił go, jeszcze wczoraj... On wyjechał, wczoraj rano wyjechał... Wuj go zwolnił...

- Ja? - ogłupiały ogrodnik coraz podejrzliwiej przyglądał się Basi.

- Co ty kombinujesz?

- Ja błagam!

- Gdzie on jest?

- Nie wiem... nie wiem... Może już nie wróci...

- Nie ma go? No, dobrze. Mógłbym odpowiedzieć pięknym za nadobne... Ale ja jestem człowiekiem. Zapamiętaj to sobie. No, dobrze, gdzie oni są?

Po godzinie, doprowadzony wraz z Basią na gestapo, zeznawał przed oficerem śledczym.

- A dokąd wyjechał? - spytał oficer.

- Gdzieś do rodziny pewnie. Nie wiem - Siemiński rozłożył ręce. - Nie wiem.

- Skąd pochodził?

- A czy ja, panie kapitanie, pytam o takie rzeczy? Robotnik, i to sezonowy. U mnie ludzi do pracy zawsze trzeba. Zgłosił się, to przyjąłem.

- Wczoraj wyjechał? Tak nagle?

- Ja powiem, dlaczego - wtrąciła się Basia. - Domyślam się. Jego do Arbeitsamtu wzywali. Bał się. Tak przypuszczam...

- Tak jest - skwapliwie potwierdził Siemiński. - O, a to jego rzeczy. Ten pan, co nas tu przyprowadził, kazał to wszystko wziąć ze sobą. I jeszcze inne jego drobiazgi... - wyciągnął z kieszeni marynarki jakieś owinięte w gazetę papiery.

Oficer przeglądał je uważnie, wreszcie wziął do rąk małą fotografię.

- To jego zdjęcie? - spytał.

- Tak jest. Do ausweisu wyrabiał - potwierdził ogrodnik.

Oficer wstał zza biurka i nie wypuszczając z dłoni małego zdjęcia skierował się ku drzwiom. Uchylił je i krzyknął w głąb drugiego pokoju:

- Jest tam jeszcze ta Kwapik? Przyprowadzić!

Wrócił za biurko, a Siemiński, chcąc gadulstwem pokryć zdenerwowanie, nie pytany zaczął opowiadać:

- Jeszcze ja mówię, człowiecze, w Niemczech lepiej miał będziesz, jak u mnie: Zgłoś się, mówię. Niejeden pojechał i dobrze ma. A u mnie, jak to u ogrodnika, nie śpi się nocą, pod tym kotłem palić trzeba na okrągło. Kwiat - jak to kwiat. Nie wiem, czy pan kapitan widział. Na sylwestra dostarczałem... Wszystkie mojej hodowli.

Oficer ni to słuchał, ni to zajęty był przeglądaniem papierów, wreszcie podniósł głowę, bo do pokoju wprowadzono służącą Wimmera, Helenkę Kwapik, która już od drzwi pytała:

- Jeszcze coś? Bo ja z obiadem nie zdążę dla mojego państwa...

- Podejdźcie tutaj - oficer kiwnął na nią palcem. - To ten? - wskazał na przyniesioną przez ogrodnika fotografię.

Helenka popatrzyła na Siemińskiego i na Basię, potem podsunęła zdjęcie blisko do oczu.

- Ten, jak żywy! - krzyknęła.

Oficer walnął otwartą dłonią w biurko.

- Kłamiesz! Ten wczoraj jeszcze wyjechał. Są świadkowie. Helenka autentycznie już wystraszona, patrząc nic nie rozumiejącym wzrokiem na ogrodnika i Basię, płaczliwym głosem ciągnęła:

- Ludzie, dlaczego tak świadczycie, przecież... przecież sam pan Wimmer widział...

- Niemożliwe - przerwała Basia. - Wyjechał! Nie mogła go pani widzieć...

- Jakie widzieć?! - zawodziła zrozpaczona Helenka. - Spał ze mną! Ludzie!

Sam pan Wimmer mnie na tym przyłapał.

- Na czym?! - To pytanie ledwo wydobyło się z ust Basi, która aż uniosła się z krzesła.

- Na czym, na czym... - Helenka nabrała nieco pewności siebie. - Chyba osoba jest na tyle dorosła, żeby wiedzieć, co chłop robi pod kołdrą z dziewczyną... O Jezu, że ja się dałam namówić! - jęczała znowu. - Ale będę teraz uważać. O matko! Potrzebne mi to było...

Basia osunęła się na krzesło i zdruzgotana szeptała do siebie:

- Niemożliwe, niemożliwe...

Oficer przerwał gwałtownie:

- Dostyć! Kiedy do ciebie przyszedł?

- Z wieczora - Helenka znowu zaczęła się mazać.

- Był całą noc?

- Calutką. Aż nas pan Wimmer przyłapał, przecież sam mówił...

Siemiński położył swą dłoń na ręce Basi, jakby chciał powiedzieć: uspokój się, takie jest życie...

- Jak się nazywał? Wiesz? - dopytywał oficer.

- Po nazwisku?

Basia z nadzieją spojrzała na Helenkę.

- Nie wiem. A na imię raz mówił Tadek, raz Władek, jak to we flircie, nie? Żebym zgadywała...

Tego już Basia nie wytrzymała i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Oficer zerknął na nią ukradkiem, uśmiechnął się nieznacznie i spytał:

- To pani narzeczony? Gratuluję wierności. - Wstał zza biurka i kończąc przesłuchanie

dodał: - No, żegnam. Miasta nie wolno opuszczać. Będziecie jeszcze obie potrzebne, jak ptaszek się odnajdzie.

Miał niepełną nadzieję, że zbiega uda się szybko pochwycić. Nie wiedział, że nie

znany mu i wciąż uparcie węszący w Warszawie major Heinckes z Abwehry otrzymał właśnie z gestapo telefon, który nadzieję na zatrzymanie Miszczyka przemieniał w pewność.

Obersturmbannführer Kliefhorn z warszawskiego gestapo obwieścił Heinckesowi krótko:

- Miszczyk żyje!

- Niemożliwe!

- Nie tylko żyje, ale zdaje się, że już go mamy, Moi ludzie zdjęli właśnie jakiegoś człowieka, który przybył do żony Miszczyka. Opowiada ciekawe rzeczy...

LEKCJE GEOGRAFII

W kwadrans po otrzymaniu alarmującego telefonu major Heinckes był już na Szucha w gabinecie obersturmbannfuhrera Kliefhorna. Ledwie przestąpił próg, już gorączkowo pytał:

Kto to taki?

Kliefhorn zajrzał do akt i po chwili odpowiedział:

- Niejaki Kulpiński. Organista czy też kościelny ze wsi Owczary.

- Gdzie to jest?

- Na Podkarpaciu. Dziś rano odwiedził Miszczykową. Moi ludzie nie przeszkadzali mu w tej wizycie, zdjęli go dopiero po wyjściu.

- Chciałbym mówić z tym człowiekiem - rzucił ostro Heinckes.

- Zarezerwowałem go wyłącznie dla pana, tak jak pan sobie życzył. Nieźle pracujemy?

- Obersturmbannfuhrer wyraźnie oczekiwał pochwały.

- W każdym razie szybko - przyznał Heinckes. - Czy... z uwagi na to zamięrowanie panów do szybkiego działania, ten człowiek jest jeszcze w stanie w ogóle mówić?

- Mówi bardzo dużo i chętnie.

Kliefhorn nie przesadził. Kościelny z Owczar, początkowo mocno zalękniony, dość szybko doszedł do równowagi. Dobrze usposobiło go uspokajające i grzeczne zapewnienie Heinckesa, który już na wstępie oznajmił:

- Będziemy rozmawiali po polsku, panie Kulpiński. Niech pan się niczego nie lęka, bo nastąpiło małe nieporozumienie i będzie pan mógł wkrótce wrócić do domu. Niech pan siada.

Zapali pan?

Wyciągnął papierośnicę.

- Bóg zapłać, ale papierosy szkodzą. Ksiądz proboszcz dymi jak komin, organista z gęby cygaretki nie wyciąga, a ja jakoś, chwalić boga...

- A jak zdrowie księdza proboszcza? - zainteresował się Heinckes.

- Bóg zapłać.

- Jak nazwisko?

- Kulpiński.

- Księdza, księdza nazwisko?

- Pyclik.

- Ano właśnie. A więc to ksiądz Pyclik wysłał pana aż do Warszawy? Kawał drogi.

Tłok na kolejach. Po cóż to?

- A gdzieżby mnie ksiądz wysyłał! Tak tylko, przy okazji, mówi, będzie Kulpiński w

Warszawie u brata... Bo ja do brata, panie pułkowniku... Nie wiem, czy szarży nie pomyliłem, bo w obecnym czasie jakby dystynkcje inne.

Jak jeszcze byłem w Austrii oberfeuerwerker, w szóstej Karpatenregiment, to nasz oberst nosił...

Heinckes przerwał mu łagodnie, bez zniecierpliwienia.

- Tak, wiem. Więc pan ma brata w Warszawie?

- Alojzy. Rymarzem jest. Powiedzieć adres?

- To później. A więc odwiedził pan brata, a przy okazji ksiądz kazał panu wstąpić do pani Miszczykowej, prawda?

- Prawda to jest, ale nie po kolei. Bo główna rzecz, mówi ksiądz proboszcz, Boże Narodzenie idzie, komunikantów nie mamy, opłatków nie ma z czego robić, więc mówi, do kurii Kulpiński zajdzie, może odstąpią.

- Jak to? Święta już za nami, Nowy Rok za trzy dni, a pan w Warszawie został? -
dziwił się Heinckes.

- No bo, panie pułkowniku, komunikantów w kurii też nie za bardzo, bryndza i u nich.

To po co miałem wracać? Tę wilię z bratem i z bratową spędziłem. Ale co to za święta w mieście! Ryba jak ząbek czosnku...

- A skąd zna pan panią Miszczykową?

- Ja, skąd znam? Tak ją pierwszy raz widzę, jak pana widzę.

- Rozumiem. To ksiądz ją zna, tak?

- Mój ksiądz?

- Miał przecież jakąś przesyłkę dla niej.

- Mieć, miał, ale żeby ją znał, to nie wiercie w to, panowie. Żadną miarą. Ludzie widać plotą bez zastanowienia. A już żeby osobie duchownej znajomość z babą przypisać, to bardzo chętnie nawet plotą. A jeszcze jak baba ma na czym usiąść, jak to się mówi, i czym oddychać, a pani Miszczykowa to owszem... No, co zresztą będę mówił... to gołym okiem widać.

Ludzie mogą powiedzieć byle co... A prawda jest taka, żebym się z tego miejsca nie ruszył, że oba my z księdzem znali, ale męża tej pani. To owszem, kłamać nie będę.

- Bywał u was, czy jak?

- Nie bywał, a raz bywnął, i tyle my go widzieli. Ale drobiazgi po nim zostały, papiery, a że w czasie wojennym był, no i... pojechał nie wiadomo dokąd, ksiądz po chrześcijańsku postanowił jakoś tę rodzinę pana Miszczyka powiadomić, że nieszczęście się stało.

- A cóż to za nieszczęście?

- E, pan pułkownik żartuje, a sam dobrze wie. Przecież tego pana Miszczyka, jeszcze z dwoma innymi, od nas z plebanii wasi zabrali.

- Jacy nasi?

- Żandarmi. Jeden dębowy taki, fest chłop, pod wąsikami, drugi mniejszy, blondyn. Co

by tu jeszcze o nich powiedzieć... żeby określić... Nie patrzył człowiek, bo zamieszanie było, wszystko eins, zwei, schneller, schneller.

Najlepszy dowód, że ten pan Miszczyk nawet płaszcz nie zdążył zabrać, a tam w kieszeni te właśnie papiery były.

- Kiedy to się wszystko zdarzyło?

- Dzień? Dokładnie?

- Tak. To bardzo ważne.

- To bym pomyśleć musiał. Fakt faktem, że już po padnięciu niepodległości to było.

Taaak... Koniec września, tak jakoś...

- A nazwiska tych dwóch, którzy razem byli?

- Nie powiem panu tego. Nie, żeby nie chciałem, bo duszą i sercem służę, ale nie wiem, bo nie wiem. Jedną noc u nas byli.

Wiadomość, że Miszczyk żyje i że w dodatku przebywa w rękach niemieckich, rozśmieszyła wprost majora Heinckesa. Należało jedynie sprawdzić wszystkie więzienia, areszty śledcze oraz obozy dla oficerów, co przy wspaniale funkcjonującej administracji niemieckiej było prawdziwym drobiazgiem.

Niestety, z żadnych z tych miejsc nie nadeszła dla majora Heinckesa pocieszająca wiadomość. Nikt nigdzie żadnego Tadeusza Miszczyka nie więził, nie internował, nie aresztował.

Raz jeszcze major zdecydował się posłużyć Gorączką i wysłać go na Podkarpacie dla sprawdzenia wiarygodności zeznań kościelnego. Ale z Gorączką działy się w ostatnich dniach rzeczy dziwne. Major nie wiedział, że fala aresztowań, jaka nastąpiła po masakrze w Wawrze, zagarnęła również i brata Gorączki, Kazimierza, który mieszkał wprawdzie w Aninie, ale represje objęły całą okolicę Wawra, nawet sięgnęły rogatek Grochowskiej.

Sam Gorączko dowiedział się o uwięzieniu brata dopiero nazajutrz, kiedy zrozpaczona bratowa, po całej nocy daremnych wyczekiwań na powrót męża, przybyła do niego z błaganiem o pomoc. Gorączkę zaskoczyła ta wiadomość, ale ku zdziwieniu bratowej, zachował spokój i obiecał sprawę załatwić.

Natychmiast połączył się telefonicznie z Klielfhornem i uzyskał przyrzeczenie posłuchania. Gdy Gorączko dzwonił, Klielfhorn akurat rozmawiał z Heinckesem.

- Pański Gorączko - powiedział - niedługo tu będzie.

- Nie dotrzymał pan jednak słowa, Klielfhorn. Prosiłem.

- Sam dzwonił. Ma sprawę. Poważną.

- Chyba że tak - zgodził się Heinckes. - Niech mu pan ułatwi, co trzeba.

I na tym koniec. Już panu mówiłem, że to nasz człowiek, nie wasz.

- Są sprawy, panie majorze - uśmiechnął się Klielfhorn - które mimo podziału naszych kompetencji nie powinny pozostawać nie wyjaśnione. Tak się złożyło, że właśnie on może mi dać klucz do wrogów Rzeszy.

- On mi jest jeszcze potrzebny - powiedział Heinckes. - Niech mi go pan nie zniechęca.

- Nie rozumiem.

- Gorączko nie jest, oczywiście, kryształowym człowiekiem, inaczej nie byłby zdrajcą.

Tylko widzi pan, jemu się wciąż zdaje, że on tym zdrajcą nie jest. Nie wyprowadzam go z błędu.

- On nie wie? - zdziwił się Klielfhorn. - Jest bardzo gorliwy.

- Powiem panu. To ideowiec.

Klielfhorn roześmiał się.

- Tak, tak - potwierdził Heinckes. - Na tym koniku jadę już z nim od ładnych paru lat.

Jego interesuje wyłącznie walka z komunistami. Dokumenty, których teraz szukamy i które miał przejąć, zawierają spis polskiej defensywy na terenie Rzeszy.

- Wiem o tym.

- Ale on o tym nie wie - uśmiechnął się tym razem Heinckes. Powiedziałem mu, że akta te zawierają spis defensywy, ale rosyjskiej, którą rzekomo wywiad polski znał. Tak nie było, ale możliwe, że mogło tak być. Wie pan przecież, że Polacy obłudnie obawiali się Rosji i wysiłki ich wywiadu szły wyłącznie w tamtym kierunku.

- Całe szczęście - wtrącił Kliefhorn.

- Widzi pan, że Gorączko szuka czego innego i ja szukam czego innego, choć obaj tropimy te same dokumenty.

- Pomysłowe, przyznaję - roześmiał się Kliefhorn.

- Z każdym człowiekiem trzeba postępować inaczej, niech mi pan wierzy.

Donosiciela i agenta nie zrobi pan z niego.

- Chyba go pan jednak przecenia - uśmiechnął się Kliefhorn. - Sam tu przyszedł i pokazał donos na siebie.

- Ale przez kogo pisany? Przez volksdeutscha. Nie, nie, panie obersturmbannfuhrer, Gorączko to oczywiście kanalia, ale mimo wszystko czuje się Polakiem.

Kiedy Gorączko zjawił się podniecony, w gabinecie nie było już Heinckesa.

Pokrótkie wyjawiał cel swej wizyty i bez ogródek zwrócił się o interwencję.

Tak, to przykre - przyznał beznamiętnie Kliefhorn. - Niestety, wyjeżdżam na parę dni z Warszawy. To pański rodzony brat?

Gorączko odpowiedział skinieniem głowy.

- Przykro, bardzo przykro - powtórzył Kliefhorn obojętnie, wyglądając przez okno. - I że też to akurat pański brat...

- Gdzie go trzymają w tej chwili?

Kliefhorn odwrócił wzrok od okna.

- To da się łatwo ustalić - powiedział. - To mogę dla pana zrobić. To mogę - podkreślił jeszcze raz i skierował się do drzwi wiodących do sekretariatu.

Pozostawił te drzwi uchylone, tak by Gorączko mógł słyszeć, co mówił do swego adiutanta.

- Sprawdzi mi pan natychmiast. Kazimierz Gorączko. Podejrzany o udział w zamachu na życie Niemców w Wawrze... Natychmiast meldować.

Powrócił za biurko nie patrząc na Gorączkę. Ten zaś wyrzucił pośpiesznie:

- Mój brat nie może być o to podejrzany. Nie było go wówczas w domu.

- W takim razie nie ma powodu do niepokoju.

- Zabrano go z domu dopiero nazajutrz. Zresztą, w ogóle nie mieszka nawet w Wawrze, a w Aninie.

- Daruje pan, ale to niczego nie dowodzi - wtrącił dość obojętnie Kliefhorn. - Pan Dymitrow mieszkał w Sofii, a podpalił Reichstag w Berlinie.

- Mój brat nie miał z tym nic wspólnego! - zawołał Gorączko, coraz bardziej zdetonowany obojętnością Niemca. - Był w tym czasie w Warszawie.

- Tym lepiej. Śledztwo na pewno wykaże jego niewinność, jeżeli jest tak, jak pan właśnie twierdzi. Niepotrzebnie się pan niepokoi.

- Tam... - Gorączko nerwowo szukał papierosów - tam wielu ludzi nie miało z tym nic wspólnego. I już nie żyją.

- Skąd pan wie, że nie miało? Pan był przy tym?

Zapadło pełne napięcia milczenie. Nagle Kliefhorn roześmiał się i jowialnie poklepał Gorączkę po ramieniu.

- Och, pan ma wspaniałe alibi. I niezłego świadka. W mojej osobie.

Przecież pan był w tym czasie tutaj, nieprawdaż? Może pan na mnie zawsze liczyć.

Śmiał się jeszcze przez chwilę bardzo ubawiony.

- Poważnie mówiąc - powiedział - współczuję pańskiemu bratu. Ten akt polskich terrorystów musi być pomszczony. Choćby dla przykładu. Chyba pan to rozumie. Jeżeli zarzut udziału ciąży na pańskim bracie...

- Panie obersturmbannfuhrer, ja ręczę!

- To mnie pociesza. Pan chyba nie wątpi w niemiecką sprawiedliwość?

Przyznaję, bywa surowa, ale to wojna. Jeżeli brat pański będzie oczyszczony z zarzutów... Ale to już nie ode mnie zależy. Co mogłem, zrobiłem dla pana.

Będzie pan miał wiadomość.

Gorączko skinął głową, ni to dziękując, ni to przytakując słowom, które usłyszał.

Kliefhorn więc dodał:

- Nie oczekiwałem, że mi pan podziękuje, bo domyślałem się, że liczył pan na coś więcej z mojej strony. No, niestety - rozłożył ręce - na tym etapie... Zresztą, zrobiłem coś jeszcze dla pana.

Gorączko spojrzał pytająco.

- Pan się nie domyśla? - spytał Kliefhorn. - A przecież nie poruszam już sprawy tej kobiety, która dostarczyła panu anonim. Pan sobie chyba tego życzył, o ile wiem.

Uszanowałem to. Przyznaję, na specjalną prośbę majora Heinckesa. Zadowolony pan?

Gorączko przygryzł wargi; Kliefhorn brał odwet za brak gorliwości ze strony agenta

Abwehry.

- A szkoda - ciągnął dalej Niemiec - ponieważ przypadki przechwytywania

korrespondencji mnożą się coraz bardziej. Już w dziesięciu wypadkach przychodziliśmy za

późno, bo podejrzani zostali w porę ostrzeżeni. Szkoda, powtarzam, że nie chce nam pan pomóc - ponownie rozłożył ręce.

- Kto wie, co to była za kobieta. Nie ma pewności, że pracuje właśnie na poczcie.

- Oczywiście - przyznał Kliefhorn. - Tę pewność tylko pan mógłby potwierdzić. Ale ja pana rozumiem... Czy coś jeszcze ma pan do mnie? - spojrział na zegarek i podniósł się z biurka.

Gorączko nie ruszył się ze swego krzesła. Myślał.

- A gdybym obszedł te urzędy pocztowe? - wykrztusił wreszcie z siebie pytanie.

- Z pozytywnym rezultatem? - uzupełnił to pytanie Kliefhorn.

- Za to przecież nie mogę ręczyć.

- Oczywiście. Podobnie, jak ja nie mogę ręczyć za uwolnienie pańskiego brata. Nie od nas dwóch, nieprawdaż, zależą te sprawy. Ale na dobrą wolę mogę odpowiedzieć tym samym.

- Dobrze - oświadczył nagle Gorączko. - Znajdę ją.

- Żałuję, że nie mam takiego brata, jak pan - powiedział Kliefhorn. - Doprawdy, można na pana liczyć, doprawdy. Pan właściwie już podpisał zwolnienie bratu.

Kliefhorn odprowadził go aż do drzwi.

- I proszę nie żalić się majorowi Heinckesowi - powiedział na pożegnanie - że pana do czegokolwiek zmuszałem. To była pańska inicjatywa.

Po wyjściu Gorączki, adiutant Kliefhorna, który od dłuższego już czasu trzymał w ręku służbową notatkę, podał ją wreszcie zwierzchnikowi. Ten przebiegł szybko wzrokiem jej treść i skrzywił się.

- Już? - spytał. - Tak prędko?

- Tak jest - zameldował adiutant. - Razem z piętnastoma innymi. Dziś w południe.

Kliefhorn zerknął mimowolnie w stronę drzwi, za którymi zniknął przed chwilą

Gorączko, i wzruszył ramionami.

- No, cóż - mruknął. - Nie moja wina. Opieszalstwo. Opieszalstwo ze strony pana

Gorączki. Mógł być dziś u mnie z samego rana.

- To był jego brat? - spytał adiutant.

Ale nie doczekał się odpowiedzi szefa. Kliethorn podarł notatkę i wrzucił do kosza. -

Gorączko wynajął na cały dzień dorożkę i kazał się wozić od poczty do poczty, aż to zdziwiło starego sałaciarza. Wyczekując pod budynkami urzędów pocztowych widział, jak jego pasażer podchodził do wszystkich okienek, przyglądał się pracującym urzędniczkom, a nawet, udając filatelistę poszukującego wycofanych znaczków, wchodził na zaplecze, do sortowni pocztowych.

Późnym popołudniem Gorączko odnalazł wreszcie panią Zofię. Wrócił do dorożki podniecony i po raz pierwszy tego dnia zlecił kurs inny. Na Szucha.

Wtedy dorożkarz wyzbył się ostatnich złudzeń, wiedział już, kogo woził przez cały dzień. Na Koszykowej, kiedy byli już bliscy celu, dziwny pasażer ponownie zaskoczył woźnicę. Oto, kiedy już wysiadł, by dalszą drogę odbyć piechotą (poczynając od placu Na Rozdrożu, Szucha zamknięta była dla ruchu), zatrzymał się wraz z tłumem gromadzących się ludzi przy ogłoszeniowym słupie. Tam na czerwonym plakacie Gorączko wśród rozstrzelanych dojrzał nazwisko i imię brata. Nie wierzył własnym oczom.

Jak pijany wrócił do stojącej wciąż jeszcze w tym samym miejscu dorożki.

- Stało się co? - troskliwie zapytał furman.

- Tak... - wycharczał Gorączko. - Stało się. Ale stanie się jeszcze więcej. Na tę pocztę, na której byliśmy ostatnio.

- Znowuj na pocztę?

- Albo nie - zmienił decyzję Gorączko - naprzód do knajpy. Ale nawet kilka pod rząd

wypitych „angielek” nie zdołało opanować drżenia ręki, kiedy na restauracyjnej bibułce pisał pośpiesznie list. Odwiózł go potem na pocztę, poprosił woźną o oddanie pani siedzącej za czwartym okienkiem.

- To pani Niwińska - poinformowała go przy okazji woźna. - Może poprosić?

- Nie, nie - powiedział pośpiesznie - wystarczy oddać.

Pani Zofia, zapoznawszy się z treścią dziwnej korespondencji, natychmiast udała się do naczelnika. Położyła przed nim bez słowa złożoną bibułkę.

Naczelnik czytał:

- „Proszę przestać bawić się w ostrzeżenia. Oni wiedzą więcej, niż się pani wydaje. To szczerza rada. Prawdziwy przyjaciel”.

Naczelnik uniósł się zza biurka.

- Skąd pani to ma?

- Ktoś przyniósł przed chwilą.

Naczelnik podarł kartkę w drobniutkie kawałeczki i wrzucił do kosza na śmieci. Po namyśle sięgnął po nie jeszcze raz i ponownie przedarł na jeszcze mniejsze skrawki.

- Niedobrze - powiedział.

- Co zrobić? Panie Stefanie, co zrobić?

Naczelnik nerwowo zapalał papierosa. Podeszedł do okna.

- Niedobrze, bardzo niedobrze - powtarzał. - Mógłbym na jakiś czas dać pani zwolnienie... Przeczekać to, póki się nie wyjaśni... Chociaż nie, to dopiero zwróciłoby uwagę... A jak tam dzisiaj? Ma pani coś?

- Dziś nic.

- To dobrze. Trzeba będzie pomyśleć nad jakimś innym sposobem przekazywania tych listów... Któż to mógł być, nie domyśla się pani?

Niwińska wzruszyła ramionami.

- W każdym razie, gdyby... - naczelnik zawiesił głos - gdyby doszło do czegokolwiek... Pan profesor się orientuje?

- Nie. Mąż nigdy nie pozwoliłby mi na to.

- Pani Zofio - naczelnik obszedł biurko i stanął twarzą w twarz z Niwińską. - Wiem, że ma pani teraz do mnie żal.

- Żal?

- Namówiłem panią.

- Wiedziałam, na co się decyduję, panie Stefanie. Czy to było rozsądne... sama dziś nie wiem... Teraz zwłaszcza nie wiem, w tej chwili. Może to była lekkomyślność. Trochę mnie pociągała ta tajemniczość, nawet - wyznam szczerze - początkowo intrygowało... odmłodziło, było w tym coś z harcerskich podchodów, czy ja wiem... W takich chwilach człowiek nie myśli, że to igraszki ze śmiercią. W tej chwili wiem. Mam syna i powinnam dla niego żyć.

- Może właśnie ktoś inny naraża się w tej chwili dla niego, pani Zofio.

- Pan wierzy, widzę, w to biblijne pouczenie, że dobry uczynek zawsze będzie odplacony tą samą monetą. Ale ja nie wypełniałam dobrych uczynków, panie Stefanie, wypełniałam tylko obowiązek, bo tak to potraktowałam.

- Cieszę się, że pani tak mówi.

- Tylko, widzi pan... do obowiązków można się było zniechęcić.

Obowiązkiem naszym był COP. Płaciłam. Obowiązkiem było polec w obronie Warszawy. Czy to były konieczne obowiązki, jeżeli nie mamy nic?

- Owszem, mamy świadomość, że teraz dopiero łączy nas coś, co kiedyś było tylko sloganem w przemówieniach, słówkiem haftowanym na sztandarach.

- Honor? Ojczyzna? Honor nam jeszcze może i został. A ona?

- To od nas zależy, pani Zofio. I od pani. Od tego oporu, który stawiamy.

- Jak długo?

- Dwa, trzy miesiące. To dłużej nie potrwa. Tyle Francji potrzeba.

- Pan też mówi: Francji - uśmiechnęła się Niwińska.

- Wszyscy mówią.

- Owszem. Nawet mój mąż. Tylko jak dotrzeć do tego zwycięstwa? Czy tak, jak pan?

Czy tak, jak mój mąż: przeczekać nie wychodząc z domu? I widzi pan, on niehonorowo doczeka się powrotu syna, a ja z honorem wprowadzę, ale tego syna osierocę. Nie wiem, nie wiem, jak tego doczekać...

Gorączko zaś działał jak w transie. Wprost z poczty kazał się wieźć do Miszczykowej, której adres dobrze pamiętał od czasu, kiedy Heinckes nakazał jej inwigilację. Teraz Gorączko pragnął już tylko jednego, i to za wszelką cenę: odszukać Miszczyka tym razem nie dla Heinckesa, dla siebie, dla ratowania własnej głowy. Jeżeli w porę go ostrzeże, sprzeda wiadomości o znanych mu w Abwehrze Niemcach, będzie mógł liczyć na pobłażanie po wojnie.

Miszczykowej oświadczył bez zbytnich wstępów:

- Panią zdziwi zapewne moja wizyta. Zdziwi też panią to, co za chwilę powiem, ale... muszę to zrobić.

- O co właściwie chodzi? - spytała piękna pani Maryla.

- Pani mąż żyje.

- Wiem o tym. Pan znał mojego męża? - spytała z nadzieją:

- Powiedzmy, ze słyszenia. A więc żyje, tego może być pani pewna.

- Dziękuję panu, dowiedziałam się o tym niedawno.

- Tak. Wiem, że pani wie. Ale w gruncie rzeczy zna pani tylko przypuszczenia,

domysły. A ja pani przynoszę pewność.

- Przepraszam... kim pan jest?

- Dziś każdy ma nazwisk więcej niż pieniędzy w portfelu. Cóż pani z tego, że powiem?

- Rozumiem. Odpłacę się panu za tę wiadomość szczerością, chociaż nie wiem, kim pan jest, a osobą mego męża interesują się również, nie wiem dlaczego, Niemcy. Ale nie mam niczego do ukrycia, mogę mówić szczerze. Czy pan... błagam pana, wie pan cokolwiek?

Gdzie on jest?

Gorączko wstał od stołu, podszedł w stronę komódki, ujął w dłoń fotografię za szybką kapitana Miszczyka, przyglądał się długo zdjęciu.

- To on? - spytał.

Miszczkowska potwierdziła skinieniem głowy.

- To, co teraz powiem, będzie dla pani odpowiedzią na pani pytanie, dlaczego szukają go Niemcy. A oni go bardzo szukają. Bardzo. Ale... - Gorączko odwrócił się w stronę okna, mówił teraz z wściekłością - stało się coś takiego, że póki żyję, to go nie dostaną.

Przez chwilę jakby wsłuchiwał się w zdanie, które z siebie wyrzucił, a następnie dodał:

- Tylko musi mi pani pomóc.

Miszczkowska, dezorientowana, patrzyła niepewnie na nieznanego.

- Wiem - Gorączko spróbował się uśmiechnąć. - Zachowuję się trochę dziwnie. Ale takie są czasy. - Mąż miał przy sobie dokumenty ogromnej wagi.

Rozumie pani?

- Nie wiem... Nic o tym nie wiem - lodowato oświadczyła Maryla.

- Te dokumenty muszą się dostać do Anglików. Mąż tego sam nie dokona. To muszę

zrobić ja.

- Przepraszam pana - przerwała Maryla. - Nie znam się na tym wszystkim.

I... wolałabym o tym nie wiedzieć.

- To jest jedyna szansa - powiedział z naciskiem Gorączko, po czym poprawił się szybko: - Dla tych dokumentów, rzecz jasna.

Maryla wstała.

- Daruje pan. Nic mnie to nie obchodzi. Jestem wyłącznie żoną Tadeusza Miszczyka.

Nie podkomendną.

- Pani się boi, rozumiem - Gorączko zamyślił się. - Klnę się na Boga, że mówię prawdę. Na pamięć mojego brata, którego zamordowali ci dranie. I muszę ich urządzić, muszę...

- To są pańskie zmartwienia. Daruje pan, ale niedługo muszę wyjść.

- To są zmartwienia nas wszystkich. Polaków. Dlatego muszę zobaczyć się z pani mężem.

- Ja też. Nie mniej tego pragnę od pana.

- Mąż niedługo da znać o sobie. Potwierdzi, że mówię prawdę. Niech pani powie mu wtedy tylko tyle: Bugajczyk. Szofer Bugajczyk... Nie, nie, to nie ja. Ale mąż będzie wiedział, że należy skontaktować się ze mną. Będę tu dzwonił do pani co jakiś czas... Wkrótce mi pani powie. Dobrze?

- Tak, tak, oczywiście...

- Pani to mówi, żeby mnie zbyć. Ale niech pani to przemyśli.

Tak przygotowawszy sobie grunt do zdradzenia Heinckesa, dla którego uprzednio zdradzał własny kraj, Gorączko znów poszedł się upić. Ani przypuszczał, że w tym samym czasie dorożkarz, członek podziemnej organizacji, dawno już zdołał przekazać gdzie należy

swe spostrzeżenia o dziwnym pasażerze, jego rysopis i adres.

Od tego dnia Gorączko, wbrew dotychczasowym zwyczajom, pił dzień w dzień na umór. Heinckes, który chciał mu zlecić podróż na Podkarpacie w celu zbadania prawdopodobności kościelnego z Owczar, pojął, że musi z tego na razie zrezygnować.

Dowiedział się o śmierci brata Gorączki, zrozumiał motywy codziennych pijaństw i uznał, że przez jakiś czas nie może liczyć na tego współpracownika. Nie wiedział tylko, że liczyć już nie może wcale.

W tej sytuacji Heinckes osobiście udał się na Podkarpacie, przesłuchał proboszcza, który słowo w słowo potwierdził zeznania kościelnego.

Żandarmeria w miasteczku w żaden sposób nie była jednak w stanie stwierdzić, że kiedykolwiek zatrzymano człowieka o podobnym nazwisku.

Już do Owczar miała wyruszyć ekspedycja, by za fałszywe zeznania aresztować księdza i kościelnego, kiedy w tamtejszym banku wybuchła afery z fałszywymi pieniędzmi.

Zakwestionowano je mianowicie jakiemuś ziemianinowi.

Polak doprowadzony na policję twierdził, że pieniądze te wygrał swego czasu w pokera od podoficera żandarmerii, który przybył doń rekwirować konie.

Ponieważ w grę wchodziła ogromna suma, nie do pomyślenia w rękach podoficera, Heinckes zainteresował się jej pochodzeniem. Żandarm, obawiając się posądzenia o rozprowadzanie fałszywych banknotów, wybrał mniejsze zło i zeznał uczciwie, że otrzymał je od jakichś trzech zatrzymanych, których i tak puszczono by wolno.

Major Heinckes, acz nie w pełni usatysfakcjonowany, rad był jednak z efektów swej podróży na Podkarpacie. Przyniosła mu ona stuprocentową pewność, że Miszczyk żyje i przebywa gdzieś w Generalnej Guberni.

Tak więc gorliwy major Abwehry ze zdwojoną energią przystąpił do tropienia

człowieka, który od kilku miesięcy już nie żył. Natomiast uchodzący za niego Władysław Niwiński przebywał daleko poza granicami gubernatorstwa, bo w małym miasteczku pomorskim, u Kurasia.

Były kapral dziewiątego pułku strzelców konnych dawno już zdołał zbiec ze stalagu i powrócić do rodzinnych stron. Polska ludność Pomorza od pierwszych dni podlegała szczególnie brutalnym i wyrafinowanym metodom działania okupanta. Masowo wysiedlano całe rodziny, ulice i miasteczka, zwalniając miejsca dla przybywających tu Niemców kłajpedzkich. Tych, którym jeszcze pozwolono pozostać, poddawano każdego dnia, na każdym kroku. upokarzającym represjom i zarządzeniom, bez ogródek wyznaczającym Polakom rolę niewolników zwycięskiej rasy niemieckiej.

Pierwsze obwieszczenie, jakie rzuciło się Niwińskiemu w oczy po opuszczeniu dworca, oznajmiało:

...Żeby zapobiec bezczelnemu zachowaniu się ludności polskiej, zarządzam co następuje: Obywatele polscy obojga płci mają obowiązek przed reprezentantami narodu niemieckiego ustępować z drogi, to jest schodzić z trotuaru na jezdnię. Wobec przechodzących umundurowanych Niemców należy ponadto zdjąć nakrycie głowy. Ulica należy do zwycięzców, a nie do zwyciężonych.

Kuraś, wierny swej filozofii życiowej, natychmiast znalazł sposób, by zarządzenia tego nie przestrzegać, jednocześnie wcale go nie naruszając.

Założył przedsiębiorstwo transportowe, dzięki czemu po prostu stale poruszał się po jezdni, nie zaś po chodniku.

Przybyciem Niwińskiego serdecznie się ucieszył. Po uczczeniu tego wydarzenia i po wypiciu bruderszaftu, tak byłemu dowódcy tłumaczył swoją receptę na przetrwanie:

- Trzeba, Władziu, tak się przy siusianiu ustawiać, żeby nie pod wiatr.

Jak wróciłem, to szklarzem byłem.

- Szklarzem? - zdziwił się Niwiński.

- A czego wtedy najwięcej ludziom było potrzeba? Jednego okna całego nie było. A szyba, to wiesz... wszędzie potrzebna. I w sypialni, bo zimno, i na wystawie, bo ukradną, nawet w sraczu musi być, bo podwieje... Potem żarcia zabrakło, to się wziąłem za handel. Ale to ryzyko. No, to kombinuję, kombinuję i widzę, że wędrówki nastąpiły. Wysiedlają do Polski, a jak nie wysiedlają, to wyrzucają z mieszkań. No, to jak myślisz, co jest potrzebne, żeby tego Singera na plecach nie tachać? Koń.

- Ty rzeczywiście nie zginiesz. Już ci to chyba kiedyś przepowiadałem.

- Trzeba do taktu chodzić. To grunt.

Kiedy mu Niwiński opowiedział o swej oświęcimskiej przygodzie, Kuraś uznał za stosowne pouczyć dawnego przełożonego.

- Nie bierz udziału w takich zabawach. Na razie z wrześniowej przysięgi cię zwolnili.

- Sam chciałem - przerwał mu Władek.

- Znałem jednego, co sam chciał zupę widelcem nabierać. I z głodu umarł.

Dobrowolnie, bo nikt mu tego nie kazał. Jak ci nie każą, Władziu, nie pchaj się na wystawę, bo życie to nie sklep i drugiego takiego towaru na składzie nie znajdziesz.

- Nie, nie - protestował Niwiński. - Z założonymi rękami nie można przecież siedzieć.

- To weź w nie lejce. Będziemy razem powozić. I zarobimy. Tylko pieniądz jeszcze coś znaczy. Przypomnij sobie, jak nas wykupiłem.

- Ale nie po to, aby siedzieć beczynnie. Chyba jednak muszę przedostać się do Francji.

- Mój koń cię tam nie zawiezie - filozoficznie odparł Kuraś.

A jednak obu ich czekała podróż, nie w tych co prawda kierunkach, które by sobie

zyczyli, i nie tym środkiem transportu, którym dysponował zaradny kapral. Na początku marca, kiedy przewozowa firma była w pełnym rozkwicie, policjant doręczył Kurasiowi nakaz wysiedleńczy. W ciągu godziny, z pięćdziesięciokilogramowym tobołkiem, który pozwolono mu zabrać, miał opuścić i dom, i firmę, i miasteczko.

Tak więc po sześciotygodniowej, wyczerpującej podróży w bydlęcych wagonach wiozących nowych przesiedleńców, Niwiński ponownie przekroczył granicę Generalnej Guberni, tym razem jako były furman byłego przedsiębiorstwa Pferdetransportstelle L. Kurasch.

Kuraś, który nigdy nie załamywał rąk, początkowo zatrzymał się w Legionowie pod Warszawą, u szwagra, i od razu pierwszego dnia zaczął rozglądać się za interesem, który pozwoliłby mu przystosować się do nowych okoliczności.

Niwiński już przeszło pół roku nie widział Warszawy i dotychczas nie miał żadnych wiadomości o rodzicach, pilno mu więc było jak najrychlej opuścić Legionowo. Kuraś jednak nie przejmował się zbytnio ponagleniami przyjaciela i, pławiąc się w cynowej balii szwagra, perorował:

- Pali się? Chcesz, żebym do Warszawy wjechał z wszami z Reichu? Sześć tygodni mydła nie widziałem. Nooo... wszystko ze mnie spłynęło i z tej balii wychodzę jako nowy obywatel Generalnej Guberni. Teraz, Bolek - te słowa skierował już do szwagra - pewnie żałujesz, żeś nas kiedyś zapraszał, żeby wpaść do was na święta, na parę dni? Chciałeś, no to masz gości, tyle że na trochę dłużej... Nie masz jakiego krawata pożyczyć? Pierwszy raz w Warszawie...

Szwagier Olczak odszedł do komódki i zaczął szperać w szufladzie. Kuraś, już w spodniach i koszuli, podszedł do okna i przyglądał się ulicy małego miasteczka. Na wprost mieszkania Olczaków znajdował się zakład pogrzebowy.

- Mówisz, że na dłużej... - Olczak wciąż grzebał w szufladzie. - Znaczy, na ile? - W tej

chwili zreflektował się jednak. - Nie zrozum mnie źle, dla mnie rodzina święta rzecz. Ale jak długo to może potrwać jeszcze? Ta wojna?

- Dwa, trzy miechy. Góra - odparł Kuraś. - Teraz im żabojady wleżą na kark.

Olczak nie był jednak przekonany.

- To po co twój kumpel do nich się wybiera?

- Władek? - spytał Kuraś.

- Całą noc powtarzał. W Warszawie tylko rodzinę zobaczy, złapie kontakt, i do Francji...

- Bo on, widzisz - tłumaczył były kapral - uwziął się zginąć. Taka mania.

Ty, weźmy, zbierasz znaczki... Zbierasz jeszcze?

- Lokata. Sam kiedyś mówiłeś: lokuj w coś, Bolek.

- Zgadza się. Ale masz manię. On też. We wrześniu starał się, jak mógł.

Nie wyszło. Potem w konspiratora się bawił. Dalej żyje. No, to teraz we Francji chce dać grabarzom zarobić. Też ludzie. A ja znów, Bolek... ale nikomu o tym ani pary z gęby!

Olczak wykonał ręką ruch, jakby zamierzał przysięgę składać, i konspiracyjnie nachylił się ku Kurasiowi.

- A ja odwrotnie. Nie wiem dlaczego, ale cholernie lubię żyć.

Zawiedziony Olczak machnął ręką i zabrał się do czerpania wody z balii.

Wlał ją do wiadra i gotował się do wyjścia, ale zatrzymał go jeszcze głos kuzyna:

- Nie ma takiej biedy, Boluś, której nie dałoby się przeczekać. Tylko że jeden lubi schodzić po schodach piechotą, drugi zjeżdża windą, a jeszcze inny od razu z okna skacze i wydaje mu się, że najprędzej na dole będzie.

Sam widzisz, że ten od windy ma najlepszą głowę. Nie za szybko, ale za to

luksusowo. I tak trzeba, Bolek, tak trzeba. O, proszę... - spojrział w okno - ten sobie żyje.

- Kto? - zdziwił się Olczak.

- Twój sąsiad.

Po drugiej stronie ulicy, z zakładu pogrzebowego wynoszono właśnie trumnę oraz dwa wieńce i ładowano to wszystko na czekającą przy chodniku furmankę.

- Klientów mu nie zabraknie. Ma sezon. Nie potrzebuje on współnika czasami? - zainteresował się Kuraś.

- Oj, szwagrowski, szwagrowski, nic się nie zmieniłeś. O interesach tylko.

- A o czym mam myśleć? O Poli Negri?

Na razie towarzyszył Niwińskiemu w jego wędrowce po Warszawie w poszukiwaniu rodziców. W tym czasie, o czym Niwiński wiedzieć nie mógł, pani Zofia już od dawna przebywała w Krakowie. Zmuszona była do opuszczenia stolicy natychmiast, kiedy okazało się, że jest śledzona.

Przełożony Niwińskiej - zarówno w pracy, jak i w komórce organizacyjnej - naczelnik poczty, pan Stefan, wydał jej polecenie opuszczenia Warszawy.

Roznoszenie kompromitujących listów, cała akcja ostrzegania zagrożonych - ulec musiała chwilowemu zawieszeniu. Pan Stefan dość szybko ustalił, że mężczyzna obserwujący dawną jego pracownicę jest niemieckim konfidentem.

Zameldował o tym swemu zwierzchnikowi, aptekarzowi Kudlińskiemu. Na zapleczu apteki poinformował Kudlińskiego o wyjeździe Niwińskiej, co jednak, jego zdaniem, nie rozwiązywało jeszcze problemu zagrożenia.

- Magistrze, jeżeli ten konfident jest znany... - przystąpił do formułowania wniosków, z którymi tu przyszedł, ale farmaceuta przerwał mu w pół zdania.

- To co? - spytał.

- To albo z nim pogadać, może chce szantażować, mieliśmy już podobne wypadki, że okupem dało się załatwić, albo...

- Albo? - ponownie przerwał aptekarz.

- No, wie pan... Kolaborant...

- Pan chyba oszalał - aptekarz zerwał się ze skrzynki z lekarstwami. - Jakie mamy dowody? Że przychodził na pocztę częściej niż inni? Albo że rozmawiał z jakimś Niemcem? Igo Sym oficjalnie kolaboruje i szkodzi, a przecież trwa cała procedura i komórka prawna stanowczo sprzeciwia się wykonaniu wyroku, dopóki nie zostanie dowiedziona wina. Nasze prawo działa w podziemiu, ale działa zgodnie z literą i etyką wymiaru sprawiedliwości. A pan mi tu proponuje samosądy.

- Nie rewanżują nam się taką samą elegancją.

- Więc cóż z tego? - farmaceuta zapalał się coraz bardziej. - Żyjemy w dwudziestym wieku i nie sposób, byśmy przyjęli punkt widzenia małp tylko dlatego, że te małpy obsiadły nas i nie możemy dać sobie z nimi rady. Czy pańska wyższość nad psem, który pana ugryzł, polegać ma na tym, że też go pan ugryzie w łapę?

- Nie - odpowiedział naczelnik - bo mam założony kaganiec.

- Bzdury! - aptekarz machnął ręką. - Gdyby przyjąć pańskie poglądy, powinniśmy nie tylko strzelać do nich zza każdego węgła i dachu...

- Powinniśmy - spokojnie przerwał tym razem pan Stefan.

- ...ale wrzucać im w restauracjach do zupy grzybowej muchomory albo do każdego lekarstwa powinienem im domieszać cyjanku.

- Owszem. Gwałt niech się gwałtem odciska.

- Gwałt? Świat nie wie, jak giniemy, jak tu zdychamy i rżemy, ale przed sądem historii nie udowodnimy, żeśmy bronili cywilizacji, jeżeli przedstawimy tylko odpowiednią

liczbę trupów, którym poderżnęliśmy z zemsty gardła.

- Nie rozumiemy się - naczelnik podniósł się z krzesła.

- Nie.

- Trudno, żeby założyć dla esesmanów szkołkę niedzielną i uświadamiać ich tam, że nie bawią się ładnie.

- Trudno, istotnie - przyznał aptekarz. - Ale możemy się organizować w obronie. Robi to pan, robiła to pańska pracownica: Możemy się ostrzegać, uciekać, uświadamiać.

Wydajemy już kilka tytułów gazetek... Każdy zamach na byle feldfeblu kosztuje nas w rewanżu stu zakładników - docentów, inżynierów, nauczycieli, dzieci. Ma pan prawo rozporządzać ich życiem? Nie dość panu czerwonych plakatów na mieście? Tych hurtowych nekrologów?

Proszę, proszę - w zdenerwowaniu wyszarpnął z kitla złożoną we czworo, gęsto zapisaną przebitkę maszynowego papieru. - To lista tych, których wywieziono znów wczoraj na rozwałkę, prawdopodobnie do Palmir.

- Można? - naczelnik wyciągnął rękę po papier.

- A w dodatku - aptekarz zapalił papierosa i starał się teraz mówić spokojnie - nasi informatorzy często nie znają całości sprawy. Kierują się pozorami. Ktoś rozmawiał z gestapowcem. Kogoś widziano na przedniej platformie tramwaju. A może to maska? Wie pan, na przykład, skąd to mamy? - wskazał na listę trzymaną przez naczelnika. - Od strażnika z Pawiaka.

Maszynistka w kancelarii więziennej, przepisując listy zatrzymanych albo

wypisywanych na rozwałkę, zamiast pięciu egzemplarzy podkładała jeszcze dwie przebitki.

Dla nas. Tego strażnika ludzie opluwają na ulicy. A my po wojnie przypniemy order. Czy jest więc pan naprawdę pewien, że wie pan wszystko o tym człowieku, który was wystraszył na

poczcie?

Pan Stefan zdawał się być przekonany. Aptekarz dodał:

- Zainteresujemy się nim, owszem. Porucznik Zawistowski narzekał właśnie na brak zajęcia. Zlecimy mu tę sprawę.

Tak więc dawny przełożony chorążego Niwińskiego, porucznik Zawistowski, otrzymał polecenie ustalenia tożsamości zagadkowego mężczyzny, który kręcił się koło pani Niwińskiej; ta ostatnia, spłoszona; wyjechała pośpiesznie z Warszawy, do której właśnie powracał po wojennej tułaczce jej syn.

Wraz z Kurasiem pierwsze swe kroki skierowali do dawnej kamienicy na Kole. Zastali tu dozorcę, pana Tosia Szkudlarka, zajętego już nie uprzątnieniem gruzów, lecz wywozieniem cegieł, które w równych pryzmach zalegały plac. Tylko te cegły pozostały po dawnej kamienicy Sommera. Pan Tosiu odnotował właśnie odjazd kolejnej wyładowanej furmanki i powrócił do oczekujących go niespodziewanych gości. O aktualnym adresie rodziców Niwińskiego niewiele mógł powiedzieć.

- Z duszy, serca, panie Władeczku, ale nie wiem, nie wiem. Coś mi świta, że pan profesor wtedy o Hożej wspominał... A może to była Wilcza... Czy Żurawia? Nie pamiętam.

- A ten gestapowiec, który wypytywał o mnie i o ojca, jak wyglądał?

- Jak wyglądał? No, jak gestapowiec. Co panu za różnica? Pan profesor strasznej cykorii wtedy dostał... No, ja się nie dziwię. Na pańskim miejscu, panie Władeczku, to ja bym o inne nazwisko się postarał. Dużo dzisiaj tak robi i żyje. Jak by tu pana naprowadzić na adres? No, nie wiem... U kolegów dawnych pan nie był?

- Kiedy? Pierwszy dzień jestem w Warszawie.

- Też racja. I co pan powie, panie Władeczku? Nic nie zostało. Tylko to żelastwo, i to odpowiedzialny jestem, żeby odstawić. Cały złom ściągają.

Jeżeli im to pasuje, żeby sracz Sommera na czołg przerobić, ja - proszę bardzo. Widać nie taka znów potęga.

- A cegły? - wtrącił pytanie milczący dotąd Kuraś.

- Co cegły?

- Też pan odstawia?

- Przepisowo. Nie widzieli panowie, jaki mur na Świętokrzyskiej stawiają?

I to się ma ciągnąć Żelazną, Bielańską, Leszmem. To parę sztuk cegieł wymaga.

Najprawdopodobniej dzielnicę żydowską tak grodzą. Strach, strach, panie Władeczk, co się wyprawia. I po co pan wracał? Ja przekonany byłem, że pan sobie w Paryżu pod tą wieżą, zapomniałem nazwy, tam i nazad spaceruje, że żaby pan wtraja na tę drogę do Warszawy, a pan już tu...

- Może jeszcze nic straconego - westchnął Niwiński.

Kuraś poczęstował dozorcę papierosem.

- Te cegły z głowy mi wyjść nie mogą - powiedział. - Nie ma domu, żeby w nim dziury nie było, to i cegła musi być w cenie.

- I jest - przytwierdził pan Tosiu.

- To na co pan czeka? Koniom wszystko jedno, w którą stronę pojadą. A furmanowi też parę groszy się przyda.

- Za co? - zdziwił się dozorca.

- Za cegły - odpowiedział Kuraś.

- Za jakie cegły?

- Za te, które pan sprzeda.

- Ja? Komu? - dozorca wybałuszył oczy.

- Może mnie.

- Pan murarz?

- Jeszcze nie wiem. Ale niewykluczone.

Pan Tosiu przyjrzał się Kurasiowi z zainteresowaniem. Potem ujął Niwińskiego pod ramię i odciągnął na bok.

- Na dwa słowa, panie Władeczku. To zaufany człowiek?

- Jak najbardziej - odparł Niwiński.

Pan Tosiu w milczeniu rozgryzał jakiś bardzo poważny problem.

- Panie Władeczku - powiedział po chwili - jakby pan dziś rodziców nie znalazł, to na nocleg do mnie proszę bardzo. U syna teraz mieszkam, nie wiem, czy pan pamięta. W tramwajach robił. Mundek. Pan poważnie o tej Francji myśli? Może i na to syn poradzi.

Niwiński uśmiechnął się.

- Tramwajem raczej trudno tam dojechać.

- Zna paru ludzi... Kto wie... - dodał dozorca.

Niezwykle prędko gościnna propozycja pana Tosia stała się nie tylko aktualna, ale wręcz konieczna. Wędrówka po Warszawie w poszukiwaniu rodziców i dawnych kolegów nie przyniosła żadnych rezultatów. Drugiego dnia Niwiński omal nie padł ofiarą kotła, jaki gestapo założyło w jednym z mieszkań na Żoliborzu. Uciekając spod drzwi, z których wyłonił się esesman, raniony nawet został w dłoń, zdołał jednak zbiec klucząc podwórkami i ogrodami żoliborskich domków. Kiedy wreszcie wskoczył w biegu do pierwszego nadjeżdżającego ulicą Słowackiego tramwaju, jego motorniczym okazał się młody Szkudlarek. Już się z nim nie rozstał - i później, w domu Szkudlarków, zapoznał Mundka ze swymi planami ucieczki do Francji.

- Tatko trochę przesadził - powiedział młody tramwajarz, wysłuchawszy opowiadania

Niwińskiego. - Nie mam takich znajomości. Owszem, pomógłbym się zadekować, choćby u

nas, w tramwajach.

- Kiedy ja, panie Mundku, nie chcę się już dekować. Byłem w wojsku i... wie pan, kto się dekuje?

- W wojsku... - tramwajarz machnął lekceważąco ręką.

- Tchórze - dorzucił Niwiński.

- Ale teraz nie jest pan w wojsku, a dekują się nawet bohaterowie. Taki czas. Uparł się pan rzeczywiście na tę Francję?

- Jego szukają, Mundziu - wtrącił pan Tosiu - zrozum to. Nawet jak matki szukał na poczcie, to nie powiedział, że jest synem, bo po co ma kto wiedzieć, jeżeli go szukają.

- Ja nie uciekam do Francji. Ja do niej jadę walczyć.

- Takie zajęcie znalazłoby się i tutaj - odparł Mundek.

- Nie. Mam dość.

- Już? - Mundek uśmiechnął się kwaśno i, wskazując na obandażowaną rękę

Niwińskiego, dodał: - Zodatek panu wystarczył?

- Pan mnie nie zrozumiał! - Niwiński był wściekły i podkreślił z naciskiem: - Mam dość waszego dekowania się właśnie.

- Nawet bohaterowie dziś to robią - spokojnie powtórzył tramwajarz. - Zmieniło się...

- Zmieniły się pojęcia, wiem, ale ja nie mogę zmienić mojej natury. To nie jest walka.

W przebraniu. W dzień mówić guten Morgen, a w nocy podnosić ręce do góry. Wszystko się we mnie buntuje, wszystko. Od dziecka wbijano mi do głowy, że Polak walczy z otwartą przyłbicą, po rycersku i na znie wagę odpowiada znie wagą. A w drodze z Pomorza szwab ryczał do mnie: „ty świnió”.

Jaki jest naturalny odruch zelżonego mężczyzny? Dać w mordę. Nie dałem. I do dziś pluję sobie w gębę.

- Nie miałyby pan już śliny - wtrącił pan Tosiu - gdyby się stało inaczej.

Oj, panie Władeczku, panie Władeczku...

- W Reichu każą zdejmować przed sobą czapki albo ustępować z chodnika. - Niwiński podniecał się coraz bardziej. - Czy normalny mężczyzna może to znieść? Już próbowałem. Właziłem służącym pod kołdry. Byłem ogrodnikiem i furmanem. Dawałem łapówki, żeby ratować życie. Wystarczy? I to wszystko było oczywiście formą walki. Ale ja takiej formy nie trawię. Wszystko to zamiast okopów, zamiast szarży, ataku, zamiast występowania w mundurze i rogatywce, żeby Niemiec mógł do mnie celować, bo jestem jego wrogiem, który nie kryje się z tym, że też chce go zabić. Dlatego chcę tam jechać, bo tam jest wojna prawdziwa. Każdy żołnierz zrozumiałby mnie, co czuję.

- Skąd pan wie, że nie mogę zrozumieć? - spytał syn dozorca. - Mnie do takiej walki zapraszać nie trzeba. Jak tu we wrześniu ruszyli wszyscy przez Poniatoszczaka na Lublin, gdzie ja byłem? Jak pan myśli? A o robotniczych brygadach obrony Warszawy pan słyszał? Nie? No, to pan mało jeszcze słyszał. I nikt nam nie kazał ani zaproszeń nie wysyłał. Tak, panie Władziu, co się Polsce należy, to pan mi tłumaczyć nie musi, ale prawdziwa wojna jeszcze się tam, we Francji, nie zaczęła.

- Teraz uderzą z całą siłą - z przekonaniem powiedział Niwiński.

Mundek lekceważąco machnął ręką.

- Może i uderzą, daj im Boże. Nie rozchodzi mi się o ich bomby, działa, ataki. Tak może i powinna wyglądać wojna i tak ma pan w każdym podręczniku.

Ale od kiedy wzięli się za nią faszyci, prawdziwa wojna wygląda inaczej.

Tu ją pan ma. Strzelanie do dzieci, kopanie bab w ciąży, dobijanie rannych, wrywanie paznokci w piwnicach, skazywanie na śmierć głodową. Pan mi pokazuje na mapie Sedan, a prawdziwy front, wie pan, którą przebiega?

Przez Szucha i przez Pawią, przez Kercelak i przez Żolibórz, po którym pan dzisiaj leciał i jucha z pana kapła.

- A prawda! Jak ręka? - Pan Tosiu nagle się zatroskał. - Gdzie my pana położymy spać, Mundek? Razem z tamtym?

- Tak.

- Bo my już, panie Władeczku, też jednego bez dachu nad głową mamy - wyjaśnił dozorca.

- Zaraz, tatko... - Mundek jeszcze nie skończył kwestii. - Pan mówi, że prawdziwy mężczyzna nie może znieść, kiedy go świnią ochrzczą?! To ja coś panu powiem.

- Dałem tylko przykład...

- Wiem, wiem. Bo pan dopiero teraz poczuł, co znaczy komuś na honor nadebrać. Na godność. A jak mnie mało dziesięć razy wyrzucano z pracy i zamykano drzwi przed nosem? Zamyka się drzwi przed nosem? Zaraz by pan leciał i dawał w pysk. A nie mówiono do mnie: ty świnió?! Ho, ho...

- Co tam stare dzieje wspominać... - Pan Tosiu wkroczył pojednawczo.

- Dlaczego? Ja panu tylko tłumaczę, kto potrafi to znieść. A naszego sublokatora nie bili po pysku? Bili i jakoś nie oddawał. Cierpliwości, cierpliwości, panie Władziu, musi się pan nauczyć.

- Rozmawiamy o dwóch różnych sprawach. Ja chcę walczyć z Niemcami...

- Ja też. Bo to faszyci.

- E, tam - Niwiński wzruszył ramionami. - We Wrześni nie było jeszcze faszystów, a też ludzi gnoili Niemcy... - nie dokończył, bowiem w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Mundek podniósł się i poszedł wpuścić gościa. W progu stanął jednoręki mężczyzna.

Pusty rękaw jego bluzy tkwił zmięty w kieszeni. Obrzucił spojrzeniem siedzących, uśmiechnął się i stanął przed Niwińskim z wyciągniętą do przywitania lewą ręką.

- My się już chyba znamy - powiedział.

Niwiński zmarszczył brwi. Widać było, że nie może sobie przypomnieć.

- Pomogę panu - jednoręki wciąż się uśmiechał. - Wrzesień...

- Tak? - Niwiński wciąż jeszcze napinał pamięć.

- Chciał mnie pan spoliczkować.

- O, kurcze niewinne! - wyrwało się panu Tosiowi.

- Taaak - przeciągle powiedział Niwiński. - Teraz przypominam sobie.

Zapadło kłopotliwe milczenie...

W kilka dni później stał się Niwiński mimowolnym uczestnikiem akcji

przeprowadzanej przez grupę Mundka i Mrowińskiego. Chodziło o przewiezienie maszyny

drukarskiej w bezpieczne miejsce. Prawie w ostatniej chwili aresztowano kierowcę

ciężarówki. Niwiński zastąpił go w tej akcji, która zresztą powiodła się, jeśli nie liczyć

niegroźnej rany, jaką wyniósł z utarczki jeden z drukarzy. To właśnie z nim udał się nazajutrz

Niwiński do doktora Szymkowskiego, ojca swego kolegi jeszcze z gimnazjalnych czasów.

Tego kolegę od dawna chciał odwiedzić, spodziewał się, że działa w konspiracji i że

dzięki niemu uda mu się włączyć do walki znów w tych szeregach, które opuścił we wrześniu.

Nie mylił się. Doktor Szymkowski opatrzył niegroźną ranę drukarza, odprowadził go,

Niwińskiego zaś zatrzymał dłużej, przyjął wylewnie i zachęcił do ponownej wizyty nazajutrz,

kiedy zbierze się tu pozostała resztką jego dawnej klasy.

To było wzruszające spotkanie. Wszyscy chłopcy, uczestniczący już w kursie

podchorążówki, przywitali Niwińskiego niemal jak bohatera. Słyszeli już od doktora

Szymkowskiego o jego udziale w jakiejś akcji zbrojnej.

Nareszcie był między swoimi. Lutek Szymkowski zdjął ze ściany ich wspólne

maturalne zdjęcie. Rozejrzał się po obecnych i spytał:

- Kto z was pamięta listę katalogu z ostatniej klasy? Pamiętasz, Rafał?

Rafał wyrecytował:

- Tak. Benis, Czapko, Jabłoński...

- Wszyscy nieobecni - odpowiedział głucho za wyczytywanych Zbyszek Gębicki. -

Jabłoński zginął pod Kutnem...

Lutek wyczytał teraz kolejne nazwisko.

- Mijewski.

I znów ktoś pośpieszył z usprawiedliwieniem:

- Londyn podobno podawał, że jest we Francji.

- Niwiński!

- Jestem! - zawołał z uśmiechem Niwiński i poderwał się tak właśnie, jakby był w szkolnej ławie.

- Nareszcie - powiedział Lutek. - A opuszczone dni chyba... usprawiedliwione.

Robimy dużo. Wszystkie napisy na murach są naszej roboty.

Na razie tyle. Poprosiłem na dzisiaj dowódcę naszej akcji. Zna ciebie.

- Kto taki?

- Zobaczysz.

- Ktoś z naszej budy?

- Zobaczysz.

Jakby na potwierdzenie tych słów, rozległ się w przedpokoju dzwonek.

Lutek wyszedł drzwiami prowadzącymi do gabinetu ojca. Po chwili zjawił się

ponownie i ruchem głowy zachęcił Niwińskiego, by wszedł.

Ku swemu najwyższemu zdziwieniu Niwiński rozpoznał w przybyłym porucznika

Zawistowskiego. Niemal wykrzyknął:

- To pan?!

- Witam - Zawistowski podszedł z wyciągniętą ręką.

Niwiński jeszcze nie mógł ochłonać.

- Pan tutaj?! Właśnie tutaj?

- Jak pan widzi. Chciałbym coś, kolego, wyjaśnić, ale wolałem nie w obecności chłopców. Słyszałem, że był pan w jakiejś akcji i że są ranni.

- Niegroźnie, na szczęście.

- Wolno wiedzieć, co to za historia?

- Owszem. Porwaliśmy Niemcom sprzed nosa drukarnię.

- Więc jednak... - Zawistowski zamyślił się. - Obiła mi się o uszy ta akcja. To podobno robota czerwonych?

- Co to ma za znaczenie. Odbito drukarnię. To jest ważne.

- Tak, tak - pośpiesznie przytaknął Zawistowski i ponownie się zadumał, jakby z nagłą troską. - Bez wątplenia, to ważne... Tylko że z czcionek można układać różne zdania.

Niekoniecznie po naszej myśli. No cóż, chłopcy sądzili, że zyskają w panu szkoleniowca, ale skoro jest pan już związany z kim innym...

- Z nikim nie jestem związany, panie poruczniku! - zaprotestował gorąco Niwiński. -

Właśnie po to tu jestem, aby nareszcie związać się, z kim należy.

- A ten ranny? Kto go tu przyprowadził?

- Brak im było kierowcy. Wtrąciłem się w to i... Zresztą, całe przedsięwzięcie godne jest tylko pochwały.

- Bez wątplenia, bez wątplenia, temu nie przeczę - Zawistowski zerknął na zegarek i

niespodziewanie wyciągnął do pożegnania rękę.

- Powodzenia - powiedział.

Niwiński spojrzał zdziwiony, bo Zawistowski najwyraźniej kierował się do wyjścia.

- No, muszę uciekać - wyjaśnił. - Śpieszy mi się. Chłopcom niech pan powie, że obgadaliśmy sprawę.

- A... obgadaliśmy? - Niwiński spojrzał na porucznika pełen nadziei.

- Nooo, chyba tak - Zawistowski wzruszył ramionami i opuścił gabinet.

Kiedy nazajutrz ponownie odwiedził Lutka, dowiedział się, że zdaniem

Zawistowskiego, sekcja ich dysponuje już pełnym składem osobowym i że powinien szukać przydziału gdzie indziej. Lutek był szczerze zmartwiony i nie rozumiał zbyt, jego zdaniem, biurokratycznej decyzji porucznika. Sam Niwiński, niestety, rozumiał aż nadto dobrze. Nie zrezygnował, rzecz jasna, starał się o ponowne spotkanie z Zawistowskim, aby wyjaśnić nieporozumienie. Na razie nikt jednak nie miał zbyt wiele czasu dla niego: z frontu zachodniego napływać zaczęły niepokojące i trwożne wiadomości.

W domu u Mundka wygrzebano starą mapę Francji. Od tego dnia z nauczycielem

Mrowińskim spędzali razem długie wieczory, ślęcząc nad tą mapą. Nad takimi samymi mapami pochylały się w tych wiosennych dniach miliony Polaków, śledząc z przerażeniem, z jak błyskawiczną szybkością poddawały się miasta i całe prowincje pancernym zagonom Hitlera. W Warszawie ludzie gromadzili się na podwórkach, godzinami klęczeli przed figurkami świętych w kapliczkach, zanosząc litanie i modły o ocalenie Francji. Francja jednak - ta jedyna nadzieja, która jakoś ułatwiała Polakom przetrwać trzaskające mrozy pierwszej wojennej zimy i pierwsze łapanki, i terror, i Wawer - dogorywała.

Niwiński jeszcze się łudził i tak to tłumaczył Szkudlarkom i Mrowińskiemu:

- To, oczywiście, wcale nie świadczy, że Francja już wojnę przegrała. Z pewnych

względów to, co się dzieje, jest nawet nam na rękę.

Mundek i bezręki spojrzeli pytająco.

- Załamali się szybciej niż my - ciągnął. - Pozwoli to ludziom zmienić zdanie o naszym wrześnie i o naszej armii. Nie było, okazuje się, tak źle.

Mundek głośno zastanawiał się nad sensem tych słów.

- Aha! Nie szkodzi, że sobie odmroziłem palce, bo za to panu Kowalskiemu cała dupa spuchła. Pocieszające, tyle że nie pomaga.

- Militarnie nie. Ale prestiżowo? - obstawał przy swoim Niwiński.

- Pan sam wpadł na taką genialną myśl? - ironicznie wtrącił Mrowiński.

- To się nie może tak skończyć. - Niwiński nie dał się wyprowadzić z równowagi. - To nie byłby tylko koniec Francji, lecz i nasz. Anglia wie, że na samą siebie liczyć nie może, i podpisze pokój. Zrezygnuje z Polski, tak jak w Monachium machnęła ręką na Czechów.

Łatwo im to przyjdzie. A to już ostatni nasz sprzymierzeniec. Wtedy rzeczywiście będzie koniec.

- Naprawdę pan tak myśli? - spytał Mrowiński.

- Tak. Z nikim więcej nie wiążą nas żadne układy.

- Układy! - prychnął nauczyciel. - Układy zawierał rząd, a naród może liczyć na inny naród.

- Jaki?

- Pan wie i ja wiem...

Odruchowo zaczął przerzucać kartki szkolnego atlasu, nad którym siedzieli. Dobrnął do stronic z mapą Rosji. Zamyślili się wszyscy trzej, a Mundek powiedział głośno:

- Nie jeździecie po mieście tyle, co ja, nie wiecie, co ludzie mówią. A kolejarze już nam donoszą. Całymi nocami idą transporty na wschodnią granicę. W Małkini, w Przemyślu - całe

niemieckie dywizje. Nie zamykaj tego atlasu, kto wie, czy niedługo nie będzie nam potrzebny. I to na tej właśnie stronie...

INTRATNY INTERES KURASIA

Przed wielkim ekranem rozpiętym na szczytowej ścianie kamienicy zebrał się tłum ludzi. Tego rodzaju kina na wolnym powietrzu umieszczono koło dworca, na Pradze, na Grochowie... Tłum na chodnikach gęstniał z każdą chwilą, bowiem tego wieczora Wochenschau pokazywał walki na wschodzie. Do zebranych docierał wyraźny, dobitny głos komentatora:

„...Po operacji kijowskiej, która zakończyła się wzięciem do niewoli ponad pół miliona bolszewików, dywizje niemieckie rozpoczęły zwycięską ofensywę pod Wiaźmą. Niecałe dwieście kilometrów dzieli nas od bram moskiewskiego Kremla”.

Ludzie patrzyli posepnie na przesuwające się obrazki. Wśród gapiów znajdował się Niwiński z Kurasiem.

Przez chwilę na ekranie pojawił się przerywnik tematyczny w postaci wielkiej litery V, a za moment - oddziały różnych narodowości maszerujące na front, pożegnania na dworcu, rozdawanie broni w punktach werbunkowych...

Komentator grzmiał:

„... Narody całej cywilizowanej i chrześcijańskiej Europy wspierają krucjatę niemieckiego żołnierza przeciw żydokomunie. Oto dywizje włoskie... hiszpańskie... A gdzie wy, Polacy?”

- W Oświęcimiu! - wrzasnął ktoś z tłumu.

Ludzie zaczęli oglądać się za siebie. Zrobił to również Niwiński. Wokół uśmieški.

Niwiński dostrzegł jednak granatowego policjanta, który z mozołem przedzierał się przez tłum. Trącił więc w ramię Kurasia i szepnął:

- Wystarczy. Może być gorąco...

Kurasiowi nie trzeba było dwa razy powtarzać ostrzeżenie. Pomagając sobie łokciami,

jakoś się przepchnęli i wsiedli do ciężarówki zaparkowanej przy chodniku. Za kierownicą usiadł Niwiński. Na ciężarówce napis: Pralnia chemiczna L. Kuraś.

Ta pralnia była kolejnym etapem z realizacji Kurasiowych planów. Dawny podkomendny Niwińskiego stał wytrwale na stanowisku, że z tej wojny przede wszystkim wynieść trzeba całą głowę. Powtarzał uparcie: „Grunt to przeżyć i nie być frajerem”. Już po roku pobytu w Warszawie mógł Kuraś dowodnie przedstawić racje swoich poglądów. Początkowo wszedł do spółki z właścicielem zakładu pogrzebowego w Legionowie i z miejsca pchnął tę placówkę na drogę rozkwitu. To z tego właśnie okresu pochodziła ciężarówka, obecnie służąca pralni, lecz wówczas - polakierowana na czarno - spełniała rolę karawanu. Kuraś rzadko przewoził nieboszczyków, natomiast pokonywał trasę Legionowo - Warszawa wożąc w trumnach, owszem, zwłoki, ale wieprzków i cielaków, których całe tony dostarczał dozorca, panu Tosiowi, a ten już zajmował się dalszym, detalicznym rozprawdaniem rąbanki. Pieniądze z dostaw natychmiast zamieniał Kuraś na dolary, złoto, biżuterię. Sprzedawał, kupował, dwoił się i troił. Dzięki konkurencyjnym cenom swoich towarów miał szerokie znajomości na giełdzie, a także wśród Niemców dzięki łapówkom, które szczerze rozdzielał w zamian za przepustki, zaświadczenia i inne bezugsscheiny. Jego żona, Urszula, już wkrótce uchodzić mogła za pierwszą damę Legionowa. Po roku Kuraś zwinął pogrzebowy interes i przeniósł się do Warszawy. Założył pralnię chemiczną.

Zarówno w pierwszym, jak i w drugim przedsiębiorstwie Niwiński pełnił funkcję kierowcy. Nie podzielał on wprawdzie poglądów Kurasia na sposób przetrwania wojny i wciąż szukał możliwości włączenia się do czynnej walki, ale trzymanie się byłego kaprała gwarantowało mu pierwszorzędne, mocne - jak się to wówczas mówiło - papiery.

Z tym włączeniem się do czynnej walki wciąż wynikały komplikacje, nietrudne

zresztą do rozszyfrowania. Kiedyś Mrowiński poprosił go o ułatwienie kontaktów z kompletami tajnego nauczania. Z warszawskich pedagogów Mrowiński nie znał nikogo.

Niwiński natomiast dawno już nawiązał kontakt z byłymi kolegami swego ojca, o jednym zaś z nich, profesorze Sobczaku, wiedział nawet na pewno, że odgrywa niejaką rolę w tajnej organizacji nauczycielskiej. Sobczak prowadził na Świętokrzyskiej niewielki antykwariat i właśnie na zapleczu tego antykwariatu odbywały się lekcje.

Przez pewien czas wykladał tu historię ojciec Niwińskiego, poszukiwania gestapo zmusiły go jednak do opuszczenia Warszawy. Przeniósł się więc do Krakowa, do siostry.

Właśnie profesor Sobczak był pierwszym człowiekiem, który swego czasu udzielił Niwińskiemu wiadomości o losie rodziców.

Prośbę Mrowińskiego przekazał więc Niwiński Sobczakowi i po kilku dniach zgłosił się po odpowiedź. Jednak stary nauczyciel przyjął go tak, jakby zupełnie nie znał celu wizyty Władka.

- Co u ojca? Jak mu tam w Krakowie? - spytał.

- Dziękuję.

- Mógłby już wrócić. Nikt was tu chyba nie szuka.

- Nie wiem. Żyję na innych papierach.

- Brak nam ludzi, bardzo brak nam ludzi. Ubył profesor Jedliński, ojciec...

- Właśnie, panie profesorze. Ten mój znajomy wciąż nalega o odpowiedź.

Sobczak westchnął, bezmyślnie przerzucił kilka starych książek.

- Mówi pan, że nalega?

- Obiecałem mu pośredniczyć między panami, więc...

- Pan go zna osobiście?

- Owszem.

- Mrowiński? Taki bez ręki? - dopytywał Sobczak.

- Tak. Pan profesor również go zna?

- Hm. Powiedzmy... Słyszałem o nim. Co pana z nim wiąże?

- Mnie? Nic. Po prostu mamy wspólnych znajomych.

- Na pewno? Tylko tyle?

- Nie rozumiem - Niwiński nastroszył się.

- Niestety, ale zanieś mu pan odpowiedź negatywną - Sobczak rozłożył ramiona.

- Tak? - zdziwił się Niwiński.

- Pan się nie domyśla, dlaczego? Postawiłem jego kandydaturę na radzie

pedagogicznej. No, ale... - ponownie rozłożył ręce - koledzy słyszeli o nim. W trzydziestym

ósmym usunięto go z gimnazjum w Kielcach za komunizowanie. Podobno na lekcjach

polskiego zalecał czytać ni mniej, ni więcej tylko powieści pani Wasilewskiej i

Kruczkowskiego. Pan by chciał, aby on uczył naszą młodzież, której i tak odebrano ojczyznę?

- Nie wiedziałem, że sprawy aż tak wyglądają - odparł Niwiński.

- Nie wiedział pan... W niezłą kabałę mnie pan wpakował wobec kolegów.

Czy... ojciec orientuje się, że pan się w to bawi?

- W co?

- No... że ma pan takich przyjaciół?

Niwiński wyprostował się.

- To nie jest mój przyjaciel. A poza tym... ojciec już od dawna nie stawia mnie do

kąta. Dziękuję i przepraszam, panie profesorze - skłonił się i opuścił antykwariat.

- A szkoda - mruknął Sobczak - szkoda, że nie stawia.

Znacznie szybciej, niż można się było tego spodziewać, Niwiński zaczął „bawić się w

to”, o co go podejrzewał profesor. Wmieszał się w tę sprawę wbrew swej woli i wbrew

przekonaniom. Oczywiście, od dawna się orientował, że zarówno Mrowiński, jak i tramwajarz Mundek związani są z ruchem lewicowym. Nigdy jednak nie wiedział, co właściwie robią i czym się naprawdę zajmują. Wyczuwał nawet, że nie obdarzają go pełnym zaufaniem.

Przypadek czy też konieczność sprawiły, że o rodzaju ich działalności miał się dowiedzieć całkiem oficjalnie.

Któregoś ranka przed pralnią Kurasia gwałtownie zahamował tramwaj.

Niwiński wyjrzał przez okno. To nie był zwykły tramwaj. Zamiast numeru wstawiono na dach znak Czerwonego Krzyża, a we wnętrzu wagonu zamiast ławek znajdowały się nosze. W tym czasie całe kolumny takich tramwajów krążyły po mieście, rozwożąc po szpitalach rannych przywiezionych z frontu wschodniego. Warszawiacy lubili wystawać przed dworcem i przyglądać się temu transportowi świeżej - jak mawiali - wschodniej rąbarki.

Zaaferowany Mundek, bo to on był motorniczym, pozostawiwszy tramwaj na ulicy, wpadł zdyszany do pralni.

- Panie Władku - sapał. - Natychmiast, już... Na ostatni przystanek osiemnastki.

Wagon 6102! Powtórz pan.

- 6102 - powtórzył.

- Będzie wsiadała na pomost motorniczego dziewczyna z teczką... Zawróć ją pan...

Niech w ogóle z motorniczym nie wdaje się w gadkę, bo to miałem być ja, ale widzi pan - wskazał ręką za okno wystawowe.

Rzeczywiście, za jego tramwajem zatrzymały się już inne. Motorniczowie wyszli ze swoich pomostów, krążyli wzdłuż wagonów, bezradnie rozkładając ręce przed pielęgniarkami.

- Co się właściwie stało?!

- Widzi pan, co się stało. Miałem jeździć normalnie osiemnastką. Na końcowym przystanku miałem coś dostać i przewieźć... Ale dyspozytor skierował mnie na rąbankę. Osiemnastką pojechał inny motorniczy, Szymusik.

Nie nasz człowiek i nic nie wie...

- W porządku, jadę. Imię tej dziewczyny? Nazwisko?

- Nie wiem. Teczka. Będzie się pchać na pomost i zacznie, że jest z prowincji. Pan wtedy zapytał: z dalekiej? Ona: nie za bardzo. - Trzymając już rękę na kłame, dorzucił: - Władziu? Gardłowa sprawa...

Przeciągnął korbą pod szyją i wybiegł.

Za wystawy widać było, jak coś tłumaczy kolegom motorniczym. Po chwili wagon odjechał.

Niwiński dłuższą chwilę spacerował na końcowym przystanku osiemnastki, spoglądał na zegarek i taksował wzrokiem czekających. Były tam jakieś dwie dziewczyny, staruszek i baba z tobołkiem. Jedna z dziewczyn miała ręce założone do tyłu, jakby coś w nich trzymała. Niwiński obszedł ją, ale jej ręce były puste.

Wreszcie nadjechała osiemnastka. Boczny numer się zgadzał: 6102. Z pomostu motorniczego zszedł Szymusik, stary, przygarbiony wąsacz, i wolnym krokiem skierował się do służbowej budki.

Prawie wszyscy oczekujący zajęli już miejsca w wagonie. Niwiński wciąż spacerował, bowiem dostrzegł, że na ławeczce siedzi bardzo ładna i młoda dziewczyna.

Motorniczy Szymusik wreszcie opuścił budkę i zaczął zbliżać się do tramwaju. Z ławeczki podniosła się dziewczyna, w ręku trzymała teczkę.

Niwiński ruszył w ślad za nią i teraz już wszyscy troje zmierzali w stronę przedniego

pomostu.

Motorniczy wolno zaczął wspinać się po stopniach. Niwiński dopędził dziewczynę i, zanim ta zdążyła postawić nogę na stopniu, powiedział:

- Przepraszam, pani z prowincji?

Dziewczyna obejrzała się odruchowo, popatrzyła na Niwińskiego, a potem skierowała wzrok na Szymusika. Ten spokojnie wkładał korbę w konsolę.

Dziewczyna wspięła się na stopień.

- Chwileczkę! - krzyknął za nią Niwiński.

Wzruszyła ramionami i zwróciła się do Szymusika:

- Ja z prowincji, dojadę tym na Koło?

Szymusik spojrzał na nią spode łba i warknął:

- Nie tędy, nie tędy, tylnym pomostem.

Dziewczyna stanęła niezdecydowana i wtedy usłyszała za sobą głos Niwińskiego:

- Zośka!

W tym samym momencie do tramwaju podszedł granatowy policjant, wgramolił się na pomost i przysłonił Niwińskiemu dziewczynę.

- No, już! Zmykaj - te słowa skierował Szymusik do dziewczyny, a w głosie jego nie wyczuwało się przyjaźni.

- O co tu chodzi? - zainteresował się policjant.

Kompletnie ogłupiała dziewczyna stała bez ruchu. Wtedy Niwiński wepchnął rękę pomiędzy nią a policjanta i pociągnął dziewczynę ku sobie.

- Chodź, głupia, mówię ci, że nie tym pomostem, a ta się pcha...

Pociągnął ją tak mocno, że dziewczyna zeskoczyła na ziemię. Policjant spoglądał na nich. Niwiński ujął dziewczynę pod ramię i odprowadził na bok.

Przez chwilę szła z nim, ale kiedy skierował się w stronę przystanku, zaczęła się znów opierać.

- Z prowincji, ale nie za bardzo dalekiej, tak? - powiedział cicho Niwiński.

Dziewczyna ani nie przytaknęła, ani nie zaprzeczyła, wciąż jeszcze nie wiedziała, czy jest to ratunek, czy podstęp.

- Zmieniono motorniczych. Jeszcze nie rozumiesz? - dodał.

Dziewczyna odetchnęła.

- Dziękuję wam... Gdyby was tu nie było...

Niwiński uśmiechnął się.

- I wcale nas nie ma. Pojedynczo jestem. Władek - wyciągnął do niej dłoń.

Dopiero teraz roześmiała się.

- Kasia.

- Nie Zosia?

- Co ci przyszło do głowy?

- Coś mi musiało przyjść.

Roześmieli się oboje. Nagle Kasia spoważniała. Tramwaj już wolno ruszał w półkole pętli.

- Ale... to przecież musi teraz odjechać. Jeśli ten tramwajarz... O Boże!

- krzyknęła.

Tramwaj zatoczył pętlę i kiedy znów zrównał się z nimi, dziewczyna pobiegła za wagonem.

- Oszalałaś?! - wrzasnął Niwiński i w ostatniej chwili chwycił jej ramię.

Tramwaj odjechał.

- Wobec tego... proszę. No... weź tę teczkę.

- Po co? - zapytał.

- Jak to, po co?

- Miałem cię tylko ostrzec.

- A dalej?

Niwiński wzruszył ramionami.

- Nic nie rozumiem...

Tramwaj był już bardzo daleko.

W godzinę później siedział z dziewczyną na ławeczce w ogrodzie botanicznym. Tak niewiele było tego, co zrobił, a jednak czuł się szczęśliwy. Nareszcie brał w czymś udział, nie był kibicem jak Kuraś. Z rozmyślań wyrwał go głos siedzącej obok dziewczyny.

- Ciekawe, że nigdy cię u nas nie widziałam.

- A szkoda...

- Żebyś wiedział. Wy, starsi towarzysze, uważacie, że od wielkich spraw jesteście tylko wy. Nas macie do powielania, do rozwożenia, krótko mówiąc, na posyłki. A każde z nas... ja, na przykład, też mam poważne wątpliwości.

- Jakie?

- Choćby co do Sikorskiego.

- Nie znam człowieka.

- Nie udawaj. Dlaczego mamy go popierać? Rząd jest w dalszym ciągu reakcyjny...

- Ach, ty o tym Sikorskim.

- Ani klasa robotnicza, ani masy chłopskie nie są w tym rządzie reprezentowane...

Dlaczego się śmiejesz?

- Mów, mów - zachęcał Niwiński.

- Hanka twierdzi, że to sprawa taktyki. Że podpisał układ ze Związkiem Radzieckim.

Znasz Hankę?

- Nie.

- Nie?! - zdziwiła się Kasia.

- Więc takie są twoje zmartwienia?

- Małe? Całą noc powielaliśmy ten artykuł. Tak, tak, wy już macie drukarnię, a u nas, w młodzieżówce... Nie spałam dziś ani minuty...

Powielalam, wiem, że to mój obowiązek, ale nie chcę go spełniać mechanicznie, mam chyba prawo rozumieć. Albo front wschodni. Przecież nasi wciąż się cofają.

- Nasi?

- Czy Armia Czerwona wytrzyma? - zatroskała się. - Dlaczego znowu się śmiejesz?

Uważasz mnie za głupią?

- Nie. Siebie.

- I nie wytłumaczysz mi tego?

- Nie. Ponieważ sam nic nie rozumiem. Nic. Siedzę w ogrodzie botanicznym ze śliczną dziewczyną i zamiast jej mówić o księżycu, mam jej mówić o armii sowieckiej?

- Ależ to teraz najważniejsze!

- Czy wy wszystkie takie jesteście? - spytał.

- Przyjdź kiedyś do nas, przekonasz się.

- Na razie mi wystarczy. Z jedną jeszcze jakoś sobie poradzę.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie.

- Gdybym nie wiedziała, kto cię przysłał, pomyślałabym...

- Co? - zainteresował się Niwiński.

- Bo wciąż żartujesz. Nie traktuj mnie jak dziecko.

- Ani myślę. Wprost przeciwnie.

- Co, wprost przeciwnie?

Niwiński dłuższą chwilę nie odpowiadał. Przeciągnął się, przechylił przez poręcz ławki i wreszcie głośno powiedział:

- Jakby wcale nie było wojny... Kasia!

- Tak?

- Jeszcze chwila i się w tobie zakocham.

- Dziwię ci się - aż podniosła się z ławki. - Są poważniejsze sprawy.

- Armia Czerwona? - spytał.

- Żebyś wiedział.

- Przecież nie jestem w stanie kochać całej Armii Czerwonej. Czego ty ode mnie wymagasz?

- Żebyś zabrał tę teczkę. Zrób z tym coś. Pamiętaj, że to całutki nakład.

I że nie spałam przez niego ani minuty.

Wstała i ruszyła alejką ogrodu.

- Poczekaj! - zawołał za nią Niwiński. - Gdzie cię znajdę?

- Chyba wiesz... Serwus!

Ta teczka stała się przyczyną rozstania z Kurasiem. Jeszcze tego samego dnia Urszula Kurasiowa odkryła jej zawartość. Przez lata karmiona filozofią Kurasia; jak ognia bała się wszystkiego, co choćby na odległość pachniało niebezpieczeństwem. Ordynarnie zwymyślała Niwińskiego. Nawet Kuras nie był jej w stanie uspokoić. On jeden znał zresztą dodatkową przyczynę wyjątkowo złego stanu nerwowego żony: Urszula fatalnie znosiła pierwsze miesiące ciąży. Bardzo chciała mieć to dziecko. Przed dziewięciu laty, jeszcze na Pomorzu, Kurasiowie pochowali małą Bożenkę, która zmarła na zapalenie opon mózgowych. Teraz, po raz pierwszy od tej tragedii, znów mogła zostać matką.

Ale tym bardziej pragnęła spokoju, tym bardziej chciała oddalić wszystkie niebezpieczeństwa, jakie mogły grozić jej, jej nadziei i Kurasiowi.

Awantura przyniosła nieoczekiwanie fatalne skutki. Urszula, wyczerpana atakiem złości, zasłała. Niwiński zaś - uniósłszy się honorem - uznał wymówki za równoznaczne z wymówieniem pracy i jeszcze tego samego dnia opuścił mieszkanie Kurasiów.

Nazajutrz Urszula poroniła. Zrozpaczony Kuraś odwiózł ją do szpitala, po czym udał się na poszukiwanie przyjaciela. Spodziewał się, że znajdzie go u tramwajarza Mundka. Ojciec Mundka, dzielny dozorca pan Tosiu, nie żył już od pół roku; zamordowano go na Pawiaku. Mrowiński także dawno się wyprowadził, Mundka zastał więc Kuraś tylko z żoną, panią Jadzią; właśnie podgrzewała kolację. O Niwińskim nic nie wiedzieli.

- Nie ma go od dwóch dni. A może mu się co stało? - zaniepokoił się Mundek.

- Nie dziś, to jutro musi się coś stać, jeżeli tak dalej będzie. Gra pan w piłkę?

- Proszę? - Mundek nie zrozumiał pytania.

- Ja też nie. I dlatego mam nogi całe. Tylko kibic na meczu dobrze wychodzi, tylko kibic. Ale wy mnie nie chcecie słuchać. Przez te zabawy ród Kurasiów się na mnie kończy.

Żona - mi poroniła ze strachu.

- Niemożliwe! - zawołała pani Jadzia.

- W szpitalu leży. Póki jej nie ma w domu, chciałem właśnie z Władkiem pomówić, bo jak wróci... muszę się z nim rozstać.

- Pan? Z Władkiem? Nigdy w to nie uwierzę.

- Spokój chcę mieć. Baba mi w domu trzeszczy...

- To po co go pan szuka? - rzeczowo spytał tramwajarz.

- Ja wiem? - Bo go lubię, cholera... I martwię się o niego.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Mundek podszedł, otworzył je i aż cofnął się z

wrażenia w głąb pokoju.

Na progu stał stary Sommer, dawny właściciel kamienicy, w której dozorcał pan Tosiu Szkudlarek. Stał teraz stary Sommer w progu, trzymając za rękę dziewięcioletnią, smutną dziewczynkę z futerałem od skrzypiec w dłoni. Obecni patrzyli na tę parę jak na zjawę, która nagle zmaterializowała się. Od roku już nikt na ulicy nie widział Żyda, wszyscy zamknięci byli za murami getta.

- Panie Sommer! Skąd pan... tutaj? - wykrztusił wreszcie z siebie pytanie pan Mundek.

- Stamtąd, stamtąd, panie Szkudlarek. Pan się na mnie patrzy jak na ducha i pan ma rację. Mnie już nie ma. I tam już nikogo nie ma, chociaż tam jest milion takich, jak ja. Ale pan widział kiedyś milion? To jest straszna suma, to jest tak wścieklista suma, że ja się za dawnych czasów modliłem:

Panie Boże, daj mi zarobić pięć złotych, daj mi zarobić pięćdziesiąt złotych, ale jak ja bym powiedział milion, to Pan Bóg powiedziałby: wiesz co, Sommer, na takie oferty to u mnie jest Rotszyld. Milion, panie Szkudlarek, jest tak wielki, że jego w ogóle nie ma. On jest, a jego nie ma. I my tam jesteśmy, ale nas nie ma... Ukłoń się, Noemi.

Dziewczynka dygnęła.

- Ojciec w domu? - zapytał Sommer.

- Ojciec... Ojciec nie żyje, panie Sommer.

- Oj, niedobrze!

- Ojca zamordowali.

- I po co pan to dodaje? Czy dzisiaj ktoś umiera na kanapie? Ja już nawet nie mówię, że strzelają, ale kanapę też trzeba było sprzedać...

Niedobrze...

- Panie Sommer... może by... coś do zjedzenia? Jest gulasz z kluskami - wtrąciła pani

Jadzia.

- Co znaczy kluski? Co znaczy coś do zjedzenia? Pani używa jakieś obce wyrazy.

Powiedz, Noemi, ty rozumiesz to słowo?

- To... ja już będę szedł - Kuraś zaczął wycofywać się ku drzwiom. - Gdyby Władek się zjawił...

- Musi pan już iść? - spytał tramwajarz.

- Ja tego pana rozumiem - wtrącił Sommer. - Po co jemu ten interes, że on mnie widzi? Taki interes dzisiaj kosztuje kulkę. Ale nikt nas tu nie widział. Jest ciemno.

Jadzia, która podgrzewała kluski na patelni, odezwała się:

- Niech pan tak nie mówi. Ale i niech się pan nie dziwi, panie Sommer.

Kuraś, który już miał czapkę w ręku, odłożył ją po namyśle, usiadł i zapalił papierosa.

- Jakim cudem pan w ogóle...? - zaczął pytanie Mundek, ale nie dokończył, bo

Sommer wpadł mu w słowo.

- ...przeszedł przez mur? A co to jest dla ducha? Przez mur, przez ścianę? Troszeczkę gorzej przez policjanta, ja panu powiem. I nie tyle gorzej, co drożej. Wszystko jest kwestią ceny, bo wszystko jest towar.

Cukier jest towar, buty jest towar, a dzisiaj i ja jestem towar.

Jadzia ustawiła dwa talerze, zgarnęła z patelni kluski z kawałkami gulaszu.

- Jedz, maleńka, jedz. Jak się nazywasz?

- Na imię Noemi - wyjaśnił stary. - Nazwisko do uzgodnienia. Jedz, Noemi, jedz.

Dziadzio nie może, bo to jest dla dziadzia koszerne. To jest moja wnuczka. Ostatnia. Pan pamięta mojego syna?

- Doktora? Oczywiście - odpowiedział Mundek.

- Dzisiaj doktorzy umierają na tyfus też. To tym bardziej żony doktorów.

A szwagier doktora i bratowa doktora to oni zawsze byli wielkie meszygieny i zawsze musieli zadzierać nosa. Im się znowu nie podobało umrzeć na tyfus, tylko z głodu. Tak że ona ma tylko mnie. Ale czy ona mnie długo może mieć?

Dzień, dwa. Trzy, to już mnie samego za drogo kosztuje powiedzieć.

Jadzia smutnie pokiwała głową.

- Straszne, straszne... - westchnęła.

- Pani Szkudlarkowa. Ja tu nie przyszedłem was straszyć, ani tym więcej narazić. Wy musicie żyć i mnie już za chwilę nie będzie. A wy musicie żyć, żeby skorzystać z ten złoty interes, z którym ja tu przyszedłem. Noemi, zagraj nam coś ślicznego.

Dziecko przykucnęło nad futerałem, wyjęło skrzypce i brzdąknęło palcem w strunę, próbując dźwięku.

- Albo naprzód coś jeszcze lepszego - zdecydował Sommer. - Wiesz, co masz powiedzieć?

- Tak, dziadziu.

Nie wypuszczając skrzypiec z dłoni, dygnęła i wyrecytowała:

- Wierzę w Boga. Wierzę w Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi i w Jezusa Chrystusa, syna jego jedyne, Pana naszego, który...

Jadzia pogłaskała ją po głowie i przerwała:

- Nie trzeba, dziecko, nie trzeba...

- Dlaczego? - zaprotestował Sommer. - Pani ją spyta „Ojcze nasz”, pani ją spyta „Zdrowaś Mario”. Ile ja płaciłem za tę jej naukę, pani się nawet nie pyta. Ale w interes trzeba inwestować. I teraz z jej wyglądem, i z tym nosem całkiem naczelnik Kościuszko, i z tym pacierzem, czy to nie jest całkiem chrześcijańskie dziecko?

Dziewczynka smutno patrzyła na obecnych, a oni zawstydzeni odwracali głowy.

- Dziadziu, grać?

- Co znaczy grać? To ma być koncert, nie grać. Ale to jest zdolne dziecko! Jakie to jest zdolne dziecko!

Dziewczynka ponownie dygnęła i zapowiedziała:

- Joseph Haydn. Divertimento ze „Stworzenia świata”.

Zaczęła grać. Sommer tymczasem grzebał w zanadrzu płaszcza i wyjmując stamtąd jakieś papiery, mrucał:

- „Stworzenie świata”... Może tego nie wolno grać? Czy to z pewnością był Niemiec?

To dlaczego nie „Koniec świata”...? Jak ona gra! Jak ona gra! To jest jedna przyjemność mieć taką muzykę w domu. A do tego jeszcze dochodzi ta kamienica, gdzie pana tatuś był dozorcą... Powiedzmy sobie, że jej nie ma, ale jest plac. Do tego dochodzi druga kamienica na Wroniej, do tego dochodzi plac w Piotrkowie Trybunalskim... Proszę, proszę, na wszystko jest hipoteka...

Wyciągnięte papiery podsunął Mundkowi.

- Po co pan to pokazuje?

- Jakie pokazuje? Ja płacę.

Znów sięgnął do kieszeni i wyjął jakiś nowy dokument.

- To jest mój zapis. Tylko nazwisko wpisać. Ma pan pióro?

- O czym pan mówi? Panie Sommer? - Mundek nic nie rozumiał z całej tej sceny.

- Ja mówię, że ja stąd za chwilę wyjdę sam. A pana nic więcej nie kosztuje, tylko powiedzieć do niej: Małgosiu, przynieś tatusiowi węgla. Ona przyniesie. A może panu się nie podoba Małgosia? Może Zosia? Może Helena?

Temu dziecku jest wszystko jedno, bo to jest mądre dziecko i tylko od pana zależy jako ojca...

- Dość! Niech pan przestanie, panie Sommer! - krzyknął Mundek.

- Nie?!

- I przede wszystkim niech pan to schowa.

- Dlaczego? To jest papier, to jest dokument. Kto panu po tej wojnie na słowo uwierzy?

Mundek złożył wszystkie papiery i wcisnął je w dłoń Sommerowi.

- Niech pan to schowa!

- To do kogo ja mam z tym pójść? Do gubernatora Franka? Ja miałem tylko pańskiego ojca, więcej nikogo...

Mundek już się nie odezwał. W ciszy, która nastąpiła, smutno zawodziły skrzypce, rzeczywiście pięknie grającej dziewczynki. Mundek porozumiewał się wzrokiem z Jadzią, która palcem przecierała załzawione oczy. Kuraś wstał z za stołu i zaczął przechadzać się wielkimi krokami po pokoju.

Dziewczynka wciąż grała. Wreszcie Jadzia nie wytrzymała napięcia, zatkała uszy dłońmi i krzyknęła histerycznie:

- Niech ona przestanie! Niech ona przestanie. Nie jestem w stanie tego słuchać!

Sommer ruchem ręki nakazał Noemi przerwanie.

- Sza! To jest smutne, nie słyszysz? Mało ta pani ma zmartwień? Oj, ja teraz widzę, co ja zrobiłem za interes. Skrzypce to jest smutny instrument i tylko Żydzi umieją na nim grać, bo od Mojżesza mają smutny los i wszystkie wielkie wirtuozy siedziałyby dzisiaj na Gęsiej. Dlaczego ja ci nie kupiłem saksofon, na przykład? I co będzie? Czy ja za mało daję? Za jedną tylko metrykę chrztu? Niech będzie fałszywa, bo ona nie może być prawdziwa taka metryka, ale ile to może kosztować?

Mundek przyciągnął Noemi do siebie.

- Chciałabyś zostać z nami?

- Tak - odpowiedziało dziecko.

Sommer sięgnął do spodni i wyjął złotą monetę.

- Dwadzieścia dolarów. Wystarczy dla księdza?

Nagle Kuraś zaprzestał swego spaceru po pokoju i odezwał się nieoczekiwanie:

- Nie.

- Nie? Za fałszywą metrykę? - zdziwił się Sommer.

- Ona będzie mieć metrykę prawdziwą. Najprawdziwszą, z parafii świętego Pawła w Tczewie.

Szkudlarkowie ze zdumieniem patrzyli na Kurasia. Ten zaś przykucnął teraz przed

Noemi, ujął ją za obydwie dłonie.

- Ile masz lat?

- A ile potrzeba mieć? - dopytywał się Sommer.

- Ile masz lat? - powtórzył pytanie Kuraś.

- Dziewięć - szepnęła Noemi.

- W sam raz... Bożenko. Rozumiesz? W sam raz.

- Tak, proszę pana.

- Co znaczy proszę pana? Do mnie możesz mówić panie Sommer, bo ja już nie jestem twój dziadzio, ale do tego pana... Przepraszam, to jak ona się będzie nazywać?

- Kuraś.

- Też ładnie...

Jadzia rozbeczała się głośno i zasłaniając oczy wybiegła z pokoju. Mundek potrzęsnał mocno dłonią Kurasia.

- Nie spodziewałem się po panu... Panie Sommer, nic lepszego nie mogło się zdarzyć.

Będzie mieć jak w puchu.

Sommer ponownie wyciągnął z zanadrza wszystkie papiery. Kuraś roześmiał się.

- Schowaj pan to.

- Co znaczy? Za... za Bożenkę.

- Niech mi pan dziecka nie obraża. Kurasie więcej są warci niż dwie zasrane kamienice.

- Zasrana to ona nie jest. Ona jest zburzona.

- A co... z panem? - spytał Kuraś.

- Wraca pan? - uzupełnił pytanie Mundek.

- Żeby pan był tam przez jeden kwadrans, pan by mnie nie zadawał takiego pytania. A ja już tam jestem rok. Tam nie można być, panie Szkuclarek. To jest cmentarz, to jest kirkut, tylko że zamiast nagrobków tam stoją kamienice. A w kamienicach żywe trupy. Pan sobie to zapisuje?

Sommer zadał to pytanie, ponieważ od dłuższej chwili Mundek notował coś na skrawku papieru. Teraz podał tę kartkę Sommerowi.

- Niech pan spróbuje pójść pod ten adres. Nasza młodzież zajmuje się pomocą dla getta, dla jeńców.

- W czym ona mi może pomóc? - pokiwał głową Sommer.

Zwracając się do Kurasia, Mundek dorzucił:

- Nawiasem mówiąc; to ta dziewczyna od Władka...

- Pomóc to można żywemu - monologował Sommer. - A czy ja jestem żywy? Ten jeden interes miałem do załatwienia. I ja go załatwiłem, bo ona musi żyć.

Ona musi. Gdzie pańska żona?

Mundek wskazał głową w stronę kuchni. Kuraś ujął Noemi za rękę.

- Chodź. Zobaczymy, co z ciocią.

Ledwo wyszli, Sommer wyciągnął dłoń do Szkudlarka.

- Jak to? Idzie pan? Teraz?

- Póki jej nie ma. Ja nauczyłem ją wszystkiego i ona wszystko powie, co jej każą. Ale niech ona nie patrzy mi w oczy, kiedy ja będę wychodził...

Jedno jeszcze słowo, panie Szkudlarek. To... porządny człowiek?

- Kuraś? Nadzwyczaj... I zamożny. Niech pan będzie spokojny. I niech pan idzie do tej dziewczyny.

Sommer potrząsnął dłonią Szkudlarka, nastawił kołnierz palta i skierował się ku drzwiom.

- Do widzenia, panie Sommer. Niech pan będzie spokojny - zawołał za nim Mundek.

- Do widzenia? Gdzie? - wymamrotał i wyszedł.

Po chwili wchodził już do eleganckiej, jak na te czasy, restauracji „Miraz”. Szatniarz przy wejściu zaczął podejrzliwie mu się przyglądać.

Sommer jednak spokojnie zdjął płaszcz i położył go na poręczu. Widząc wahanie szatniarza uśmiechnął się, wyjął z kieszeni dziesięć dolarów i, nachylając się nad ladą, szepnął:

- Co się pan patrzy na mnie? Patrz się pan na pana prezydenta Waszyngtona. On jest na tym obrazku. Wystarczy?

Szatniarz zmiażdżył banknot w dłoni i natychmiast wsunął do kieszeni.

- Zna mnie pan osobiście? - spytał jeszcze stary.

- Nie - przyznał szatniarz.

- To o co chodzi?

Wszedł do lokalu i zajął pierwszy z brzegu stolik. Usiadł plecami do sali, twarz

zasłonił kartą potraw i zaczął ją gruntownie studiować. Mimo to kelner dojrzał go z daleka, zmarszczył podejrzliwie brwi i natychmiast zjawił się przy stoliku.

- O, jest pan! - Sommer wydawał się ucieszony.

- Ale proszę pana... Zdaje się, że...

- Cicho. Wcale się nawet panu nie zdaje. Tak jest. Zna się pan na walucie?

Na obrusie zaświecił krążek złotej dwudziestodolarówki.

- Raz w życiu chcę zjeść. Może ostatni. Zna mnie pan osobiście? To o co chodzi? - po raz drugi powtórzył to samo zdanie w tym lokalu.

Kelner wprawnie sprzątnął monetę. Zamiatając serwetką obrus, nachylił się i szepnął:

- Niech pan się chociaż stara siedzieć tyłem do sali.

- Nie, ja jestem Eugeniusz Bodo i idę się pokazywać en face. To długo nie potrwa.

Coś z wieprzowiny. Ale takiej wściekłej, żeby kapąło od tłuszczu.

- Pieczeń wieprzowa może być. Kapustka do tego.

- O, kapusta. A co na zimno pod jedną głębszą? Stary pijanica jestem.

- Śledzik w śmietanie, w oliwie, po japońsku...

- Jaki śledzik? Nie macie kiełbasy?

- Jest. A wódki setka ma być? Pięćdziesiątka?

- Może być setka, może być dwie, co za różnica... Dużo, dużo, wszystkiego dużo...

Kelner zapisał zamówienie w bloczku i oddalił się w stronę bufetu.

Kuraś skończył oprowadzać małą Noemi po pustym mieszkaniu i otworzył drzwi wiodące do pokoju, w którym tak niedawno mieszkał Niwiński.

- A to jest pokój wujka Władka, ale będzie twój. No i co? Podoba ci się tutaj?

- Tak.

Ujął małą za rękę i zaprowadził do głównego pokoju. Z szafy spod bielizny wyjął

puďte po czekoladkach, chwilę grzebał w schowanych tam papierach i wreszcie odnalazł ten, którego szukał.

- Patrz, to twoja metryka. Żebyś wiedziała, że twoim ojcem chrzestnym był Antoni Warszylewicz. Zaraz go sobie przypomnisz...

Wyciągnął z szafy gruby album z fotografiami i zaczął przewracać kartki.

- Rzeźnik. Już ja wiedziałem, kto ma cię do chrztu trzymać. Ojca sobie człowiek nie wybiera, ale chrzestnego może. Nie bój się, mam kiepełę.

Wiesz, co to znaczy?

- Tak. Pan Sommer też tak o sobie mówił.

- Pan Sommer?

- Już mi nie wolno mówić dziadzio.

Kuraś popatrzył na dziewczynkę i dalej przewracał kartki albumu.

- Zaraz ci i dziadzia twojego znajdę... O, jest twój chrzestny... a to jest wujek Bolek, brat mamy... Niedługo go zobaczysz, bo mieszka pod Warszawą. Też tam mieszkałem, miałem złoty interes; ale wiesz...

- Wiem. Z interesami coraz gorzej - odpowiedziało dziecko.

- No, proszę, nawet to wiesz... To też jest twój wujek, ale już nie żyje.

- Zabili go Niemcy?

- Nie, przed wojną można było i inaczej umrzeć. Były czasy - westchnął.

Przewrócił następną kartę, na której pojawiło się zdjęcie Kurasia w mundurze.

- Poznajesz?

- Tatuś...

Kuraś nieoczekiwanie ujął głowę Noemi w dłonie, pocałował i przytulił dziewczynkę do siebie.

- Tak, tak, byłem żołnierzem... Kozak był ze mnie. Wiesz co, Bożenko? Na meczu piłkarskim może i dobrze być widzem, ale są granice, których i widz nie wytrzymuje.

Rozumiesz?

- Nie.

- Nie szkodzi. Ja też do dzisiaj nie rozumiałem. Taki już całkiem mądry to też nie jestem.

W „Mirażu” Sommer skończył właśnie kolację. Przed nim stało mnóstwo opróżnionych talerzyków. Dwóch mężczyzn przechodzących przez salę przyjrzało mu się uważnie. Nawet zatrzymali się na moment. Potem zajęli miejsce przy stoliku w pobliżu i ciągle spoglądali w stronę Sommera.

Stary wyjął z kieszeni kartkę, którą mu dał Mundek. Przeczytał adres Kasi, potem wolno, wolniutko podarł karteczkę w drobne strzępy i wrzucił do popielniczki. Znow sięgnął do kieszeni i wyjął mały przedmiot owinięty w bibułę. Położył go na obrusie i przywołał kelnera.

- Sprzątnij pan to...

Podczas gdy kelner wysypywał zawartość popielniczki do brudnego talerza i zbierał naczynia, Sommer podniósł z obrusu zawiniątko i odwinął je. Była to mała pastylka.

- Jeszcze tylko coś do popicia - powiedział do kelnera.

- Piwko może być?

- O! Tego jeszcze nie przerabiałem. Przynies pan piwko.

Po odejściu kelnera Sommer włożył pastylkę do ust, ale jeszcze jej nie połykał.

Koniuszkiem języka przytrzymywał między wargami. Nagle odwrócił się w kierunku sali, wolno rejestrując wzrokiem wszystkie stoliki. Dwaj mężczyźni przywołali właśnie kierownika sali i coś zaczęli mu szeptać.

Wszyscy trzej spojrzeli w stronę Sommera. Potem jeden z nich wstał i wyszedł gdzieś z kierownikiem. Minęli się z kelnerem niosącym piwo.

- Radziłbym rachuneczek, bo...

- Pisz pan. Wszystko, co panu przyjdzie do głowy.

Uniósł szklankę z piwem i długo, łapczywie pił. Kelner pochylony spisywał rachunek.

- Uśmieje się pan, ale mojej wnuczce jest na imię Bożenka...

Kelner zerknął, niewiele rozumiejąc, i pisał dalej.

Mężczyzna - powrócił do stolika, usiadł przy swym towarzyszu i spojrzał na zegarek.

Nagle zerwał się z krzesła i podbiegł do Sommera.

Kelner odskoczył i strzepywał spodnie, bo mu je oblało nie dopite przez Sommera piwo. Szklanka leżała przewrócona, trącona łokciem Sommera, który leżał na stoliku, jakby spał.

Na sali zawrzało. W tym momencie z trzaskiem otworzyły się drzwi i do restauracji wszedł granatowy policjant. Rozejrzał się i stanął przy właściwym stoliku. Za kołnierz uniósł starego: Sommer już nie żył.

- Kto go obsługiwał?

- Ja.

- I co?! I nic pan nie zauważył?

Kelner wzruszył ramionami.

- Jeszcze, bezczelny, nie zapłacił.

Policjant sięgnął do kieszeni Sommera i wyjął zmiętą białą opaskę z niebieską gwiazdą.

W pralni Kurasia oczekiwano na powrót szefowej ze szpitala. Był tu już i Niwiński, który bez specjalnych oporów dał się Kurasiowi przekonać, że nieporozumienia z Urszulą nie

należy traktować zbyt serio, że wynikało ono z fatalnego stanu nerwów Kurasiowej.

Któregoś więc dnia Kuraś uroczyście, z kwiatami wybrał się do szpitala po żonę. Z

wielce tajemniczą miną zapowiedział, że w domu czeka na nią niespodzianka. Już w dorożce,

w drodze do domu, Kurasiowa dopytywała niecierpliwie:

- Co to za niespodzianka? Powiesz mi wreszcie?

- Zobaczysz.

Przez chwilę jechali w milczeniu. W pewnym momencie Kuraś wyjrzał spod budy i

dźgnął palcem plecy dorożkarza.

- Tutaj? - spytał tamten zdziwiony bowiem stanęli przed pustym placem.

Na chwilę.

Wysiadł z dorożki i stanął na ulicy przed zburzonym domem. Była to dawna posesja

Sommera. Na jako tako uporządkowanym placu z pryzmami cegieł sterczały dwie ściany

noszące jeszcze ślady dawnych pokoi. Wyglądało to jak przekrojony tort. Kuraś stał przed

dorożką i spoglądał na placyk. Urszula wychyliła się spod budy.

- O co ci chodzi?

- O to, że kiedyś mieszkał tu Niwiński - wyjaśnił Kuraś.

- Wsiadaj. I faktycznie szkoda, że zburzone. Miałby dalej gdzie mieszkać.

Nie u nas.

- Nie dlatego szkoda - odparł Kuraś. - Wszystko to mogło być moje.

Przypatrz się. Mogłem to wszystko kupić.

- A nie kupiłeś?

- Kupiłem - Urszula wciągnęła go do dorożki - ale bez tego.

- Boś głupi - mruknęła.

- Może. Ale uczciwy...

Wciąż jeszcze nie będąc pewny, jak zareaguje żona, nie wyjawiał niespodzianki.

Kiedy weszli do pralni, pierwszą osobą, którą ujrzała Urszula, był Niwiński.

- Jeszcze tutaj? - nie była w stanie powstrzymać się od niegrzecznej uwagi.

Kuraś za plecami żony uspokajająco wymachiwał w stronę Niwińskiego. Ale ten już wiedział, że tym razem będzie musiał rozstać się z przyjacielem na zawsze. Jeszcze chwilę odczekał, a kiedy usłyszał kroki Kurasiów wstępujących na schody wiodące do mieszkania, pośpiesznie wyszedł na ulicę, nie bardzo wiedząc, dokąd się teraz udać.

Po jego wyjściu Kuraś otworzył drzwi swego mieszkania nad pralnią i przed Urszulą stanęła mała Noemi. Dziewczynka dygnęła grzecznie.

- Dzień dobry, mamusiu - powiedziała. - Czy już jesteś zdrowa? - i patrzyła na Urszulę wyczekująco.

Kurasiowa zdumionym wzrokiem spojrzała na niepewnie uśmiechającego się męża.

- Jaka śliczna, prawda? Bożenko, przywitaj się z mamusią, ucałuj ją! - wykrztusił wreszcie.

Dziecko podbiegło do martwo stojącej Urszuli, objęło jej kibić rączkami, ale nie mogło dosięgnąć policzka. Urszula stała nieruchomo, pozwalając się obejmować, tępo patrząc przed siebie. Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

Nie zdając sobie z tego sprawy, machinalnie gładziła Noemi po główce. Nagle odwróciła się, wyszła do drugiego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Kuraś przez chwilę stał z głupkowskim uśmiechem, a potem szybko pobiegł do pokoju, w którym zniknęła Urszula. Zobaczył, że żona stoi nad otwartą walizką i byle jak wrzuca do niej swoją garderobę.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął.

- Jadę do Legionowa. Po resztę przyjedzie Bolek. Wydasz mu, co trzeba.

- Urszula! Zastanów się!

- Właśnie się zastanowiłam. Ja chcę żyć. - Zamknęła walizeczkę i uniosła ją do góry.

- A ona? Myślisz, że ona nie chciała?... - wyjąkał Kuraś.

Urszula bez słowa wyminęła męża i zniknęła za drzwiami.

Niwiński, wciąż jeszcze nie bardzo wiedząc, co z sobą począć i gdzie szukać

schronienia, przypomniał sobie dziewczynę z teczką i to, co mu o niej opowiadał Mundek. Na

Marymont dojechał tramwajem.

Świetlica, której szukał, mieściła się w długim baraku, gdzieś na zapleczu ogródków

działkowych. Z otwartych drzwi kuchni buchała z kotłów para, w jadalni dwoje maluchów

popijało mleko. Dziewczyna w białym kitlu kucharki spostrzegła wchodzącego Niwińskiego.

- Pan w sprawie dziecka?

- Nooo, może nie do tego stopnia - uśmiechnął się. - Ale... Szukam Kasi.

- Kasi? Powinna już wrócić ze spaceru. Pan poczeka.

Niwiński wyszedł przed barak i dopiero teraz dokładnie przeczytał przybitą do drzwi

tablicę: Rada Główna Opiekuńcza. Świetlica dla dzieci pracujących rodziców. Niwiński

wsparł się plecami o ścianę baraku i wystawił twarz do przygrzewającego grudniowego

słońca. Przez zmrużone powieki dostrzegł sznur dzieciaków wracających parami ze spaceru.

Prowadziła je Kasia.

- Władek! Jak mnie znalazłeś? - ucieszyła się na widok Niwińskiego.

- Nie uprzedziłaś mnie, że masz aż tyle dzieci - zażartował. - Nie zawracałbym sobie
tobą głowy.

- To dzieciaki towarzyszy, którzy pracują - odpowiedziała poważnie. - Przeważnie na
budowach.

- Uspokoilaś mnie, że jednak jesteś panną.

- Wolisz?

Nareszcie i ona się uśmiechnęła. Niwiński nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo Kasia, zaganiając dzieci, zniknęła za drzwiami świetlicy. Dopiero po dłuższej chwili wyszła do niego.

- Podobno dajesz schronienie potrzebującym pomocy - zagadnął.

- Podobno...

- Wszystkim?

- Nie. Nie wszystkim - odpowiedziała.

- A mnie?

Przestraszyła się. Przytrzymała go za guzik płaszcza i nie kryjąc niepokoju, spytała:

- Władek! Co się stało? Jesteś spalony?

- Coś w tym rodzaju.

- Dlaczego od razu tak nie mówisz? Oczywiście, że pójdziesz dziś do mnie.

- Poważnie?

- To jasne. Na tę jedną noc, a potem zobaczymy.

- Dlaczego tylko na jedną?

- No, wiesz...

Niwiński spróbował ją objąć, pocałować, ale odsunęła go spoglądając w stronę baraku.

Zza szyb obserwowały ich ciekawe oczy dzieciaków.

- Zwariowałeś?!

Późnym wieczorem Niwiński i Kasia wstępowali po stopniach klatki schodowej

bogatej niegdyś kamienicy. Niwiński po ciemku ponowił próbę pocałunku i dziewczyna już się nie bronila. Stanęli przed jakimiś drzwiami.

- Masz zapalki? - spytała.

W bladym oświetleniu płomyczka Niwiński rozejrzał się: stopnie z piaskowca, boazeria.

- I ty tutaj mieszkasz? - zdziwił się.

Kasia nie odpowiedziała. Pobrzękiwała pękiem kluczy szukając właściwego.

Druga zapalka oświetliła tabliczkę na drzwiach: W. Kozakiewicz. Adwokat.

Rechtsanwalt.

Po chwili byli już w ciemnym przedpokoju. Kasia po omacku szukała kontaktu,

wreszcie go znalazła, nacisnęła, ale rozjaśniła się tylko matowa szybka w drzwiach łazienki.

- Sądziłem, że jesteś córką ślusarza, szlifierza... - zaczął Niwiński.

- Cicho - upomniała go.

Otworzyła drzwi do łazienki i pchnęła tam zdezorientowanego Niwińskiego.

- Jeżeli chcesz, możesz się umyć. Pościelę tymczasem.

Niwiński spojrział na swoją twarz odbitą w lustrze i uśmiechnął się; ściągnął

marynarkę, koszulkę, puścił wodę do wanny. Raz jeszcze zerknął w lustro i znowu się uśmiechnął.

Zadowolony rozprostował ramiona. Gdy skończył kąpiel, wróciła Kasia, wzięła go za rękę i w milczeniu prowadziła długim, ciemnym przedpokojem.

Otworzyła jakieś drzwi i weszli do jeszcze ciemniejszego pokoju. Zasłony zaciemnienia przeciwlotniczego pogłębiały mrok.

- To tutaj... - szepnęła.

Niwiński namacał ręką pościel. Oczy przywykłe do ciemności zaczęły rozróżniać biel.

Usiadł i wyciągnął przed siebie ręce. Kasia nachyliła się, pocałowała go w policzek i szeptem wyjaśniła:

- Idę do łazienki. Teraz ja...

Usłyszał tylko cichy odgłos oddalających się kroków, a potem wyciągnął się wygodnie na sofie, ramiona podłożył pod głowę. Z łazienki dobiegł go szum wody. Po omacku znalazł ubranie, wyjął papierosy i zapalił. Nagle tuż obok siebie usłyszał gwałtowny kaszel i jakiś niski, męski głos powiedział:

- Czuję, że znowu ktoś pali.

Zaświeciła się nocna lampka i Niwiński ujrzał, że dwa kroki od jego sofy na tapczanie leży szpakowaty, starszy pan. Mrużąc oczy wpatrywał się w osłupiałego Niwińskiego.

- Aaa, to ktoś nowy... - odezwał się i na nocnym stoliku zaczął szukać okularów.

- Czy córka nie uprzedzała, że nie znoszę dymu?

- Niestety.

Mężczyzna znalazł okulary, założył, przyjrzał się Niwińskiemu i, nie wstając z łóżka, wyciągnął do niego rękę.

- Kozakiewicz.

- Już gaszę, panie mecenasie.

Na otomanie stojącej pod oknem zaszeleściła pościel i podniosła się kędzierzawa, czarna głowa z krogulczym nosem.

- Szto słucziłość?

- Nic, nic - uspokajająco wyjaśnił pan Kozakiewicz. - Swój człowiek.

Tylko że papierosa zapalił.

Głowa sennie opadła na poduszkę. Usłyszeli jeszcze mruknięcie:

- Nie dla wsiech swaboda. Ej zakurił by, zakurił by czelawiek... - A po chwili rozlegało się już miarowe pochrapywanie.

Niwiński nachylił się w stronę mecenasa.

- Rosjanin?

- Ormianin. Oficer zbiegły z niewoli. Kasia nie wspominała? Myślałem, że pan się orientuje.

- Coraz słabiej.

Opadł na poduszkę, mecenas zaś zgasił lampkę.

- Śpijmy - powiedział.

Kiedy się rano obudził, właścicieli nie było już w domu, tylko Ormianin wyszczerzył do niego białe zęby.

- Maładec, Katia - mówił. - I krasawica. Kak budiet na polski, proszu pana? Bardzo ładna?

- Piękna.

- I papa Kati także bardzo, bardzo...

- Piękny?

- Nu, nie pienkny, a... maładec. Komunistów on w sudach zaszciszczał.

Bronił, tak? On mnie opowiadał. Od burżujów bronił.

- Od burżujów, powiadasz?

- Nu, ty nie wałnujsia. Czierwona Armia wot - wot przyjdzie i burżujów u was nie budiet.

- Wiesz ty co, Aram? Gdzie ty mieszkasz?

- Sam gorod Jerewań. W akno wzglanu i Ararat wiżu.

- Martw ty się o swój Ararat, a ja o swoich, jak mówisz burżujów. Zgoda?

Ormianin posmutniał.

- Co będziesz robić? - zapytał Niwiński.

- Ja? Na bumażku czekam. Katia obiecała. I w las. Tak atsiuda już i Andriejew

poszedł, i Sołowiow Miszka. Bieda tylko, że do fotografii nos u mnie nie giermański.

- Całkiem nie germański - przytaknął ze śmiechem Niwiński.

Ormianin znów wyszczerzył zęby.

- Tawariszcz...

- I nie nazywaj mnie towarzyszem. Cześć! Chowaj się zdrowo.

Niwiński jeszcze nigdy nie czuł się ani taki samotny, ani tak opuszczony, jak tego ranka. Nawet wówczas w Krakowie, kiedy wylękniona ciotka niemal wypchnęła go za drzwi swego mieszkania, nie czuł się bardziej bezradny niż teraz. Ludzie, z którymi on chciał być, dawni jego koledzy i znajomi ojca, nie ufali mu, podejrzewając o kontakty z komunistami. Ci z kolei uważali go za swojego człowieka, jak to określił mecenas Kozakiewicz, lecz przecież tylko jakiś dziwny zbieg okoliczności wiązał go z tymi ludźmi. Nic więcej.

Cóż jednak miał robić? Na ulicy przecież zostać nie mógł. Powlókł się więc do Szkuclarków i jakiś czas tam pomieszkał. Potem coraz poważniej zaczął rozmyślać nad wyjazdem do Krakowa, do rodziców, by w nowym środowisku, nikomu nie znany, rozpocząć wreszcie uczciwą walkę.

W wigilię Bożego Narodzenia nieoczekiwanie spotkał Kurasia, Nie widzieli się już kilka tygodni.

- Władek! - ucieszył się Kuraś.

- Co tutaj robisz? - spytał Niwiński.

- Załatwiałem dla małej korepetycje. Trochę, mimo wszystko, boję się posyłać ją do szkoły... Dlaczego się nie pokazujesz?

- Przecież wymówiono mi mieszkanie.

- Zwariowałeś? Chodź, Urszuli nie ma.

- Jak to, nie ma?!

- No... nie ma. Wyprowadziła się. Zwariować można. Przecież małej nie wygonię na

miasto... Chodź, bo mi się żyć nie chce.

- To tak jak mnie. Wypijmy.

- O! Rzadko mówisz, ale mądrze.

Wstąpili do knajpki na Ochocie, wypili po jednym, uzalili się nad swoim losem.

Niwiński obiecał wpaść przed wieczorem, aby wspólnie spożyć wigilię.

Kuraś też bał się samotności w ten wieczór.

Później, już w domu, niecierpliwie krążył od okna do okna, oczekując na przyjście przyjaciela. Bożenka wodziła za nim smutnym wzrokiem. Kuraś wypił kilka wódek, ale wcale nie poczuł się raźniej.

W kącie pyszniła się przystrojona choinka. Na stole karafka z wódką i trzy talerze. Ale potraw żadnych jeszcze nie było, tylko pośrodku stołu stał spodeczek z opłatkiem.

Kuraś coraz bardziej podniecony alkoholem popadł w nastrój melancholijny:

- Bez wujka Władka nie zaczniemy, Bożenko, bo musimy przełamać się opłatkiem. To będzie twoja premiera, więc musi być uroczyście. I niczemu się nie dziw. Ani że zwierzęta będą mówić ludzkim głosem, ani że ja może będę mówił od rzeczy. - Wypił spory kielich i nalał ponownie. - Muszę trochę wypić, bo święto jest cholernie wesołe, ale rodzinne i wszyscy powinni być w kupie. Ale nie, nie, nie myśl sobie, że mi smutno z tego powodu.

Wujek zaraz nadejdzie, ty jesteś, Bóg się rodzi, moc truchleje... ładnie truchleje jak dzisiaj podawali, że Wielkie Łuki zdobyli...

Wypił, zamyślił się, spojrzał na Bożenkę i monologował dalej:

- Wyjaśnijmy sobie od razu, żeby nie było między nami nieporozumień.

Musisz znać całą prawdę. Bez ogródek. Tego Chrystusa, który dziś taki malutki, w tym sianku ubogim - przetaił pięścią łzę w oku - ukrzyżowali Żydzi. Ja nie twierdzę, że pan Sommer maczał w tym palce, ale fakt jest faktem i musisz się z tym pogodzić.

Noemi patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Kurasiowi zrobiło się przykro.

- A może niepotrzebnie ci to mówię? Wiesz co? Zaśpiewamy kolędę.

Wstał, zaczął zapalać świece na choince, Noemi zaś wyciągała z futerału skrzypce.

- Jezus Maria, przecież ty nie znasz kolęd!

- Umiem.

- Też umiesz?!

Noemi zaczęła grać „Wśród nocnej ciszy”, bardzo smutno i bardzo żałośnie.

Kuraś usiadł przy stole, zapatrzył się na zapaloną już choinkę i dwie wielkie łzy spłynęły mu po policzkach.

Noemi wciąż grała.

W tym momencie zatrzeszczały schody. Ktoś szedł na górę. Kuraś odwrócił się w tamtym kierunku.

- Władek! Ty słyszysz?

Noemi nie przerywała grania, ale w jej oczach odmalowało się takie zdumienie, że

Kuraś spojrzał w tę stronę, w którą patrzyła.

W drzwiach stała Urszula.

Kuraś zerwał się na równe nogi i podbiegł do żony. Urszula stała i słuchała kolędy

Noemi, potem schyliła się po walizkę i przeszła do drugiego pokoju. Kuraś pobiegł za nią.

- Urszula! Kochana! - mamrotał.

- Przecież wigilia... - wyjaśniła. - Macie co jeść?

- Wszystko, kochana, wszystko!

Urszula wyjęła z torebki zawiniątko.

- Masz, połóż to pod choinkę.

- Co to jest?

Urszula rozwinęła papierek i Kuraś ujrzał malutki medalik na łańcuszku.

- Medalik ze chrztu Bożenki - wyjaśniła. - Jeśli już tak ma być.

- Rany boskie, przecież ja dla ciebie nie mam prezentu!

Urszula zdjęła płaszcz, przeszła do kuchni, rozejrzała się po przygotowanych potrawach.

- Ale kochać jej nie jestem w stanie, Leon. Nie jestem w stanie... - powtarzała zamyślona.

I nagle z tego zamyślenia przeszła w złość.

- Dlaczegoś się uchlał? Przed wigilią? Nie wstyd ci dziecka?.

Tej samej wigilijnej nocy, nad lasem pod Wiązowną, na niebie wysoko pod chmurami pojawiły się białe, ledwo widoczne punkciki. Szybko opadały w dół.

Ludzie na leśnej polanie podnieśli się od ogniska i zapatrzyli w górę. Nie mieli już wątpliwości: nad lasem szybowały spadochrony.

Prócz tych paru ludzi przy ognisku nikt nie wiedział o przybyszach z nieba.

Za parę dni rozpocząć się miał trzeci wojenny rok, 1942.

Kiedyś, było to już w połowie stycznia, Niwiński idąc Alejami spostrzegł, że z przejeżdżającej dorożki ktoś wymachuje do niego rękami. Poznał mecenasa Kozakiewicza, który, wychylony spod zaciągniętej budy; serdecznie zapraszał go do dorożki.

- Co się z panem dzieje? - dopytywał. Dlaczego nie pokazuje się pan u Kasi?

Był podniecony, nadmiernie gadatliwy, prawie siłą wciągnął Niwińskiego do dorożki.

Gdy pojazd ruszył, Kozakiewicz nagle spoważniał, zerknął na przygarbione plecy woźnicy i blisko pochylił się ku Niwińskiemu.

Przytrzymał go za guzik palta i szepnął:

- Wiecie, że znów mamy partię?

- Nie.

- Jesteście swój człowiek, czas więc, żebyście o tym wiedzieli.

Niwiński chrząknął, chciał coś powiedzieć, ale Kozakiewicz mocniej przyciągnął go ku sobie.

- Nareszcie. Komintern wyraził zgodę, przywieźli ją towarzysze... stamtąd. Tylko nazwa już inna. Tego, przyznam się, nie rozumiem. Ale...

Byłem na rozmowie. W pierwszych dniach lutego wszystko już będzie jasne.

No, i co wy na to?

Wyciągnął dłoń do Niwińskiego i serdecznie nią potrząsnął, jakby mu gratulował.

- Nareszcie, nareszcie - powtarzał mecenas.

Dorożkarz odwrócił się na koźle i spytał:

- Jak pan szanowny woli? Przez Nowy Świat czy...

- Wszystko jedno - rzucił Kozakiewicz.

- Niech pan zatrzyma. Wsiądę - odezwał się Niwiński.

- Co? Nie pojedzie pan jeszcze ze mną kawałek?

- Nie po drodze mi, wie pan...

Pożegnał się z Kozakiewiczem i wyskoczył. Stał chwilę na chodniku i patrzył w ślad za oddalającą się dorożką. Zza budy wesoło wymachiwał do niego Kozakiewicz.

SWÓJ CZŁOWIEK

Johann Heimann od dawna już nie paradował w esesmańskim mundurze, od dawna też nie był Johannem Heimannem, lecz Janem Nowaczykiem, skromnym inkasentem elektrowni warszawskiej. Ta posada pozwalała mu być codziennie gościem w dziesiątkach mieszkań, rozmawiać z ludźmi, wyciągać ich na zwierzenia, poznawać krążące po mieście plotki.

Wykonując to nowe zadanie postawione przed nim przez obersturmbannführera Kliefhorna, Heimann zmuszony był nawet do rozstania z matką, która dotąd prowadziła mu gospodarstwo w Warszawie. Początkowo zamierzał powierzyć matkę opiece Anny, od dawna przebywającej w Rzeszy na kursach szkoleniowych BDM. Staruszka uparła się jednak nie opuszczać Polski, wysłał ją więc do Krakowa, gdzie podjęła pracę siostry miłosierdzia w jednym z niemieckich szpitali. Stara Heimannowa od dnia, w którym los, okoliczności i syn wyrwali ją ze spalonego młyna w Porytem, żyła jakby w wiecznym letargu. W Warszawie całymi godzinami wysiadywała w oknie, tępo wpatrując się w przechodniów.

Zawsze pobożna, teraz popadła w rodzaj jakiegoś mistycznego obłądu.

Odwiedzała kościoły, cerkwie i zbory ewangeliczne, wszędzie modląc się tylko o jedno: o spełnienie zemsty, którą jej syn poprzysiągł.

Młody Heimann, po prawie trzyletnim bezskutecznym tropieniu Niwińskich, zważył już nawet w spełnienie swej rodzinnej misji. Z tym większą gorliwością wykonywał nowe zadanie. Zaskarbił sobie zaufanie dozorczy domu, w którym mieszkał, wspólnie z nim czytywał nielegalne gazetki, poznawał nastroje dziesiątków ludzi, których odwiedzał ze swą księgą inkasenta.

Pod koniec maja 1942 roku obersturmbannführerowi Kliefhornowi przestało już to wystarczać.

- Nastroje, nastroje! - mówił podniesionym głosem. - Karmi mnie pan nastrojami, zamiast konkretnymi nazwiskami. Bez pana wiem, co ci ludzie myślą. Chcę wiedzieć, co robią!

Podszedł do mapy gubernatorstwa i wskazał palcem punkt koło Piotrkowa.

- Wczoraj tutaj wysadzono pociąg. W utarczce zginął jeden ich człowiek.

Wszystko wskazuje na to, że to grupa komunistyczna. Mają więc już i oddziały

zbrojne. Nie dość Armii Krajowej, teraz jeszcze i ci.

- Pokazywałem panu niedawno ich gazetkę - wtrącił Heimann.

- Gazetkę! Zamiast dziesięciu różnych jest już jedno pismo. Oznacza to, że nie są już rozbici i że ktoś jeden tym kieruje. Jakiś organ, jakiś komitet, któremu się wszyscy podporządkowali. Panie Heimann, dotąd pan był tylko Polakiem, teraz musi pan być Polakiem komunistą.

- Bardzo trudno do nich przeniknąć.

- Jednego, niech mi pan da jednego, a w ciągu godziny będę ich miał dziesięciu.

Chyba nie żal panu rąk dla ojczyzny i dla fuhrera?

- Nigdy, obersturmbannfuhrer! - Heimann wyprężył się, jakby tą postawą chciał podkreślić swe oddanie dla ojczyzny i fuhrera.

- Chyba ma pan i własny rachunek do wyrównania z tym narodem?

Kliefhorn, trzeba przyznać, należycie oceniał sytuację. To właśnie w maju tego roku wyruszyły w lasy oddziały zbrojne Gwardii Ludowej, a pierwszy z nich, pod wodzą Małego Franka, nosił imię Stefana Czarnieckiego.

Córka Kozakiewicza, Kasia, oraz jej przyjaciółka, Marta, miały, jako sanitariuszki, wyruszyć z tymi oddziałami. Na razie jednak Kasia była potrzebna w Warszawie, w tym właśnie czasie bowiem zapadł wyrok na kierownika Arbeitsamtu. Co dzień tysiące młodych dziewcząt i chłopców wyłapywano na ulicach, co dzień długie transporty wywoziły ich w głąb Rzeszy. Wyrok na gorliwym urzędniku urzędu zatrudnienia miał być odpowiedzią na te bezprzykładne polowania na ludzi. Kasi przypadło w udziale ustalenie tożsamości Niemca, czasu oraz miejsca, w którym dokonany miał być zamach. Podczas wykonywania tych czynności Kasia przypadkowo spotkała Niwińskiego. A było to tak...

Przy jednej z nowomiejskich uliczek spadających w dół ku Wiśle znajdował się

niepozorny zakład szewski. Dwie półki zawałone starymi buciskami, jakieś walające się puszeki z klejem i ćwiekami stanowiły całe wyposażenie warsztatu. Przy oknie wychodzącym na ulicę, na niskim zydelku siedział stary szewc i kończył właśnie na poczekaniu przyszywanie sprzączki.

Wtedy weszła Kasia.

- Dzień dobry - powiedziała od progu. - Drewniak mi nawalił.

Szewc nawet na nią nie spojrział. Klientka opuściła wzrok i na nogach Kasi zobaczyła wysokie drewniane koturny, na prawym oderwany pasek.

- Pasek mi się urwał, nie wiem, czy...

- Już to słyszałem - mruknął, nie podnosząc wzroku.

Kostyczny i ponury, zapamiętale walił młoteczką w pantofelek klientki.

Po dłuższej chwili burknął:

- I pewnie jeszcze na poczekaniu mam zrobić?

- Właśnie... - nieśmiało odezwała się Kasia.

- Ludzie, jak wy tych szewców dzisiaj traktujecie? Jak? Na poczekaniu to można na znaczek napluć i przykleić. Obuwie to jest obuwie. Kilińskiego z pomnika zdjęli i do piwnicy schowali. I bardzo dobrze. Nie musi patrzeć, jak wy szewców traktujecie. Drzewo sobie na nogi poubierali. Boże! Heblem to można trumnę zrobić, ale nie porządny obcas... Trzy pięćdziesiąt się należy.

Nie wstając z zydlu wyciągnął nareperowany pantofelek w stronę klientki.

Jednocześnie milczącym gestem nakazał Kasi, by pokazała swój drewniak.

Klientka szukała drobnych, szewc zaś obracał w palcach but Kasi.

- I co ja mam z tym zrobić? Czy ja się wtrącam do stolarzy? Czy ja im z branzli każę robić krzesło?

Klientka schowała do torby pantofelek i wyszła. Szewc odczekał chwilę, podniósł się z zydlu i zupełnie innym głosem powiedział:

- Już myślałem, że pani nie przyjdzie.

- Nie ma jeszcze piątej.

Szewc wyjrzał na ulicę. Widać stąd było kiosk z gazetami, kilka sklepików, wśród których zwracała uwagę cukiernia. Przez otwarte okno wystawowe sprzedawano lody w rożkach.

- Zaraz go pani zobaczy. Można zegarek regulować. Dzień w dzień to samo.

Naprzód po gazetkę, potem na ciacho... Przybiję pani ten pasek.

Znów usiadł na zydlu, wygrzebał z pudełka dwa gwoźdźniki i zabrał się do roboty.

Kasia zerknęła na zegarek, potem otworzyła futerałik małego kodaka, sprawdziła przesłonę, światło. W tym momencie ktoś zapukał w szybę wystawową. Zdziwiona gwałtownie podniosła głowę. Na ulicy stał Niwiński.

Kasia pokuśtykała w jednym bucie i uchyliła drzwi.

- Władek! Dlaczego się nie pokazujesz?

- Co ty tutaj robisz? - zapytał.

Kasia pokazała bosą stopę.

- Mieszkasz po staremu? - upewnił się.

- Tak.

- Spiesz się teraz. Może jutro wpadnę do ciebie, o piątej, dobrze?

- Nie odpowiadała, zapatrzona gdzieś ponad jego głowę. Spojrzał w tamtym kierunku, ale niczego specjalnego nie dostrzegł. Z dołu ulicy szedł Niemiec prowadząc owczarka na smyczy. Podeszedł do kiosku, kupił „Reich” i wsadził go owczarkowi do pyska.

- Więc o piątej? - powtórzył.

- Poczekaj, zrobię ci zdjęcie - krzyknęła dziewczyna.

- Oszalałaś?

Kasia cofnęła się w głąb sklepu, wyrwała z rąk szewca nie do końca zreperowany but i wybiegła.

- Chodź, pod cukiernią jest lepsze światło.

- Co ci się stało?

Nie dając mu dojść do słowa, prawie na siłę popchnęła go w tamtą stronę.

Niemiec zatrzymał się przed cukiernią. Owczarek z gazetą w pysku został na chodniku, a jego pan przez otwartą szybę odbierał ciastko. Wyciągnął rękę po gazetę i w otwarty pysk psa wsadził napoleonkę.

Kasia pstryknęła zdjęcie i wreszcie odpowiedziała na pytanie Niwińskiego.

- Dobrze, niech będzie o piątej, jeśli nie możesz teraz na mnie poczekać.

To jedna chwila - wskazała na jeszcze jeden oberwany pasek.

- Mam kiepskie wspomnienia z pozowania do zdjęć - uśmiechnął się. - Kiedyś ci to opowiem... Która godzina?

- Punkt piąta.

- Skąd wiesz?

- Bo powinna być piąta. - Dopiero teraz spojrzała na zegarek. - I jest.

- Już jestem spóźniony. Do jutra! - pobiegł w stronę stojącej dorożki.

Kasia wolno zawróciła do warsztatu.

- Zgadzało się? - spytał szewc.

- Tak.

Jeszcze tego samego dnia pokazywała gotowe zdjęcie ojcu i Mrowińskiemu.

Ci dwaj odbywali w mieszkaniu adwokata ważną naradę. Kasia raz tylko

przeszkodziła im w rozmowie, przynosząc herbatę i to właśnie zdjęcie.

Kozakiewicz, korzystając z chwili przerwy, wyszedł do drugiego pokoju.

Kasia postawiła przed Mrowińskim szklanę z herbatą; na spodeczku leżała pastylka sacharyny.

- Udało się? - spytał nauczyciel.

- Tak. Pokazywałam już ojcu.

Wręczyła mu dużą odbitkę zdjęcia przedstawiającego Niemca karmiącego psa przed cukiernią na Freta; z boku zdjęcia widać było Niwińskiego. Mrowiński nie krył zdziwienia.

- A ten co tu robi?

- Przypadek - odpowiedziała dziewczyna.

Sięgnęła po nożyczki leżące na kredensie i odcięła Niwińskiego z odbitki.

- Co dzień o piątej. Ta sama trasa. Dom, kiosk, cukiernia.

Mrowiński długo oglądał zdjęcie Niemca z psem, wreszcie odłożył je i, wskazując na wycinek trzymany przez Kasię, powiedział:

- Dawno go nie widziałem. Nie mieszkam już u tramwajarza. Wynajmuję pokój sublokatorski.

- Chciałam nawet pana zapytać... Czy on... czy on jest w ruchu?

- Naszym? Nie.

- Sympatyk?

- Chyba i to za wiele powiedziane.

- Wobec tego... nic nie rozumiem.

Mrowiński nie zdążył spytać, czego to mianowicie Kasia nie rozumie, bo do pokoju powrócił Kozakiewicz z tekturową okładką akt sądowych w ręku. Z daleka nią potrząsał.

- Jest. Przed spaleniem chciałem wam tylko pokazać. Porządkuję właśnie stare akta i

palę.

Kasia sprzątnęła ze stołu tacę i wyszła z pokoju.

Na stole przed Mrowińskim pojawiła się teczka z napisem na okładce: „Akta sprawy karnej p - ko Stanisławowi Mrowińskiemu, synowi Karola”.

Mrowiński uśmiechnął się, otworzył teczkę i zaczął przerzucać bibułkowe, zadrukowane kopie.

- Mieliście wspaniałą mowę, mecenasie. Długo pamiętałem ją, jeszcze potem w Rawiczu.

Kozakiewicz rozłożył ręce i zamknął akta.

- Dajcie mi to - poprosił Mrowiński. - Wnukom na pamiątkę.

- Możecie ich nie doczekać, nosząc to przy sobie. To nie najlepsza rekomendacja, te papierki.

- Nie takie rzeczy się nosiło. Zmieniłem nazwisko.

Odsunął na bok akta dawnej sprawy, Kozakiewicz zaś zaczął mieszać łyżeczką herbatę.

- A więc mamy dzisiaj dwie sprawy - z namysłem powiedział mecenas. - Pierwsza to kierownik Arbeitsamtu.

Mrowiński wziął w rękę zdjęcie Niemca.

- Wyrok już zatwierdzony - powiedział. - Jeżeli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, dwudziestego maja przestanie urządzić polowania na ludzi.

- Dobrze. Datę przekażę towarzyszom - skinął głową Kozakiewicz. - Dziś już wiemy, że będzie to w tym właśnie miejscu, na Mostowej. I że o piątej - ciągnął pukając palcem w zdjęcie.

Przez chwilę, jakby usiłując zapamiętać tę twarz, spoglądał na Niemca karmiącego

ciastkiem psa. Wreszcie włożył fotografię do kieszeni.

- No i sprawa druga - jakby po namyśle odezwał się mecenas. - Góra - wskazał palcem na sufit - chce za wszelką cenę nawiązać kontakt z delegatem rządu. Od kiedy PPR działa oficjalnie, zarzucają nam zdradę, samowolę, nie wiadomo co jeszcze. A przecież chcemy zadeklarować swoją pomoc, chcemy się podporządkować, nie rościmy sobie pretensji do kierowania walką, lecz chcemy w niej uczestniczyć. Poprzemy każdego, kto walczy dziś z Niemcami.

- Wielu towarzyszy - wtrącił Mrowiński - zwłaszcza tych, którzy cierpieli przed wojną, uważa, że ze względów klasowych nie należy wiązać się z tymi ludźmi...

- Są w błędzie - nie pozwolił mu dokończyć Kozakiewicz. - Stary powiedział to jeszcze w lutym, na pierwszym organizacyjnym zebraniu.

Nadrzędną sprawą na obecnym etapie jest niepodległość.

- Wiem. Nawet ja, po tym, co sam przeszedłem - potrząsnął odłożonymi aktami. - Nawet ja... im to zapomniałem.

- Ale oni o tym nie wiedzą. Trzeba koniecznie przedstawić im naszą linię.

Z delegaturą są kłopoty. Na razie nie mamy żadnych możliwości dotarcia do nich, trzeba więc, abyśmy na razie... na niższym szczeblu. Znacie, zdaje się, kogoś z Tajnej Organizacji Nauczycielskiej?

- Tak. Raz już ten ktoś odrzucił wprawdzie moją chęć współpracy, ale... o tym też mogę zapomnieć. Nie pora na dąsy. Okropne świństwo ta sacharyna, mecenasie. Odsunął swoją szklankę i uniósł się z krzesła.

Nazajutrz zmierzał ulicą Świętokrzyską do antykwariatu Sobczaka. Już był prawie przy wystawie, kiedy spostrzegł tłum oblegający słup ogłoszeniowy.

Zaintrygowany podszedł tam i Mrowiński. Tym razem nie było to żadne zarządzenie

władz, a rzucająca się w oczy reklama berlińskich linoskoczków, zespołu „Camilia” Zespół ten miał wkrótce zjechać na gościnne występy do Warszawy. Przez chwilę Mrowiński gapił się na plakat wyobrażający linę rozciągniętą pomiędzy dachami dwóch kamienic i zawieszoną nad przepaścią człowieka.

W tym samym momencie obok słupa ogłoszeniowego przechodził Johann Heimann.

Był, oczywiście, po cywilnemu; z teczką pod pachą sprawiał wrażenie załęcznionego urzędnika. Coś go zaintrygowało w postaci Mrowińskiego. Przystanął i usiłował sobie przypomnieć, skąd zna tego człowieka.

Mrowiński skończył czytać i ruszył ulicą przed siebie. Heimann zawrócił i w odpowiedniej odległości poszedł za nim. Tak doprowadził nauczyciela aż do drzwi antykwariatu. Nie wszedł jednak za nim. Podeszedł do budki z papierosami i kupując gazetę, wpatrywał się w wystawę antykwariatu. Przez niezbyt czystą szybę widział dwie rozmawiające osoby. Chwilę jeszcze tak stał, potem sprawdził czas na zegarku i oddalił się.

Mrowiński udając, że przegląda wyłożone na ladzie stare książki, spod oka obserwował antykwariusza. Sobczak stał za ladą i pochylony nad rozłożoną zszywką „Na szerokim świecie” czytał wetkniętą tam przez nauczyciela „Trybunę Wolności”. Skończył, odsunął na czoło okulary, zamknął zszywkę i odezwał się:

- Więc to jest ten wasz organ?

- Przeczytał pan? - spytał Mrowiński.

- Rzuciłem okiem.

- Szkoda. Może łatwiej byłoby nam dyskutować, gdyby pan się gruntowniej z tym zapoznał.

- Może mi pan zostawić ten egzemplarz?

- Oczywiście.

- Jako ciekawostkę.

Mrowiński uśmiechnął się. Podszedł bliżej, otworzył zszywkę i głośno przeczytał:

- „Polska Partia Robotnicza nie ma zamiaru uprawiać konkurencji w stosunku do innych partii szczerze walczących o wyzwolenie narodu polskiego. Przeciwnie, dąży do jak najbliższej współpracy i wspólnej z nimi walki przeciwko wspólnemu wrogowi”. Pan to uważa za ciekawostkę? Bo ja za most, który może nas połączyć i pozwolić się porozumieć.

- Most, mówi pan? Most może połączyć dwa brzegi. Mój jest nad Wisłą, a pański... bo ja wiem... nad Wołgą, czy co tam pod Moskwą płynie. Ciężka sprawa z takim mostem.

- Nie uważam. Wszystkim nam chodzi o to samo.

- Za co pana, kolego, pozbawiono prawa nauczania? O ile pamiętam, za samowolne wprowadzanie do programu szkolnego Kruczkowskiego, Wasilewskiej?

Ja polskim dzieciom ich nie polecałem. Więc nie chodzi nam o to samo. Panu o jakąś rewolucję, mnie o ojczyznę.

- Szkoda jednak, że nie przeczytał pan dokładnie.

- Może kiedyś, w wolnej chwili - odparł Sobczak.

- Każda chwila jest dzisiaj droga. Nie sprzeczejmy się o słowa, choć i na to mógłbym panu odpowiedzieć. Wiele się od września zmieniło.

- Owszem. To tylko wy się nie zmieniacie. Wciąż uprawiacie dywersję. W lipcu zeszłego roku generał Sikorski uregulował stosunki polsko - sowieckie i odtąd nic w kraju nie może się dziać bez zgody rządu. Powstanie waszej partii zakłóca to porozumienie. Nikt o was nie wie.

- Właśnie chcemy, aby o nas wiedziano. Nie rzucamy słów na wiatr. Chcemy bić Niemców. Tylko to się teraz liczy. Niedawno wyruszył w pole pierwszy bojowy oddział. Będą ich setki. Usłyszysz pan o nich.

- Wyruszył? Jakim właściwie prawem? - spytał Sobczak.
- Prawem obrony tych, których wywożą, mordują i katują.
- Wzięcie udziału w walce może nastąpić tylko na rozkaz właściwych czynników.

Uzurpujecie sobie to prawo?

- Nie. Lecz chcemy, by te właściwe czynniki poznały nasz punkt widzenia.
- Mrowiński nie dawał się wyprowadzić z równowagi. - Po to dziś jestem u pana.
- Za wysoko mnie pan ocenia.
- Profesorze. Najprzód dojdźmy do porozumienia na niższym szczeblu. Może przeniknie to i do naszych gór.
- Porozumienie? - antykwariusz nie ukrywał zdziwienia.
- Nazwijmy więc to wymianą poglądów. To przecież nikomu nie może zaszkodzić.
- Moje pan już zna.

- Ale pan nie zna naszych. Proponuję spotkanie kilku osób. Ja też jestem tylko pionkiem. Niech pan wysłucha mądrzejszych.

- Co pan proponuje?

- Pańska czternaście, mieszkania siedem. Jutro o dziewiętnastej.

- Zapamiętałem.

- A teraz niech mi pan da coś do czytania. Wszystko jedno, może być nawet Marczyński. Do poduszki.

Trzymał już wybraną książkę w ręce, kiedy drzwi antykwariatu rozwarły się gwałtownie i uzbrojeni gestapowcy rozbiegli się po sklepie. Dwóch cywilów w tyrolskich kapelusikach zamykało drzwi na klucz. Jeden odwrócił wywieszkę z napisem: Przerwa obiadowa, drugi zmierzał do Mrowińskiego.

- Ręce do góry! Ty też, ty też! - wrzasnął.

Mrowiński i Sobczak posłusznie unieśli ręce. Cywil sięgnął po wysoko uniesioną przez Mrowińskiego książkę. Otworzył na karcie tytułowej.

- Jak to, panie Mrowiński? Nie Marks, nie Engels, tylko Marczyński?

Dokumenty!

Mrowiński sięgnął ręką w zanadrze, lecz cywil błyskawicznym ruchem podbił mu ramię i sam wprawnie obmacał marynarkę i kieszenie spodni. Wyjął dowód, otworzył, uśmiechnął się. Tym razem zwrócił się do Sobczaka.

- Nazwisko?

- Sobczak.

- Nie twoje. Jego.

- To klient. Nie znam tego pana.

Cywil odszedł od Sobczaka, jakby go zadowolila ta odpowiedź. Dał znak głową uzbrojonym gestapowcom. W jednej chwili rzucili się do półek, zwalając z nich książki na podłogę. Drugi cywil podszedł i z tej rosnącej sterty wyciągał od czasu do czasu jakiś egzemplarz. Nie tyle go przeglądał, co wytrząsał.

Tymczasem pierwszy cywil znów znalazł się przy antykwariuszu.

- Nazwisko?

- Sobczak.

Cywil wymierzył antykwariuszowi policzek. Był już wściekły.

- Wiesz, durniu, że o nazwisko tamtego pytam.

- Nie wiem. Kupował książkę.

- Pół godziny? Pół godziny zasraną powieść kupował? Papiery!

I znów, jak poprzednio, sam wyjął z marynarki Sobczaka dokumenty. Teraz już dwa dowody trzymał w dłoni.

- Zawód?

- Księgarz.

- Nieprawda. Zawód wyuczony - nauczyciel. Przecież jest tu napisane; więc czemu
łżesz? I co? W dalszym ciągu twierdzisz, że nie znasz kolegi po fachu?

- Pierwszy raz go widzę.

Cywil podszedł teraz do Mrowińskiego.

- Nazwisko? Imię?

- Łapaj Ignacy.

- Od jak dawna?

- Od urodzenia.

Cywil zerknął w stronę Sobczaka, który chusteczką wycierał sączącą się z nosa krew.

- Pożycz koledze chusteczkę. Będzie jej zaraz potrzebował.

Sobczak zawahał się. Widząc jednak, że cywil kieruje się do niego, pośpiesznie
wsunął swą chusteczkę w dłoń Mrowińskiego.

- Nazwisko?

- Łapaj Ignacy.

Uderzenie w twarz. Mrowiński, spodziewając się tego ciosu, zasłonił twarz
ramieniem. W ułamku sekundy cywil wymierzył mu cios w żołądek. Mrowiński zgiął się
wzrostem i zataczając wzdłuż lady upadł na stertę zrzuconych książek.

Z góry leciały mu na głowę następne.

- Adres jest też fałszywy?! - wrzeszczał cywil.

- Prawdziwy - odpowiedział Mrowiński.

Cywil podszedł z dowodem do swego kolegi, wskazał mu adres w dowodzie

Mrowińskiego. Tamten w milczeniu przytaknął głową, odwołał jednego z esesmanów i obaj

wyszli z antykwariatu.

Przez szybę wystawy widać było, jak wsiedli do stojącego przed sklepem samochodu i odjechali.

- Mrowiński, uczyłeś w Porytem? - cywil kontynuował przesłuchanie.

- Pan się myli i wciąż mnie bierze za kogo innego.

- W Porytem, pytam, czy uczyłeś?

- Nie.

- Wyrzucono cię tam za komunizm, moskiewska świnio! Tak czy nie?

- Nie słyszałem w ogóle o takiej wiosce.

- Skąd wiesz, że to wioska?

- Bo nie ma takiego miasta.

- Dobrze. Przypomnisz sobie jeszcze. Tylko cię wpierw postawię do kąta.

Niegrzeczny jesteś.

Podszedł teraz do antykwariusza.

- No, i co z panem zrobić, panie Sobczak?

Sobczak wzruszył ramionami.

- Opuścić ręce - rozkazał cywil.

Przeszedł się po zrujnowanym antykwariacie, szepnął słówko gestapowcowi.

Ten natychmiast podbiegł do Mrowińskiego i tarmosząc go za ramię popchnął w stronę drzwi.

W tej samej chwili inny gestapowiec, stojący na drabinie i wytrząsający zszywkę czasopism, wyrzucił z jej wnętrza „Trybunę Wolności”. Egzemplarz długo wirował w powietrzu, zanim opadł na ziemię. Cywil schylił się, spojrział, uśmiechnął.

- A więc jednak. Nie tylko kolega, ale i towarzysz. To było do przewidzenia. Brać go!

Sobczak zaczął wolno zdejmować satynowy kitel, ale nie zdążył. Uderzenie lufy popchnęło go ku wyjściu.

W gabinecie Kliefhorna odbywało się przesłuchanie Mrowińskiego.

Obersturmbannführer trzymał w dłoni kilka zadrukowanych kartek spiętych spinaczem.

- Szkoda już czasu na ustalanie pańskiej tożsamości, panie Mrowiński. Co to jest? -
potrząsał przed nauczycielem plikiem papierów.

- Nie wiem.

- A przecież znaleziono to podczas rewizji w pańskim pokoju. Jest to, przypomnę panu, akt oskarżenia przeciwko Stanisławowi Mrowińskiemu za przynależność do partii komunistycznej. Skąd to u pana? No, widzi pan.

Należał pan do partii.

- Niczego mi nie udowodniono.

- Panu? Więc jednak jest pan Mrowińskim?

- Tak.

- Nareszcie. Jaką funkcję pełni u was Sobczak?

- Sobczak?

- Antykwariusz, żeby już nie musiał pan dłużej udawać.

- A pan?

- Też żadnej.

- Czemu poświęcone było wasze spotkanie?

- Po prostu. Kupowałem książkę. Nie znam tego człowieka. Równie dobrze mogłem wejść do Gebethnera i Wolffa.

- Ale pan nie wszedł. Bo miał pan sprawę do Sobczaka. Jaką?

Ponieważ Mrowiński milczał, Kliefhorn wyciągnął z biurka „Trybunę Wolności” i potrząsając nią przed nosem Mrowińskiego, kontynuował:

- Sobczak wszystko już nam powiedział. Pańskie szczere zeznanie może tylko polepszyć pańską sytuację. O panu wiem wszystko, choćby z tych akt, i niczemu już pan nie zaprzeczy. Sobczak również wszystko potwierdził. Z kim jeszcze utrzymujecie kontakt?

- Z nikim. Nie znam Sobczaka.

- Więc o czym rozmawialiście przez pół godziny? O pogodzie? Dwaj komuniści?

- On nie jest żadnym komunistą.

- Skąd pan to wie? Przecież go pan nie zna?

- Nie znam.

- Ciekawe, że czytujecie to samo pismo. Przecież to znaleziono u niego w księgarni. -

Znów potrząsnął „Trybuną Wolności”. - Z kim kontaktujecie się jeszcze?

Mrowiński nie odpowiedział. Kliefhorn wolno podniósł się zza biurka.

- Czy mam cię przenieść do innego pokoju, gdzie łatwiej odzyskuje się pamięć, czy powiesz to tutaj? - podniósł głos.

- Niczego nie wiem.

Kliefhorn ponownie usiadł za biurkiem i machinalnie zaczął przerzucać kartki z przedwojennego aktu oskarżenia Mrowińskiego.

- Wbrew temu, co tutaj mówisz, nie byłeś znów takim małym pionkiem.

- Niczego mi nie udowodniono.

- Może miałeś dobrego adwokata... O, właśnie!

Uśmiechnął się zadowolony z tego przypadkowego odkrycia i uważniej zaczął wertować tekst oskarżenia.

- obrońca Stefan Kozakiewicz... No, proszę. Czy to też wasz człowiek?

Kliefhorn nacisnął guziczek na biurku. Niemal natychmiast zjawił się sekretarz.

Kliefhorn ołówkiem podkreślił nazwisko w akcie oskarżenia i pokazał je sekretarzowi.

- Sprawdzić natychmiast. Niech tam ktoś od razu pojedzie, jak tylko ustalicie adres.

Mrowiński z trudem przełknął ślinę i bąknął:

- To był obrońca z urzędu. Nawet, go nie pamiętam.

- Nie szkodzi. Wkrótce sobie przypomnisz.

Sobczaka przesłuchiwał ten sam cywil, który go aresztował. W głębi pokoju, za

plecami antykwariusza, nieruchomo stał esesman.

- Kiedy wstąpiłeś do partii komunistycznej? - padło pierwsze pytanie cywila.

- Nigdy do niej nie wstępowałem.

- Mrowiński twierdzi inaczej. Dostarczał ci prasę. Przyznał się do tego.

- Nie mógł tego powiedzieć. Ten egzemplarz widzę pierwszy raz na oczy.

Skupuję w antykwariacie stare czasopisma, ale przecież nie studiuję kartka po kartce.

To było w środku.

- Jesteście wszyscy bandą czerwonych, którą wytępiamy jak robactwo. Kto jeszcze

należy do waszej jacejki? - z każdym słowem podnosił głos.

- Nie należę do żadnej jacejki. Jeżeli mam być szczery, mój stosunek do komunistów

jest może nie tak skrajny, jak pana, ale również niechętny. To nonsens! Mnie, właśnie mnie o

to podejrzewać.

Cywil spojrzał uważnie w twarz Sobczaka, potem ręką nakazał, by esesman opuścił

pokój. Po jego wyjściu cywil odezwał się już innym tonem:

- Widzi pan, panie Sobczak, pan jest człowiekiem inteligentnym i na pewno zdołamy

się porozumieć. Ja panu wierzę, że stosunek ma pan do nich niechętny. Można wiedzieć,

dlaczego?

- Nie odpowiadają mi ich poglądy.
- Wolałbym konkretniej. Jakie? Na przykład Mrowińskiego?
- Nie znam jego poglądów, bo nie znam tego człowieka.
- Jeśli zna pan ich poglądy, zna pan i tych, którzy je głoszą. Wystarczy jedno pańskie słowo, kilka nazwisk, a tu, w pańskiej obecności, podpiszę pańskie zwolnienie. No?
- Nie trzeba znać ludzi, aby słyszeć o poglądach. Ogłasza je choćby gazetka, którą pan znalazł.
- Jeśli nie nazwiska, to pseudonimy? No? Adresy?
- Nie znam.
- Jeden. Wystarczy jeden adres, a wróci pan do swoich książek. Widzi pan ten blankiet?

Zamachał czystym blankietem pełnym rubryczek.

- To jest zwolnienie po przesłuchaniu. Domyśla się pan, że dość rzadko korzystamy z tego druczka. Pan będzie nielicznym wyjątkiem. Już wypisuję...

Sobczak Jan, syn...

Odkręcił wieczne pióro i istotnie zaczął wypełniać poszczególne rubryczki. Ujął pieczętkę, odcisnął w poduszce, chuchnął.

- Mam przystawić pieczętkę? Podpisać? Jeden adres. Jedno nazwisko.

Sobczak zapatrzył się w pieczętkę, która zawisała nad druczkiem zwolnienia. Cywil wolno opuszczał ją coraz niżej.

- Nie znam. Nie znam nikogo - powiedział.

Cywil cisnął pieczętką w twarz Sobczaka. W jednej chwili porwał na strzepy zapisany druczek. Znów opętała go wściekłość. Zerwał się zza biurka i otworzył drzwi: do pokoju wbiegło dwóch esesmanów. Cywil skinął głową, sam zaś wyszedł na korytarz. Poprawił

krawat. W tym momencie zza drzwi doleciał go okropny krzyk Sobczaka.

Cywil oddalał się korytarzem. Wycie Sobczaka goniło go aż do schodów, którymi wolno zaczął zstępować w dół.

W mieszkaniu Kozakiewicza - kocioł. W pokoju siedziała Kasia pilnowana przez gestapowca. Przez uchylone do przedpokoju drzwi widać było esesmana strzegącego wejścia do mieszkania. Cywil, ten sam, który brał udział w rewizji w antykwariacie, krążył po mieszkaniu, przeglądając książki w bibliotece i akta na biurku.

Kasia niespokojnie rzuciła okiem na wiszący na ścianie zegar. Za dwadzieścia piąta.

- Kiedy ojciec wróci? - spytał cywil.

- Nie wiem.

- Na kogo czekasz?

- Na nikogo.

- Nieprawda. Po co patrzysz na zegar?

Nie odpowiedziała. Cywil rozsiadł się wygodnie w fotelu, zdjął kapelusz, rękawiczki i spokojnie zapalił papierosa.

- Poczekamy.

Na zegarze za kwadrans piąta...

Punktualnie o tej godzinie do pralni Kurasia listonosz przyniósł pilną depeszę. Kuraś odczytał jej treść, zatroskał się i poszedł szukać Niwińskiego, który właśnie szykował się do wyjścia. Depesza nadeszła z Krakowa. Pani Niwińska donosiła o ciężkim stanie zdrowia męża, wzywała syna do natychmiastowego przyjazdu. Niwiński przebiegł wzrokiem tekst telegramu.

- Czytałeś? - spytał Kurasia. - Boję się, że to już... po wszystkim.

Matka nie pisze prawdy...

- Jedź. W każdym razie jedź. Pociąg masz za godzinę. Daj tu sobie radę bez ciebie.

Kuraś mocno uściśnął mu ramię. Niwiński spojrzał na zegarek i przeszedł na zaplecze.

Podszedł do telefonu, wykręcił numer. W słuchawce odezwał się męski głos.

- Czy to pan mecenas? Chciałem prosić Kasię.

- Nie, mecenasa chwilowo nie ma. A kto mówi?

- Znajomy. Czy jest Kasia?

- Niedługo będzie. Co mam powtórzyć. Kto mówi?

- A kto przy telefonie? - dopytywał się Niwiński.

- Kuzyn.

- Proszę... proszę powtórzyć Kasi, że niestety nie przyjdę.

- Ale dlaczego? Bardzo na pana czekała.

Niwiński zawahał się przy słuchawce lekko zdziwiony.

- Niestety, za chwilę muszę wyjechać do Krakowa. Dostałem pilną wiadomość. Proszę ją przeprosić i...

- Może pan zostawi chociaż numer telefonu. Kasia zadzwoni jak wróci.

W tej chwili Niwiński usłyszał w słuchawce przeraźliwy krzyk kobiety.

Oderwał słuchawkę od ucha, chwilę stał nieruchomo, wreszcie odłożył ją na widełki.

Kuraś przynaglał go do wyjścia. Kupno biletu nie gwarantowało podróży, trzeba było jeszcze zdobyć platkartę. Kuraś wetknął Niwińskiemu pieniądze.

Po kwadransie podchorąży był już na dworcu.

Tu powitało go nieopisane mrowie podróżnych. Tasiemcowe kolejki wystawały przed okienkami do kas. W tej ciżbie Niwiński dostrzegł Lutka Szymkowskiego. Właśnie odszedł od kasy sprawdzając nabyty dopiero co bilet.

Ponad głowami podróżnych dotarło do Szymkowskiego wołanie. Obejrzał się i

ucieszył widokiem kolegi.

- Władek, co z tobą?

- Jakoś żyję.

Przeciskali się przez tłum. Kiedy już stanęli blisko siebie, Niwiński spytał:

- Wszystko w porządku? Co z resztą chłopaków?

- Różnie... Rafał, na przykład, jest tutaj ze mną.

- Tutaj?

- Jedziemy razem do Krakowa. Co u profesora?

- Niedobrze. Właśnie dostałem depeszę...

Niwiński urwał w pół słowa, coś mu przyszło na myśl. Chwycił Lutka za guzik marynarki.

- Odstąp mi swoją platkartę.

Dostrzegł wahanie we wzroku kolegi; a może to było tylko zaskoczenie nieoczekiwaną propozycją, więc wyjaśnił:

- Ojciec jest umierający. Muszę być jutro w Krakowie.

- Nie zrozum mnie źle - Lutek nie patrzył mu w oczy - ale...

- W kasach już nie ma, dopiero na jutrzejszy poranny...

Szymkowski nieoczekiwanie powiedział:

- Nie jedź tym pociągiem, Władek.

- Jakim pociągiem?

- Tym jutrzejszym. Porannym.

Niwiński nie zwrócił uwagi na tę nieoczekiwaną i dość dziwnie brzmiącą radę.

Chwycił Lutka za obie dłonie i silnie nimi potrząsnął.

- Proszę cię o to. Słyszysz? Czy mam ci pokazać depeszę?

- Wierzę ci, ale... nie mogę.

- Więc może Rafał? Gdzie on jest?

Rozejrzał się po zatłoczonej hali.

- Nie gniewaj się, ale i Rafał nie może.

Niwiński zwolnił uścisk na dłoniach kolegi. Pożałował swej prośby i powiedział ponuro:

- Nie odpowiadaj za niego. Dlaczego zakładasz, że i on jest takim samym bydlakiem?

Odwrócił się, by odejść. Lutek spróbował przytrzymać go za ramię, ale Niwiński strzepnął z siebie jego dłoń.

- Odejdź, kolego. Po co jedziecie? Po schab? Wędzonkę? Powodzenia. Co z was zrobiła ta wojna?

Wyszarpnął z kieszeni zmiętą depeszę. Prawie pod nos wetknął ją Lutkowi.

Podróżni zaczęli już na nich zwracać uwagę.

- Masz, masz. Może być coś ważniejszego niż śmierć ojca?

Zamiast Lutka odpowiedział ktoś inny, kto stał za plecami Niwińskiego.

- Czasami może.

Niwiński odwrócił się zaskoczony i zobaczył Zawistowskiego, który syknął karcąco:

- Zwracacie na siebie uwagę. Idź - powiedział do Lutka - już wpuszczają.

Lutek zerknął w kierunku wejścia na perony. Las rąk z wyciągniętymi biletami. Tłum szturmował wejście.

- Niech mu pan chociaż wytłumaczy - Lutek prosząco zwrócił się do Zawistowskiego i ruszył w kierunku napierającego tłumu.

Zawistowski przytrzymał Niwińskiego za ramię.

- Wytłumaczyć panu nie wytłumaczę - powiedział - ale niech im pan nie ma tego za

złe.

Niwiński spojrzał uważnie w oczy Zawistowskiego i wzruszył ramionami.

- Przepraszam, ale zajmę kolejkę. Może chociaż na jutro dostanę. Do zobaczenia.

Przecisnął się przez tłum, stanął u końca długiego ogonka. Zawistowski chwilę się wahał, wreszcie podszedł.

- Koniecznie musi pan jutro? - spytał.

- Słyszał pan, Dziś już miałem tam być.

- Widzi pan... - Zawistowski zawahał się przez moment. - Niech pan chociaż nie dojeżdża do samego Krakowa. Stacja przed, w Płaszowie, Zabierzowie...

- Łapią? - spytał zdziwiony Niwiński.

- Nie, ale... Po prostu panu radzę.

Uśmiechnął się, skinął na pożegnanie ręką i odszedł.

Riksza zawiozła Zawistowskiego wprost z dworca na Jasną, do banku.

Deutsche Reichsbank był tego dnia pełen interesantów. Zawistowski z głównego hallu

skierował się pośpiesznie na zaplecze. Bez pukania wszedł w drzwi prowadzące do pokoju naczelnika Szczerbaniewicza.

Urzędnik na jego widok poderwał się zza biurka.

- Jak? - spytał pośpiesznie.

- Już są w drodze.

- Więc to... na pewno jutro?

- Tak. Jeżeli, oczywiście... po to u pana jestem.

- W stu procentach - zapewnił Szczerbaniewicz. - Dziś został podpisany rozkaz transportu.

- Dużo tego?

Szczerbaniewicz zamiast odpowiedzi napisał na kartce 500.

- I oczywiście sześć zer niech pan do tego doda.

- To pewne? - spytał Zawistowski.

- Sam widziałem list przewozowy. Jutrzejszym rannym pociągiem.

- Odetchnąłem - przyznał Zawistowski.

Szczerbaniewicz usiadł za biurkiem, zapalił.

- Ja również - powiedział. - Ale nie z powodu sumy. Podobna trafiłaby się prędzej czy później. Odetchnąłem, że to się stanie w Krakowie. Odpadną podejrzenia, że tutejszy personel banku maczał w tym palce. A i koledzy w Krakowie będą czyści. Cóż, za wypadki na dworcu bank odpowiadać nie może.

- Czy banknoty pochodzą na pewno z różnych serii?

- Z różnych.

Zawistowski podniósł się z krzesła. Szczerbaniewicz zatrzymał go jeszcze.

- Sekundę. W tej sytuacji chciałbym, aby plan skarbcza i rozkład banku... pan rozumie, skoro zrezygnowano z akcji na terenie banku...

- Akcja Kraków jeszcze się nie odbyła.

- Ale jutro... Zniszczcie te rysunki. Na wszelki wypadek...

- Przekażę.

Na biurku zadzwonił telefon. Szczerbaniewicz ujął słuchawkę, chwilę słuchał, bardzo zmienił się na twarzy i nie przerywając rozmowy raz jeszcze wstrzymał podnoszącego się Zawistowskiego.

- Rozumiem, panie magistrze, rozumiem... - mówił do słuchawki. - No cóż, skoro nie ma tego lekarstwa, nic nie poradzimy... Może w innej aptece...

Dziękuję za fatygę...

Odłożył słuchawkę i wpatrzył się w Zawistowskiego.

- Akcja jest odwołana - powiedział po chwili milczenia.

- To wykluczone! - zawołał Zawistowski. - Ludzie są w drodze.

Niezrozumiały rozkaz odwołujący akcję napadu na transport pieniędzy w Krakowie, akcję rozpracowaną w najdrobniejszych szczegółach, zmusił Zawistowskiego do natychmiastowej rozmowy z aptekarzem Kudlińskim.

Farmaceuta krótko wyjaśnił Zawistowskiemu sytuację:

- Dziś przed południem aresztowano Sobczaka. Teraz już pan rozumie?

- To, oczywiście, fatalne, ale...

- Fatalne? - uśmiechnął się Kudliński.

- Może aresztowano go przypadkowo.

- Może - przyznał aptekarz. - Ale on wie wszystko. Zna termin akcji, miejsce...

- Powtarzam, jeżeli wpadł z innego powodu, nie ma podstaw do obaw, że piśnie coś o Krakowie - upierał się Zawistowski.

- Był pan tam u nich?

- Nie.

- Więc niech pan za nikogo nie ręczy. Może powiedzieć w malignie, we śnie, w gorączce... Znam Sobczaka i ufam mu więcej niż sobie, ale... - rozłożył ramiona i dokończył:

- ...od niego zależy życie tych pięciu pańskich ludzi, którzy tam wyjdą na dworzec. O moim już nie wspominał, ani o Szczerbaniewiczu.

- Właśnie, panie magistrze. Naczelnik prosił o zniszczenie planów skarbcza.

- Prosił? Niech pisze podanie do gestapo z uprzejmą prośbą o zwrot.

Również i te plany były u Sobczaka.

- Skąd go zabrano?

- Z księgarni. Człowiek, który mi o tym doniósł, twierdzi, że wyprowadzono jego i jeszcze kogoś, kogo nie zna. Uspokaja mnie to o tyle, że nie ma żadnych wiadomości, aby dziś wpadł ktoś inny z nas. Być może, rzeczywiście wplątano go przypadkiem w sprawę tego obcego.

- Z pewnością. Od razu to mówiłem.

- Podobno jakieś straty ponieśli dziś komuniści. Był kocioł u adwokata Kozakiewicza.

Słyszałem, że przestrzeżono go w ostatniej chwili przed powrotem do domu. No, ale daruje pan, panie kolego, nie mogli Sobczaka wplątać w sprawy czerwonych. To tak, jakby pana podejrzewać o konszachty z Eskimosami. Jego, właśnie jego!

- Czy... nie da się ustalić, kim był ten drugi człowiek w księgarni? - spytał

Zawistowski.

- Być może. Ale nie dziś i nie jutro... Dlatego ludzi w Krakowie za wszelką cenę musi pan odwołać.

- Są w drodze. To wykluczone.

- Dostyc dywagacji, poruczniku. To rozkaz.

- Ale niewykonalny. Następny pociąg, którym mógłbym pojechać, to właśnie ten, na który oni już czekają.

- Istnieją jeszcze telefony, depesze.

- Do kogo? Tylko Rafał, dowódca piątki, zna krakowskie meliny. Chyba żeby...

- No?

- Samochód - powiedział Zawistowski. - Ale, wie pan... Jazda na noc...

Spojrzał na zegarek. Kudliński zdecydował się w jednej chwili.

- Samochód panu załatwię. Samochód regularnego reichsdeutscha. Nie potrzebuje nawet przepustki.

- Ja mam z nim jechać? - zdumiał się Zawistowski.

- To nasz człowiek. Korzystać z niego wprawdzie można tylko w sytuacjach ostatecznych, ale mamy przecież z taką właśnie sytuacją, do czynienia.

Kierowca tylko musi być nasz.

- Zdaje się, że mam takiego kierowcę... - powiedział z namysłem Zawistowski.

Na Szucha wciąż przesłuchiowano obu zatrzymanych. Gestapo, które od początku zorientowało się, że tych dwóch nic ze sobą nie łączy, a może przeciwnie - dzieli, starało się za wszelką cenę wykorzystać tę sytuację.

Mrowińskiego nadal osobiście przesłuchiwał Kliefhorn.

- Co robiłeś u Sobczaka?

- Szukałem książki do czytania.

- Co mu miałeś donieść, przekazać?

- Nic.

- Słuchaj pan, panie Mrowiński. Jest noc, ale spać dzisiaj nie będziesz.

To ci obiecuję solennie. Jeżeli nie zmadrzejesz do rana, zostaniesz wciągnięty na listę zakładników. Jeżeli w ciągu najbliższego tygodnia ktokolwiek targnie się na osobę i życie Niemca, zostaniesz powieszony razem ze wszystkimi. Wierzysz mi?

- Tak.

- W ciągu tygodnia. Twoje życie już nie zależy ode mnie, bo tak brzmi zarządzenie.

Zamachał kartką zadrukowanego papieru, a po namyśle podał ją Mrowińskiemu.

- Twoje życie zależy wyłącznie od twoich towarzyszy. Jeżeli nam o nich powiesz, nie zdążą zrobić żadnego głupstwa i ocalisz głowę.

Mrowiński przejrzał wykaz nazwisk na kartce i bez słowa zwrócił listę Kliefhornowi.

- Znalazłeś swoich znajomych?

- Sobczak jest niewinny. Nie ma z tym nic wspólnego.

- Z czym?

Mrowiński milczał.

- Z komunistami, chciałeś powiedzieć? Dlaczego zależy ci, żeby jego właśnie ocalić?

- Bo jest niewinny.

Kliefhorn odkręcił obsadkę wiecznego pióra.

- Jego i tak bym skreślił, bo już nam o was powiedział. Tym się wyratował.

Kilkakrotnie przekreślił nazwisko Sobczaka na liście.

- Nie zmieniłeś o nim zdania? A o innych? Pomyśl o tym tygodniu. Tylko o tym jednym tygodniu, który ci pozostał...

Wezwał esesmana, sam zaś podążył do pokoju przesłuchań, w którym trzymano Sobczaka. Zaraz od wejścia obwieścił:

- Panie Sobczak, chcę pana czymś ucieszyć. Mamy już wiarygodne dane, że prawie na pewno nie jest pan komunistą. Wierzę panu.

- Jestem ostatnim człowiekiem, który mógłby nim być.

- Wiem i dlatego proponuję panu rozsądną rozmowę. Czerwoni są takimi samymi wrogami moimi, jak i pana. Jest to ostatnia rozmowa, jaką ze sobą prowadzimy. Więcej już ich nie będzie. Niech pan skorzysta z tej szansy.

Żeby nie być gołosłownym, proszę...

Wyciągnął z kieszeni pióro i przekreślił kilka razy coś na papierze, po czym papier ten z daleka pokazał Sobczakowi.

- W tej chwili wykreśliłem pana z listy zakładników. Czym jest lista zakładników, tłumaczyć panu nie potrzebuję. Z mojej strony pierwszy krok już zrobiony - uratowałem panu życie. Teraz od pana zależy, by uratować wolność. Domyśla się pan, w jaki sposób?

- Nie.

- Podpowiem panu, choć sam pan wie doskonale. Pańskie spotkanie z Mrowińskim nie było przypadkowe. Czegoś od pana chciał. Pan nam to powie.

Chciał może pana z kimś skontaktować. Powie pan, z kim lub gdzie. To mi wystarczy.

Po czym, tak jak skreśliłem pana z tej listy, wykreślę pana z listy więźniów tego gmachu. Na to daję panu moje oficcerskie słowo honoru. A teraz słucham.

Sobczak milczał. Kliethorn nadal zachowywał łagodny ton.

- Wie pan doskonale, że komuniści już są zorganizowani. Mają swoje kierownictwo.

Może to właśnie przed panem stoi teraz historyczna szansa rozbicia tego ruchu. Oni nie są panu przyjaźni i będziecie mieli z nimi jeszcze sporo kłopotów. Zgadza się pan ze mną?

- Tak.

- No więc?

- Może oni myślą i źle, ale oni jednak myślą po polsku. Błądzenie jest rzeczą ludzką.

Errare humanum est.

Kliethorn zagryzł wargi, ale jeszcze pohamował się przed wybuchem wściekłości.

- Czy to jest pańskie ostatnie słowo?

- Tak.

- Dobrze. Sam tego chciałeś, Sobczak.

Podszedł do okna i uchylił zasłony.

- Świta... - powiedział.

Zerwał kartkę ze ściennego kalendarza. Ukazała się nowa data: 19 maja 1942 roku.

- Dziewiętnasty maja. Zaczyna się dziewiętnasty maja. Ile ty masz lat, Sobczak?

- Czterdzieści osiem.

- Domyślasz się, że więcej mieć nie będziesz.

Sobczak milczał. Kliethorn powrócił do biurka, zebrał papiery i opuścił pokój.

Po tym przesłuchaniu żaden z nich nie był w stanie powrócić do celi o własnych siłach. Do więziennej izby chorych pierwszy trafił Mrowiński. Nad ranem przyniesiono Sobczaka. Miał zmasakrowaną twarz, złamane obie ręce.

Mrowiński z trudem go rozpoznał. Przez cały prawie dzień profesor nie odzyskał przytomności. Dopiero po południu powoli odemknął powieki. Ktoś siedział na brzeжку jego więziennej pryczy, udającej szpitalne łóżko.

Sobczak ze zdziwieniem rozpoznał Mrowińskiego.

- To pan?...

- Jak się pan czuje, profesorze? Spał pan prawie całą dobę.

- To pan? - powtórzył Sobczak.

Rozejrzał się dokoła i dopiero teraz uzmysłowił sobie, gdzie się znajduje.

- Nie spodziewałem się, że się jeszcze spotkamy...

- A przecież tak miało być.

Mrowiński powiedział to z naciskiem. Sobczak patrzył mu w oczy.

- Może pan być spokojny. - Słowa z trudnością przechodziły mu przez gardło. -

Niczego nie wiedzą.

- Wiem. Szkoda, że tak się stało. Może... może dogadalibyśmy się jednak.

- Nie.

- Nie tam, to tutaj przynajmniej.

- Nie, powtórzył Sobczak.

Mrowiński uśmiechnął się.

- Dziwny z pana człowiek.

- Pan to jeszcze nazywa człowiekiem? To, co tu leży? Pić...

Mrowiński sięgnął po kubek i przytknął do warg Sobczaka. Woda pociekła po brodzie.

- Jest zupa. Nie tknął pan obiadu - odezwał się Mrowiński. - Nakarmię pana.

Sobczak przecząco poruszył głową.

- Może czegoś panu potrzeba? Niech pan mówi.

- Nie. Czego tu może być potrzeba? Nic...

- Czy ja wiem... Mnie, na przykład, brakuje zegarka. Pojęcia pan nie ma, co oddałbym dziś za zegarek. Nigdy nie przypuszczałem, że dotknie mnie taka zachcianka...

Sobczak przyjrzał mu się uważnie.

- Żeby wiedzieć, czy to już piąta... - dokończył Mrowiński.

- Piąta? - zdziwił się antykwariusz.

- Tak... Bo chyba dziś na pewno dwudziesty?

- Przestałem liczyć.

- Tak. Dwudziesty. Co do tego na pewno się nie mylę, Ale czy piąta?

- Pić...

Mrowiński ponownie przytknął kubek do ust Sobczaka i nieoczekiwanie powiedział:

- Gdyby kiedyś pan stąd wyszedł... niech się pan przejdzie na Mostową...

- Mieszkał pan tam?

- Nie.

Sobczak odchylił w bok głowę, dając tym ruchem znać, że pić już nie chce.

Milczeli przez chwilę.

- Nie mieszkałem tam. Ja tam umarłem - powiedział Mrowiński.

Sobczak spróbował unieść się na łóżku, ale, wykrzywił się tylko z bólu.

Spode łba spojrział na Mrowińskiego.

- Dzisiaj o piątej... Chyba że jeszcze nie ma piątej...

- Co panu jest? Pan jest chory... - Sobczak mówił z wyraźnym wysiłkiem.

- Nie, nie. Słyszał pan, że umarłem... Nawet jeżeli to potrwa jeszcze dzień lub dwa i będę odzywał się do pana...

- Nie chcę pana pocieszać, że się to jeszcze dobrze skończy. W cuda nikt z nas nie wierzy. Zwłaszcza pan...

- Mogłem powiedzieć jedno słowo... Żeby się wstrzymali...

- Kto? - nie mógł zrozumieć profesor.

- Ale nie dziś, to jutro, za tydzień musiało się to i tak stać... Niczego nie wolno wstrzymywać... I nikt nie powstrzyma tego, co musi się stać...

Wstał z łóżka, popatrzył z góry na Sobczaka i dodał:

- Nikt...

Wolno odszedł do swojej pryczy.

O tej właśnie godzinie na ulicy Mostowej padły strzały wymierzone w kierunku śródmiejskiego Arbeitsamtu.

Kliefhorn, kiedy mu o tym doniesiono, zanim wydał polecenie wszczęcia śledztwa, zażądał listy z wykazem zakładników, podpisał ją i polecił wysłać do drukarni.

Nazajutrz na słupach ogłoszeniowych rozlepiono czerwone afisze.

Warszawiacy dobrze już wiedzieli, jaką treść zapowiadała sama barwa tych afiszy. I tym razem nie mylili się.

Powieszono trzydziestu zakładników, przewidzianych uprzednio - jak donosiło zarządzenie - do ułaskawienia. Ale stracono ich w związku z zamachem na życie niemieckiego funkcjonariusza. Wszyscy powieszoni byli komunistami.

I tylko dwóch ludzi, dawny naczelnik poczty, na której niegdyś pracowała pani

Niwińska, i jego obecny współpracownik, czytając to zarządzenie, nie mogło oprzeć się

zdumieniu.

- Straszny kawał zrobił nam wszystkim Sobczak. Przysłał do komunistów - pokiwał głową naczelnik.

- To chyba omyłka! Właśnie on? - wyraził wątpliwość kolega.

- Jeżeli teraz widzi z nieba tę listę i siebie na tej liście...

Niesłychane, niesłychane...

Odeszli, by zanieść innym tę niewiarygodną wiadomość, kim naprawdę był profesor Sobczak...

Jak łatwo się domyśleć, kierowcą, który wyruszył z Zawistowskim w pościgu za nocnym krakowskim pociągiem, był Niwiński. Kiedy mu porucznik zaproponował tę niecodzienną eskapadę, zgodził się bez namysłu. Po pierwsze, nadarzyła się okazja szybszego i wygodniejszego dotarcia do Krakowa. Po drugie, chociaż nie pytał o szczegóły, wiedział, że jego pomocy oczekują koledzy i organizacja, która go wprawdzie odepchnęła, ale którą podziwiał za precyzyjnie opracowywane akcje dywersyjne.

Po całonocnej jeździe rankiem dobrnęli do Krakowa. Wóz, zgodnie z życzeniem Zawistowskiego, zaparkował pod dworcem.

- Zdążyliśmy - Zawistowski serdecznie potrząsnął jego dłonią. - Mam nadzieję, że i pan jest zadowolony, kolego.

- Tak - przyznał Niwiński - nie wiem tylko, czy i ja zdążyłem.

Pełen niepokoju pośpieszył do mieszkania ciotki Aldony. Stał teraz na klatce schodowej i naciskał dzwonek. Po chwili drzwi uchyliły się i w progu stanęła pani Zofia Niwińska.

- Władek! - krzyknęła i rzuciła się w ramiona syna.

Nie była jednak w stanie się opanować i łzy napłynęły jej do oczu.

- Mamo? Po... po wszystkim?

Pani Zofia zaprzeczyła ruchem głowy.

- Gdzie ojciec?! - odsunął ją, chcąc wejść do przedpokoju.

- Lekarz. Lekarz jest w tej chwili u niego - mówiła szlochając. Och, Władek, Władek...

Znów objęła syna. Wciąż stali w otwartych na klatkę schodową drzwiach.

Wreszcie pani Zofia przymknęła je.

- Nie mógł się ciebie doczekać... Jeszcze wczoraj, kiedy zadzwonił dzwonek i Aldona zerwała się otworzyć, krzyknął: Władek, Władek, to już na pewno Władek...

- Co ojcu jest?

- Najgorsze, co może być...

- Nie mogłaś zawiadomić mnie wcześniej?

- Nie chciał. I ja też się łudziłam. Ale przed tygodniem odesłano go ze szpitala do domu. Zaszli go, ledwo zdążyli zajrzeć.

- Ojciec... wie?...

- Nie. Aż dziwne, bo przecież ma takie bóle, tak strasznie się męczy...

Drzwi wejściowe otworzyły się i do mieszkania wbiegła ciotka Aldona.

- Wiem, że już jesteś, ale...

- Dzień dobry, ciociu - przerwał jej.

- Czy, kiedy tu wchodziłeś, widział cię ktoś z lokatorów? - dopytywała się niespokojnie.

- Nie wiem.

- Więc dlaczego dozorca mnie pytał, czy to bratanek z Warszawy przyjechał?

- Czy to ważne teraz, Aldono? Najważniejsze, że zdążył.

- Wszystko jest ważne, niestety, Zosiu... I skąd wiedział, że z Warszawy?

Akurat z Warszawy? Bardzo niedobrze się stało...

- A skądże, na miłość boską - krzyknęła Niwińska - miał przyjechać?

- Wszystko jedno. Każde miasto jest dobre, byle nie ta wasza Warszawa.

Wszystkie te niepotrzebne bunty, to drażnienie Niemców bierze się stamtąd.

Każdy stamtąd jest podejrzany...

- Cieszę się, że zastaję ciocię taką, jaką ją zostawiłem - zauważył Niwiński. - Nic się ciocia nie zmieniła.

- Ach, mój drogi, co myśmy tu przeszły!

- Nic się ciocia nie zmieniła. Ale to wcale nie jest komplement - dorzucił, żeby już nie było żadnych między nimi niejasności.

Z pokoju chorego wyszedł lekarz. Ostrożnie i cicho zamknął za sobą drzwi.

Pani Zofia pełna nadziei stanęła przed nim.

- I co, doktorze? - dopytywała.

Lekarz rozejrzał się po przedpokoju, po obrazach gęsto zawieszonych na ścianach.

- Mogę się mylić co do dni... Proszę mnie dobrze zrozumieć, bo pomoc już nie jestem w stanie... Mogę tylko państwu doradzić, jak choremu złagodzić cierpienia, które, boję się, mogą mu przez te dni towarzyszyć.

- Morfina?

- Wyłącznie. Receptę wypiszę, ale... to, czek bez pokrycia. Szpitale cywilne też cierpią na brak morfiny. Prawie wszystko idzie na front. Jest oczywiście czarny rynek i... chyba tylko to państwu pozostaje.

Wyjął wieczne pióro i wypisał receptę. Po chwili namysłu wypisał jeszcze drugą.

- To byłoby na dwa dni, powiedzmy... Dziesięć miligramów wystarczy mniej więcej

na dobę.

- A co dalej? - Niwińska nie mogła ukryć niepokoju.

Lekarz spojrział na nią, chrząknął.

- Nie wolno mi, niestety, wypisywać nieograniczonej ilości. Nawet jeśli to tylko czysto teoretyczna recepta.

- Czy... nie potrzeba już nic więcej?

Lekarz wstał, ujął walizeczkę.

- Proszę do mnie zadzwonić...

Kiedy matka z ciotką Aldoną pobiegły do miasta w poszukiwaniu morfiny, Niwiński wszedł do pokoju ojca. Profesor właśnie się obudził i pogodnie uśmiechnął do syna. Niwiński przysiadł na brzeжку łóżka.

- Gdzie matka? - spytał chory.

- W aptecę, tato.

- W aptecę? Szkoda, że nie obudziła mnie przed wyjściem. Z pewnością nie pamięta, że cholegranu starczy mi już tylko na kilka dni. - Sięgnął ręką na nocny stolik, potrząsnął pudełkiem z ziołami. - Nic mi tak dobrze nie robi, jak te zioła... Krajali mnie, wiesz?

- Wiem.

- Rozmawiałeś z lekarzem?

- Tak, był tutaj, kiedy przyjechałem.

- I co?

- Wrzód na dwunastnicy, tato. To, oczywiście, dokuczliwe, dieta, trzeba uważać, ale przypomnij sobie profesora Gabrysia. Od lat ma to samo.

- Gabryś... Gabryś, tak. Gabryś ma wrzód, to prawda... Czy ciotki też nie ma w domu?

- Nie, też wyszła.

- Jesteśmy sami?

- Tak. Chciałeś czegoś?

- Tak. Chciałem... Chciałem ci powiedzieć, że to nie wrzód na dwunastnicy i że dobrze wiem, co mi jest. Nie zaprzeczaj. Potrzebny mi jest jeszcze miesiąc... Tak, miesiąc wystarczyłby w zupełności, żebym mógł być o was spokojny. O matkę i o ciebie. I prawdopodobnie zdążyłbym, gdyby nie szpital... Bądź łaskaw, sięgnij do kredensu, znajdziesz tam rękopis.

Niwiński uniósł się z krzesła, otworzył drzwi kredensu i zaczął szukać.

- Zabierzesz matkę do Warszawy. Wolałbym, żeby nie była z Aldoną.

- Tato, mogę was oczywiście zabrać, zaraz, jak tylko wstaniesz z łóżka, ale...

- Rozmawiaj ze mną poważnie. Stąd już tylko matkę będziesz mógł zabrać...

Znalazłeś?

Niwiński niósł w rękach ogromny plik rękopisów. Przyjrzał się ty tułowi.

- Historia Polski! O to ci chodzi? - spytał.

- Tak. Autora nie zauważyłeś?

Niwiński przekrzywił głowę, odczytując głośno:

- Leopold Niwiński? Co to jest?

- Co to jest? - powtórzył chory. - Dwa lata mego siedzenia w Krakowie.

Nie wiem, czym się zajmujesz, i nie pytam cię o to. Mogę się tylko domyślać.

Domyślam się też, co robią inni. Moi koledzy, znajomi... Gdybym miał mocniejszy układ nerwowy, robiłbym pewnie to, co i oni. Ale przyznaję... nie nadaję się. A jednak nie sposób dzisiaj być becznym, jeśli się jest Polakiem. No więc, jak widzisz, jest to historia Polski dla szkół średnich. Dlaczego się uśmiechasz?

- Podoba mi się, że nie marnowałeś tu czasu.

- Czy może uśmiechasz się, że przewróciło mi się w głowie? Nie, nie.

Balicki i Maykowski też uczą tylko w szkołach średnich, a nawet Kleiner przyznaje, że ich podręcznik do polskiego nie ma sobie równego.

- Sam przecież wkuwałem z ich „Okna na Świat”.

- Zabierzesz to z sobą i oddasz Sobczakowi. Znasz przecież Sobczaka, co on porabia?

- No... znam go w każdym razie.

- Ma znajomości u Gebethnera, u Trzaski. Słyszałem, że wydawcy płacą teraz na pniu za gotowe dzieła, które będzie można wydać po wojnie. Może to i filantropia, żeby pomóc piszącym. Z czego w końcu dziś mają żyć? A może to i wspaniała lokata. Już oni mają głowę, ci wydawcy...

- Sam mówisz, że nie skończyłeś tego, tato. Wstaniesz, dopiszesz, wtedy pogadamy.

- Nie. Weźmiesz to już, teraz. Niech przynajmniej Sobczak wydebi u Trzaski zaliczkę.

To wam wystarczy na jakiś czas.

- Dokończysz to spokojnie, tato.

- Gdyby mieli jakieś wątpliwości, zastrzeżenia...

- Na pewno nie, tato. Jestem pewny, że ci to dobrze wyszło.

- Nie przerywaj, synku. Gdyby więc były zastrzeżenia, niech Sobczak da to komuś z

TON - u. To Tajna Organizacja Nauczycielska. Tam siedzą lewicowcy, ludowcy. Wycech,

Próchnik... Na pewno przyznają mi rację. Widzisz, powiem ci prawdę. Zaczynałem to pisać nie z myślą o was...

- Dlaczego się krzywisz, tato? Boli cię?

- Pieniądze są oczywiście ważne - ciągnął stary Niwiński. - Ale ważniejsza od nich jest prawda, Władek. Napisałem tu prawdę.

- Spodziewam się.

- Nie wiem, czy się spodziewasz, bo nie wiem, jak ty dziś myślisz. Ja źle cię uczyłem historii. Ciebie i innych. Klasa po klasie - źle. Dlatego teraz jesteście zagubieni i nie wiecie, gdzie szukać ratunku. Życie wam stawia dwóję, zamiast mnie. Otwórz rozdział „Ilu Polska ma wrogów...”.

Niwiński kartkował rękopis.

- Znalazłeś? - dopytywał się ojciec.

- Tak. „Ilu Polska ma wrogów” - przeczytał Władek.

- No, ilu? Jak myślisz?

- Dwóch - odpowiedział syn.

- A gdzież ten drugi? Dziś wszyscy czekamy, aby zwyciężył i nas ocalił.

Jeszcze nikt nigdy z taką nadzieją nie czekał na zwycięstwo wroga. Zastanów się więc, czy to nie sprzeczność sama w sobie? Że dopiero czas zweryfikował pojęcia wymyślone przez testament dziadka... I czy ktoś spytał naród, czy odpowiada mu taki spadek? Kogo on zabezpieczał? Paru Potockich? Paru fabrykantów? Moją siostrę Aldonę? Dziś sam widzisz, Władziu, że Polska to nie oni. I jeśli wydobędziemy się z tej mielizny, wara im od steru łodzi, którą wszyscy płyniemy.

- Nie sądziłem, tato, że stałeś się czerwonym.

- Wcale nim nie jestem. Ale dość mam zadawania uczniom pocztu królów polskich i milczenia o tych, którzy naprawdę są solą tego kraju. To, co trzymasz w ręku, jest historią naszego narodu. Na bieg wydarzeń historycznych miały wpływ nie tylko i nie przede wszystkim koronowane głowy. Ci od sochy... O nich historia milczała, a przecież ich ręce...

Daj mi się czegoś napić... Znów mnie bierze...

Władek sięgnął po kompot i podał ojcu.

- Skreślę parę słów do Sobczaka. Mogą być, rzeczywiście, trudności z wydaniem. Ale

chyba po tym, co się stało, zmadrzeli i moi koledzy. Jak myślisz?

- Myślę, że zmęczyła cię ta rozmowa. Odpocznij trochę.

- Nie. Daj mi pióro, napiszę kilka słów...

Niwiński z ociąganiem sięgnął po leżącego na stoliku pelikana. List do przyjaciela, którego nazwisko widniało na rozlepianych właśnie czerwonych plakatach w Warszawie, był ostatnią czynnością, jaką profesor wykonał w swym życiu. Po godzinie stracił przytomność.

Pod wieczór było już po wszystkim.

Niwiński wyszedł załatwić formalności w kościele i w zakładzie pogrzebowym. Pani Zofia siedziała w saloniku i bezgłośnie płakała, ściskając w palcach chusteczkę. Ciotka Aldona zajęta była upychaniem w otwarte drzwi paleniska jakichś kartek rękopisu.

- Nie powinnam, Zosiu, w takiej chwili tego mówić - odezwała się - ale to straszne. Co on tu pisał? O bolszewikach, o Leninie... Zosiu! Gdyby to u nas znaleźli... To przecież gorsze niż granat. Czy ja naprawdę zasłużyłam sobie, żeby mnie tak narażać?

Pani Zofia stanęła nad Aldoną i spytała bezmyślnie:

- Co to jest?

- Nawet nie pytaj, nawet nie pytaj... Że też Bóg mnie natchnął sięgnąć do tej komódki...

Niwińska schyliła się, podniosła jedną z kartek. Nie czytając odwróciła ją machinalnie na drugą, pustą stronę i sięgnęła po ołówek.

- Musimy napisać nekrolog, Aldonko. Pomóż mi... sama nie jestem w stanie.

Aldona zerwała się z podłogi.

- Nie na tym! Nie na tym! - krzyknęła wrywając Niwińskiej kartkę. - Przyniosę ci czysty papier.

W tej chwili rozległ się dzwonek i do mieszkania wszedł Władek. Dostrzegł ciotkę

klęczącą przed otwartym paleniskiem pieca.

Zrozumiał od razu.

- Jak ciocia mogła to spalić? Jakim prawem?! Dwa lata... dwa lata życia mojego ojca...

- Mój drogi...

- Przynajmniej proszę się nie tłumaczyć - Niwiński nie dał jej skończyć.

- Upieracie się, a ja jednak zajrzałamby...

- Daj spokój, Aldono. Nie teraz - mitygowała Niwińska.

- Może jednak zostawił testament - nie ustępowała ciotka Aldona.

- Owszem - odezwał się Niwiński. Podeszedł do pieca i otworzył drzwiczki.

- To właśnie był testament ojca. Rozumie teraz ciocia?

Aldona rozłożyła ręce.

- Ale ja go pamiętam. I... wypełnię - jakby do siebie powiedział Niwiński.

Pani Zofia uważnie spojrzała na syna, potem wcisnęła mu do ręki ołówek.

- Najpierw, synku, ułóż nekrolog. Aldono, znasz kogoś w „Gońcu Krakowskim”?

Żeby zdążyli umieścić przed pogrzebem...

Tę przysługę spełniła ciotka Aldona bardzo akuratnie. Za to, co stało się później, nie można już było jej winić. Wykonała to, o co ją proszono.

Nekrolog ukazał się nazajutrz.

Długim szpitalnym korytarzem szła szybko siostra miłosierdzia, Ewelina

Heimannowa. W ręku trzymała złożoną gazetę, „Gońca Krakowskiego”.

Zatrzymała się przed drzwiami z napisem: „Hauptarzt, dr Arnold Klummer”.

- Dzień dobry, siostrze. Co tam nowego? - zagadnął Klummer.

- Przyszłam poprosić, panie naczelny doktorze, żebym mogła zatelefonować...

Lekarz patrzył zdziwiony na zupełnie pozbawioną wyrazu, niemal martwą twarz

Heimannowej.

- Zatelefonować? - zapytał.

- Tak. Do Warszawy. Do syna.

- No... Proszę...

Heimannowa potrząsnęła trzymaną gazetą.

- To Bogu, Bogu trzeba dziękować - wybuchnęła nieoczekiwanie. - Za wszystko.

Nigdy, odkąd syn mnie tu przysłał, nie kupowałam polskiej gazety.

I nagle dziś... coś pchnęło mnie w stronę trafiki... Czy pan to rozumie?

Czyja to mogła być ręka? - wzrok miała nieprzytomny.

Położyła otwartą gazetę przed lekarzem i palcem wskazała na nekrolog Leopolda

Niwińskiego. Lekarz, nadal nic nie rozumiejąc, patrzył na nią zdziwiony.

- Bóg nareszcie ujął się za mną i pokarał tego człowieka. To za mojego męża - niemal do krzyku podniosła głos.

- Niech pani spocznie, siostró - łagodnie powiedział lekarz - źle się pani czuje.

- Nie, nie... A teraz ten sam Bóg poprowadzi moją rękę, żeby moje dziecko... ich dziecko... Nie jestem zła, proszę pana, ale przecież jest powiedziane, że ząb za ząb, oko za oko, prawda? Prawda, że przecież jest tak powiedziane?

- Nie wiem, o co tu chodzi, ale...

- Jest przecież podpisane: żona, siostra i syn. I syn! Rozumie pan? I on tu będzie! - z każdą chwilą była coraz bardziej podniecona.

- Nie rozumiem, ale widzę, że to dla pani jakaś poważna sprawa.

- On tu będzie - powtarzała. - Prosiłam o to Boga. On przecież musi mnie wysłuchać...

Położyła dłoń na aparacie telefonicznym.

W dwa dni później na cmentarzu Rakowickim odbywał się pogrzeb profesora

Leopolda Niwińskiego. Nad otwartym grobem ksiądz skończył odmawiać modlitwy i trumnę opuszczono do dołu. Niwiński podtrzymywał płaczącą matkę. Obok stała Aldona oraz niewielka grupka znajomych.

Za drzewami, przy sąsiednich grobach, kręcili się jacyś ludzie.

Pani Zofia schyliła się, sięgnęła po garść ziemi, wrzuciła do grobu.

Ksiądz jeszcze zrobił znak krzyża, oddał kropidło kościelnemu i oddalił się. Do pani Zofii i Władka podchodzili znajomi z kondolencjami. Wtedy ścieżką, wyłaniając się zza drzew, zaczęła iść w ich kierunku Heimannowa.

Nikt na nią nie zwracał uwagi. Dopiero kiedy zatrzymała się nad otwartą mogiłą i stanąwszy przed Niwińskim wlepiła w niego uparte, nienawistne spojrzenie, pani Zofia zaniepokojona odsunęła czarną woalkę zasłaniającą twarz.

- Władeczku... - szepnęła zaniepokojona.

Niwiński podniósł wzrok. Natychmiast poznał Heimannową. Zdziwił się jej obecnością.

- Dziękuję - mówił, uśmiechając się do niej. - To ładnie z pani strony.

Ale... skąd pani tutaj?

- To on, Władek, to on - powiedziała nieoczekiwanie i palcem wskazała na niebo.

- Władeczku, kto to taki? - spytała Niwińska.

- Ale on was już opuścił - ciągnęła jak w transie Heimannowa.

Niwiński coraz bardziej zdumiony nie spostrzegł, jak dwaj cywile stanęli po obu jego stronach. Heimannowa potakująco skinęła im głową.

- Tak. Już was opuścił - powtórzyła.

Cywile chwycili Niwińskiego pod ramiona. Był tak oszołomiony, że nawet nie usiłował się wrywać. Tylko pani Zofia krzyknęła:

- Władek! Kim są ci ludzie?!

Cywile odciągali już Niwińskiego. Nawet nie próbował się opierać.

- Mamo! - zawołał tylko.

- Płaczesz? - Heimannowa mówiła teraz do Niwińskiej. - Ja też płakałam.

To on odebrał mi męża. Patrz, jaki Bóg jest sprawiedliwy. Zapłacił ci tą samą monetą.

- Ludzie! To jakaś szalona! Ludzie! - rozpaczliwie krzyczała pani Zofia.

- Zostawcie mojego syna!

- Ja też tak wołałam. Ja też...

Cywile, uprowadzający Niwińskiego, byli już daleko.

Nazajutrz szosą wiodącą z Krakowa ku Kielcom podążały dwa samochody. W pierwszym na tylnym siedzeniu jechał Niwiński, a obok niego wygodnie rozparty Heimann.

Przy kierowcy, odwrócony twarzą do Niwińskiego, siedział uzbrojony gestapowiec. W drugim samochodzie jechała obstawa. Wjeżdżali właśnie w kieleckie lasy.

- To nic, że nie mówisz - monologował Heimann. - Ja się nie gniewam.

Ugoszczę cię w Warszawie bardzo serdecznie. Możesz być pewien. I rozwiąże ci się język. Pogadamy szczerze, po przyjacielsku, jak dawniej przy ognisku. Prawda, nie jesteś już harcerzem, ale opowiesz nam ciekawe rzeczy.

Gdzie jest mój sztylet?

Niwiński milczał.

- Gdzie sztylet, pytam?! Ukradłeś mi go tamtej nocy! Jesteś nie tylko bandytą, ale i złodziejaskiem. Jak wy wszyscy, Polacy...

Niwiński splunął wprost w twarz Heimanna. Tamten już niósł rękę do uderzenia, kiedy samochód zahamował tak gwałtownie, że gestapowiec siedzący z przodu wyrznął hełmem w szybę. W tej samej chwili usłyszeli jakieś strzały, potężny wybuch i samochód z

obstawą stanął w płomieniach.

Tuż za zakrętem, w poprzek szosy, leżało świeżo zrąbane drzewo. Samochód

Heimanna oparł się o nie zderzakami. Gestapowiec i kierowca wyskoczyli z wozu. Leżąc na ziemi za samochodem ostrzeliwali się niewidocznym napastnikom.

Heimann przykucnął na tylnym siedzeniu. Niwiński próbował wyczołgać się z samochodu, lecz seria oddana z lasu trafiła go w ramię. Przez uchylone drzwi auta osunął się na nawierzchnię drogi.

Gestapowiec i kierowca ostrzeliwali się jeszcze przez chwilę, po czym z uniesionymi ramionami wyprostowali się.

Strzały ucichły i uzbrojeni chłopcy zaczęli wychodzić na szosę.

Natychmiast rozbrojono obu gestapowców. Dwóch partyzantów, popychając Niemców, pognało ich do lasu.

- No, to żyjemy - odezwał się jeden z uzbrojonych młodych ludzi. - Amunicji w wozie, że kąpać się można.

- Taak - przytaknął dowódca. - Nasze ostatnie naboje poszły na nich. No, to faktycznie żyjemy... Kto tam w wozie? - spytał.

Z samochodu wyskoczył Heimann.

- Panowie, jestem więźniem! - wołał. - Wieziono nas na przesłuchanie. Nas obu zamieszano w jakiś zamach krakowski. Proszę, oto moje papiery...

Nazywam się Jan Nowaczyk.

Dowódca spojrzał na bezwładnie zwisającego z auta Niwińskiego. Pochylił się nad nim i w tym momencie Władek poruszył głową.

- Ten jeszcze żyje! Popatrzcie, gdzie dostał.

Sam sięgnął po papiery Heimanna.

- Jak to? Więzień i dokumenty przy sobie?

Z lasu dobiegła krótka salwa. Heimann wzdrygnął się.

- Sam nie wiem... Nagle mi oddali - bąknął.

Podejrzliwie zerknął w stronę Niwińskiego. Dwóch partyzantów niosło go właśnie w stronę rowu. Inni znosili znaną w samochodzie broń, skrzynkę z amunicją wyciągniętą z bagażnika.

- Możecie, panowie, sprawdzić - wyjaśniał gorączkowo. - Mieszkam w Warszawie i jestem inkasentem elektrowni.

- Gdzie pana aresztowano? - spytał dowódca.

- W Krakowie.

Jeden z partyzantów, którzy właśnie powrócili z lasu, zawołał nagle po rosyjsku:

- Tawariszcz kamandir! Ja tego czelawieka znaju...

Pochylił się nad rannym Niwińskim, potrząsnął nim. Niwiński otworzył oczy.

- Nu jak? Żyjesz, brat? Ty mnie nie zabył? Katia, Katia, pamiętasz? - mówił radośnie podniecony.

Niwiński uśmiechnął się blado. Zwabiony okrzykami Ormianina, nadbiegł dowódca.

- To nasz człowiek. My wmiestie skrywaliś u Kati.

- Możecie mówić, towarzyszu? - dowódca nachylił się nad rannym.

Niwiński nagle uniósł głowę.

- Gdzie tamten? - spytał.

- Nie bój się, zdrow i cały. Obu was, zdaje się, wyciągnęliśmy z niezłej kabały. A

polowaliśmy tylko na broń... Hej, Nowaczyk! Odwrócił się, ale Heimann przeskakiwał właśnie przez rów. Dowódca zdziwiony spojrzał na Niwińskiego.

- Za nim! - krzyknął Władek.

Dwóch żołnierzy ruszyło w pogoń za Heimannem.

- Zbierać się - rozkazał dowódca. - Za długo już tu sterczymy. Będziesz mógł iść?

Niwiński ponownie stracił siły. Głowa mu opadła, przymknął oczy.

- W las - ponaglał dowódca. - Trzeba chłopaka opatrzyć, Sylwek. No, popatrzcie, tośmy naszego człowieka przy okazji wyciągnęli za uszy.

- Szukałem... was... - szepnął Niwiński i omdlał.

- Co on powiedział? - spytał Ormianin.

Dowódca wzruszył ramionami, bo też nie dosłyszał.

HIMMLERLAND

W połowie listopada 1942 roku ciężarówka pralni chemicznej Kurasia podążała bocznymi drogami powiatu zamojskiego, kierując się do małego miasteczka Grębów.

Nie była to pierwsza podróż, jaką Kuraś odbywał na tej trasie. Jeszcze latem tego roku zmuszony był przenieść w te właśnie strony swoją przybraną córeczkę.

Kiedyś przypadkiem spotkał na ulicy znajomego z Tczewa. Znajomy okazał się volksdeutschem. Do Warszawy przywiódł go cele handlowe; kupował po prostu mydło, prawdziwe mydło, którego w Rzeszy od dłuższego już czasu brakowało, zastępowano je pumeksem i innymi ersatzami. Kuraś, który, jak wiadomo, nie gardził żadnym towarem i każdy uważał za właściwy, jeśli tylko mógł mu powiększyć fortunę, włączył się energicznie w ten mydlany interes, nawet ciesząc się z przypadkowego spotkania znajomka. Volksdeutsch przyszedł na pertraktacje do pralni, zdziwił się widokiem Bożenki; natychmiast przypomniał sobie, że Kurasiowie jeszcze przed wojną pochowali swą córeczkę. Stał się podejrzliwy i kilkakrotnie powracał do tego tematu.

Kuraś, fanatycznie wręcz przywiązany do dziecka, natychmiast wyczuł niebezpieczeństwo, jakie zawisło i nad małą, i nad nim samym. Zdecydował się więc na radykalne rozwiązanie problemu i umieścił dziecko w Grębowie, oddając je pod opiekę szarytkom, prowadzącym w miasteczku sierociniec, w owych czasach nazywany ochronką.

Mała miejscina położona daleko na wschodzie, wśród lasów, z dala od wojennych traktów, policji, zgiełku, mnożących się w kraju sabotaży i zamachów, wydała się Kurasiowi wymarzonym azylem dla dziewczynki.

Przełożoną ochronki, siostrę Faustynę, przekonał łatwo za pomocą okazałej dotacji dla sierocińca, częściowo w formie pieniężnej, głównie zaś w postaci stałych dostaw aprowizacyjnych. Bo Kuraś, jak zwykle, piekł kilka pieczeni naraz. Już za drugim pobyt w

Grębowie nawiązał handlowy kontakt z miejscowym landwirtem. Wnikliwy obserwator zauważyłby bez trudu, że każdorazowy pobyt stęsknionego Kurasia w ochronce jakoś dziwnie zbiegał się z dniem spędu bydła w miasteczku. Landwirt Thomaneck, który bezlitośnie ściągał od chłopów kontyngenty mające zaspokoić głodującą armię i ziomków w Rzeszy, bez specjalnych skrupułów, za to z sowitym zyskiem, uszczuplał te dostawy, odsprzedając Kurasiowi akurat tyle, ile pomieścić mogła jego ciężarówka. Nazywało się to, zgodnie z pismem landwirta, że Kuraś zaopatruje w mięso niemieckie szpitale wojskowe.

Mógł więc Kuraś bez obaw, niemal urzędowo, krążyć po tej trasie, dzięki czemu zaspokajał trzy potrzeby naraz: handlową, bo za każdym razem powracał z ogromnym zyskiem, ojcowską, bo widywał się z Bożenką, i koleżeńską, bo - czas najwyższy wyjaśnić - w okolicznych lasach przebywał od lata ze swym oddziałem Władysław Niwiński. Czasami, kiedy na rynku gromadziły się tłumy chłopów pędzących bydło i łatwo można było uchodzić za jednego z okolicznych mieszkańców, dowódca oddziału, Sylwek, zezwalał Niwińskiemu na wypady do miasteczka, gdzie w ochronce spotykał się z przyjacielem.

Kuraś dostarczał Niwińskiemu wiadomości z Warszawy, od matki, która po pogrzebie męża musiała opuścić Kraków, od znajomych, których - niestety - ubywało, bowiem i Mrowińskiego, i Sobczaka spotkał ten sam los.

Po owym szczęśliwym odbiciu w lasach kieleckich, Niwiński nie rozstawał się już z oddziałem. Polubił tych młodych, odważnych chłopców - Sylwka, Mariusza, Darka, z którymi przez długie miesiące przemierzał lasy kieleckie i janowskie, obecnie zaś lubelskie. Mieli tu być do pierwszych mrozów, po czym zamierzali powrócić do Warszawy. Tylko Ormianin, Aram, miał tu pozostać, dołączając do jednego z partyzanckich oddziałów radzieckich.

W czasie tych krótkich spotkań z Kurasiem Niwiński wciąż wypytywał przyjaciela o

jedno.

- Heimanna odnalazłeś?

A kiedy Kuraś wzdychał i tłumaczył się brakiem czasu, Niwiński przypominał:

- Wtedy w lesie podawał nazwisko Nowaczyk.

- Mówiłeś... Ale, Władek, zostaw to - radził Kuraś. - Prędzej czy później szlag go trafi.

- Ale przy mojej pomocy. Trzy lata prawie ścigali mnie, a ja nie wiedziałem, dlaczego i kto. Pomóż mi, Leon. Jeżeli on podaje się za Polaka, wielu ludziom może jeszcze zaszkodzić.

- Zawsze byłem, Władek, innego wyznania od ciebie. A teraz, kiedy muszę dla dziecka żyć, tym bardziej. Ja nie mam zajęczego serca, wiesz. Ale w tym lesie i lis jest potrzebny... W tę jedną sprawę się wplątałem, po co mi więcej? Ja już mam dla kogo żyć, nie tylko dla żony i tych paru złotych.

Nikt, kto z dawnych lat znał Kurasia, pojąć wprost nie mógł, co stało się z tym wyrachowanym i szczwanym kapralem pod wpływem małej dziewczynki, którą kochał, ochraniał, dla której narażał się i poświęcał.

I oto teraz, któryś już raz z rzędu, jechał Kuraś w odwiedziny do Grębowa. Im bliżej celu, tym większy, niewytłumaczalny niepokój zaczął dręczyć Kurasia. Dotychczas w tych stronach panował spokój. A dziś, mijając jakąś opuszczoną wieś, słyszał strzały. Na którymś skrzyżowaniu, kiedy jego nowy kierowca - Bugalski - zatrzymał się, nie będąc pewny dalszej drogi, pomiędzy drzewami zagajnika dojrzeli postać mężczyzny stojącego pod świerkiem. Zawołali do niego, pytając o drogę. Ale tamten milczał uparcie.

Wtedy zbliżyli się do niego, by stwierdzić, że mężczyzna ten nie stał pod świerkiem, ale na nim wisiał. Kuraś wpadł w popłoch. Owszem, w Warszawie chodziły pogłoski o jakimś masowym wysiedlaniu z Zamojszczyzny, ale mało to plotek krążyło wówczas po mieście.

Po jakimś czasie ciężarówka Kurasia zatrzymała się przed zamkniętym szlabanem.

Kuraś wyszedł z szoferki i niespokojnie dreptał wokoło. Z budki wyrzał dróżnik z chorągiewką.

- Co się tu u was dzieje? - zapytał Kuraś.

- Nie widzi pan?

Właśnie nadszedł pociąg, ciągnący długi sznur bydlęcych wagonów. Dróżnik przekrzykując łoskot kół objaśnił:

- Wszystko po ludzi.

- Co?! - nie dosłyszał Kuraś.

- Po ludzi...

Minęły ich ostatnie wagony i dróżnik zaczął kręcić korbą przy szlabanie.

- Z miast też wysiedlają?

- Na razie nie... Panie, wracaj pan, skąd pan przyjechał. Po co się tu pchać? - wskazał głową przed siebie.

- Już ja wiem, po co - odpowiedział Kuraś i szybko pobiegł w stronę szoferki.

Bugalski, ciekaw rozmowy z kolejarzem, spytał:

- Co ci powiedział?

- Powiedział: Kuraś, dokąd ty dziecko wywiozłeś?

Bugalski dopiero po chwili spostrzegł niedorzeczność odpowiedzi Kurasia.

- Do Bożenki! - ponaglał Kuraś. - Ale już! Widać to wszystko prawda, co mówili w Warszawie. Co ja zrobiłem, co ja zrobiłem, że wpakowałem dziecko właśnie tutaj?!

Kiedy wreszcie dojechali do Grębowa, była już późna noc. Ochronka tonęła w ciemnościach. Do furki podbiegł pies i zaczął ujadać przy bramie.

- Spokój, spokój, dzieciaki pobudzisz.

Przez szparę w płocie podał psu kanapkę wyciągniętą z kieszeni kurtki.

- No co, stary? Pilnowałeś Bożenki? Pilnowałeś? Dobry pies, dobry...

Zerknął jeszcze na ciemne okno na poddaszu, gdzie mieściła się sypialnia.

Potem kazał Bugalskiemu podjechać pod urząd landwirta.

Thomaneck ucieszył się z przyjazdu, odebrał towar; tym razem był to karbid

przywieziony z Warszawy, potem przejrzał przywieziony przez Kurasia list od swego brata.

- Dobrze się z panem pracuje. Brat też pana ceni. Dlaczego pan nie jest Niemcem?

Kurasch? Kurasch?

- Grunt, że Kopernik jest, nie? A co tam ja znaczę... Tyle tylko, że mnie można o to zapytać.

Thomaneck spojrział bystro na Kurasia, ale jakoś się nie połąpał i zmienił temat.

Oświadczył nagle:

- Więcej pan tu nie przyjedzie.

Kuraś stropił się i Thomaneck roześmiał się ubawiony.

- Tu nie - wyjaśnił. - Będzie pan przyjeżdżał do Zamościa. Przenoszą mnie.

Powoli wyjął z kieszeni kluczyk, otworzył szufladę biurka, wyjął pudełeczko, a z

niego świeżą pieczętkę. Odcisnął w poduszeczkę z tuszem, przystawił do kawałka papieru i

nie bez dumy pokazał Kurasiowi. Kierownik aprowizacji i handlu na cały Kreis.

- Ale tu pisze Himmlerstadt, nie Zamość - zauważył Kuraś.

- Nooo, niedługo przestanie to już być tajemnicą. Tak, ma pan rację.

Himmlerstadt. Tak właśnie będzie nazywał się Zamość. Fuhrer to miasto dał w

prezencie Himmlerowi. A on ofiarował je swoim ludziom. Policji i SS.

- A Niderlandy kto dostał? - spytał z głupia frant Kuraś.

- Jakie Niderlandy? Gdzie to jest?

- A nie wiem, może mi się coś pomyliło. W książkach to ja słaby jestem, ale raz już coś było przy okazji Zamościa...

W dobrym nastroju i pewien, że nazajutrz na pewno zabierze stąd Bożenkę, Kuraś udał się na spoczynek w gościnnych pokojach Landwirtschaftu.

Dochodziła już północ, kiedy zasypiał zadowolony, że przybył w samą porę.

W tym samym czasie do wsi Nalepy Szlacheckie zbliżało się czterech partyzantów, niosąc na rozłożonym płaszczu rannego dowódcę. Po potyczce, w której poległ Ormianin Aram i dwóch innych ludzi, oddziałek Niwińskiego ledwo dowlóknął się do wioski. Zagroda, do której teraz podchodzili, leżała już właściwie za wsią, na samym skraju lasu. Doszli do tego skraju i nieprzytomnego Sylwka ostrożnie ułożyli na ziemi.

- Tutaj? - cicho spytał Mariusz.

- Tak miało być. Ostatni dom pod lasem - odezwał się Darek.

W zagrodzie zaszczekał pies.

- Szkoda czasu. Pies całą wieś pobudzi - stwierdził Niwiński.

Ściągnął przez głowę automat, podał go Darkowi. Przesadził płot przy drewnutni i znalazł się w niewielkim obejściu. Okna chałupy były ciemne, pies zaś uwiązany na łańcuchu ujadął coraz zajadlej. Drzwi drewnutni skrzypnęły, Niwiński gwałtownie obejrzał się za siebie. Na tle ciemnej komórki stał kilkunastoletni wyrostek i przerażony wpatrywał się w przybysza.

- Kaleta Józef tu mieszka? - spytał Niwiński.

Wyrostek stał jak skamieniały.

- Ojciec w domu? No co, język zgubiłeś?

Kiedy podszedł bliżej, chłopak wybełkotał coś niewyraźnie i jednym susem przesadził ten sam płot, przez który przed chwilą przełaził Niwiński. W tym momencie w oknach chałupy rozbłysło światelko, skrzypnęły drzwi i stary, ponuro wyglądający chłop, z naftówką

w dłoni, stanął w progu.

- Dobry wieczór - odezwał się Niwiński.

Chłop nie zareagował i w dalszym ciągu spode łba spoglądał na przybysza.

- Mam konia na sprzedaż. Pana, zdaje się, gniady interesował - Niwiński posługiwał się umówionym hasłem.

Ale chłop nadal milczał. Postawił tylko naftówkę na progu, bo jej światło przeszkadzało mu widzieć stojącego w ciemnościach przybysza.

- O co chodzi? - zapytał wreszcie.

Niwiński stropił się.

- Ale... to wieś Nalepy Szlacheckie? - zapytał niespokojnie.

- Nalepy - odpowiedział stary i schylił się po lampę. - Panie! Idź pan stąd. Noc do spania jest.

Obaj odwrócili głowy zasłyszawszy szmer. To przełaząc przez płot wrócił wylękniony wyrostek. Uczepił się teraz ręki starego, bełkotał niewyraźnie i gwałtownie gestykulując wskazywał na las.

Niwiński już zabierał się do odejścia, kiedy dogonił go głos chłopca:

- Panowie. Dajcie wy żyć ludziom, za wami śmierć się wlecze. Ani doktora u nas, ani nic. Chcecie wody dla rannego, weźcie ze studni, ale nic więcej.

Nie widziałem was, nie słyszałem, spałem.

Niwiński skinął ręką na pożegnanie, chłop zaś sięgnął po lampę i dorzucił nieoczekiwanie:

- A Kaleta Józef na drugim końcu wsi mieszka. Taki sam budynek pod lasem, ale zaś tam - wskazał ręką kierunek.

Zamknął za sobą drzwi i znów ciemność zapanowała na podwórku.

Dowlekli się na drugi skraj lasu. Kiedy rannego dowódcę umieścili na stryszku w domu Kalety, a sami szykowali sobie poślanie w stodole, wrócił gospodarz.

- Kiepsko z nim - skonkludował patrząc na rannego. - Nie wiem, czy do rana pociągnie... Stąd słomy nie bierzcie, tam żarna schowane. Nawet żarna rozwalają, jak znajdą...

Darek, który podniósł właśnie snopek słomy, upuścił go na powrót.

- Też głupoty mówię - zreflektował się gospodarz. - Co tam żarna, kiedy was trzeba ukryć. Niedobrze, chłopcy, niedobrze. Nie spodziewałem się, miało być tylko w ostateczności.

- Lekarz w mieście to swój człowiek? - spytał Niwiński. - Bo...

Mariusz powstrzymał Niwińskiego ruchem dłoni.

- Czekaj, Władek, może ja towarzyszowi wyjaśnię. Mówicie ostateczność.

No, więc to jest właśnie ta ostateczność. Widzicie, że nas rozbili, trzech ludzi straciliśmy. Do lasu nie mogliśmy już wrócić, bo nam siedzieli na plecach. Gdzie mieliśmy iść?

- W porządku - skinął głową Kaleta. - Ja tylko mówię, że nie spodziewałem się.

Podszedł do sieczkarni i wyciągnął spod niej flaszkę zatkaną kukurydzianym kaczanem.

- Wypijmy. Przyda wam się ogrzać, a i poznamy się bliżej. Rozumiem, że wy teraz będziecie dowodzić? Józek mnie wołają. - To mówiąc wręczył Mariuszowi flaszkę.

- Dowódca jeszcze żyje. Za szybko go grzebiesz, Józek - wtrącił Niwiński.

Mariusz zerknął na kolegę, skończył pić swoją miarę, wytarł dłonią szyjkę flaszki i podał dłoń Kalecie.

- Mariusz. Pseudonim Pancierz.

Teraz podchodzili kolejno, pili po łyku i przedstawiali się gospodarzowi.

- Skądście, chłopcy?

- Z Warszawy - odpowiedział Darek.

- Nasze Nalepy jeszcze nie objęte wysiedlaniem. Ale kto ich tam wie... Na razie możecie zostać.

- A my, Józek, nie przyszliśmy się chować. Przyszliśmy się bić - sprostował Mariusz.

Kaleta spojrział niepewnie.

- Tutaj?

- Gdzie będzie trzeba. Gdzie wysiedlają? - zainteresował się Mariusz.

- Kto wie, co tu robić... - głośno zastanawiał się gospodarz. - Bronić się? Uciekać?

Ludzie do domów nie wrócą. Kolejarze, co na Lwów jeżdżą, opowiadają, że w Rawie Ruskiej stoją pod parą całe transporty Niemców z Besarabii. To dla nich te puste wsie.

Westchnął, wstał i zaczął zabierać się do wyjścia.

- Jeszcze jedno - zatrzymał go na moment Niwiński. - Ten gospodarz, do którego zaszliśmy w nocy?...

- Podsiadły? Pogadam z nim rano.

- Swój człowiek?

- Lepiej, żeby was był nie widział. Ale zaszkodzić nie zaszkodzi. Dla siebie żyje. Na klęczkach go matka urodziła i on na klęczkach żyje. Kazali żarna oddawać, pierwszy oddał.

Starszą córkę na roboty zabrali, nawet podania nie pisał. Mus to mus. Ale zły nie jest. No, śpijcie, chłopcy.

Niwiński raz jeszcze go zatrzymał:

- A z lekarzem co?

- Skoczę z samego rana do miasta.

- Pojadę z tobą.

- Może pojedziesz, może nie - wtrącił nieoczekiwanie Mariusz. - To się jeszcze zobaczy.

Niwiński spojrzał zaskoczony.

- Żartujesz?

- Nie.

- Już dzisiaj powinienem być w mieście. Kuraś miał na mnie czekać.

- Są ważniejsze sprawy...

Kaleta, stojąc przy drzwiach, przysłuchiwał się tej dość ostrej wymianie zdań. Już nie spał tej nocy. O świcie wyruszył do Podsiadłego.

Stary akurat wyszedł z chałupy, rozglądał się chwilę po podwórku, zajrzał do obory, a wreszcie zaszedł do drewnutni. Jego głuchoniemy syn nie usłyszał skrzypienia drzwi.

Podsiadły patrzył przez chwilę na zgarbione plecy wyrostka. Chłopak siedział na pniu odwrócony do niego tyłem i dłutem coś rzeźbił w kawałku drewna. Podszedł do chłopca i położył mu dłoń na ramieniu. Wtedy dopiero wyrostek ocknął się, odłożył dłuto i wstał. Stary na migi pokazał, że trzeba przydźwigać wodę. Chłopak wybiegł z drewnutni.

Żona doiła krowę i błagalnie spojrzała na wchodzącego męża.

- Szymon... - zagadnęła.

Podsiadły podszedł do krowy, poklepał ją po łbie. Prawe ucho zwierzęcia ozdobione było kolczykiem.

- Szymon, wymyśl coś. Co my od jutra pić będziemy?

Łagodnie, prawie pieśczośliwie klepał krowę po pysku. Jego twarz nic nie straciła z ponurego wyglądu, tylko ręka mu drżała. Żona nie przestawała zawodzić.

- Szymon, ukryjmy ją, schowajmy. Ludzie przechowują.

- Ty o kim mówisz? O Hance? - spytał stary.

- O krowie, Szymon. Dla Hanki, wiem, że ratunku nie ma.

Podsiadły bez słowa wyszedł z obory, przeszedł przez podwórko i wszedł do chałupy, gdzie córka kończyła pakowanie starej, mocno sfatygowanej walizeczki. Długie, nie uczesane włosy zasłaniały jej twarz.

- Uczesz się. Jak wyglądasz... - gderał stary.

Dopiero kiedy spojrzała na niego, zauważył, że płacze.

- Tatku! - chlipnęła Hanka.

- Pośpiesz się. Gdzie wezwanie? Daj mi je.

- Tatku! Nie pojedę... Sam wiesz, co Marysia pisze. Mnie tam zabiją u bauera. Tatku...

- rozpaczliwie szukała u ojca ratunku.

- Pośpiesz się - odpowiedział i wyjrzał przez okno.

Na podwórko wkraczał właśnie Kaleta, pchając przed sobą rower. Podsiadły wyszedł mu naprzeciw. Sam, nie pytany, bez powitania powiedział:

- Darmo tak wczas wstawaleś, Józef. Nic nie wiem. Nie widziałem. Nie słyszałem.

- Ja to wiem, Szymek.

- Jeszcze coś chcesz? - spytał.

Kaleta oparł rower o cembrowinę studni i sięgnął po papierosy.

- Człowieka trzeba zawieźć do miasta. Chory. Pożyczylbyś konia ze dworu.

Tobie Ponikowski nie odmówi.

- Nie mieszaj mnie w to, Józek. Ja nawet nie wiem, o czym mówisz. Są takie choroby, że samemu zarazić się można. Podsiadłowa wyprowadziła na łańcuchu krowę z obory.

Zobaczywszy Kaletę, w nim postanowiła szukać ratunku.

- Panie Kaleta, może pan Szymonowi przetłumaczy. Kogo on ma uprosić, ubłagać.

Przecież bez krowy jak my żyć będziemy?

- Ty co? - zdziwił się Kaleta. - Ostatnią krowę na kontyngent prowadzisz?

Podsiadłowa zawyła histerycznie:

- I ostatnią córkę!

Hanka wyszła akurat z domu i z walizeczką stanęła przy krowie. Podsiadły przyjrzał im się.

- Gotowieście? No, to w imię Boże... - zdjął czapkę, przeżegnał się i sięgnął po łańcuch.

Sam poszedł przodem. Hanka rzuciła się matce w ramiona. Podsiadły nie obejrzał się nawet. Szedł przed siebie ciągnąc krowę. Kaleta długo patrzył za nim. Potem przełożył nogę przez ramę roweru i nacisnął pedał.

Tego samego dnia wczesnym rankiem Kuraś dowiedział się strasznej prawdy.

Długo nie mógł w nią uwierzyć i stał jak skamieniały wpatrzony w mały futerał dziecięcych skrzypiec, który przełożona ochronki, siostra Faustyna, trzymała w rękach.

Bugalski i siostra Maria, nie wiedząc, co powiedzieć, jak go pocieszyć, przenosili wzrok z Kurasia na ten mały, podniszczony futerał. Nagle Kuraś zawył strasznym głosem:

- To nieprawda! Gdzie ona jest?! - I wypadł z kancelarii.

Przez uchylone drzwi słychać było jego beznadziejne wołanie:

- Bożenka, Boże...

Przełożona ponagliła młodą zakonnicę:

- Niech siostra pobiegnie za nim. Wystraszy dzieci...

Kiedy zostali w kancelarii sami, Bugalski spytał, jak to właściwie się stało. Przełożona bezradnie rozłożyła ręce.

- Przed tygodniem zjechała tu cała komisja. Gestapo, jacyś lekarze. To były straszne

chwile, niech mi pan wierzy. Chyba na targach niewolników w starożytności odbywały się takie przeglądy. Mierzyli tym dzieciom nosy, uszy. Pan rozumie, musiały odpowiadać rasowo. Uprawdzili mi siedmioro dzieci.

- Dokąd? - spytał Bugalski.

Siostra Faustyna ponownie rozłożyła ramiona.

- Gromadzą je gdzieś. Tak jest na całej Zamojszczyźnie. Potem je mają podobno wywieźć do Niemiec, oddać niemieckim rodzinom. Zniemczyć. Dlatego przede wszystkim interesowali się blondynkami z niebieskimi oczkami. Mój Boże...

- Ale że właśnie Bożenka... Teraz to już nie ma znaczenia i może siostrzyczka wiedzieć. To przecież nie jego dziecko.

- Jak to?! - siostra Faustyna nie mogła ukryć zdziwienia. Przecież jego miłość... jego rozpacz...

- Taki już jest - odparł Bugalski.

- Przepraszam. Czy... czy to może znaczyć, że nie było to chrześcijańskie dziecko?

- Co to ma już za znaczenie, siostrzyczko?

- Jestem bardzo podła, bardzo. I Bóg mi tego nigdy nie wybaczy, że w ogóle zadałam to pytanie. Mój Boże; jakie straszne spustoszenie poczynili ci Niemcy. Nie, że zburzyli miasta. Domy można odbudować. Nie, że zabijają.

Urodzą się inni. Ale ci, którzy zostaną... Jak strasznie im przetrącono sumienia, dusze.

Jak można żyć z tym później? A przecież jestem siostrą miłosierdzia. Tylko z nazwy?

Przecież gdybym wiedziała to wcześniej...

- Niech siostra nawet nie kończy tego zdania - przerwał Bugalski.

- Proszę pana, za to mogli nas wszystkich rozstrzelać, cały personel, wszystkich... I

oby Bóg mnie ukarał za to, że teraz nawet jeszcze nie umiem powiedzieć, jak bym postąpiła

wiedząc. A przecież to dziecko. Tylko dziecko...

Powrócił Kuraś, który nie wierząc jeszcze w to, co się stało, biegał po całej ochronce, przeglądał najbardziej zapadłe kąty. Wrócił załamany, apatyczny. Stał nad futerałem do skrzypiec, który teraz leżał na stole, i powtórzył bezsensowne pytanie:

- Gdzie ona jest?

- Panie Leonie... - mitygowała przełożona.

Nie dał jej dokończyć. Wrzasnął:

- Wrony! Wrony! Powierzyłem wam dziecko... Płaciłem tyle, że dwie ochronki mogłybyście utrzymać...

Nagle zdecydował się na coś. Porwał czapkę i skinął na Bugalskiego. Już chciał wypaść z pokoju, ale jeszcze zawrócił i porwał leżące na stole skrzypce. Futerał był nie dopięty i małe skrzypieczki upadły na podłogę.

Pękła przy tym podstawka i struny cicho jęknęły.

Kuraś schylił się, podniósł skrzypce, zobaczył sflaczałe struny i dopiero wtedy rozplakał się jak dziecko.

W chwilę potem był już u landwirta. Thomaneck był zaskoczony pytaniami Kurasia.

- Pan mi zadaje bardzo dziwne pytania, panie Kurasch. Myślałem, że przyszedł pan po zaświadczenie, a pan pyta o jakieś dzieci.

- Nie o jakieś.

- To sprawa gestapo. Komisji do spraw rasowych. Niech się pan w to nie wtrąca, panie Kurasch.

- Gdzie je wywieźli? Zamość? Lublin?

- Jedno mogę panu powiedzieć. Nie znajdzie ich pan. Te dzieci mają wyrosnąć na Niemców. Reichsfuhrer Himmler powiedział, że nasza wojenna ofiara krwi potęguje

konieczność przeszkodzenia stracie krwi niemieckiej przez wykorzystanie narodowości obcych. Liczy się każda wartościowa krew: gdziekolwiek ją napotkacie, na wschodzie, bierzcie jak swoją. Tak mówił.

W czasie tej rozmowy Kuraś bawił się ciężkim bibularzem, leżącym na biurku.

Wydawało się, że rzuci nim w Thomancka. Ale opanował się, zacisnął tylko palce na ciężkim przedmiocie. Za chwilę weszła sekretarka z jakimiś papierami do podpisu. Jednym z nich było stałe zaświadczenie dla Kurasia o oficjalnym kupnie mięsa. Ale Kuraś oświadczył:

- Nie wybieram się do Warszawy.

- Jak to? A mięso? Za chwilę zaczyna się spęd...

Nieoczekiwanie zza okna dobiegł warkot bębena. Wąsaty woźny magistracki z powagą kroczył przez zatłoczony rynek i miarowo uderzał pałeczką w napiętą skórę werbla przewieszzonego przez ramię. Rynek był zatłoczony ludźmi przybyłymi na spęd i targ. Konie wyprężone z furmanek, zawodzące krowy, rajcujący w gromadkach chłopcy, baby sprzedające miotły brzozone...

Na odgłos werbla cały ten gwar ucichł nagle i oczy wszystkich skierowały się na woźnego. Początkowo biegła za nim gromadka dzieci, ale w miarę jak woźny zbliżał się ku zabytkowej studni, stanowiącej centralny punkt rynku, tłum ciekawskich rósł i wkrótce wokół woźnego utworzyło się zwarte koło głów. Wiadomo było, że za chwilę odczytane zostanie jakieś nowe zarządzenie lub komunikat, więc ze szpaleru chłopów, którym posuwał się woźny, padały pytania:

- Panie Skowroński, o co chodzi?

- Panie Skowroński, źle czy dobrze?

- Panie Skowroński, może kontyngent zmniejszony?

Woźny miał minę sfinksa. Nie odpowiadał, tylko mocniej i częściej uderzał w bęben.

Czuł się ważny, bo tylko on jeden już wiedział.

Doszedł wreszcie do studni, stanął i wzmógł bębnienie. Teraz już i sklepikarze pośpiesznie zamknęli sklepy i biegiem dołączyli do tłumu.

Również zegarmistrz Filipek wyszedł ze swego warsztatu. Ludzie wspinali się na palce, wyglądali ponad głowami bliżej stojących. Już chyba przyszli wszyscy mieszkańcy miasteczka i woźny mógłby zacząć odczytywać zarządzenie, ale on przedłużał tę chwilę.

Wciąż bębnił. Napięcie rosło z każdą sekundą.

Ktoś wreszcie nie wytrzymał i zawołał z tłumu:

- Niech już będzie, co ma być, zaczynaj pan, panie Skowroński!

Woźny wciąż bębnił.

Wtedy za plecami stojących rozległ się warkot ciężarówki. Prowadził ją żandarm w hełmie i kierował wprost na tłum. Ludzie rozstąpili się, ciężarówka zaś podjechała do studni i zatrzymała tuż za plecami woźnego.

Dwóch żandarmów, nie spiesząc się, opuściło klapę i spod plandeki wyrzucili na plac trzy sienniki. Ciężko spadły na bruk. Wydawały się jakieś nieforemne, wybrzuszone, jakby niedbale wypchane. Żandarmi, ciągnąc za rogi, ułożyli je rzędem, jeden przy drugim.

Woźny wreszcie przestał bębnić, pałkę upchnął za pas jak buławę, sięgnął po okulary i wyciągnął z bluzy jakiś zadrukowany papier.

Jednocześnie żandarmi pochylili się, każdy nad swoim siennikiem, jakby zamierzali je rozpruć. Wśród przeraźliwej ciszy rozległ się głos czytającego:

- „Dowódca policji, SS i żandarmerii zawiadamia, że pomimo wielokrotnych ostrzeżeń w dalszym ciągu na terenie gminy mnożą się bandyckie napady z bronią na żołnierzy i funkcjonariuszy niemieckich oraz obywateli będących w służbie niemieckiego dzieła odbudowy...”.

Tłum słuchał. Przeczytane przed chwilą zdanie znali wszyscy na pamięć, ale co znaczą te worki? Wśród ludzi dojrzeć można było twarze Kalety, Niwińskiego, Podsiadłego, Kurasia. Też słuchali.

- „Mieszkańcy gminy obowiązani są - grzmiał woźny - każdego napotkanego bandytę natychmiast zatrzymać i oddać w ręce najbliższego posterunku. W dniu wczorajszym zlikwidowano groźną, uzbrojoną bandę. Aby ostatecznie położyć kres bandytyzmowi...”

Żandarmi prawie jednocześnie pociągnęli za rogi sienników, jak za powłoczki pierzyn.

Puste, zmięte worki odrzucili na bok. Na placu pozostały sztywne już, pokrwawione zwłoki trzech mężczyzn. Tłum zafalował na widok trupów. Ci z tyłu napierali na bliżej stojących.

- „...obwieszczam i obiecuję! - głos Skowrońskiego stawał się coraz bardziej donośny.

- Kto z mieszkańców gminy rozpozna któregokolwiek z bandytów z nazwisk, poda adres jego rodziny albo krewnych, lub też miejsce jego ukrywania się, zostanie przeze mnie natychmiast zwolniony z obowiązku kontyngentu przemiałowego i głównego, z obowiązku dostawy bydła rzeźnego, a nadto otrzyma gratyfikację pieniężną w wysokości dziesięciu tysięcy złotych oraz pięciu litrów czystego spirytusu”.

Woźny skończył, schował papiery, zdjął okulary. Nie patrzył na zwłoki.

Żandarmi obserwowali tłum. Ludzie wciąż popychali się i pochylali nad leżącymi.

Niwiński spojrzał ponad głowami innych. Dostrzegłszy zwłoki przymknął oczy.

Leżeli tam trzech chłopcy z jego oddziału, wśród nich Aram. Potem wolno sięgnął do czapki i odkrył głowę. Ktoś najbliżej stojący poszedł za jego przykładem. Coraz więcej czapek i kapeluszy odsłaniało głowy.

Podsiadły, popychany przez innych, znalazł się nad samymi prawie zwłokami.

Obejrzał je dokładnie, pomału odwrócił się i wtedy jego wzrok skrzyżował się ze wzrokiem Niwińskiego.

Podsiadły cofnął się, wyjął bibułkę, wolno zaczął skręcać papierosa. Z trudem przelykał ślinę. Myślał. Zwilżył językiem skręta, wsadził go sobie do ust. Ponad głowami tłumu, między furmankami, dojrzał Hankę trzymającą na łańcuchu krowę, która w tej chwili podniosła łeb i zaryczała. Podsiadły, z wciąż nie zapalonym skrętem w ustach, podszedł do woźnego.

- Panie woźny... - zaczął.

Wąsacz zdejmował właśnie przez głowę pas od bębna. Ciężko mu szło. Wtedy

Podsiadły dostrzegł, że za plecami Niwińskiego przystanął Kuraś, człowiek, którego widział przed chwilą w poczekalni u landwirta, gdy przyszedł błagać o darowanie mu krowy. Teraz ten człowiek, stojąc z tyłu za Niwińskim, położył mu dłoń na ramieniu. Podsiadłemu ten gest wydał się gestem tajniaka zatrzymującego podejrzanego.

- Co? - wysapał wreszcie woźny.

- Już nic... - machnął ręką.

Woźny wzruszył ramionami. Ale dostrzegł, że nagle Podsiadłemu wydłużyła się twarz ze zdziwienia. Bo oto Niwiński odwrócił się twarzą do przybysza, chwilę obaj stali naprzeciw siebie i nagle rzucili się sobie w ramiona.

Ściskali się serdecznie. Podsiadłemu z otwartych ust wypadł skręt.

- Czego pan chciał? - dopytywał się woźny.

Podsiadły schylił się po papierosa, podniósł. Jeszcze raz spojrzął na tamtych. Kuraś z Niwińskim objęci ramionami opuszczali rynek.

- Ognia. Może ognia pan ma?

Woźny znowu wzruszył ramionami.

Niwiński dowiedział się od Kurasia o jego nieszczęściu i zamiarze szukania dziecka już teraz, natychmiast, choćby mu przyszło zjechać całą Lubelszczyznę.

- Rozumiem cię, Leon, ale nie kręć się w tych okolicach. Tu zaczęły się dziać straszne rzeczy.

- A co gorszego może mnie spotkać? - przerwał Kuraś.

- Wywożą, mordują tysiące ludzi. Setki ich uciekają do nas, do oddziałów.

Bataliony Chłopskie biorą już odwet, na ten teren ściągają całe pułki AK. I my zostaliśmy, żeby walczyć. Wkrótce może to przybrać formę powstania.

Wracaj.

Kuraś przecząco pokręcił głową.

- Nie opowiadaj matce, coś tu przed chwilą widział na rynku. Mogłem przecież być między tymi trzema.

- Znasz ich? - spytał Kuraś.

- Jeszcze wczoraj rano w lesie przy śniadaniu sprzeczałem się, pod którym na Brackiej byli Bracia Pakulscy.

- A pod którym?

- Pod dwudziestym trzecim.

- Możliwe. Ale oni trzej już tego nie sprawdzą. Nie odstrasza cię to, Władek?

- Przeciwnie.

- No, to czego i ja się mam bać? Jak już nie ma Bożenki...

Tego samego dnia wyruszył Kuraś w swój beznadziejny objazd po miasteczkach, wsiach i osiedlach, Kaleta zaś z Niwińskim przywieźli lekarza z miasta. Lekarz obejrzał ранego Sylwka, opatrzył i zszedł ze strychu na dół do izby Kaletów. Myjąc ręce w miednicy, mówił:

- Do szpitala go wziąć nie mogę... Wszędzie węższą. Każdy rozpozna, że to rana z postrzału. Zrobiłem, co się dało, zostawiłem sulfamidy... Będę szczery, nie podoba mi się to -

rozejrzał się po zebranych. - Co z waszą wsią? - spytał, zwracając się do Kalety.

- Na razie nie objęta wysiedlaniem, ale kto może wiedzieć, co będzie jutro...

- Co robić? Co robić? - głośno zastanawiał się doktor. Strzelać jak ten wasz na strychu, to prowokować zemstę. Uciekać? Dokąd? Teraz, zimą do lasu?

- Bronić się - do rozmowy przyłączył się Niwiński.

- Jak?

- Jak, to wiadomo - odpowiedział Darek. - Ale do czego to wysiedlanie, to mordowanie ma doprowadzić?

- Powiem panu, o co im chodzi. Mój kolega, także lekarz, rozmawiał z oberarzem w Lublinie. To wiedeńczyk, po kilku głębszych powiedział mniej więcej tak: musimy stworzyć wzdłuż całej granicy polsko - sowieckiej coś w rodzaju wału ochronnego zamieszkanego tylko przez element niemiecki. Ma to dwojaki cel: polityczny, bo przez wytepienie Polaków partyzanci tracą oparcie w wsiach; wojskowy, bo zabezpieczą się od wschodu. Będą tu sami swoi ludzie: esesmani, dorffuhrerzy. Spokojne tyły. Himmlerland.

- Co robić? Iść na rzeź jak barany? - Kaleta wielkimi krokami przemierzał izbę. -
Bronić się?

- Powtarzam, jak pan sobie to wyobraża? Przeciwno całym pułkom? Dywizjom?
Na to też są potrzebne całe pułki.

- Przecież pan wie, doktorze, że z tej ziemi więcej ludzi wyjdzie jak pułk, i jak dywizja.

- Wie pan, co oznaczają pańskie słowa? Powstanie. Powszechne powstanie. A na to jest jeszcze za wcześnie. Jeszcze są mocni. I zamiast Himmlerlandu byłoby Himmlersee, bo utopiliby nas w morzu krwi, panie Kaleta.

- Wie pan, co to jest rozpacz, doktorze? Ona nie pyta - za wcześnie, za późno,

kalkuluje się, nie kalkuluje. Chłop, jak ma mgłę na oczach, to nie patrzy: widły, kosa, tylko chwyta i leci. Bartosz Głowacki też miał naprzeciwko armatę, a czapką ją przykrył.

- Historia, panie Kaleta, składa się właśnie z takich bajek, żeby dzieciom było różniej.

A w bajki pan chyba nie wierzy?

- Nie. Ale w ludzi. Bo ich znam...

Po odjeździe lekarza Sylwek zapragnął widzieć się z Niwińskim. Władek wdrapał się po drabinie na strych. Ranny dowódca leżał na sienniku pod stromym stropem dachu.

Niwiński przysiadł na belce.

- Nie zejdem już z tego strychu, Władek...

Niwiński chciał zaprzeczyć, pocieszyć go, ale Sylwek przerwał mu gestem dłoni.

- Nie... Ja się nie rozklejam, ale głupio trochę, że już nigdy nie zobaczę Karolkowej.

Ani Bema. Jakie na Wroniej pod szóstym były lody... rany boskie, jak... jak bym zjadł takie lody... Tak mnie tu pali w bebechach.

- Śpij teraz, przyjdzie czas i na lody.

Sylwek poprawił się na sienniku, skrzywił twarz, bo zapewne go zabolalo, a po chwili milczenia oświadczył stanowczym głosem:

- Obejmiesz dowództwo, Władek.

- Ja?

- Sformujesz oddział z chłopów w Nalepach, a teraz...

- To niemożliwe, Sylwek.

- To rozkaz.

Niwiński uciekł w bok spojrzeniem, zamyślił się.

- Widzisz... - zaczął Władek, ale Sylwek nie dał mu dojść do słowa.

- Kto inny? Mariusz to równy chłopak, można na nim polegać, ale nie, nie, nie. Ty

jeden jesteś podchorąży. Fachowiec, co tu dużo gadać.

- Chciałbym, abys mnie dobrze zrozumiał...

- Darek za młody...

- Muszę ci to powiedzieć, Sylwek - stanowczo przerwał Niwiński. - Ta sytuacja mnie zmusza. To jest formalnie niemożliwe. Formalnie. Ja nawet nie składałem gwardyjskiej przysięgi.

- Jak to? - zdziwił się dowódca.

- Nie składałem.

- Nie rozumiem... Kiedy odbiliśmy cię w maju, nawet nie żądałem tego od ciebie.

Przecież to było jasne. Kasia. Aram cię znał. I Darek...

Zamyślił się, potem odwracając się na sienniku, spojrział wprost w twarz Niwińskiego.

- Unieś dwa palce do góry. I powtarzaj: Ja, syn ludu polskiego, antyfaszysta... Czekaj!

Ale jak to się mogło stać?!

- Chcę, żebyś wiedział do końca. Nie jestem również komunistą.

- Tylko kim?

- Polakiem. A przysięgę składałem jeszcze we wrześniu.

- Do jasnej cholery, przecież jesteście z nami!

- Właśnie dlatego jestem, że składałem przysięgę. Bo mowa w niej była, że broni nie złożę. I dotrzymuję, jak widzisz. Prócz tego, mój ojciec...

- Co ojciec?

- Zostawił mi to w testamencie. Jestem bardziej z wami, niż możesz to teraz sądzić, Sylwek...

- Niedobrze. Pokrzyżowałaś mi plany - zasępił się ranny. - Widzisz, Mariusz... Jemu się wciąż zdaje, że jesteśmy tu po to, aby wygrać wojnę z Niemcami. Z jednej strony

marszałek von Paulus, a z drugiej plutonowy Mariusz, pseudonim Pancierz... Strzelać, byle strzelać. A my jesteśmy tu i po to, aby ludzie nie czuli się opuszczeni... I aby wiedzieli, dlaczego warto wytrwać... A warto, Władek, warto...

- Po co mi to tłumaczysz?

- Bo teraz nie wiem, na jaką Polskę czekasz.

- Na wolną.

- Na wolną... I mało powiedziałaś, i dużo. Wolną... Ja nie zdałem matury, bo kiedy byłem w trzeciej klasie, matka nie miała już siły prać bielizny i zabrakło na chesne. Mój młodszy brat pójdzie na uniwersytet za darmo. I nasz Kaleta dostanie własną ziemię... -

Zmęczyło go mówienie. Zamilkł. Oddychał tylko z wielkim wysiłkiem. Po chwili dodał, jakby do siebie: - I pomyśleć kurdelebele, że nie doczekam takiej Polski. Dwadzieścia dwa lata. Władek, długo nie pożyłem. I kiepsko... Ona będzie, a ja nie zobaczę...

Przymknął oczy, głowa mu zwisała, Niwiński pochylił się nad nim.

- Te lody były pierwsza klasa...

Tracił przytomność. Niwiński chwycił go za ramiona.

- Sylwek! Sylwek! Jak było? Ja, syn ludu polskiego... I co dalej?

- Nie, nie, panie doktorze, nie boję się, ja chłopak z Woli jestem...

Niwiński zawołał o pomoc. Ale zanim przybiegli, nie mieli już swego dowódcy.

Pochowali Sylwka, chłopca z Woli, na malutkim wiejskim cmentarzyku w Nalepach, ukradkiem, pod wieczór. A kiedy pojedynczo przekradali się przez opłotki, każdy na swoją melinę, na końcu wsi, gdzieś pod lasem, ciszę wieczoru przeszyła seria z automatu. Kaleta domyślił się, że strzały padły przy zagrodzie Podsiadłych.

Nie mylił się.

Pośrodku zagrody Podsiadłych stał żandarm z dymiącym jeszcze automatem.

To on wystrzelił przed chwilą, na razie na postrach. Trzej inni zaglądali do okien, walili do drzwi chałupy.

Całą scenę obserwował także sam Podsiadły. Ciągnął właśnie z lasu ścięty pień drzewa, już był blisko zagrody, kiedy zaskoczyła go ta seria. Skrył się za rozwidlone konary drzew i stamtąd patrzył.

Żona otworzyła drzwi wylękłona i natychmiast otrzymała pchnięcie lufą szmajsera w piersi.

- Dlaczego nie otwierasz, babo? Gdzie córka?

- Córki nie ma. Ani jednej. Na roboty wy je zabrali.

- Kłamiesz! Uciekła z transportu. Gdzie ona jest?

- Jej tutaj nie ma.

- Gdzie mąż? Czekaaj, zabierzemy ci męża, zaraz się i córka odnajdzie.

Gdzie on jest? Wołaj go!.

Podsiadłowa zerknęła niespokojnie na ciemną ścianę lasu.

- Męża też nie ma, panie...

Dwaj inni żandarmi, którzy przez ten czas penetrowali drewnię, teraz wybiegli stamtąd zaaferowani i wymachując automatami, wołali:

- Szybko, Willy! Jest coś ciekawego! Szybko!

Żandarm chwycił Podsiadłową za bark i tarmosząc popychał przed sobą.

Wepchnął ją do drewnutni, sam zaś podszedł do kolegów, którzy gmerali w narzędziach

Kostka. Między drewnianymi wiórami walały się dopiero co wycięte orzełki. Żandarm wziął jednego orzełka w palce, uśmiechnął się złośliwie i podszedł do Podsiadłowej.

- Czyje to? Też pewnie nie wiesz?

- To syna. Wszystko syna.

Pokazała na rzędem stojące na belce ptaki, sądząc, że o to ją pytają.

- Ach, syna? Gdzie on jest?

- W domu, ale on nic panu nie powie, on...

- Stul pysk! - wrzasnął jeden z żandarmów i skinął głową, by przyprowadzić Kostka.

Dwóch żandarmów natychmiast opuściło drewnię. Ten, który został z Podsiadłową, wciąż uśmiechnięty, przesiewał orzełki między palcami. Nagle odwrócił się i wrzasnął:

- Ukrywasz bandytów? Gdzie oni są? Ilu ich jest?

Nie bardzo rozumiejąc, powtarzała naiwnie:

- To syn... bawi się... zawsze tak strugał... To syn...

Żandarm podetknął jej pod oczy orzełka; na odwrocie prymitywnie przymocowana była agrafka.

- Bawi się?!

W tej chwili przywleczono ogłupiałego Kostka. Wyrostek stał nie wiedząc, czego od niego chcą.

- Gdzie bandyci?! Do jakiej bandy należysz?

Kostek otworzył usta, proszącym, wystraszonym wzrokiem patrzył na matkę, aby mu pomogła.

- Jak się nazywasz? - wrzask żandarmów stawał się coraz donioślejszy.

- On panu nic nie powie, on... - zaczęła Podsiadłowa.

- Nie powie?!

Zamachnął się i kolbą uderzył Kostka w głowę. Chłopak przewrócił się.

Podsiadłowa rzuciła się, aby go podnieść.

- Na rany boskie, panie, to niemowa! Toż on nie słyszy nawet.

- Nie słyszy?

Znienacka wywalił całą serię w stronę drewnianych ptaków ustawionych na belce, uważnie patrząc w twarz chłopca, ale Kostkowi nawet mięsień nie drgnął. Dopiero kiedy odwrócił wzrok i dostrzegł, co się stało z jego ptakami, pędem rzucił się w ich kierunku. Wbiegł na linię strzałów, które skosiły go w pół drogi. Wyglądało to tak, jakby się potknął. Postąpił jeszcze krok i zarył głową w wióry, pomiędzy poodpryskiwane ptasie skrzydła, głowy i pazury.

Podsiadłowa patrzyła na to w osłupieniu, jak gdyby jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, co zaszło. Nagle porwała się za głowę i wybiegła z drewni.

- Mordercy! Morder... - nie dokończyła. Żandarm, wymierzywszy starannie, trafił ją, kiedy dobiegła do studni.

Podsiadły widząc to osunął się wzdłuż pnia i padł kolanami w świeży śnieg. Zgarniał go dłonią i przecierał twarz, jakby chciał się ocknąć z koszmarne snu albo zmyć z oczu obraz, który widział przed chwilą. Raz jeszcze spojrzął w stronę własnej zagrody, ale wszystko było tak jak przed chwilą. Tylko któryś z żandarmów biegł wzdłuż ścian chałupy i polewał je benzyną z kanistra.

Podsiadły wstał, nie otrzepał śniegu ani z kolan, ani z twarzy, i jak błędny, objając się o mijane drzewa i potykając o sterczące korzenie, szedł w las. Po kilku metrach zawrócił, skręcił, zaczął okrążyć brzeg lasu.

Wtedy pierwszy słup ognia wystrzelił w powietrze. Nawet nie patrzył w tamtą stronę, brnął po śniegu dalej. Zatoczywszy spory łuk wzdłuż lasu, dojrzał na dróżce bryczkę, a w niej treuhandera Sikorę.

Właśnie podjechał do niego żandarm na motocyklu i rozkładając ramiona poinformował:

- Nie wróciła, panie Sikora. W domu jej nie ma.

Sikora ściągnął lejce, zawrócił w miejscu bryczkę i pognął w stronę wioski. Przed remizą strażacką kilku chłopców pośpiesznie dopinało kaski, inni wytaczali z remizy beczkowóz, ktoś wyprowadzał konia. Sikora ściągnął lejce.

- Wracajcie do domu - rozkazał.

- Ale się pali, panie inspektorze.

- Widocznie trzeba, żeby się paliło.

Młodzi strażacy stali niezdecydowani. Ale wtedy nadjechał pierwszy motocykl.

Żandarm siedzący w koszu już z daleka machał ramionami.

- Los! Los! Do domu, do domu...

Tej nocy Niwińskiego i Mariusza, którzy spali na strychu Kalety, na tym samym sienniku, na którym wczoraj jeszcze leżał Sylwek, obudziło ciche pukanie do sionki. Niwiński ostrożnie podczołgał się do otworu, skąd mógł widzieć wejście, Mariusz natomiast rozdzierał poszycie dachu, aż przez otwór w słomie zaczęło przezierać granatowe niebo: była to jeszcze jedna droga ucieczki. Tymczasem do sionki wyszedł wreszcie zaspany Kaleta i odryglował drzwi. W progu stał Podsiadły.

- Szymek! Co z tobą? - zaniepokoił się Kaleta.

- Wiesz chyba, co ze mną.

- Wchodź, prześpisz się.

Ale Podsiadły nie ruszył się.

- Daj mi broń, Józefie - powiedział po chwili milczenia.

- Co takiego?

- Co tam masz. Rewolwer, karabin, mnie bez różnicy. Nie chcesz?... A może twoi goście dadzą? Mnie nie musisz się bać.

- Nie boję się ciebie, Szymek. No, chodź, uspokój się. Pogadamy, sam przecież

wojować nie będziesz.

- Daj mi, Józefie. Proszę cię o to - powtarzał Podsiadły jak w transie.

- Widzisz, Szymon, takie dni nastały, że każdy nabój się liczy. I każdy człowiek.

Dobrze, żeś przyszedł... Jutro pogadamy, ty nam się przydasz, my tobie.

Podsiadły ponuro pokręcił głową.

- Nie rozumiesz mnie, Józek. Nigdy na nikogo nie liczył i teraz nie chcę. Zawszem miał własne rachunki. A od dziś zwłaszcza. No, i je splecę.

Ty wiesz, że ja nigdy nie zalegałem z niczym. No, i teraz dostaną, co im się należy.

- Dostaną, Szymek. Pomścisz swoich. Całą naszą ziemię zamojską pomścimy.

Ale w kupie.

- Nie, nie. Wy całą wojnę chcecie wygrać, a wszystkich nie pozabijacie.

Kul nie starczy na takie zadanie. A moja sprawa małeńka. Czterech wszystkiego.

Wszystkich ich znam, co tam byli: Schwarzgruber, Fichtel, jeszcze dwóch... i Sikora... Widzę, że nie uproszę niczego u ciebie.

Trudno...

Obrócił się ku drzwiom. Kaleta przyjrzał mu się uważnie.

- Poczekaj. Nigdy cię nie można było przekonać. Weź chociaż kurtkę, zamarznieš w tym waciaku. Poczekaj...

Kaleta wszedł do izby, Podsiadły został w sionce sam. Przez kwadratowy otwór

Niwiński widział z góry, jak chłop rozejrzawszy się po całym pomieszczeniu, po beczce z wodą, wołokowych butach, jakichś rydlach sterczących w kącie, dojrzał walający się sierp.

Szybko schylił się po niego, rozpiął waciak, schował tam zdobycz i starannie zapiął sprzączki.

Po chwili wrócił Kaleta, trzymając w ręku kurtkę i długi bawełniany szalik.

Był wczesny ranek. Na ryneček Grębowa wolno wjeżdżała bryczka. Konie szły

ospale, nikt ich bowiem nie popędzał, wlokły więc bryczkę noga za nogą. Ludzi na rynku było już sporo. Ze zdziwieniem zaczęli spoglądać na dziwny pojazd, którym nikt nie jechał. Dopiero kiedy bryczka dotoczyła się do studni, a konie stanęły, jakaś stojąca najbliżej kobieta zajrzała do wnętrza i histerycznie wrzasnęła.

Podbiegli ludzie, podbiegł i granatowy policjant. Na podłodze, pod tylnym siedzeniem, leżał dziwnie nienaturalnie zwinięty człowiek. Policjant odchylił połę płaszcza zakrywającego głowę leżącego.

Kaleta, który był w tłumie, zobaczył skręconego pod siedzeniem inspektora Sikorę. Miał poderżnięte gardło.

Policjant przebił się przez tłum i pognął do żandarmerii.

Ludzie cisnęli się wokół bryczki. Już rozpoznano Sikorę, wszyscy powtarzali jego nazwisko. Przybiegł policjant z żandarmem: Żandarm Schwarzgruber spojrział, skrzywił się, chwycił przegub ręki Sikory i trzymał przez chwilę. Potem rozpiął mu marynarkę. Spodnie miał Sikora przepasane pasem z kaburą, ale kabura była odpięta i pusta. Żandarm wrzasnął na policjanta:

- Lekarza! Na co czekasz?!

Sam wskoczył na kozioł, smagnął batem i podjechał pod posterunek, policjant zaś gnał po lekarza.

Ludzie wolno rozchodzili się. Kaleta zmierzał do zegarmistrzowskiego zakładu, w którym na ten dzień wyznaczono odprawę z udziałem kogoś z Warszawy. Ukryci na zapleczu małego zegarmistrzowskiego warsztatu, słuchali, co mówił przybyły.

- Lepiej zginąć, choćby w beznadziejnej walce, niż biernie czekać, aż przyjdą po was.

Akcja odwetowa trwa, ale trzeba ją od dziś podwoić, potroić. Trzeba niszczyć i przepędzać niemieckich osadników, którzy zajęli wasze obory i wasze domy. Ustawiczny strach przed

śmiercią, o każdej porze dnia i nocy, muszą odczuwać ci volksdeutsche, żandarmi i gestapo.

Ziemia, którą uważają za swoją, musi im się palić dzień i noc pod stopami.

Mówca przerwał, a właściwie przerwał mu jeden z wiszących zegarów, który zaczął wybijać godzinę. Wykorzystał to ktoś z zebranych:

- Z uzbrojeniem w oddziałach niewesoło - powiedział. - Broń nam podrzućcie.

- Broń? Pełne są jej stojaki posterunków żandarmerii i gminnych. Trzeba im składać wizyty. Ludzie muszą wiedzieć, że i Niemcy nie są z żelaza, że i ich mają się chłopskie kule.

Co jeszcze?

Wtedy wystąpił Kaleta. Kiedy tu jechał, Mariusz domagał się, aby to właśnie pytanie postawił.

- Co z łącznikiem z Warszawy? Mamy u nas rozbity oddział warszawski. Od tygodni czekają na łącznika... Miał przywieźć nominację nowemu dowódcy.

- Łączniczka, nie łącznik. Dawno już wyjechała do was. Niestety, gdzieś widać wpadła po drodze. Coś jeszcze?

Nagle dobiegł ich odgłos strzelaniny. Zebrani niespokojnie wstali z miejsc.

Zegarmistrz Filipek wyszedł do warsztatu. Przez uchyloną szybę widać było bieganinę na rynku.

- Rozchodzimy się - zdecydował przybysz. - Coś tam się stało. Ausweisy macie w porządku?

Na zaplecze wrócił Filipek.

- Rozchodźcie się. Może tu być za chwilę gorąco. Schwarzgrubera zabili.

- Kogo? - zainteresował się przybysz.

- To tutejszy żandarm - wyjaśniał zegarmistrz. - Ludzie mówią, że na oczach

wszystkich, kiedy Schwarzgruber opuszczał pocztę, jakiś chłop wypalił mu prosto w głowę.

Uciekł i gonią go teraz, ale za godzinę, dwie gotowi tu sprowadzić gestapo.

Tylko Kaleta, opuszczając zebranie, wiedział, kogo teraz gonią żandarmi.

Tego samego dnia wieczorem nauczycielka w Nalepach Górnych zaalarmowała Kaletę wiadomością, która zelektryzowała cały oddział. Do szkoły w Nalepach przywłókł się nauczyciel z Mnichowa z wieścią, że na posterunku tamtejszej żandarmerii trzymają jakichś więźniów. Krzyki bitych i torturowanych słychać było aż daleko za wsią. Wieźli ich gdzieś podobno do Zamościa, ale w tamtejszej osławionej rotundzie przepełnienie, nawet jak na warunki niemieckich obozów, było tak straszne, że transport więźniów pozostawiono tymczasem w Mnichowie. Według relacji nauczyciela, na posterunku było sześciu żandarmów.

Niwiński i Mariusz, sformowawszy oddział z nalepian, wyruszyli tam jeszcze tej samej nocy. Dzień przeczekali w lesie, a nocą zaatakowali posterunek. Była to akcja tak niespodziewana, zaskoczenie tak gwałtowne, że bez własnych strat po godzinie opanowali cały budynek. Oswobodzonych i zmaltretowanych więźniów konwojował do Nalep Darek, a Mariusz i Niwiński jakiś czas jeszcze zabawili w Mnichowie, osłaniając odwrót uciekinierów.

Niwiński jak przez mgłę przypominał sobie, że gdy odryglowywali cele, jakaś dziewczyna zawołała go po imieniu. A może mu się tylko tak zdawało...

Tymczasem Darek prowadził lasem grupę uprowadzonych więźniów. Zmierzał do leśnej przesieki, gdzie, zgodnie z planem, miał oczekiwać na Mariusza i Niwińskiego. Było ciemno, leśną dróżką posuwali się bardzo wolno. Na saniach umieścili zdobyczną broń i jakieś dwie bardzo osłabione kobiety.

Czterech więźniów, przemieszanych z chłopcami z oddziału, wlokło się za saniami piechotą. Przy przesiece Darek dał znak ręką i cała kawalkada zatrzymała się. Wtedy do Darka podeszła dziewczyna, którą odbili w Mnichowie. Dotąd szła posłusznie w milczeniu,

bo rozkaz wyraźnie zabraniał rozmawiać. Teraz uznała, że są już odpowiednio daleko od wsi i może mówić bezpiecznie.

- Kim jesteście? Co to za oddział? - spytała.

- Co ci za różnica? - odpowiedział Darek. - Oddychasz świeżym powietrzem.

To chyba najważniejsze, nie?

- Owszem. Ale... jeżeli to oddział warszawski...

- To co?

- I chyba tak jest. Nie mogłam się mylić. Czy ten chłopak, który tam na posterunku...

jego tu teraz nie ma... Czy to Władek? - dopytywała.

- Po co ci to?

- Bo jeżeli jesteście tym właśnie oddziałem z Warszawy, to nawet nie wiecie, kogoście odbili. Więc jak?

- Coś za bardzo jesteś ciekawa, siostró. Nadejdzie dowódca, może ci powie.

- Ale przecież nie macie dowódcy. Sylwek poległ.

Darek zgłupiał.

- Kim ty właściwie jesteś?

Marta uśmiechnęła się.

- Odbiliście, kolego, łączniczkę, która wiozła również i rozkaz o mianowaniu nowego dowódcy. Marta. - Wyciągnęła dłoń, aby się przywitać. - Właściwie moja funkcja to sanitariuszka. I mam zostać przy was. Na co my właściwie czekamy?

- Na nich - wskazał brodą na leśną przecinkę.

Nadchodzili właśnie Mariusz, Niwiński i pozostali chłopcy z obstawy.

Darek pobiegł im naprzeciw, widać było, jak coś gorączkowo tłumaczył, wskazując na Martę. Przybyli podeszli do sań i Mariusz dał gestem znak, by ludzie ruszyli dalej. Sam

podszedł do Marty i wyciągnął dłoń do przywitania.

- Wszystko już wiem. Tym większa radość, że to właśnie my. Gdzie wpadłaś?

- Zgarnęli mnie z pociągu.

Odwróciła się do Niwińskiego.

- A pan... a ty mnie jednak nie poznajesz.

Niwiński przyglądał się jej uważnie. Więc nie mylił się, to ona wołała go na posterunku po imieniu. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, więc pomogła mu.

- Byłam koleżanką Kasi. Kiedyś odprowadzałaś ją pod mój szpital. Ale byłam w stroju pielęgniarki, pewnie dlatego mnie nie poznajesz.

- Tak: Teraz sobie przypominam.

Marta spytała Mariusza:

- Czy Nowy to twój pseudonim?

- Nie. Jego - Mariusz wskazał na Niwińskiego.

- Więc moje gratulacje. Z tym, między innymi, tu jechałam.

- Z czym? - Niwiński nie zrozumiał tej informacji.

- Papiery, szczerze mówiąc, połknęłam w pociągu. Ale nominacja była bardzo oficjalna. Pieczęć, podpisy.

Niwiński zerknął w stronę Mariusza. Nie mylił się. Nie w smak mu poszła ta wiadomość. Zapadło milczenie, które przerwał Mariusz:

- No, dosyć gadki. Nie dogonimy ich w końcu.

Sanie rzeczywiście ujechały już kawał drogi. Ruszyli za nimi przez las.

Śnieg skrzypiał pod stopami. Mariusz trochę odstał, zrównał się z Niwińskim. Nieco zwolnił i po chwili szli obaj z tyłu. Przed nimi brnęła w śniegu Marta.

- Wszystko w tym zamieszaniu trochę nieformalne - zagadnął wreszcie Mariusz. -

Gadu - gadu, jak u cioci na imieninach, a nie wiadomo, z kim.

Hasło chociaż powiedziała?

- To ją spytaj.

- Ja? Dowódca pyta o takie rzeczy.

Idąca przed nimi Marta odwróciła się i zagadnęła z uśmiechem:

- O czym mówicie?

- Że masz ładne nogi - odparł Niwiński.

- Ale jakie zmarznięte!

Mieli jeszcze przed sobą co najmniej dwie godziny marszu. Kiedy wreszcie dotarli do

Nalep, więźniów rozlokowali w chałupach u chłopów. Marcie przypadła melina w szkole.

Niwiński odprowadził ją tam. Nauczycielka zaprowadziła ich do małej izby, a właściwie

komórki, gdzie, prócz rozkładanego łóżeczka, stały stare połamane ławki, pęknięta przez pół

tablica, jakiś wypchany ptak. Nauczycielka sumitowała się, że umieszcza gościa w takiej

rupieciarni, ale uważała, że jest to miejsce najbardziej bezpieczne.

- Luksusy! - pocieszała ją Marta. - Gdyby pani wiedziała, jak spałam przez tydzień...

- Słyszałam. A może herbaty gorącej przyniosę?

- Nie śmiałam prosić, ale dreszcze mnie biorą.

- Mróz - wtrącił Niwiński.

- Myślę, że to raczej reakcja po tym wszystkim. A może i przeziębienie.

Nauczycielka wyszła przygotować herbatę. Dopiero gdy zostali sami, Marta wyznała:

- Nie chciałam rozklejać się przy chłopcach, ale, Władek... Tam było strasznie. I

pomyśleć, że Kasia... A ja przecież tylko tydzień, tylko siedem dni.

- Nie myśl już o tym.

- Nie myślę, ale ja to wciąż czuję. Gdybyś zobaczył moje plecy.

Niwiński odruchowo, ze współczuciem pogładził ją po włosach.

- Pomyśl, że żadnego z nich już nie ma. Już dostali za swoje.

Uśmiechnęła się i nieoczekiwanie, wspinając się na palce, pocałowała go w usta.

- Nigdy cię nie zapomnę.

Nie bardzo wiedział, jak się zachować, więc zażartował:

- Tak się mówi przy rozstaniu na zawsze.

- Nie wiem, jak się mówi przy rozstaniu na zawsze.

- Ile masz lat? - zmienił temat Niwiński.

- Tyle, co Kasia.

Usiadła na swoim posłaniu, wstrząsały nią dreszcze.

- Kochałeś ją czy tylko tak chodziłeś?

Zanim Niwiński zdążył odpowiedzieć, weszła nauczycielka z dwoma kubkami parującej herbaty. Zdziwiło ją, że Niwiński wdziewa czapkę i sięga do klamki.

- Jak to? Przecież herbata...

- Nie, dziękuję. Muszę już wracać. Dobranoc. - Otworzył drzwi, w progu odwrócił się jednak i spytał: - A co byś wolała?

Nauczycielka odwróciła się, nie rozumiejąc. Uśmiechnął się do milczącej Marty i wyszedł.

Nazajutrz oddział miał wyruszyć na pomoc wsi Trakowa, którą, według posiadanych informacji, czekało wysiedlanie.

Partyzanci opuścili Nalepy Szlacheckie. Szli wzdłuż wioski gęsiego, po obu stronach gościńca, przy płotach zagród. Szli uzbrojeni, z granatami zatknętymi za pasy kurtek, z karabinami na ramionach. Nikt już nie krył się przed ludzkim wzrokiem, przed sąsiadem.

Mijali chałupy, zagrody, a z każdej prawie dołączał do nich następny ochotnik.

Kaletę dogonił jego piętnastoletni syn, Paweł.

- Tatku! - wołał prosząco.

- Powiedziałem, nie! Wracaj do domu! Za młodyś!

- A Kazek?

- On nie idzie z nami. Zostaje. Jest tylko na punkcie obserwacyjnym.

- To chociaż go zmienię. Co?

Kaleta milczał przez chwilę, wahając się.

- Zgoda. Powiem sołtysowi. A teraz wracaj!

Chłopak uszczęśliwiony zawrócił i pędem pognał w przeciwną stronę.

Oddział szedł dalej wsią. W mijanych zagrodach ruch, gorączkowa krzątania. Ludzie ładowali na wozy dobytek. Mężczyźni dźwigali skrzynie, baby toboły, pierzyny. Niektóre wozy i sanie były już wypełnione workami, maszynami do szycia, kołyskami. Tu i ówdzie ludzie z okien zdzierali zasłonki, firanki.

Kaleta, brnąc ścieżką przy płocie, dotarł do domu sołtysa.

- Dwa słowa, panie sołtysie! - krzyknął do stojącego przy bramie człowieka.

Stanął, dał znak ręką, by następni, idący za nim, nie zatrzymywali się.

Otworzył furtkę i wszedł na podwórze. Przez otwarte wrota sołtysowej stodoły widać było, jak ładuje się i tam dobytek.

- Nigdy my przyjaciółmi nie byli, panie Kaleta, ale... Wróćcie? - dopytywał sołtys.

- Najdalej jutro.

- Nie zostawiajcie nas. Same dziadygi mi tylko zostały. I baby. Jakby tu do nas przyszli, pierwszego mnie powieszają.

- Nie powieszają, boś pan gotów do drogi - uspokajał Kaleta.

- Wszyscy na tobołkach już drugą noc, to co miałem robić? Wszyscy to wszyscy.

- Dziś ani jutro chyba jeszcze nie przyjdą. Ale... na wszelki wypadek... po obu stronach wjazdu do wsi zostawiłem czujki. Zmieniaj je pan co parę godzin. Syn mój się zgłosi.

- Tak jest.

- Jeżeli tylko zauważą, że idą, wy w konie i w las. I byle na południe.

Mówię na wszelki wypadek. Bo my dziś tylko do Trakowej. I wracamy.

- Do Trakowej? - zdziwił się sołtys. - Mówią, że tam już nikogo nie ma.

Tylko Niemcy, których zasiedlili.

- Właśnie dlatego tam idziemy.

Kaleta uściśnął ramię sołtysa i pośpieszył za oddalającym się coraz bardziej oddziałem.

Przy jednym z domów zatrzymał go łomot siekiery. Zaintrygowany zajrzał przez płot.

Rozjuszony chłop rąbał na kawałki wyniesiony na podwórko stół.

Wokół walały się porąbane resztki łóżka i szafy. Kaleta patrzył zaskoczony.

Chłop dojrzał go, przerwał na chwilę masakrowanie stołu.

- A co? Mam im zostawić? Niedoczekanie!

I nagle, jakby dostał szału, jednym skokiem dopadł okna i uderzeniem siekiery rozbił szybę. W zapamiętaniu gruchotał toporzyskiem ramę okna, aż się rozprysła w kawałki.

Kaleta pobiegł dalej. Przed szkołą partyzanci zatrzymali się.

- Na co czekacie? - spytał.

- Na Władka - odpowiedział Darek, ruchem głowy wskazując na budynek szkoły. -

Duża gorączka? - to pytanie skierował do nauczycielki, która właśnie wyszła na dziedziniec.

- Prawie czterdzieści stopni.

Niwiński raz jeszcze przyłożył na chwilę dłoń do rozpalonego czoła Marty.

- Jeszcze chwilę potrzymaj - poprosiła. - Masz taką chłodną rękę.

- Aspiryna? - spytał, spoglądając na jakieś dwie pastylki leżące przy chorej.

- I patrz, nie mogę iść z wami. A po to tu przecież jestem - żaliła się Marta.

Niwiński wyjrzał przez okienko, zobaczył czekających przy furtce kolegów i poprawił automat.

- Za dwadzieścia cztery godziny chcę cię widzieć na nogach - uśmiechnął się i skierował do drzwi.

- Rozkaz, dowódco.

Był już w drzwiach, jeszcze raz się odwrócił. Marta uśmiechnęła się blado i poprosiła cichutko:

- Wróc...

Oddział, wciąż idąc gęsiego, mijał ostatnie zabudowania wioski. Przeszli obok kapliczki i znaleźli się w lesie. Z wierzchołka drzewa ktoś zawołał:

- Tato!

Partyzanci zadarli w górę głowy. Wysoko, przy samym prawie wierzchołku świerka, siedział kilkunastoletni chłopiec. Machał do nich ręką.

- No jak, Kazek? Spokój? - spytał Kaleta.

- Spokój!

- Daleko widzisz?

- Het, het! - wskazał ręką przed siebie.

Partyzanci skręcili. Zapowiadał się piękny dzień...

Lusia, córka kowala, pierwsza dojrzała Niemców. Wbiegła zdyszana do chałupy. W izbie nieład, pustki, wszystko popakowane. Kowal Gawroński spał w ubraniu na ławie.

- Niemcy! - krzyknęła dziewczyna.

Kowal zerwał się, bez czapki wypadł na podwórko i ze stodoły zaczął wypychać naładowany wóz. Nie dał rady, zawołał więc do córki:

- Luśka, konie!

W tej chwili na podwórko weszło dwóch żandarmów. Kowal, wprzęgnięty jeszcze między dwa dyszle, dyszący po daremnym wysiłku, wpatrywał się w nich jak w widmo.

Otaczali chałupy ze wszystkich stron. Szli od strony lasu i od pola, od jednego końca gościńca i od drugiego. Ludzie, którzy wpierw wybiegli do płotów, przerażeni cofali się teraz z powrotem do chałup.

Po godzinie wszyscy mieszkańcy wioski stali już na majdanie przy remizie strażackiej.

Otaczał ich kordon żandarmów, z automatami gotowymi do strzału. Ludzie zagarnęli ze sobą jakieś tobołki, walizki; ktoś upchnął rzeczy do dziecięcej kołyski, ktoś inny do korytka.

Podoficer żandarmerii chodził z miejsca na miejsce, co chwila przytykał lejkę do oka i robił „ciekawsze ujęcia”.

Rząd furmanek stał obok na majdanie, za nimi zaś dwie ciężarowe budy.

Czekali na oficera dowodzącego akcją, który nie opuścił jeszcze domu sołtysa.

Wreszcie wyszedł, a za nim sołtys z jakimiś papierami w ręku.

Oficer stanął przed tłumem, uniesieniem ręki nakazał ciszę, potem gestem przywołał granatowego policjanta, który głośno, tak żeby go wszyscy dobrze słyszeli, zaczął mówić:

- Uciszcie się, ludzie! Wieś Nalepy Szlacheckie, z rozkazu pana gubernatora, będzie dziś wysiedlona. Nie bójcie się, bo będziecie mieli pracę zapewnioną, a wasze dzieci znajdą się pod należytą opieką. Wszyscy chorzy, niezdolni do pracy i tacy, co już ukończyli 65 lat, też będą mieli opiekę. Możecie zabrać ze sobą zmianę pościeli, po pięćdziesiąt złotych gotówką, rzeczy osobiste i jedzenie, ale wszystkiego razem nie więcej jak piętnaście kilogramów. Teraz wasz sołtys odczyta listę, żeby nikogo nie brakowało.

Policjant cofnął się i oficer wypchnął do przodu sołtysa.

- Bednarczyk Piotr Bednarczyk Anna i Bednarczyk Halina... zaczął wyczytywać.

Bednarczykowa, młoda kobieta, ciągnąc za rękę kilkuletnią dziewczynkę, wysunęła się z tłumu. Żandarm wziął jej tobolek w rękę, chwilę ważył.

- Gdzie mąż? - padło pytanie.

- Wyjechał.

Żandarm położył tobolek na śniegu.

- Mówione było piętnaście kilogramów. Wyrzucaj.

Bednarczykowa uklękła przy tobołku, zaczęła go rozsypywać. Wtedy drugi żandarm ujął dziewczynkę za rękę i zaczął prowadzić do ciężarówki.

- Mamo! - zawołało dziecko.

Bednarczykowa pochylona nad tobołkiem dopiero po chwili spostrzegła, że gdzieś prowadzą jej córkę.

- Halinka! - krzyknęła rozpaczliwie.

Chciała biec, ale dwóch żandarmów przytrzymało ją za ręce. Inny wrzucił na furmankę jej nie zawiązany tobolek. Bednarczykowa wyrywała się, krzyczała...

Oficer pchnął sołtysa w plecy, by odczytywał następnych.

- Cudzik Paweł, Cudzik Zofia i Cudzik Katarzyna...

Na furmankach rosły góry tobołków, walizek i worków.

Nagle cały tłum zamarł bez ruchu, bo na podwórku najbliższej chałupy rozległ się strzał. A w chwilę potem - huragan śmiechu Niemców. To jakiś żandarm strzelił do kurnika, z którego wylatywały teraz spłoszone kury.

Niemiec zakrył głowę rękami, bo ptactwo przelatywało tuż nad nim.

Podoficer z aparatem fotograficznym popędził tam natychmiast, ale ujęcie stracił.

Kury rozbiegły się już po podwórku, a żandarm schylił się tylko po dwie zabite sztuki, by przytroczyć je sobie do pasa.

Sołtys wciąż wyczytywał nowe nazwiska. Oficer, którego znudziła już ta przeciągająca się procedura, przeskoczył rów, wszedł do najbliższej zagrody i z zainteresowaniem ją oglądał. Nagle zgniewało go to, co zobaczył: porąbany stół, szafa, krzesła, potłuczone okna, wyrwane ramy. Przez wybitą szybę zajrzał do izby. Jakby huragan przez nią przeszedł. Wywalona na posadzkę płyta kuchenna, połamane obrazki, pogniecione garnki...

Oficer przywołał policjanta, coś mu polecił. Policjant zawrócił i już od płotu wołał:

- Czyj to dom, pan hauptmann pyta!

Ludzie w tłumie spoglądali po sobie. Wreszcie właściciel wysunął się do przodu.

Oficer skinął palcem, aby przyszedł na podwórko. Chłop szedł, ociągając się. Za nim, dźwigając toból, powlokła się żona.

Kiedy chłop stanął przed oficerem, ten, wskazując szpicrutą na pobojuwisko, spytał:

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Moje własne, tom zrobił.

Oficer pokiwał głową jakby ze zrozumieniem. Potem wolno zaczął odpinać kaburę.

Podoficer z lejką nadbiegł pośpiesznie, spodziewając się ciekawego ujęcia.

- Za to, że w takim stanie zostawiasz dom nowym właścicielom, zostaniesz ukarany -

mówił dobitnie Niemiec dowodzący akcją. - Spojrzał na kobietę, która kurczowo ścisnęła toból. - Połóż to. Nie będzie ci już potrzebne.

Kobieta uklęknęła.

- Niech nam pan daruje - błagała. - Z głupoty czystej on tylko. Ale rzeczy niech pan nie zabiera...

Oficer kiwnął palcem, aby podniosła się z ziemi. Kobieta zaczęła szarpać się z tobołem.

- Chleb chociaż... chleb chociaż niech pan pozwoli...

Wciąż jeszcze myślała, że chcą ją pozbawić tobołu. Wyciągnęła wreszcie ogromny, własnego wypieku bochen chleba i przyciskając go do piersi wstała.

Oficer wyjął pistolet i strzelił prosto w ten bochen. Przewróciła się na wznak, ale chleba nie wypuszczała. I tak zastygła, z kurczowo zaciśniętymi palcami na bochnie, w którym ziała wielka dziura po kuli.

Podoficer zrobił, rzecz jasna, zdjęcie, ale kiedy chciał przekręcić rolkę, okazało się, że była to już ostatnia klatka. Oficer wymierzył teraz w chłopca, który stał spokojnie i obojętnie patrzył w lufę.

- Moment, herr hauptmann, skończyła mi się rolka.

Prośba podoficera ziała się z wystrzałem. Chłop potknął się i padł pomiędzy połamane krzesła.

- Nie mógł mi pan wcześniej powiedzieć, że chce pan zrobić zdjęcie? - zwrócił się do podoficera kapitan.

Na placu zakończyła się selekcja. Wszyscy już siedzieli na furmankach, tylko dzieci krzyczały i wołały spod bud ciężarówek. Żandarm podbiegł do oficera i coś mu zameldował.

Oficer dał znak ręką do odjazdu. Konwój otoczył furmanki i konie ruszyły.

Na majdanie zostało tylko dwóch żandarmów, granatowy policjant i nauczycielka.

Oficer podszedł zaintrygowany.

- Co za jedna?

- To właśnie kierowniczką szkoły, melduję posłusznie, kazał pan zatrzymać - wyjaśnił skwapliwie policjant.

- Ach, tak.

Oficer przyjrzał się nauczycielce.

- Zostaniesz do jutra i rano przekazesz szkołę nowemu kierownikowi. I żeby mi niczego nie brakowało. Nie tak jak tutaj, bo... - szpicrutą wskazał za siebie na zrujnowaną zagrodę, w której był przed chwilą. Teraz zwrócił się do żandarmów: - Odprowadźcie ją. I przypilnujcie. Rano transport już tutaj będzie.

Żandarmi nie byli zbyt radzi z tego polecenia.

- Ktoś musi czekać na transport. - Raz jeszcze obrzucił okiem nauczycielkę i dodał: - Nie będzie wam nudno. Ona jest jeszcze całkiem do rzeczy.

Odwrócił się, skinął ręką na ciężarówki. Pierwsza podjechała. Oficer coś sobie jeszcze przypomniał.

- Jak się właściwie ta wieś nazywa? - spytał policjanta.

- Nalepy Szlacheckie.

Oficer wyjął mapnik, stamtąd długi spis. Przy nazwie „Nalepy” postawił fajkę.

- W porządku. Dalej...

I wskoczył do szoferki.

Późną nocą wracali partyzanci po udanej akcji. Wyszli z lasu na wolną przestrzeń.

Idący przodem partyzant zatrzymał się i patrząc przed siebie powiedział:

- Tam ktoś stoi...

Przycupnęli przy drzewach, spoglądając w ciemną przestrzeń, gdzie powinno być już widać Nalepy Szlacheckie. Przy jednym z drzew rzeczywiście majaczyła sylwetka człowieka.

Niwiński odbezpieczył broń, w milczeniu dał znak, by poczekali, 222 sam zaś zniknął między drzewami. Po chwili partyzanci dojrzel, jak jego cień wylania się w miejscu, gdzie widać było nieruchomą sylwetkę człowieka.

Niwiński zatrzymał się i stał tak dość długo.

Kaleta zaniepokoił się.

- Przecież to już chyba Nalepy... - szepnął Mariusz.

W tej chwili zauważyli, że Niwiński daje im znaki. Ruszyli i po chwili byli na miejscu. Wtedy zobaczyli, co się stało. Ten człowiek, którego spostrzegli, to był Paweł, syn Kalety. Stopami nie dotykał śniegu. Sznur oplątujący mu szyję biegł w górę do gałęzi.

Kaleta oparł się o drzewo. Zdążył tylko wyszeptać:

- Paweł...

Mariusz sięgnął po nóż, by przeciąć sznur, a wtedy ktoś zawołał:

- I tam! I tam!

Spojrzeli w kierunku, który pokazywał. Po drugiej stronie drogi, pod podobnym drzewem, wisiał drugi chłopiec. Mariusz zaśwycił latarką, w jej świetle widać było wyraźnie tego drugiego. Mariusz, nie gasząc latarki, skierował ją w dół. W śniegu na gościńcu widać było wyraźnie odcisnięte ślady podwójnych samochodowych opon.

- Byli tu dzisiaj...

- Zgaś. Może jeszcze są we wsi - rozkazał Niwiński.

Partyzanci powychodzili na środek szosy. Patrzyli w ciemność, nasłuchiwali, ale odpowiadała im cisza.

Kaleta siedział pod drzewem, pod którym ułożono Pawła, i bezmyślnie wpatrywał się w syna.

Nagle usłyszeli tętent zbliżającego się konia. Partyzanci skoczyli między drzewa.

Niwiński siłą podniósł Kaletę, a Darek dzwignął zeszywniałego Pawła.

Jeździec na koniu zwolnił. Przejeżdżał koło nich stępa. Darek i Niwiński wyskoczyli z karabinami.

- Stój! - krzyknął Darek.

Jeździec sięgnął za pazuchę, ale spostrzegłszy, kto go zatrzymuje, zawołał

pośpiesznie:

- Swój, swój!

- Hasło? - zapytał Niwiński.

- Ziemia.

- Odzew?

- Wolność.

Jeździec zeskoczył z konia.

- Wyście z Nalep? Ja do Kalety - powiedział. Wtedy podszedł do niego Mariusz.

- Kaleta jest tam. Ale zostawcie go w spokoju. O co chodzi?

- Ja z rozkazem... - nie zważając na zastępującego mu drogę Mariusza, wszedł między drzewa.

Teraz dopiero spostrzegł Kaletę, który wciąż siedział martwo wpatrzony w zwłoki syna. Mężczyzna odwrócił się szukając Mariusza.

- Co tu się stało? - spytał.

- Widzisz chyba, człowieku, co się stało. To jego syn. Byli tu dzisiaj...

Już po wsi.

- Ach, tak... A wy?

Kaleta nie podnosząc się z ziemi, odezwał się:

- Broniliśmy innych.

- Czy oddział w komplecie? To dobrze, to bardzo dobrze, boście od razu gotowi do drogi.

- Do jakiej drogi, kolego? - spytał jeden z partyzantów. - Do jakiej? Tam jest nasza

droga. Zobaczyc, co jeszcze zostalo po naszych rodzinach.

- Niech mowi - przerwal mu Kaleta.

- Jest rozkaz do wszystkich oddzialow. Natychmiast, pospiesznym marszem na punkt koncentracji pod Wojda. Wszyscy. I nie wdawac sie w zadne potyczki po drodze. Kto przyjal rozkaz?

- Podchorazy Nowy - odpowiedzial Niwiński.

Jezdziec podszedl do konia, wepchnal juz noge w strzemie, ale jeszcze odwrócił się i dodal:

- Ani minuty zwloki... Na Bursztynowo tedy przelece?

- Przeleczisz - uspokoil go partyzant.

Przybysz zawrócił konia i wjechał w las. Partyzant zaś podszedł do Mariusza.

- No i jak? Zobaczymy?

Kaleta ciężko podniósł się z ziemi, chciało mu się zapalić, wyjął nawet papierosa, ale bezmyślnie pokręciwszy nim w palcach, wsadził go z powrotem do kurtki.

- Oni tam może jeszcze są - powiedział.

- Cisza. Wieś pusta. Chyba i psy zabrali... - oponowal jeden z partyzantow.

- Słyszales, zadnych awantur po drodze - wtracil Kaleta.

- Panie Kaleta - powiedzial inny partyzant - ale to dwa kroki od domu.

Przeciez...

- Swojemu domowi juz nic nie poradzisz. Moze obcemu... Słyszales.

Rozejrzal sie po obecnych, potem uklakl przy synu i rekami obok niego zaczal odgarniac snieg. Przekopal sie az do stwardnialej ziemi.

- Tylko na te jedna zwloke pozwolcie. Przeciez go tak nie zostawie...

Ktos podszedl z krotka, saperska lopatka i wbil ja w zaskorupiala ziemię.

Kaleta odebrał partyzantowi łopatkę.

- Ja...

I zaczął kopać.

Niwiński podszedł na skraj lasu. W dali migotało jedno jedyne światełko.

- Tam się jednak gdzieś świeci - stwierdził.

- To w szkole, obywatelu dowódco - wyjaśnił jeden z partyzantów, który właśnie podszedł do Władka.

- W szkole?

- Sto procent, przecież jestem miejscowy.

Niwiński zamyślił się, zaczął spacerować wielkimi krokami. Wtedy podszedł Mariusz, zatrzymał się, wskazał w milczeniu na kopiącego Kaletę, a po chwili powiedział:

- To potrwa. Idź.

Niwiński spojrzał w oczy Mariusza.

- Była chora. Może akurat ona jedna... Ukryta była dobrze.

- Wiesz, że nie mogę - słabo oponował Niwiński.

- Ale chcesz. I ja to widzę.

Niwiński odwrócił się. Twarze prawie wszystkich partyzantów wpatrywały się w tę jedną stronę: w ukrytą w ciemnościach wieś. A Mariusz dodał:

- I rozumiem.

Niwiński zdecydował się i postąpił krok do przodu. Mariusz zawołał za nim zduszonym szeptem:

- Czekał, weź kogoś na ubezpieczenie.

- Nie - pośpiesznie uściśnął rękę kolegi i zniknął między drzewami.

Mariusz wrócił do towarzyszy.

- Gdzie Nowy poszedł? - spytał któryś.

- Odląć się.

Niwiński, skradając się opłotkami, mijał opustoszałe, milczące zagrody.

Szedł czujnie, pochylony, skryty za sztachetami płotów. Puste miejsca pomiędzy chałupami pokonywał szybkimi skokami. Raz przystanął przy jakiejś chacie, bo skrzypnęły w niej drzwi. Padł na ziemię, podczołgał się pod stodołę i stamtąd obserwował dom. Drzwi wolno uchylły się, ale nikt z nich nie wyszedł. Widać wiatr je odchylił. Znow ruszył przed siebie. Ulicę przeskoczył dwoma susami i już znalazł się przy zabudowaniach szkoły.

Podwórko przylegało do niewielkiego zagajnika. Niwiński zatrzymał się za narożnikiem budynku i nasłuchiwał. Wokół panowała absolutna cisza.

Wysunął się więc za narożnik, a w tym samym momencie z drzwi szkoły wyszedł żandarm. Przewieszał właśnie automat, kiedy spostrzegł Niwińskiego.

Dla obydwu to spotkanie było tak zaskakujące, że nawet nie zdążyli strzelić. Niwiński z rozmachem, uderzył kolbą w pierś żandarma. Tamten padając krzyknął tylko, kiedy otrzymał jeszcze jedno uderzenie kolbą.

Niwiński odłożył karabin i zaczął ciągnąć żandarma za nogi. Nagle usłyszał tupot wewnątrz szkoły. Do karabinu miał dosłownie dwa kroki, chciał więc doskoczyć do niego, lecz przez drzwi przeszła seria.

Niwiński zmienił decyzję. Błyskawicznie skoczył za wielką drewnianą skrzynię, która tu na podwórku spełniała rolę śmietnika.

Żandarm, kryjący się za drzwiami, walił z karabinu w ten śmietnik. Po chwili krzyknął:

- Wyłaź! I ręce do góry!

Otworzył drzwi i zaczął iść przez podwórko. Niwiński wyszedł zza skrzyni: był

zupełnie bezbrony.

Żandarm podszedł bliżej, poprawił automat i zaczął mierzyć. W tej samej chwili rozległ się pojedynczy strzał i żandarm, otrzymawszy kulą w plecy, zwalił się na ziemię. 22R Niwiński zaskoczony niespodziewanym ratunkiem stał chwilę bez ruchu. Potem szybko sięgnął po odrzucony karabin i skrył się na powrót za skrzynię.

Z zagajnika wyszedł Podsiadły. Stał nad zabitym żandarmem, leżącym twarzą w śniegu. Niwiński wychylił się zza skrzyni.

- To pan?

Podsiadły, nie zwracając na niego uwagi, schylił się, chwycił żandarma za kołnierz i przewrócił na wznak.

- Nie ten. Myślałem, że to Fichtel. Podobny... - sięgnął po zdobyczny automat.

- Gdyby nie pan... - wtrącił Niwiński.

- No, nic - jakby do siebie mówił Podsiadły.

Przewiesił automat przez ramię, zbierając się do odejścia.

- Szybko! Stoimy tam pod lasem. Czy nauczycielka została?

Podsiadły pokręcił przecząco głową.

- Nie ma nikogo? - dopytywał Niwiński.

- Jest. Ale ja z panem nie idę.

- Więc co pan tu robił?

- Moja sprawa.

I tak samo niespodziewanie, jak się zjawił, zniknął w zagajniku. Niwiński zawołał jeszcze za nim, ale Podsiadły nawet się nie odwrócił. Wtedy w drzwiach szkoły stanęła nauczycielka. Niwiński rzucił się w jej kierunku.

- Co z Martą?!

- Jest. Przeleżała w piwnicy...

Odepchnął nauczycielkę i wpadł do budynku szkolnego.

Po zwycięskiej bitwie pod Wojdą, w której brały udział wszystkie ugrupowania partyzanckie, oddział Niwińskiego kwaterował w opuszczonej leśniczówce; tam zastała ich noc sylwestrowa. Leśniczówkę otaczał zagajnik młodych jodeł, a jedna z nich zwracała szczególną uwagę. Była przystrojona, ale zamiast bombek i świecidełek wisiały na jej gałązkach: hełm niemiecki, pas z kłamrą z napisem Gott mit uns, jakiś krzyż i medal niemiecki, strzępy żandarmskiej bluzy podziurawionej kulami.

W zagajniku kręcili się chłopcy z oddziału. W kociołku grzał się bigos, którego doglądała Marta.

Dowódca, ten sam, który kiedyś u zegarmistrza przekazywał rozkaz o podjęciu walki, teraz w otoczeniu Niwińskiego, Mariusza i Kalety oglądał tę dziwną choinkę.

- Ładna choinka, trzeba wam przyznać - powiedział.

- Miesiąc starań o te świecidełka.

- No cóż? Chyba naprzód wypijemy pod Nowy Rok?

Chłopcy skoczyli po flaszkę, powyciągali manierki. Dowódca raz jeszcze podszedł do choinki, dotknął postrzępionego munduru żandarma. Nadbiegł któryś z chłopców i wetknął mu w dłoń napełnioną manierkę. Wzniósł ją w górę i taki wygłosił toast:

- Za ten nowy, czterdziesty trzeci rok, który nadchodzi. Oby przyniósł nam to, czego wszyscy tak gorąco pragniemy. Dziś przybyłem do was, aby wam oznajmić, że wasz trud, wasza krew i znoj nie poszły na marne. Od tygodnia okupant zaprzestał masowych wysiedlań. Jest to pierwszy w dziejach tej wojny fakt, kiedy wróg cofnął się pod naporem nie armii, nie dywizji, lecz tysięcy, tysięcy szarych obywateli, którzy wyszli mu naprzeciw, w obronie swoich chałup i swoich obór. Mamy pewne wiadomości, że nawet sam Frank miał się

zwierzyć, że przeholowali. Oficjalnie, rzecz jasna, nigdy się do tego nie przyznają, ale to chyba zrozumiałe, że powstrzymał ich wasz opór. To nie ja wam dziękuję, żołnierze. Kłaniają się wam chłopcy Zamojszczyzny i te drzewa wam się kłaniają zamojskie, że będą rosły na polskiej ziemi.

Wzniósł manierkę i długo z niej pił.

Powiał wiatr i zakołysał choinką, która rozdzwoniła się zdobycznym żelastwem.

W tym właśnie czasie cała Warszawa poruszona została wiadomością, która lotem błyskawicy przebiegła wszystkie dzielnice: gdzieś na Dworcu Wschodnim podobno zatrzymały się wagony pełne dzieci z Zamojszczyzny. Do RGO zgłaszało się tysiące warszawiaków pragnących wziąć je na wychowanie.

Zamarzały w wagonach.

Kuraś, który jako jeden z pierwszych pognął na dworzec, powrócił z niczym. Nie było Bożenki, nie było w ogóle żadnych dzieci na dworcu.

Tłumaczył Urszuli:

- Kobieto, wracam ze Wschodniego. Nie ma tam żadnych wagonów. Słyszysz?

Przecież do piekła bym się dostał, a co dopiero na głupi dworzec. Fakt, tłumy tam są takie, że szwabki po raz pierwszy zgłupiały i nie rozpedzają.

Po raz pierwszy chyba dostali cykorii...

Ale plotka o wagonach pełnych dzieci raz jeszcze podziałała na Kurasia mobilizująco.

Przecież nie wyssano jej z palca. Ktoś musiał widzieć te wagony, jeśli nie tu, to może gdzieś na trasie z Lublina. Kuraś, który już raz zjechał pół województwa, zdecydował się na ponowną podróż. Zawołał do Urszuli:

- Przynies forę! Wszystko; co jest w domu! Wszystko!

Po godzinie był już w drodze do Lublina.

Ciężarówka, i tym razem prowadzona przez Bugalskiego, z trudem przebijała się przez sypiącą tego dnia śnieżycę. W Garwolinie samochodem nagle zatrzęsło, coś potężnie zgrzytnęło, Bugalski z trudem wyprowadził wóz z poślizgu. Rozleciał się dyferencjał. Po godzinie byli już w zimnym warsztacie samochodowym. Ich ciężarówka ledwo mieściła się w tym pomieszczeniu. Majster stał w kanale i wolno rozkręcał śruby dyferencjału. Z kanału widać było tylko jego beret. Zgodził się, mimo późnej pory, na tę reperację. Argumentem nie do odparcia była suma, którą mu Kuraś zaproponował za robotę. Majster pracował bez czeladnika, rzadko miewał okazje do wymiany poglądów, korzystał teraz więc i monologował:

- Nerwowy pan. No, ale przy tych pieniądzach można sobie pozwolić: Żeby to tylko tryb atakujący nie chciał być, bo z tym to u nas gorzej.

- Wszystko pan znajdzie, kochany. Sto złotych więcej, sto mniej, nie robi różnicy.

Pomóż mu - zwrócił się do Bugalskiego.

- Nerwowy pan - powtórzył majster. - No, ale kto dzisiaj nie nerwowy.

Zobacz pan, co się u nas na dworcu dzieje... Jeden bahnschutz sprzedał dzieciaka z transportu za siedemdziesiąt złotych. No, to polecili i inni, każdemu żal takiego dziecka, zamarza to przecież. Nawet mój brat polecał.

A bahnschutz się tropnął i już stówę chce.

- Kiedy to było?! - krzyknął Kuraś.

- Jak to, kiedy? Dziś rano.

- I teraz mi to dopiero mówisz, barani łbie!

Wybiegł z warsztatu. Majster, który widział tylko migające nogi Kurasia, wychylił się z kanału i mruknął:

- Nerwowy. Strasznie nerwowy. - Powrócił do odkręcania śrub. - I to stówę, proszę

pana, za dziewczynkę. Za chłopaka sto dwadzieścia już ceni.

Na bocznicę stały dwa towarowe wagony. Wzdłuż nich chodziło dwóch uzbrojonych bahnschutzów. Tłum ludzi, przytupując z zimna, przyglądał się wagonom z daleka, spoza rampy. Kuraś, który już zdążył odbyć krótką rozmowę z trzecim strażnikiem, zbliżył się do wagonów. Uzbrojeni bahnschutzowie, początkowo groźnie spoglądający na Kurasia, po chwili z hałasem otworzyli rozsuwane drzwi.

Kuraś wskoczył do wagonu. Stłoczone, na wpół zamarznięte, wylęknione dzieci patrzyły na niego.

- Bożenka Kuraś! Bożenka Kuraś! - wołał.

Rozglądał się po zatrwożonych twarzach dzieci. Nie było starszych niż dziesięcioletnie. Zupelne maluchy płakały, starsze już nawet płakać nie mogły.

- Zna któreś z was Bożenkę Kuraś? Bożenka...

Głos uwiązł mu w gardle. Nie miał siły patrzeć na te dzieci, które zaczęły wyciągać do niego ręce. Zeskoczył na peron i stał otępiały. Po chwili podszedł do niego bahnschutz.

- Koniec. Nie ma i wracaj pan.

Zabrał się do zasuwania drzwi. Czyjeś małe piąstki wysuwały się jeszcze na zewnątrz.

- Jeść... - słychać było krzyk dobiegający z wagonu.

Kuraś stał jak skamieniały. Nie odchodził. Bahnschutz raz jeszcze podszedł, popchnął go. To otrzeźwiło Kurasia. Skinął głową i odprowadził strażnika na bok.

- Widzi pan, że ze mną jest rozmowa, bo ja mówię do ręki.

- O co chodzi?

- Cały wagon. Załatw pan to z kolegami.

- Człowieku!

- Cały wagon, jak leci! Masz ty siły, człowiecze, patrzeć na to spokojnie? Nie

zostawiłeś w domu dziecka?

Sięgnął w zanadrze kurtki. Błysnął grubą paczką obwiązanych banderolką banknotów.

- Starczy do podziału?

Bahnschutz przełknął ślinę, przytupał na mrozie, potarł dłońmi zmarznięte uszy i wyciągnął rękę.

- To się da zrobić - odpowiedział wreszcie.

Rozeszli się. Kuraś w stronę tłumu ludzi, bahnschutz do wartowników.

Kuraś stanął przed tłumem.

- Ludzie, bierzcie wszystkie. Wszystkie, póki jeszcze żyją.

Nikt się nie ruszył, bo nikt jeszcze nie rozumiał Kurasia.

- Na co czekacie? Żeby całkiem zamarzły?! - krzyczał.

Ludzie patrzyli, jak jeden z wartowników rozsunał drzwi wagonu, odwrócił się i wszyscy trzej, nie oglądając się, ruszyli ku stacji. Jakiś mężczyzna w tłumie zawołał:

- Może faktycznie?! - i zaczął zbliżać się do wagonu.

Za nim pojedynczo, ostrożnie zaczęli iść inni. Już dawno zapomniano o Kurasiu, potrącano go teraz, kiedy przepychał się przez ludzi odchodząc.

Jakaś kobieta chwyciła Kurasia za rękaw.

- Panie, coś pan za jeden?

Wyrwał się jej i szedł dalej. Coraz więcej ludzi biegło już do wagonów.

Wyciągano dzieci. Kuraś odwrócił się ku kobiecie.

- Ojciec - powiedział.

I ruszył ku miastu.

W OBRONIE WŁASNEJ

Nadchodziła wiosna 1943 roku. Niwiński od dawna już był w Warszawie. Wraz z

matką wynajmował teraz sublokatorski pokoik na Żurawiej, a pani Niwińska, śladem panującej wówczas mody, podjęła pracę kelnerki w kawiarence na Marszałkowskiej. Wciąż jeszcze chodziła w żałobie, choć od śmierci profesora upłynęło już osiem miesięcy. Również i od syna wymagała noszenia krey na rękawie marynarki. Władek pełnił obecnie funkcję oficera szkoleniowego. Codzienne wykłady, instrukcje obchodzenia się z bronią, czasem wypadki w zagajniki Leśnej Podkowy i ćwiczenia z chłopcami, szczerze mówiąc, obrzydły mu z czasem. Coraz częściej żalił się Mundkowi:

- Wronia, Wilcza, Hoża... Co dzień dajesz mi te adresy i co dzień ta sama freblówka.

Ja tam pod Zamościem byłem wolnym człowiekiem. Rozumiesz ty to?

Była wojna nie na brzożowe patyki.

Szwaby bały się mnie, rozumiesz? A dzisiaj nadeszło trzech głupich żandarmów, a pode mną łydki się trzęsły.

- Ilu takich mamy, jak ty? - odpowiadał mu Mundek. - Oficerów z pełnym

wyszkoleniem liniowym? Ilu? Wiesz dobrze, jak mało. Ty jesteś na wagę złota. Strzelać, napadać, kopnąć żandarma w dupę każdy głupi potrafi. Ale dowódców drużyn kto nam wyszkoli?

Niwiński godził się w końcu z argumentami przyjaciela, ale szerzące się akcje Armii Krajowej, potyczki Gwardii Ludowej, wyroki wykonywane na wysokich dostojnikach niemieckich, odbicia więźniów raz po raz wzbudzały w nim uczucie zazdrości.

Nawał zajęć nie pozwalał mu nawet na częste widywanie się z Martą, a przecież od czasu wspólnego przebywania w oddziale pod Zamościem łączyło go z nią coś więcej niż żołnierska przyjaźń. Coś znacznie więcej...

Właśnie drugiego kwietnia - Niwiński zapamiętał tę datę, bo zbiegła się ona z innym wydarzeniem, które wstrząsnęło okupowanym krajem: Niemcy oficjalnie przyznali się do

kłęski pod Stalingradem i najbliższe trzy dni ogłosili nawet dniami żałoby narodowej - otrzymał od Marty telefoniczną wiadomość, by możliwie najrychlej odwiedził ją w szpitalu.

Marta była pielęgniarką w szpitalu na Płockiej. Kiedy tam przybył, wzywano ją na salę operacyjną, rozmawiali więc z konieczności w pośpiechu.

Siostra przełożona bez przerwy poganiała, mimo to Marta zdążyła oświadczyć:

- Byłam wczoraj u lekarza, Władku.

Takie stwierdzenie wygłoszone na szpitalnym korytarzu, pośród co chwila przebiegających lekarzy, nie wydało się Niwińskiemu dziwne. Dodała jednak:

- Nie, nie tutaj. Tutaj to byłoby zbyt krępujące.

- Co ci dolega?

- Nie domyślasz się?

- Ty jesteś chora, Marto?

- Okazuje się... to już... trzeci miesiąc.

- Co... trzeci miesiąc?

Bezwiednie powtórzył pytanie i nagle zrozumiał. Równie bezwiednie wyrwało mu się:

- To niemożliwe!

- Dlaczego niemożliwe? - dziewczyna uśmiechnęła się z przymusem.

- No więc, Martulka... Co właściwie ten lekarz powiedział? On się nie myli? Coś... coś trzeba z tym zrobić...

- Nie rozumiałaś mnie. To już trzeci miesiąc.

Siostra przełożona znów wzywała Martę. Niwiński stał nieruchomo ze spuszczoną głową, zamyślony. Marta, odchodząc, ujęła go dłonią pod brodę.

- Jeżeli nie możesz się cieszyć - powiedziała - przynajmniej się nie martw.

Pobiegła wzdłuż korytarza. Niwiński ocknął się i ruszył za nią, z trudem omijając

spacerujących chorych, ale już jej nie dogonił, zniknęła za drzwiami operacyjnego bloku.

Jak tyle już razy, kiedy miał kłopoty, tak i teraz Niwiński udał się do Kurasia. Szofer Bugalski, który przyjął go w pralni, nie miał zbyt pogodnej miny.

- Nie ma pan nawet po co iść do niego - oświadczył Niwińskiemu. - Pewnie śpi. Ze starym całkiem koniec. Nie pozna go pan. To już nie ten Kuraś, co dawniej. Firma leży, całkiem na niej lachę położył. I tylko w kółko to samo. Powiedz pan, przecież to faktycznie nie jego dziecko było. A tak go ścięło.

- Niczego się nie dowiedział?

- Z kim on już nie pił? Na łapówki całą forszę przetracił. Teraz po kasynach chodzi i gra, daje kapusiom wygrywać, byle coś wiedzieć. Szwaby biorą, co nie mają brać, ale dalej nic nie wie. Mówię panu, że to się źle skończy, bo w coraz gorsze błoto się pakuje.

Kierowca mówił prawdę: Niwiński zastał Kurasia w mieszkaniu, w pijackim półśnie.

Leżał nie ogolony na kanapie. Na widok Niwińskiego zerwał się jednak natychmiast.

- Dobrze, że wpadłeś, Władek. Znasz kogoś w Łodzi?

- W Łodzi?! - zdziwił się Niwiński.

- Zaufanego człowieka, z chodami. Dobrze mu zapłacę. Wszystkiego już się dowiedziałem, Władek. Forsa tu nie gra roli - Kuraś mówił jak w gorączce.

- Łódź to Rzesza, Leon, nawet gdybym kogoś znał...

- Wszystko już wiem. Tam w Łodzi, na Kopernika, w dawnym sierocińcu, jest teraz urząd, który się nazywa... - wygrzebał ze spodni zmiętą kartkę i odczytał: - Erb - und Rassenpflege. Kapujesz?

Niwiński nic nie odpowiedział. Kuraś wstał, sprawdził, czy we flaszcze jest jeszcze trochę piwa, i upił wprost z butelki.

- Tylko ten haberbusch mnie trzyma. Umarłbym z pragnienia... Tam zgłaszają się

Niemcy z Rzeszy, adoptują te dzieci, stare metryki się niszczy i ślad po tych dzieciach się urywa. Jeszcze tam, tylko tam można by dojść, kto mi ją zabrał.

- Skąd wiesz, że w ogóle tam trafiła?

- Bo ona żyje. Nie wmawiaj mi tu niczego!

- Ja?!

- Ty, ty. Wielki wojak. Po co tam byłeś? Dwa kroki od niej. Wiedziałeś, że ona tam jest. Nie mogłeś o niej pomyśleć? Wykraść, porwać, wykupić?!

Zaraz jednak opanował się, przeszedł parę razy po pokoju, wyciągnął wódkę, odbił dłonią korek i postawił dwa kieliszki.

- Napijesz się?

- Nie. I ty też nie pij - poradził Niwiński.

Kuraś nalał do kieliszka, wypił.

- Przepraszam cię. Nie chciałem tego wszystkiego powiedzieć, Władek.

- Nie gniewam się, Leon, bo wiem, że cierpisz. Ale nie doszukuj się winnych.

- Wyrwało mi się, przepraszam. Co mogłeś zrobić? Skąd mogłeś wiedzieć?

Sam, dobrowolnie, ją tam wepchnąłem.

- I siebie też nie wiń. Nikt tu nie zawinił prócz wojny. Patrz, ilu wspólnie znaleźliśmy ludzi, których ona zabrała. Iwaniuk... Nawiasem mówiąc, nic nie słyszałeś o Heimannie?

- Nic, ale ci się dowiem. Może dziś jeszcze zapytam.

- Mrowiński, Zygadlewicz, ojciec Mundka, fotograf Białas... Czy mam ci dalej wyliczać? Powiedz sobie: trudno, nie ma rodziny, którą los by oszczędził.

- Nie ma ich, faktycznie nie ma - przyznał Kuraś. - Ale przynajmniej wiedzieli, dlaczego. Każdy z nich coś chciał. Jeden Polski czerwonej, drugi białej, fioletowej, lewej, prawej. Ale czego chciało to dziecko? Czego?

Grać na skrzypcach? Bawić się piłką? O, nie daruję tego tym sukinsynom! - ponownie

napęłnił kieliszek i wypił. - Władek? Ty mnie znasz. Będę walczył.

- Wiedziałem, że kiedyś to powiesz. Ale nie pij.

- Nie zrozumiałeś mnie. O nią. O Bożenkę będę walczył. I nie ma takiej ceny, której bym nie zapłacił.

- Zostało ci coś w ogóle?

- Ty masz na myśli pieniądze? Są inne ceny...

Znów przeszedł się po pokoju i patrząc w okno odezwał się po chwili milczenia:

- Jak myślisz, kto może swobodnie jeździć po Niemczech? Od miasta do miasta? I choćby do tej Łodzi na początek? Kto? No, odpowiedz mi! Polak może?

- Po co zadajesz głupie pytania?

- A Niemiec?

Niwiński wzruszył ramionami. Kuraś podszedł do stołu i znów sobie nalał.

- Niemiec może, Władziu - ciągnął. - Tobie mówię to pierwszemu. I wiem, że kiedyś po wojnie, nie wiem, czy w sądzie, czy gdzie się to będzie odbywać, zaświadczysz uczciwie, dlaczego to zrobiłem.

- Co tobie przychodzi do głowy?

- Będę jeździł. Hamburg nie Hamburg, wieś nie wieś. I ja ją znajdę, Władek. Ty wiesz, że ja jestem fartowny.

- Przestań o tym myśleć w ogóle.

- Moja babka nazywała się Schmidt. A czy ja wiem, kim ona była naprawdę?

Schmidt to przecież nie może być Hiszpan...

- Zabraniam ci w ogóle tak myśleć! - Niwiński podniósł głos.

- To w uczciwej sprawie, Władek. W uczciwej.

- Dosyć! Są granice, których przekraczać nie wolno. Niedawno rozmawiałem z człowiekiem, któremu córkę zabrano do Oświęcimia. Mówię o Kozakiewiczu i o Kasi. Co może na to poradzić? On wie. Może walczyć o innych. I robi to.

Czy myślisz, że jego ojcowskie uczucia są inne od twoich? Zwłaszcza że to córka prawdziwa...

- Wynoś się stąd! - wrzasnął Kuraś. - A moja jaka? Nieprawdziwa? Każde dziecko jest tylko dzieckiem! To moje dziecko...

Niwiński wyszedł z pokoju.

Tego dnia tłumy gromadziły się na ulicach pod głośnikami. Każdy chciał na własne uszy usłyszeć głos lektora donoszącego o stalingradzkiej klęsce, o wzięciu do niewoli feldmarszałka Paulusa.

- Fuhrer zarządził - oznajmiał głos w szczekaczce - by dzień dzisiejszy i trzy następne kolejne dni były dniami żałoby narodowej. Nieczynne będą kina, teatry, kabarety i lokale rozrywkowe...

Zarządzenia przestrzegano tak skrupulatnie, że nawet fotoplastykon był tego dnia zamknięty, i inkasent elektrowni Jan Nowaczyk, za którego wciąż podawał się Heimann, długo musiał dobijać się, aby go wpuszczono.

Właściciel fotoplastykonu, pan Konopko, był w świetnym humorze, przygotowywał bowiem nowy program złożony z przeźroczy o Libii i Tunisie, gdzie Niemcy również ponosili klęskę za klęską. Stracił jednak ten dobry humor, gdy inkasent przedstawił mu rachunek za światło.

- To jest niemożliwe, kochany, niemożliwe! - protestował Konopko. - Ja już przy ostatnim rachunku podejrzewałem, że coś tu nie gra! Straszna suma!

- Mała nie jest - przyznał Heimann.

- Ja reklamuję. Koniec. A wie pan, dlaczego? Cały poprzedni miesiąc firma była nieczynna, bo leżałem w szpitalu. Jedna żaróweczka tu się nie świeciła. Ten licznik jest do luzu.

Heimann podszedł do licznika, wspiął się na palce. Białe - czerwone kółeczko w liczniku obracało się z niebywałą szybkością.

- Niech pan wyłączy aparat. I w ogóle wszystkie światła pogasi - polecił inkasent.

Konopko wszedł do kantorka, wyłączył urządzenie, zgasił światło. W salce na chwilę zapanowała ciemność. Heimann skierował latarkę na licznik.

Kółeczko obracało się z taką samą szybkością.

- Niech pan tu podejdzie. Widzi pan?

- Co się dzieje? Kochany, to nie jest licznik, to jest Kusociński! - krzyknął Konopko.

- Licznik jest dobry. Podłączył się ktoś do pana.

- Jak to, podłączył?

- Tego prądu nie pobiera żarówka. Ani grzałka, ani żaden piecyk. Widzi pan, jaka prędkość? Jakiś duży agregat. Albo maszyna.

Heimann wzruszył ramionami, przyłożył dwa palce do ceratowego daszka służbowej czapki i wyszedł. Z bramy skierował się na podwórko i zszedł schodkami w dół do warsztatu, w którym dorabiano klucze.

Z niskiego okienka naprzeciwko zauważył go szewc, ten sam, który miał kiedyś warsztat na Mostowej, a teraz przeniósł się do śródmieścia, do kamienicy o przelotowej bramie.

Szewc wstał ze swego zydła, podszedł do półek, na których stały rzędy starych butów, i pchnął je. Półki okazały się przytwierdzone do ruchomej ścianki. W dalszej części sutereny, a właściwie już w piwnicy pozbawionej okna, stał linotyp, przy którym pracował drukarz

Widymski. Żółte światło żarówki oświetlało składany właśnie rękopis. W ciemnym kącie widoczna była płaska maszyna drukarska. Rozgrzany linotyp drżał i huczał.

- Przerwij na parę minut. Elektrownia łązi - krzyknął szewc.

Drukarz wyłączył linotyp, szewc zaś cofnął się, zatarasował ukryte wejście, siadł na swoim zydlu i wetknąwszy sobie między zęby kołeczki, spokojnie walił młotkiem w obcas buta.

Heimann zapomniał o incydencie z galopującym licznikiem; cóż go to w końcu mogło obchodzić. Nie wiedział, że tę przechodnią bramę, w której mieścił się fotoplastykon i mnóstwo małych warsztacików, od dawna miał na uwadze jego kolega, nie znany mu osobiście, a więc i nie zauważony przez niego w tłumie przechodniów, którzy tędy skracali sobie drogę. Ten drugi szpicel, od dłuższego już czasu obserwujący starego drukarza Widymskiego, wciąż gubił go w tej właśnie przechodniej bramie. Żalił się kilkakrotnie obersturmbannfuhrerowi na swe niepowodzenie, ale Kliefhorn nie miał w tych dniach głowy do małych donosów. Zbliżał się Wielki Tydzień i wszystkie siły policji, SS i żandarmerii postawione zostały w stan gotowości. Generał Stropp szykował swoje oddziały do wielkiej akcji, nie mającej precedensu w tej wojnie.

W Wielki Piątek, kiedy tysiące warszawiaków modliło się w kościołach u stóp ukrzyżowanego Chrystusa, w sercu cywilizowanej Europy rozpoczęła się rzeź potomków tych, co przed dwudziestoma wiekami Chrystusa tego przybili do krzyża.

Płonęło getto.

Dawny oddział Niwińskiego - jak dziesiątki innych - podejmował akcję przyjscia z pomocą ludziom walczącym w getcie. Dzisiejsza odprawa odbywała się w domu Szkudlarków. Po szczegółowym omówieniu przebiegu akcji jej uczestnicy rozchodzili się do domów. Tylko Niwiński odciągnął Mundka na stronę.

- Wspomniałeś coś o punkcie opatrunkowym.
- Na wszelki wypadek. Potrzebna jest sanitariuszka.
- Czy to... Marta? - upewnił się Niwiński.

Kiedy Mundek potwierdził, prawie kategorycznie zażądał:

- Zmień ją!
- Zwariowałeś? Masz jakieś zastrzeżenia?
- Zmień ją, Mundek.
- Nie zawracaj mi głowy. To doświadczona dziewczyna.
- Ta dziewczyna jest w ciąży.
- Skąd wiesz?
- Wiem.

Mundek zdenerwowany chodził po pokoju, wreszcie wybuchnął. - Cholera jasna, czy te baby nie nabiorą rozumu?! Co dzień im stryczek wisi nad szyją i jeszcze własne dzieci chcą mordować? Albo rodić gotowe sieroty? Dobrze, odwołaj ją.

- Wolałbym, żebyś to ty jej powiedział.

Mundek zatrzymał się w swoim spacerze po pokoju. Dopiero teraz dotarła do niego właściwa intencja dziwnej prośby podchorążego.

- Czy to znaczy, że i ciebie trzeba odwołać? Żeby sierotce i mamusię, i tatusia zachować? Coś ty najmądrzejszego zrobił, człowieku?
- Obiło ci się o uszy takie słowo jak miłość?

Mundek wytrzeszczył oczy i zawołał:

- Coś podobnego!

Akcja pod murami getta, obliczona według założeń taktycznych na trzy minuty, w istocie tyle trwała. Nie dla wszystkich jednak jej uczestników.

Dla Niwińskiego, na przykład, jej przebieg przedłużyć się miał aż o trzy miesiące. Oto jak się wszystko odbyło.

Darek biegł wzdłuż muru i zakładał ładunek wybuchowy, potem zawrócił ciągnąc za sobą przewód. Za rogiem ulicy, w półciężarówce, obok kierowcy siedział Niwiński. Patrzył na zegarek, długo nie spuszczał oka ze wskazówki. Kiedy ta dobiegła dwunastki, Niwiński wyjął spod siedzenia automat i położył dłoń na klamce. W tej samej chwili potężny wybuch wstrząsnął powietrzem.

Opadający kurz powoli odsłaniał wyrwę w murze, do której podbiegli uzbrojeni Sykuła i Mariusz. Sykuła wdrapał się na wyszczerbiony wyłom, wyrzwał i zaczął dawać jakieś znaki. Po chwili ukazali się pierwsi wynędzniali, zarośnięci ludzie. Zaczęli niezdarnie przełazić przez wyrwę.

Mariusz popędzał ich, bo przy murze zrobiło się już tłoczno. Wychodzili gęsiego. Na rękawie jednego z przechodzących Mariusz zauważył opaskę z gwiazdą, zatrzymał go i spytał:

- Po co ci to, człowieku?

Tamten patrzył niczego nie rozumiejącym, tępym wzrokiem.

- Co znaczy, po co?

Popchnęli go następni wychodzący. Dopiero po dłuższej chwili stary Żyd, jakby wreszcie zrozumiał pytanie, ściągnął opaskę i rzucił na ziemię.

Podeptały ją buty nadchodzących zza muru ludzi.

Nagle usłyszeli klakson - to kierowca półciężarówki ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Niwiński, który osłaniał odwrót, obejrzał się: środkiem jezdni wolno jechał motocykl z przyczepą. Oficer w koszu, najprawdopodobniej zaintrygowany niedawnym wybuchem, stał w przyczepie i uważnie rozglądał się dokoła. Gdy zbliżyli się do

narożnika, Niwiński całą serię władował w załogę motocykla. Oficer i kierowca natychmiast zwalili się na ziemię, siedzący na tylnym siodełku drugi żandarm jeszcze czas jakiś jechał pozbawionym kierowcy motorem, wreszcie zeskoczył i schronił się za przewróconą przyczepą. Stamtąd rzucił granat, który wybuchł tuż przed Niwińskim. Kiedy rozwiął się pył, Mariusz ujrzał Władka leżącego w kałuży krwi. Pierwsi uciekinierzy już byli pod plandeką ciężarówki, nadbiegali następni, których popędzały nawoływania Sykuły. Mariusz i sanitariuszka dopadli do Niwińskiego. Dziewczyna pochyliła się i - nie wstając z kolan - podniosła wzrok na Mariusza.

- Chyba koniec...

Mariusz ukląkł i zaczął machać ręką do kolegów, by przyszli pomóc mu dźwignąć nieprzytomnego Niwińskiego.

Akcja była skończona, Darek wskoczył więc do szoferki. Obok kierowcy zwiślało bezwładne ciało Niwińskiego.

- Pod pierwszy adres? - spytał kierowca.

- Nie. Szpital.

- A tamci? Kierowca niepewnie wskazał ręką za siebie.

- Ruszaj, do cholery! - krzyknął Darek.

W szpitalu na Płockiej, w tym samym, w którym pracowała Marta, od kilku dni przebywał Niwiński. Operacja się udała i chorego ulokowano w separacie.

Niwiński leżał teraz w swojej sali i spoglądał na krzątającą się przy nim Martę.

Korytarzem szpitalnym szła Ania Heimannówna. Ubrana była w uniform służby pomocniczej, bluzę z błyszczącymi guzikami, na głowie miała furażerkę, a biały szpitalny kitel na ramionach. Szła wolno, sprawdzając numerki na drzwiach poszczególnych sal.

Wreszcie uchyliła jedne i prawie natychmiast zorientowała się, że pomyliła salę. Już zaczęła

się wycofywać, gdy wzrok jej prześlizgnął się po twarzy leżącego pod oknem pacjenta. Był nim Niwiński. Niełatwo go było rozpoznać. Przy nosie miał dwa olbrzymie plastry przytrzymujące końcówki przewodu aparatu tlenowego, obok aparatu - butla z kroplówką. Igła doprowadzająca glukozę tkwiła w obnażonym ramieniu. Marta na odgłos uchylanych drzwi odwróciła głowę. W progu stała nie znana jej Niemka, jakby czymś speszona, zaskoczona. Wreszcie bąknęła „przepraszam” i drzwi zamknęły się za nią. Niwiński poruszył się niespokojnie.

- Marta...

- Leż spokojnie.

- Ta Niemka... - mówił z trudem.

- Pomyliła po prostu salę. Nie martw się.

- Ja ją... Marta! Znam ją... Chyba to ona...

- Uspokój się. Tu obok leży jej narzeczony. Odwiedzała go wczoraj i wszystko już o niej wiemy.

- Czy... czy nazywa się Heimann?

- Nie wiem. Ale dopiero przed dwoma dniami przyjechała tu z Niemiec, nie możesz więc jej znać.

- Może...

- Przyjechała tylko dla tego Niemca. - Gestem głowy wskazała na ścianę. - Kiepsko z nim było.

- Niemiec? Tutaj?! - zdziwił się Niwiński.

- Miał krwiał w worku osierdziowym. W niemieckim szpitalu nie dawali rady. To kwestia otwarcia opłucnej. Zmuszono naszego profesora. Wiesz, co to za sława.

Wstała, by zmienić butlę z kroplówką, potem łyknęła jakąś tabletkę, przeciągnęła

ramiona ze zmęczenia. Niwiński spostrzegł to. Kiedy znowu przysiadła na niskim taboreciku, powiedział:

- Nie śpisz już drugą noc.
- Nic mi nie będzie.
- A jemu? Nie wolno ci teraz...
- Teraz ty jesteś najważniejszy.
- Czy rozumiesz już, dlaczego ja wtedy... Nie gniewasz się, Martula?

Mówiłem ci już, że cię kocham?

Uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego obnażonym ramieniu.

- Mama nic nie wie? - spytał.
- Nie. Mundek był u niej. Powiedział, że musiałeś nagle wyjechać w teren.

W tym momencie skrzypnęły drzwi i w progu znów stanęła Heimannówna. Marta zerwała się z taborecika.

- Czy pani sobie czegoś życzy?

Ania w milczeniu wpatrywała się w twarz leżącego. Niwiński przymknął oczy, wyglądało na to, że śpi.

- Nic, nic... Znów pomyliłam drzwi - odpowiedziała Niemka i wyszła.
- To ona! Na pewno ona! Marta, za kwadrans tu może być gestapo...
- Dlaczego?
- Natychmiast do domu. Ani chwili nie mogę być tu dłużej.

Marta wyjrzała na korytarz: u jego końca wolno zniknęła sylwetka Anny Heimann.

Chwilę patrzyła za oddalającą się Niemką, a gdy wróciła do pokoju, spostrzegła, że Władek usiłuje wyrwać igłę z kroplówką. Rzuciła się w stronę łóżka.

Zdenerwowany ordynator niezbyt uważnie słuchał młodego lekarza, co chwila

nerwowo wyglądając przez okno. Lekarz zaś argumentował:

- To wykluczone! Przez pięć minut nie może być pozbawiony tlenu ani kroplówki. On po prostu nie może opuścić szpitala.

- Kolego! - odezwał się ordynator, nie oddalając się od okna - W każdej chwili mogą tu wkroczyć Niemcy. Ten człowiek jest zapisany jako wypadek zapalenia otrzewnej. Byle niemiecki dureń udowodni nam kłamstwo. Zgodziłem się na wasze prośby, by go przyjąć, ale daruje pan...

- Więc ma po prostu umrzeć? Byle w domu, tak?

- A ja, jako ordynator? Pan? Cały personel? Gdzie my wtedy wszyscy umrzemy, kiedy nam udowodnią współudział? W Oświęcimiu?

- Ten człowiek... - usiłował coś wtrącić lekarz.

- Ten człowiek jest jeden, nas co najmniej kilku, którzy uczestniczyli przy jego operacji.

- On nie może opuścić szpitala - powiedział lekarz z naciskiem.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Do pokoju zajrzała Marta.

- Nie teraz, siostró, nie teraz - ordynator niecierpliwie machnął ręką.

Marta mimo zakazu weszła do gabinetu i zwróciła się do lekarza:

- Już go tam nie ma, panie doktorze.

- Jak to?

Marta podsunęła lekarzowi jakieś papiery.

- Proszę tylko podpisać akt zgonu.

Ordynator zbliżył się i mocno potrząsnął Martą.

- Jak to? Czyżby... Gdzie on właściwie jest? - pytał patrząc to na Martę, to na lekarza.

Lekarz wzruszył ramionami.

- A gdzie może być, jeśli nie żyje.

Wyjął wieczne pióro, odkręcił i podsunął je ordynatorowi. Ten chwilę się wahał.

Lekarz dorzucił:

- To miejsce może nie miłe, ale dobre.

- Wszędzie mogą go znaleźć. Tam również - westchnął ordynator.

- Żeby nie zapomniała - nieoczekiwanie odezwała się Marta. - Winda towarowa zepsuta.

Ordynator machnął ręką. Wreszcie wziął podsunięte mu wieczne pióro i podpisał akt zgonu. Marta uzupełniła swoją ostatnią uwagę:

- I wcale nie trzeba jej naprawiać.

Ordynator spojrzał na nią nic nie rozumiejąc. Uniósł ręce w górę gestem najwyższej rezygnacji i znów podszedł do okna.

- A róbcie sobie, co chcecie - rzucił przez ramię i znów patrzył na podwórze szpitalne, w stronę wejściowej bramy.

Po kilku dosłownie minutach Niwiński ułożony na szpitalnym wózku znalazł się w obszernej towarowej windzie. Obok niego umieszczono stojak z butlą na kroplówkę i aparat tlenowy. Przy chorym krzątała się Marta.

Lekarz zaciągnął harmonijkę kratownicy, Marta nacisnęła guzik. Gdy winda zaczęła opuszczać się w dół, lekarz zamknął ciężkie drzwi i zawiesił na nich tabliczkę: Winda w konserwacji.

Dźwig mijał piętra, wciąż sunął w dół. Wreszcie zjechali do betonowego podziemia i winda zatrzymała się.

Marta rozsunęła kratę, otworzyła drzwi. Przed nią rozwarła się ciemna czeluść podziemnej kostnicy. Z dala, spod niskiego sklepienia, migotało mdłe światło żarówki

osłoniętej drucianą siatką.

- Gdzie jesteśmy? - zaniepokoił się Niwiński.

- Nie bój się.

Niwiński spróbował unieść głowę i zajrzeć w głąb ciemnego podziemia, ale Marta delikatnie położyła go na wózku. Przysunęła sobie taborecik, siadła.

Rozpoczęło się pełne napięcia czekanie.

Czekali wszyscy. Ordynator nie odchodził od okna swego gabinetu, wciąż patrząc na bramę wyjściową. Ale brama była pusta.

- Profesora mi tylko żal. Jeżeli... - przerwał wreszcie milczenie ordynator.

- Nie było go wtedy w szpitalu. I teraz też jest w domu - uspokajał lekarz.

- Może uprzedzić staruszka? - Ordynator odszedł od okna i sięgnął po słuchawkę.

- Bez paniki. Dopiero jak nadejdą. Zawsze zdążymy zadzwonić.

Nic nie wiedząc o kłopotach swego personelu, stary profesor przyjmował w swym prywatnym mieszkaniu Anię Heimann. Siedział za dużym, secesyjnym biurkiem, na którym pełno było fajek, bibelotów, jakichś czasopism medycznych.

- Tak, teraz mogę dać pani tę gwarancję - powiedział - Narzeczonemu już nic nie grozi.

- Dziękuję.

- Może pani spokojnie wracać. A dokąd pani pojedzie? Można wiedzieć?

- Do Norymbergi.

- Studiowałam tam dwa lata. Dobre były czasy... Proszę się tam pokłonić wieży świętego Sebalda.

- Kościół zburzony - odpowiedziała Ania.

- Ooo! Niedobrze, bardzo niedobrze...

Ania uniosła się z krzesła i otworzyła torebkę.

- Panie profesorze... jak mogłabym się odwdzińczyć?

Profesor uśmiechnął się i zaprzeczył ruchem głowy.

- Taki mam zawód, panienko. Niech pani to schowa. - Gestem dłoni nakazał, by Ania cofnęła kopertę z pieniędzmi.

- Jakoś muszę się przecież zrewanżować.

- Sama pani mówi, że uratowałem mu życie. Ile pani ma lat?

- Dwadzieścia.

- Więc proszę przyjąć uwagę, że życie nie ma wymiernej ceny. Zrewanżować się? Nie potrafi pani.

Ania zamknęła torebkę, zamyśliła się.

- A może właśnie potrafię - powiedziała jakby do siebie.

Profesor wstał zza biurka, uśmiechnął się wyrozumiale.

- Czym? - spytał.

- Może tym samym.

Profesor spojrzał pytająco. Nic nie rozumiał. Ania wyciągnęła rękę na pożegnanie i wyszła. Opuszczała Warszawę nazajutrz.

Do pociągu odprowadzał ją Johann wraz ze swą dziewczyną; Karolina od dawna współpracowała z nim i z Kliefhornem.

Przed wagonem z tabliczką Warschau - Breslau - Dresden - Nurnberg stał Heimann i Karolina. Ania wychylała się z okna wagonu. Na peronie panował ruch, roili się bagażowi, mnóstwo było wojskowych.

- Uważaj na niego, Karolino - prosiła Ania.

- Postaram się.

- Johann? - zagadnęła Heimannówna.

- Tak?

- Wciąż jeszcze myślisz o nim?

- Bez chwili przerwy. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie... Johann, wyjeżdżam taka szczęśliwa, że Klausowi nic już nie grozi.

Wagonem szarpnęło. Ania wychyliła się i wyciągnęła do pożegnania rękę.

Heimann biegł jeszcze kilka kroków.

- Pisz...! - wołał.

- Może on już nie żyje!... Może zginął! - starała się przekrzyczeć stukot kół.

Oddalała się coraz bardziej. Heimann stał na peronie i długo machał ręką odjeżdżającej siostrze.

Niwiński opuścił szpital dopiero po trzech miesiącach. Było już lato, lato szczególnie obfite w wydarzenia, które na przemian przeplatały nadzieje z rozpaczą. Na wszystkich prawie frontach Niemcy ponosili klęskę za klęską, cofali się na wschodzie, w Afryce. Ludzie odchodzili spod ulicznych głośników podnieceni i pełni nadziei. Lecz zdarzały się i takie dni, kiedy spod tych samych głośników wracali pełni zwątpienia i rozpacz.

Tak właśnie się stało, gdy uliczne szczekaczki podały wiadomość o tragicznej katastrofie pod Gibraltarem, w której zginął Władysław Sikorski.

Niemal w tych samych dniach osierocił walczące polskie podziemie jego legendarny komendant, generał Grot, ujęty zdradziecko przez gestapo na Spiskiej 11.

Jakby biorąc odwet za niepowodzenia na frontach, gestapo wzmogło terror, łapanki i wywózki.

Kuraś, głuchy na wszystkie te wydarzenia, obsesyjnie ogarnięty jedną tylko myślą, nie przebierał już w środkach dla odnalezienia dziecka, którego nikt już odnaleźć nie był w

stanie.

Ostatnio odnowił znajomość z tajnym agentem gestapo, niejakim Michankiem.

Kiedyś Michanek dostarczał mu dolarów, teraz spodziewał się po nim informacji o uprowadzonych dzieciach. Michanek był namiętym hazardzistą i prawie co dzień odwiedzał kasyno gry na Szucha. Tam też Kuraś spotykał się z nim najczęściej. Michanek, któremu pieniądze Kurasia umożliwiały grę, przeciągał sprawę w nieskończoność. Ale któregoś jednak wieczoru oświadczył, że dysponuje kilkoma adresami kinderheimów położonych w Rzeszy, przez które przewinęła się znaczna grupa dzieci z Polski. Kuraś wyrzucił z siebie jedno tylko słowo:

- Adresy!

Ponieważ Niemiec nie odpowiadał, tylko wolno popijał koniak, Kuraś ponowił pytanie:

- Adresy tych kinderheimów, panie Michanek. Ile to ma kosztować?

- To nie jest kwestia pieniędzy, panie Kuraś. Rozmawiałem, z kim należy.

Owszem, jest mowa o cenie, ale nie pieniądze tu wchodzą w grę.

- Tylko co?

- Sam niczego się pan nie dowie. Mógłby to zrobić ktoś za pana. Ktoś, kto dużo może.

- Ktoś, kto dużo może, dużo chce, ja to rozumiem - odpowiedział Kuraś.

- Nie pieniądze, powtarzam.

- To już mi ciężko zrozumieć.

- Panu zależy na wiadomości, na informacji. Temu komuś też, Taka wymiana po prostu.

- Informacji? - w dalszym ciągu nie rozumiał Kuraś.

- Tak.

- O czym?

- Pan zna wielu ludzi, obraca się w różnych kołach...

- Co ja wiem? Nic. Ile farba kosztuje, najwyżej.

- Niech pan pomyśli. Może coś jeszcze pan wie...

Kuraś zrozumiał, czego od niego żądano. Przypomniał mu się Niwiński i ostatnie z nim spotkanie. Zrezygnowany, zmienił temat rozmowy.

- Zna pan takie nazwisko - Heimann? Johann Heimann?

- Kto to taki? - spytał Michanek.

- Pański kolega.

- On coś może w tej sprawie?

- Nie. Tak mi się przypomniało po prostu.

Niemiec wzruszył ramionami i odszedł od stołu z ruletą. Tego wieczoru więcej już nie wracali ani do tego tematu, ani do adresów sierocińców niemieckich. Ale do obu tych tematów miał wkrótce Kuraś powrócić. Niestety, już nie w kasynie...

Aresztowanie generała Grota warszawskie gestapo uznało za największy swój sukces.

Kliefhorn, który w kilka dni później wezwał do siebie Heimanna, taką oto przeprowadził z nim rozmowę:

- Trzydziesty czerwca, długo go będą pamiętać. Długo nie pozbierają się po tym ciosie.

- Jeszcze nie do wszystkich to dotarło.

- Bo oni też utrzymują to w tajemnicy. To klęska. Teraz pora na rozpracowanie innego ośrodka. Przerzuci się pan na czerwonych. Zdaje się, że i tym razem zarzucimy sieci nie na płotkę.

- Kto taki?

Kliefhorn nie odpowiedział. Odwrócił się i opuścił gabinet. Heimann chwilę stał niezdecydowany. Wkrótce powrócił Kliefhorn w towarzystwie szpicla, który śledził drukarza Widymskiego.

- Wie pan już coś więcej? - Kliefhorn skierował to pytanie do przybyłego tajniaka.

- Tak jest. Mieszka na Kaliskiej piętnaście. Dom z dwoma wejściami - od Kaliskiej i od Słupeckiej. Właśnie dlatego dwukrotnie go zgubiłem.

Kliefhorn skrzywił się zniecierpliwiony.

- Dalej.

- Znikał mi również i w innej przechodniej bramie. Regularnie, codziennie do niej wchodził... - Urwał, spostrzegłszy zniecierpliwienie Kliefhorna, i szybko dokończył: -

Nazwisko Piotr Widymski. Przed wojną był drukarzem na Okopowej. Potem dwa lata w Hiszpanii. Pseudonim prawdopodobnie Lopez.

Obecnie zarejestrowany w fabryce marmolady Lubliński i synowie, ale to pozór.

Kliefhorn ruchem ręki przerwał mu.

- Dziękuję. Może pan odejść.

Szpicel skłonił się i opuścił gabinet.

- Zapamiętał pan dane? - zwrócił się do Heimanna.

- Tak jest.

- Przejmie pan na siebie tego człowieka.

- Tego drukarza?

- Dawno przestał nim być. To ktoś z kierownictwa. Zaprzyjaźni się pan z tym człowiekiem.

- Postaram się. Ale oni są bardzo nieufni.

- Mam sposób, aby nabrał do pana zaufania. Muszą mówić. Ale mogą mówić tylko

Polakowi i dlatego musi pan być jednym z nich.

- Już byłem - stwierdził Heimann.

- I widzi pan, udało się. Ale teraz musi pan dotrzeć przez niego do tych ich przywódców, przełożonych, komisarzy. Niech to trwa miesiąc, dwa, ale musimy im się dobrać do mózgu, do tych, co myślą. Nie lękam się tych, którzy strzelają, mam ich tu całe więzienie. Tak samo nie lękam się tych, którzy drukują artykuły. Ja muszę mieć tych, którzy je piszą.

- Postaram się.

- Czy jest pan gotów do poświęceń, których żąda fuhrer?

- Każdej chwili.

- Więc musi pan cierpieć tak jak oni. Wtedy uwierzą.

Heimann spojrzał niespokojnie.

- Odtąd kontakt ze mną jak poprzednio, przez Karolinę. Ona wciąż mieszka u pana?

- Tak jest. Uchodzi za moją siostrę.

- Dobrze. - Przyśle ją pan do mnie. Natomiast pan... No cóż, aresztujemy pana niebawem.

Już nazajutrz inkasent Heimann stał na klatce schodowej przed drzwiami z tabliczką:

P. Widymski. Nacisnął dzwonek. Ponieważ nikt nie podchodził, zastukał końcem ołówka.

Wreszcie drzwi się uchylły. Heimann zrobił krok i w tym samym momencie czyjeś ręce uchwyciły go mocno i wciągnęły do środka.

Młody gestapowiec szybko przeszukał dłońmi jego ubranie. Natrafiwszy na coś twardego w kieszeni, ryknął:

- Ręce do góry! Masz broń!

Heimann upuścił na podłogę swoją księgę i posłusznie podniósł ręce nad głowę.

Gestapowiec wyjął z kieszeni latarkę elektryczną, zamachnął się, jakby chciał uderzyć.

Heimann rozejrzał się po kuchni. Widymski, jego żona i córka siedzieli na krzesłach ustawionych pod samą ścianą, trzymając ręce na kolanach. Dwóch tajniaków i trzech umundurowanych gestapowców buszowało po całym mieszkaniu.

- Czy ja mogę sprawdzić licznik? I już wychodzę.

Tajniak podszedł blisko, roześmiał się z politowaniem.

- Licznik? Idiota. Siadaj pod ścianą.

- Panowie, to jakieś nieporozumienie. - Głos Heimanna był niemal proszący. - Ja tylko z rachunkiem za światło...

- Pod ścianę, powiedziałem!

Heimann schylił się, sięgnął po swoją księgę i posłusznie powędrował, gdzie kazano.

Przysiadł na krześle obok Widymskiego i szeptem spytał:

- Co tu się dzieje?

- Milczeć! Ani słowa! - wrzasnął tajniak.

Spojrzał na swój zegarek, porównał czas z bijącym właśnie ściennym zegarem, zajrzał do pokoju, gdzie gestapowcy przeprowadzali rewizję. Sterty pościeli wały się po podłodze.

Do tajniaka podszedł młody gestapowiec i coś mu powiedział do ucha, patrząc w stronę Heimanna. Tajniak kiwnął potakująco głową i podszedł do inkasenta.

- Znasz tego człowieka? - spytał, wskazując głową na Widymskiego.

- Znać znam, ale jakie jest jego nazwisko? Musiałbym zajrzeć do rejestru.

- Pracujesz z nim w jednej organizacji. Wszystko wiem! Co mu miałeś powiedzieć?! -

Tajniak podniósł głos.

- Przede wszystkim ja pracuję w elektrowni, przyszedłem z rachunkiem...

- Niczego tu nie widziałeś. Rozumiesz?!

- Tak jest.

- Sprawdź sobie ten licznik. Ale już!

Heimann zerwał się, lecz tajniak zatrzymał go w połowie drogi.

- A może wcale nie jesteś z elektrowni?

- Jak to, nie jestem?

Sięgnął do bluzy, wyjął legitymację. Niemiec długo ją oglądał.

- Nowaczyk Jan - czytał głośno. - Tak? Świętokrzyska siedemnaście. No? Na co czekasz? - krzyknął.

Nie oddał jednak Heimannowi legitymacji. Patrzył, jak inkasent wspinał się na palcach do licznika. Wreszcie Heimann odwrócił się bezradnie.

- Latarka...

Tajniak gestem głowy nakazał gestapowcowi, by podszedł i poświecił.

Heimann otworzył księgę i długo wpisywał stan licznika.

Potem wyjął kwity rachunkowe i znów pisał. Z gotowym już rachunkiem w dłoni spytał:

- Nie wiem, czy ten pan zapłaci, czy...

- A dlaczego ma nie zapłacić? Do grobu tych pieniędzy nie weźmie.

Tajniak niemym gestem pozwolił Widymowskiemu wstać.

- Pieniądze mam w kredensie. Można? - spytał Widymowski.

Podszedł do kredensu. Heimann stanął tuż przy nim i pokazał rachunek.

Kiedy Widymowski odsuwał cukiernicę, by sięgnąć po pieniądze, Heimann zwrócił się do niego ostentacyjnie głośno:

- Tylko drobne poproszę, dobrze? - Nagle przeszedł na szept: - Adres pan słyszał, gdyby tak mnie... niech córka albo żona...

- Bez rozmów - warknął tajniak.

- Ja tylko liczę... - usprawiedliwił się inkasent.

W tej właśnie chwili rozległ się dzwonek. Tajniak jednym ruchem popchnął Heimanna i Widymskiego w stronę krzeseł i gestem nakazał milczenie. Młody gestapowiec uchylił drzwi i wciągnął do środka przerażoną sąsiadkę, która w ręce trzymała żelazko do prasowania. Sąsiadka, widząc, co się dzieje, upuściła żelazko. Wysypało się z niego trochę węgla drzewnego.

- Jezus Maria! - krzyknęła, trwożnie rozglądając się dokoła.

- Tam siadać! - rozkazał gestapowiec.

- Ale ja tu mieszkam, za tą ścianą, ja tylko żelazko przyszłam oddać.

Pani Widymska, kochana, pani zaświadczy... - zawodziła.

- Milcz, babo - przerwał tajniak. - Ani słowa. Nazwisko?

- Przecież. Słyk. Anna Słyk.

- Gdzie pani mieszka?

- Pod szóstym. To i państwo Widymscy mogą potwierdzić, i nawet ten pan.

Był u mnie dopiero co za światło. - Wskazała na Heimanna.

- Mieszka tutaj? - tajniak zwrócił się z tym pytaniem do Widymskiego.

- Tak.

- Masz ją w swoim spisie?

Sięgnął po księgę elektrowni. Heimann zerwał się usłużnie.

- Ja odszukam.

- Daj książkę, powiedziałem.

Heimann mimo wszystko sam zaczął wertować kartki wielkiego skoroszytu, czym ostatecznie wyprowadził z równowagi tajniaka.

Wyrwał mu książkę, położył na stole i karta po karcie, nie spiesząc się, przeglądał. W pewnej chwili gwizdnął przeciągle, z uśmiechem spojrzął na Heimanna i ruchem ręki przywołał gestapowca, który z zainteresowaniem nachylił się nad książką. Tajniak triumfalnie wyciągnął spięte spinaczem trzy egzemplarze „Gwardzisty”.

- Sam chciałeś odszukać? A czy to znalazłbyś? - Podszedł do siedzących i pomachał im gazetkami przed nosem. - Wszystko się zgadza. Jesteście tą samą komunistyczną bandą. Wszyscy! No, poczekamy na następnych komisarzy...

Znów porównał czas swojego zegarka ze ściennym. Odszedł z gestapowcem w kąt i obaj zajęli się lekturą wyciągniętych z książki gazetek. Ścienny zegar zaczął wybijać godzinę. Widymski skorzystał z tego i cicho szepnął:

- Coś ty najlepszego zrobił, człowieku...
- Skąd mogłem wiedzieć... - równie cicho odpowiedział Heimann.

Niwiński stał zdumiony, widząc w progu Urszulę Kurasiową. Nawet Kuraś nigdy nie odwiedzał go w tym sublokatorskim mieszkaniu. Urszula zawołała błagalnie:

- Niech pan ratuje. Teraz pan niech go ratuje! Panie Władku!
- Co się stało?
- Leona aresztowali.
- Leona?!
- Dziś rano. Błagam pana, ja tu nie mam nikogo. Bugalski mówił...
- Nie mogę w to absolutnie uwierzyć. Niech się pani nie martwi. To najwyżej musi być sprawa kryminalnej policji. Musiał coś sprzedać albo coś kupić... Kto to był?
- Gestapo.
- Gestapo?! Zabrali coś z domu?
- Tylko jego - rozplakała się. - Tylko... ja mówię tylko... Panie Władziu! Co ja mam

robić?

W kawiarni, w której kelnerką była pani Zofia Niwińska, przy stoliku w kącie, siedział dawny naczelnik poczty, pan Stefan i przeglądał „Nowy Kurier Warszawski”. Pani Zofia postawiła przed nim kawę.

- Przyjdzie? - spytał pan Stefan.

- Obiecał.

- To przecież całkiem głupie, pani Zofio, matka tu, syn tam?

- Nie wiem, panie Stefanie. Nie wtrącam się w to. Jest dorosłym człowiekiem.

- Dorośli też robią głupstwa - sentencjonalnie westchnął pan Stefan.

Pani Zofia wyjrzała przez szybę na ulicę.

- Idzie już - powiedziała.

Odwołano ją do bufetu, znikła więc na zapleczu. Do kawiarni wszedł Niwiński. Nie dojrawszy matki, skierował się do stolika pana Stefana.

- Mamy nie ma?

- Była tu gdzieś przed chwilą. Co słychać?

- Cóż może być słychać...

- Zdenerwowany pan. Stało się coś?

- Tak.

- Od dawna już chciałem z panem pomówić, panie Władysławie.

- Ja też mam sprawę. Czy jakieś dojsście na Szucha jest możliwe? Gryps?

Wiadomość?

Naczelnik chrząknął, uważnie spojrzał na Niwińskiego.

- Ktoś z pańskich przyjaciół? - spytał.

- Tak. Dzisiaj.

- W zasadzie można by pomyśleć. Ale jestem zdziwiony. Nie macie własnych dojsć?

Taka masowa rzekomo organizacja? Panie Władysławie, to już zbliża się ku końcowi. Niech pan przejrzy gazetę. Charków, Kursk, Połtawa...

Niedługo już będziemy ich tu mieli.

- O czym pan właściwie mówi, panie Stefanie?

- O potrzebie konsolidacji. O tym, że musimy ich tu powitać w roli gospodarzy. Nie dać sobie niczego narzucić. Nie rozumiem, co pana skłoniło do przejścia na tamtą stronę?

- Nigdzie nie przechodziłem - prawie niegrzecznie odpowiedział Niwiński.

- Zawsze walczyłem o to samo. Niemcy też nie robią różnic. Studiuję pan przecież afisze o egzekucjach. Giną po prostu Polacy. Człowiek, którego dziś aresztowano, nie podzielał ani pańskich poglądów, ani moich. I cóż z tego?

- To rzeczywiście ktoś całkiem z boku?

- Wyciągał mnie z różnych opresji. To jedyny przyjaciel, jakiego miałem.

- Rozumiem pana. Dowiem się, co da się zrobić. Jak nazwisko?

Niwiński nie odpowiedział, bo właśnie dostrzegł matkę wychodzącą z zaplecza.

Podszedł do niej człowiek, który dopiero co pojawił się w kawiarni. Musiał przekazać jej niedobłą wiadomość, bo pani Zofia z wrażenia postawiła tacę na bufecie i gestem rozpaczycy ścisnęła skronie. Nieznajomy wyszedł, a pani Zofia zbliżyła się do stolika w kącie sali.

- Mamo, wyobraź sobie, aresztowano dziś Kurasia.

- Daj spokój, Władku, to teraz nieważne...

Nachyliła się i udając, że uprząta stolik, szepnęła naczelnikowi:

- Wpadł Grot.

Naczelnik uniósł się przy stoliku.

- To niemożliwe! To niemożliwe! - powtarzał.

- Wtedy na Spiskiej. Okazuje się, że to był właśnie on... Zarządzono stan alarmowy.

Naczelnik wstał i bez słowa opuścił kawiarnię.

- Nie dosłyszałem. Kto taki? Mamo?

- Komendant główny. Generał. To straszne, straszne... A ty o kim mówiłeś?

Niwiński uśmiechnął się kwaśno.

- Ja tylko o kapralu, mamo...

Drzwi celi, w której siedzieli Heimann i Widymski, otworzyły się gwałtownie.

Gestapowiec stał chwilę lustrując obu więźniów.

- Nowaczyk! - Krzyknął i nakazującym ruchem głowy polecił opuścić celę.

Heimann sięgnął po marynarkę leżącą na sienniku.

- Trzymaj się... - szepnął do niego Widymski.

Gestapowiec, który zapewne uznał, że więzień zbyt długo się grzebie, ponaglił go ostro, wreszcie zniecierpliwiony szarpnął za ramię i wypchnął.

Starannie zamknął drzwi celi i już na korytarzu, gdy odeszli kilka kroków, odezwał się:

- Wybacz, ale tak życzy sobie obersturmbannfuhrer. I jeszcze jedno. Mała niespodzianka dla ciebie.

Zatrzymał się przy jednej z cel, uchylił judasza i gestem zachęcił Heimanna, by zajrzał. Ten przytknął oko do okrągłego otworu i ujrzał siedzącego na sienniku człowieka. To był Kuraś. Więzień, czując zapewne, że jest obserwowany, spojrzął w stronę drzwi, potem podniósł się i zaczął chodzić po celi. Heimann odsunął się od drzwi, opuścił klapę judasza.

- O co chodzi? - spytał.

- Nie znasz go? - zdziwił się gestapowiec.

- Tego tam?

Raz jeszcze uchylił judasza i dłużej niż uprzednio wpatrywał się w Kurasia. Opuścił przykrywkę i wzruszył ramionami.

- Nie wiem - zastanowił się chwilę. - Gdzieś go kiedyś może i widziałem, ale...

Ruszył przed siebie zamyślony.

Wkrótce wkroczyli do gabinetu Kliefhorna, a po chwili zarówno obersturmbannfuhrer, jak i rozparta w fotelu Karolina z uśmiechem obserwowali Heimanna żarłocznie połykającego jedzenie. Szynka, kurczak, biała bułka - wszystko to ułożone na białej serwetce, na brzeżku biurka.

Heimann relacjonował z pełnymi ustami:

- Nic, tylko wspomnienia. Mnóstwo nazwisk, ale nieistotnych... Jacyś przedwojenni redaktorzy, drukarze... Aha - przypomniał sobie - pracował jakiś czas w „Robotniku”. Teraz nikogo z tych ludzi nie widział, mówi, że chyba są w Londynie, reszta gdzieś u sowietów.

Wspaniałe to udko... Ani jednego aktualnego adresu, ani jednego nazwiska.

- Coś podejrzewa? - zaniepokoił się Kliefhorn.

- Nic. Absolutnie nic. Jest dla mnie bardzo czuły, ojcowski. Poucza, co mam mówić na śledztwie, czego nie mówić... Ale sam pary nie puszcza.

- Już puścił - uśmiechnął się Kliefhorn.

Heimann spojrzał zdziwiony znad talerza.

- Chwył z grypsem zaowocował. I to nadspodziewanie.

Heimann zerknął w stronę Karoliny i spytał:

- Byłaś tam?

- U jego córki. Popłakałyśmy się obie.

- Co on tam napisał? - zainteresował się Heimann. - Nie chciał mi pokazać.

Kliefhorn sięgnął do biurka, wyjął arkusz papieru z zapisanym na maszynie krótkim

tekstem.

- To, oczywiście, odpis. Niech pan słucha, panie Heimann. „Kochani, nie martwcie się o mnie, czuję się zdrowy. To jakieś nieporozumienie i może mnie w ogóle wypuszczą. O was się tylko martwię, niech Basia koniecznie odda buty do szewca, nie ma w czym chodzić. I wstawcie tę szybę, bo się poprzeziębicie. Bardzo za wami tęsknię”. I tak dalej, i tak dalej.

- Nie miała wątpliwości?

- Najmniejszych. Natychmiast poznała pismo ojca - pośpiesznie odpowiedziała Karolina.

- I już nie spuściliśmy córeczki z oka - uzupełnił Kliefhorn. - Rzeczywiście, była u szewca, tyle że bez butów. I u szklarza, tyle że bez szyby.

Heimann skończył jeść, odsunął talerz, sięgnął po papierosa.

- Co się okazało? - dopytywał.

- Co się raczej okaże - sprostował obersturmbannführer. - Ci ludzie kroku już bez nas nie robią. A że stawiają sporo tych kroków, więc liczba klientów rośnie, rośnie. Karolina pracuje wspaniale!

- Czy... długo to jeszcze potrwa?

- To służba dla Rzeszy, Heimann. Musi pan to znieść mężnie. Mogę co najwyżej brać pana częściej na przesłuchanie - roześmiał się. - I zmieniać menu, jeśli nie lubi pan drobiu.

Heimann nie zareagował na ten dowcip, wyraźnie nad czymś się zastanawiając. Nagle uderzył się dłonią w czoło. Zawołał podniecony:

- Mam!

Kliefhorn z Karoliną spojrzeli na niego zdziwieni.

- Wiem, gdzie widziałem tego człowieka - stwierdził Heimann.

- Jakiego?

- Tego z celi. To jeden z jego ludzi.

- Czyich?

- Niwińskiego. Oczywiście! Wtedy był w mundurze, w hełmie, nie mogłem poznać...

- On informował się o pana. Dlatego tu jest.

Sięgnął po telefon, wykręcił numer, długo nikt się nie zgłaszał, więc Kliefhorn, przysłoniwszy dłonią słuchawkę, wyjaśnił:

- Jego sprawę prowadzi Schroeder... Halo, dlaczego nikt się nie zgłasza?

Tu Kliefhorn. Nie ma sturmführera Schroedera? Dobrze, niech się natychmiast do mnie zgłosi. - Odłożył słuchawkę.

- On pytał o mnie?! - Heimann był mocno zaintrygowany.

- Nie znam szczegółów. Schroeder wszystko wyjaśni. Wiem, że kontakt z nim miał Michanek, ale Michanka właśnie zastrzelili bandyci.

- Michanka?

- Schroeder dowcipnie zauważył, że zginął o tyle na posterunku, że go zabito przy wyjściu z kasyna gry. A teraz do rzeczy, Heimann.

Kliefhorn wyciągnął dłoń w stronę Karoliny, która wyjęła z torebki mały rulonik papieru zwinięty w trąbkę.

- Ten gryps otrzyma pan dzisiaj od tego samego strażnika. To gryps od Karoliny.

Heimann chciał rozsupłać zwitek, ale Kliefhorn powstrzymał go.

- Po co? Jest pisany takim maczkiem, że naturalniej będzie wyglądało, jeśli naprawdę sylabizować będzie pan w celi.

- Jest tam dopisek od jego córki - wtrąciła Karolina. - Jej własną ręką.

Daj mu przeczytać, żeby nie miał wątpliwości.

- Nawiasem mówiąc, ten szewc ma swój warsztat dokładnie w tej samej bramie, w

której Widymski tak często ginął z oczu naszemu wywiadowcy - zauważył Kliefhorn. -

Wszystko braliśmy pod uwagę - fotoplastykon, introligatornię, lokatorów, a to tymczasem szewc...

- Fotoplastykon? Ja znam ten dom.

Po raz drugi podczas tej rozmowy Heimann doznał gwałtownego olśnienia.

- Oczywiście! Drukarnia!

- Jaka drukarnia?

- Drukarnia pochłania tyle prądu.

- Jakiego prądu? O czym pan mówi?

Ubrany po cywilnemu oficer śledczy, Schroeder, przesłuchiwał Kurasia.

- Panie Kuraś, znam pana z opisu na tyle, aby nie wątpić w pański rozsądek.

Dogadamy się prędko. Cięży na panu zarzut dokonania zabójstwa funkcjonariusza tajnej policji, Emila Michanka.

- Usłyszawszy to, Kuraś aż poderwał się z krzesła.

- To on nie żyje?!

- Osobiście nie wierzę, aby pan mógł to zrobić.

- A kto by uwierzył! - Kuraś odetchnął z ulgą.

- Co innego jednak moje prywatne przekonanie - ciągnął Schroeder - a co innego oficjalnie postawiony zarzut. Jeżeli nie okaże pan dość dobrej woli w innych kwestiach, zarzut ten będzie funkcjonował i na jego mocy zostanie pan rozstrzelany.

- O co naprawdę chodzi? - spokojnie spytał Kuraś.

- Panu przez omyłkę wywieziono gdzieś córkę?

- Tak - odpowiedział Kuraś.

- Wiem, że zrobił pan wiele dla jej odzyskania.

- Mało zrobiłem.

- Podzielał ten pogląd. Mógł pan zrobić znacznie więcej. Mógł pan przyjść do nas otwarcie, bez łapówek, bez szukania małych protektorów. Pan nie ufał sprężystości naszego aparatu. Rozwiązaliśmy już nie takie zagadki. Mógł więc pan przyjść, poprosić...

- No, więc przychodzę - oświadczył Kuraś, wciąż jeszcze spokojny. - Teraz przychodzę.

- Teraz pana przyprowadzono - sprostował Schroeder. - To jest różnica.

- Znaczy, teraz to już niemożliwe?

- Możliwe u nas jest wszystko. Chciał się pan, na przykład, zobaczyć z Johannem Heimannem i proszę, jak na zawołanie. Zobaczy go pan.

- Kogo?

- Przecież pytał pan o niego.

- Ja?

- Nie? - sztuczne zdziwienie Niemca było aż nadto wyraźne. - Wobec tego w jakich okolicznościach zabił pan Emila Michanka?

Kuraś spojrzał spode łba. Cała nadzieja, jakiej nabrał na początku rozmowy, znikła.

- Panu chodzi o córkę?

Tym razem Kuraś nie odpowiedział.

- Był pan już blisko przyjęcia narodowości niemieckiej. Bez wątpienia pomogłoby to w odzyskaniu dziecka. To duża dziewczynka?

- Dziesięć lat.

- Dziesięć lat. Wszystko z niej jeszcze może wyrosnąć. W tym wieku łatwo przyswaja się język, obyczaje. Los dokonał za pana wyboru z przyjęciem tej narodowości. Co porabia pan Niwiński?

- Kto taki?

- Niwiński. Władysław. Też go pan nie zna? Nie. W ten sposób nigdy się nie dogadamy.

- Niwiński, Niwiński?... - zaczął coś sobie przypominać Kuraś. - Zaraz...

Miałem takiego dowódcę na wojnie. Podchorąży chyba.

- Czy aby tylko na wojnie?

- Jak Boga najszczerzej kocham, że na wojnie.

Schroeder zrezygnował nagle z tej spokojnej, pełnej sarkazmów rozmowy i wściekle wyrznął pięścią w stół.

- Durniu! Bydlę jedno! Za kogo mnie masz?! Czy nie wiem, że to na jego zlecenie dowiadujesz się o Heimanna?! Jego adres! Szybko!

- Nie wiem. Nie widziałem go od tamtego czasu. Ja jestem handlowego wyznania, nie patriotycznego, to pan chyba wie.

- Jaką funkcję pełni w organizacji?

- Nie widziałem człowieka, zaraz... ile to będzie? Czterdziesty, czterdziesty pierwszy - obliczał na palcach.

- Dosyć! Mieliśmy go już w Krakowie w rękach. Pytam po raz ostatni, kim on jest, jeżeli zaryzykowano aż zbrojne jego odbicie?

- Ja wiem? Może to Władysław Sikorski, jeżeli aż odbicie, mówi pan.

Otrzymał tak niespodziewane i gwałtowne uderzenie w twarz, że spadł z krzesła.

Podnosząc się z ziemi, wycierał krew z nosa. Kiedy znów usiadł, Schroeder stał się ugrzeczniony, gładki, jakby przed chwilą częstowali się cygarami.

- Z całego serca chciałbym pomóc panu w odnalezieniu córeczki. Więzy krwi zawsze są mocniejsze od koleżeństwa czy nawet przyjaźni. Podziela pan mój pogląd?

Kuraś patrzył wyczekująco w oczy Schroedera, na pytanie nie odpowiedział.

- Z tego względu myślę - ciągnął Schroeder - że poda nam pan adres Niwińskiego i wszystkich jego znajomych, a my znajdziemy panu córkę. Niech pan pomyśli o więzach krwi.

Panu na niej zależy, nam na nim.

- A, to pan jest krewnym Niwińskiego? Nie wiedziałem. Trzeba było tak od razu powiedzieć...

Schroeder zagryzł wargi, ale tym razem opanował się. Wstał zza stołu, podszedł do drzwi obitych blachą i wzmocnionych dwoma potężnymi sztabami.

Uchylił je.

W pokoju, do którego prowadziły te drzwi, stało dwóch drabów obnażonych do pasa, w ceratowych fartuchach. Z sufitu zwisały jakieś dziwne przyrządy.

Oprawcy zasłaniaли sobą fotel, przy którym leżały cęgi i inne narzędzia tortur.

Schroeder popchnął więźnia w tamtym kierunku. Już w drzwiach Kuraś odwrócił głowę.

- Wpierw zobaczę dziecko w domu! - krzyknął.

- Raus! - histerycznie wręcz wrzasnął Schroeder.

Pchnął go do izby i z trzaskiem zamknął opancerzone drzwi.

Przed uliczną szczekaczką zgromadziły się tłumy ludzi. Mecenas Kozakiewicz stał wraz z innymi oczekując komunikatu. Wreszcie odezwał się głos spikera:

- Dziś we wczesnych godzinach porannych nad Gibraltarem zginął w katastrofie lotniczej szef polskiego rządu emigracyjnego w Londynie, generał Władysław Sikorski.

Katastrofy tej żadną miarą uznać nie sposób za przypadkową. Władysław Sikorski padł ofiarą intryg aliancko - sowieckich.

Jest to jeszcze jeden dowód...

Kozakiewicz nie słuchał już dalej. Zaczęli nadbiegać inni, zaintrygowani przechodnie, którzy nie słyszeli komunikatu. Ktoś złapał Kozakiewicza za rękaw.

- Panie, to chyba niemożliwe, co? - pytał.

- Jezus Maria, Jezus Maria! Jeżeli to prawda, co mówią Niemcy... - lamentowała jakaś kobieta, łapiąc się za głowę.

- Czy to prawda, że to zamach? - dopytywał ktoś inny.

- Bzdury - odpowiedział Kozakiewicz i odszedł.

Warszawiacy długo jeszcze komentowali wydarzenie. Zaczepiali nieznanym, pytali o szczegóły tych, którzy stali bliżej głośnika.

Kozakiewicz powrócił do swego warsztatu. Od dłuższego już czasu - częściowo dla zachowania pozorów, po części zaś i dla zarobku - prowadził niewielki zakład szklarski. Do warsztatu wszedł klient, najwidoczniej znajomy mecenas, bo ten bez słowa wręczył mu świeżo oprawiony święty obrazek.

- Niestety, nie napisałem tego artykułu - odezwał się po chwili Kozakiewicz.

- Jak to? Więc go tu nie ma? - klient potrząsnął obrazkiem.

- Jest. Ale inny. Dziś byłem świadkiem, jak ludzie przyjęli wiadomość o Sikorskim.

Niemcy wykorzystali to natychmiast, aby siać zamęt, podrywać zaufanie do naszych sojuszników.

- Nikt im chyba nie wierzy.

- Ludzie są przygnębieni - tłumaczył mecenas. - Spotyka ich cios za ciosem. My musimy wyjaśnić, jaki był nasz stosunek do Sikorskiego. To mąż stanu wielkiego formatu.

Realista. Pierwszy doprowadził do unormowania stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Na mieście wiszą już nekrologi. Podpisane: Naród - wtrącił klient.

- Właśnie podpisujemy się pod tym nekrologiem - wskazał obrazek. - Zawinać?

Wziął pierwszą z brzegu gazetę i byle jak opakował obrazek. Klient wyszedł. Na ulicy natychmiast ruszył za nim mężczyzna, który od dłuższego już czasu zajęty był studiowaniem afisza.

Wkrótce ten sam obrazek znalazł się u szewca, którego warsztat mieścił się w śródmieściu, w podwórku kamienicy o przelotowych bramach. Szewc rozwinął obrazek i kilkoma ruchami obcężyk wyjął gwoźdźniki podtrzymujące ramki. Zza passe - partout wysunęły się dwie zapisane kartki.

- Co mówił?. Nie przenosimy się? - spytał przybysza, wskazując głową w stronę półek z butami.

- Na razie nie. Była znów wiadomość od Lopeza. W ogóle nie pytają go o drukarnię.

- Oni chyba nie orientują się, kogo mają - stwierdził szewc.

- Tak wygląda. Maglują go o jakieś bzdury.

Podczas tej rozmowy szewc przybijał na powrót wyjęte z obrazka gwoźdźniki.

Z kolejnego przesłuchania Widymski wrócił posiniaczony. Padł na pryczę, a Heimann, który jeszcze nie odegrał do końca swej roli, z troską pochylił się nad nim i zaczął przykładać kompres.

- Pytali o mnie?

- Nie martw się - uspokoił go Widymski.

- Masz do mnie żal?

- Człowieku, robiłeś swoje. A że akurat u mnie nakryli cię z tymi gazetkami? Pech.

Ale robiłeś swoje i ja to rozumiem.

- Nawet sam ich przeczytać nie zdążyłem.

- Który to numer? - spytał nieoczekiwanie Widymski.

- Bo co?

- Nic... tak pytam.

Heimann wstał, przeszedł się po celi i zaczął mówić:

- Nie wyplączę się z tego... Wcale im o te gazetki nie chodzi.

Wiesz, o co mnie pytają?

- No?

- Czy znam kogoś z kierownictwa partii. Lopez.

- Lopez? - powtórzył Widymki.

- Jasne, że to jakiś pseudonim. Ale skąd mogę wiedzieć? A nawet gdybym wiedział...

Widocznie to ktoś, kto walczył w Hiszpanii.

- Widocznie... - przytaknął zamyślony Widymki.

- Skąd sukinsyny znają pseudonim? Warto przestrzec tego towarzysza.

- Przecież nic o nim nie wiesz.

- No, nie...

Widymki zastanawiał się chwilę, potem westchnął i powiedział jakby do siebie:

- Czy im się naprawdę zdaje, że jeśli chwycą jakiegoś Lopeza czy kogokolwiek z kierownictwa, to powstrzymają morze, morze złożone z miliona takich Lopezów. Ich synów, wnuków, braci...

- To co? - Heimann wyczekująco wpatrzył się we współwięźnia. - Uważasz, że nie powinniśmy przestrzec?

- Nie trzeba. Nie Lopez tu się liczy. Całego narodu nie zamkną. Ani nie rozstrzelają.

Zazgrzytała zasuwa, strażnik postawił dwie blaszane miski z zupą.

Widymki wyciągnął rękę i przysunął miskę do siebie. Za strażnikiem ukazał się gestapowiec.

- Nowaczyk!

- Dajcie chociaż zjeść człowiekowi - interweniował Widymski.

- Na przesłuchanie! Ale już! - gestapowiec był nieprzejednany.

Widymski wetknął Heimannowi swoją kromkę chleba.

- Zjedz chociaż po drodze.

Koszula Kurasia przesiąknięta była krwią. Twarz miał obrzękłą, posiniaczoną,

oddychał z najwyższym wysiłkiem. Gestapowiec chwycił garścią włosy Kurasia, zadarł mu

głowę i odwrócił w stronę Schroedera. Ten stał przez chwilę w przejściu do izby tortur, potem

cofnął się do swego gabinetu. Gestapowiec zawlókł tam bezsilnego Kurasia i z trudem usadził

na krześle.

- Gdzie dziecko? - spytał Kuraś.

- Słuchaj, Kuraś, nasze rozmowy zbliżają się do końca...

- Gdzie dziecko? - jak w transie powtarzał Kuraś.

- Abyś nie myślał, że cię zwodzę i chcę coś wytargować, powiem otwarcie.

Ślad po niej zaginął. Wszystkie papiery zostały zniszczone. Gram już z tobą w otwarte

karty. Uratuj siebie. Nie masz już o co walczyć, została ci tylko twoja własna głowa. Daję ci

oficerskie słowo honoru, że wyjdiesz stąd jeszcze dzisiaj. Z kupą forsy na dodatek. Adres

Niwińskiego. Jego matki.

Jego znajomych. Wierzysz mi?

- Po tym... co mi pan powiedział o dziecku...

- Klnę się na pamięć mojej matki, że to prawda. I na to samo ci obiecuję, że stąd

wyjdiesz. Wierzysz mi?

- Tak.

- Chcesz papierosa?

- Tak.

Schroeder skinął głową, gestapowiec zapalił i wsadził papierosa w opuchnięte wargi Kurasia. Ten zaciągnął się raz i drugi, zawirowało mu w głowie tak silnie, że omal nie spadł z krzesła.

- Będiesz mówił?

- Tak - skinął głową Kuraś.

Schroeder czekał, aż Kuraś ponownie zaciągnie się dymem. Przez ten czas spokojnie strugał ołówek.

- To dobrze - zaczął Kuraś - że to dziecko będzie wychowane w niemieckiej rodzinie.

Bardzo dobrze...

Schroeder uniósł głowę, zmarszczył brwi, ale po namyśle powiedział:

- No, wygadaj się.

- Jej obowiązkiem jest wyrosnąć na zdrową kobietę, urodzić furę dzieci.

Nawet gdybyście wygrali tę wojnę, będzie można pękać ze śmiechu...

Gestapowiec spojrział uważnie na Schroedera, czy ten nie każe bić, ale oficer ruchem dłoni nakazał milczenie. Słuchał zaciekawiony.

- Bo kto u was będzie rządził? - ciągnął z wysiłkiem Kuraś. - Sruli.

Mosze? To będą właśnie jej dzieci. Ależ wam zasram całą nordycką rasę...

Zaczął się śmiać. Wewnętrzny chichot podrzucał całym jego ciałem, opuchnięte wargi nawet nie były w stanie wykrzywić się w uśmiech. Kuraś wyglądał przerażająco. Przerażająco i groźnie.

Schroeder porwał się zza stołu.

- I też klnę się na moją babkę z domu... tfu... Schmidt, że to jest prawda - dokończył

Kuraś.

Schroeder złożył teczkę z aktami i bez słowa wyszedł. Nagle w drzwiach odwrócił się

i rzucił gestapowcowi:

- Zrób z nim to, na co masz ochotę. Ten sukinsyn zabił scharfuhrera Michanka. -

Potem znów się rozmyślił. - Albo nie... Zdejm mu koszulę, gacie. Wystarczą mu papierowe.

Wyszedł. Gestapowiec wyciągnął Kurasiowi koszulę ze spodni, ściągnął ją przez głowę. Guziki zatrzymały rękawy na przegubach, więc gestapowiec szarpnął. Kuraś spokojnie dawał się rozbierać. Znów zachichotał.

- To jest tak piękne dziecko, że każdy na nią poleci. Pomyśl tylko: Srul Goebbels, Chaim Himmler...

Gestapowiec mocniej pociągnął za rękaw i Kuraś zwalił się na podłogę.

Leżąc, nie przestawał się śmiać.

Dla miłośników fotoplastykonu pan Konopko przygotował nowy program. Przed oczyma widzów przesuwały się kolorowe widokówki z Sycylii zaopatrzone w napisy: Etna, Palermo, Mesyna, Katania, port w Palermo, do którego zawija statek, ogród cytrusowy. Cichutko grała puszczone przez właściciela fotoplastykonu płyta „Ta noc w Palermo”.

Piosenkę śpiewał Fogg.

Widzowie, nie odrywając oczu od obrazków, szeptem wygłaszali uwagi, zadawali pytania.

- Kto to jest, ten cały Badoglio?

- Co za różnica? Grunt, że kapitulacja.

- Teraz to już Adolf może się w duce pocałować.

Ktoś zachichotał. Do ciemnej sali wkroczył pan Konopko.

- Ja bardzo proszę, bez polityki - upomniał.

Jednym z oglądających był Niwiński; siedział ze wzrokiem utkwionym w lornetkę.

Nagle usłyszeli wystrzał, potem całą serię. Oglądający przeżrocza z przerażeniem

zeskoczyli ze swych taborecików. Fogg nadal śpiewał o Palermo.

Jakiś pan w berecie wyjrzał przez oszklone drzwi do bramy i natychmiast się cofnął.

- Rany boskie, to tutaj, na podwórku!

Strzelanina wzmogła się, słyhać było tupot podkutych butów. Niwiński niespokojnie zakręcił się po salce, zajrzał do kantorka, w którym płyta wolno obracała się na gramofonie.

Zaaferowany pan Konopko zapomniał wyłączyć aparat i w bębnie co chwila rozlegał się stukot przesuwanych przeźroczy.

Niwiński uchylił drzwi. Przez ułamek sekundy dojrzał ukrytych za wyłomami bramy strzelających żandarmów. W następnej chwili, pchnięty mocno w piersi, wtoczył się do wnętrza. Za nim wbiegł żandarm z automatem. To on pchnął Niwińskiego. Rozejrzał się po salce i wrzasnął:

- Nie ruszać się! Wszyscy na miejsca!

Widzowie posłusznie usiedli na taborecikach. Chcąc nie chcąc patrzyli na przesuwające się widokówki. Płyta dawno już się skończyła, ale ponieważ nikt nie wyłączył adapteru, obracała się nadal, powtarzając ostatnie słowa refrenu. Żandarm stał w drzwiach i obserwował oglądających. Zaintrygowany nagłą ciszą, wyjrzał na podwórko. W tym momencie rozległ się gwałtowny pojedynczy wybuch, a potem znów zapadła cisza.

Żandarm wybiegł na podwórko. Widzowie natychmiast zsunęli się z taborecików, dopadli oszklonych drzwi. Brama obstawiona była gęstym szpalerem żandarmów. Pomiędzy nich wkroczył idący od strony podwórka oficer i gestami nakazywał komuś pośpiech.

Prowadzono grupę schwytych ludzi. Aresztanci wlekli się noga za nogą, z rękami założonymi na karkach. Otaczał ich konwój żandarmów. Popychali więźniów, bili kolbami w plecy. Wśród schwytych Niwiński rozpoznał Kozakiewicza. Szedł obok człowieka, który tak niedawno szkiłł sobie obrazek, Tuż za nimi szewc i jeszcze jakiś mężczyzna. Przeszli.

Żandarm, który obserwował ten pochód, przypomniał sobie zapewne o fotoplastykonie i skierował się w stronę wejścia. Widzowie rzucili się do swoich taboretów. Niwiński, który pierwszy odskoczył od drzwi, okrążył bęben i pod zwisającą do samej ziemi pluszową kotarą wczołgał się do środka. Stał, a wokół niego obracała się taśma z powtykanymi w nią małymi przezroczami w ramkach. Ostrożnie, by nie potraćić mechanizmu, wyjął pistolet i ukrył go pod stelażem, na którym mieściło się całe urządzenie. Słychać było podniesione głosy, ktoś żądał okazania dokumentów. Płyta z końcowym refrenem wciąż obracała się w kółko. Przed oczami Niwińskiego przesuwały się małe, kolorowe, podświetlone obrazki z Sycylii. Po chwili usłyszał wyraźnie fragment rozmowy:

- Kto jest właścicielem?

- Ja, proszę pana.

- Grać dalej. Grać. Nic nie było. Grać...

Głosy jakby oddalały się. Wreszcie trzasnęły drzwi i zapadła cisza.

Niwiński przez chwilę jeszcze nasłuchiwał. Potem schylił się, wyciągnął pistolet, schował go do kieszeni i wyczołgał się spod pluszowej kotarki.

Konopko, cały rozdygotany, ze zdumieniem spoglądał pod nogi, na wychodzącego spod bębna człowieka.

- Pan... przepraszam? - wyjąkał.

- Pomyliłem wyjście - Niwiński uśmiechnął się głupawo.

- Niech pan stąd wyjdzie... - ponaglał właściciel. - Ja pana bardzo proszę. Już można...

Do fotoplastykonu tłoczyli się nowi goście zaintrygowani strzelaniną.

- Co tam się działo? - dopytywał jeden z widzów.

- Wiecie, panowie - informował inny - że to szewca zabrali?

- Szewca?

- Obława na taką skalę na szewca? Ja już nic nie rozumiem.

- Kiepsko z nimi, jak już szewca się boją.

Konopko zdenerwowany, przerażony tą bezceremonialną wymianą zdań, wypraszał wszystkich z fotoplastykonu.

- Nie tutaj, nie tutaj, panowie! - powtarzał, wypychając wszystkich do wyjścia.

Urszula Kurasiowa pokwitowała właśnie listonoszowi odbiór paczki. Paczka była niewielka, obwiązana sznurkiem, zaopatrzona lakowymi pieczęciami.

Kiedy listonosz wyszedł, Urszula bez większego zainteresowania patrzyła na leżącą na stole przesyłkę. Nagle dostrzegła pieczętkę, przekrzywiła głowę i zaczęła czytać.

- Panie Bugalski! - zawołała. - Nożyczki! Szybko! To z więzienia.

Podbiegł Bugalski i Urszula trzęsącymi się rękami zaczęła rozcinać sznurek, drzeć papier, szamotać się z pudełkiem. Zdziwiona wyciągnęła koszulę i kalesony. Patrzyła przez chwilę w milczeniu, nagle zbladła i oparła się o szafkę.

- Jezus Maria, to jego koszula! - wykrztusiła.

Bugalski wziął do rąk koszulę, rozłożył ją. Cała poznaczona była czerwonymi pręgami, podarta. Kalesony we krwi.

- Szefowa! Co z panią? - zaniepokoił się kierowca.

Wydawało się, że Urszula za chwilę upadnie. Zadzwoił telefon, Bugalski odebrał go.

- To do pani - powiedział.

Urszula z wysiłkiem podniosła słuchawkę, usłyszała jakiś męski głos:

- Pani Kuraś?

- Kto mówi?

- Dostała pani już paczkę?

- Kto mówi? Halo! Kto mówi?

- A może pani zna adres Władysława Niwińskiego, bo mąż tu u nas zapomniał.

- Czego pan chce? Kto to mówi?

- Tu bielizna często się brudzi. Ale pani ma pralnię, więc to dla pani głupstwo.

Będziemy przysyłać bieliznę, dopóki mąż nie przypomni sobie tego adresu.

Słuchawka wypadła Urszuli z rąk i zawisała wzdłuż ściany, do której przytwierdzony był aparat.

Bugalski machinalnie uprzątał z lady pudełko, sznurki, starannie złożył koszulę.

Urszula wyrwała mu ją i zaczęła na powrót rozkładać. Palcami wodziła po plamach.

- Po nerkach go bili... Tu chyba nerki są, co?

- Pani nie patrzy - wyjął z jej rąk koszulę.

Urszula jakby nieobecna, zatopiona we własnych myślach, długo stała przy oknie.

Wreszcie odwróciła się i krokiem lunatyczki wróciła za ladę, na której leżała zakrwawiona bielizna. Bugalski zaniepokojony jej wyglądem zapytał:

- Co się stało, szefowa?

Urszula nie odpowiadała, wciąż pogrążona w myślach. Kierowca podszedł do telefonu i zawiesił słuchawkę na widełkach.

- Jaki jest właściwie adres Władka Niwińskiego? - zapytała nieoczekiwanie.

- Adres Niwińskiego - bezmyślnie powtórzył pytanie.

- Trafić trafię, ale numeru nie pamiętam... - wyjaśniła.

Bugalski wzruszył ramionami i spod oka obserwował Urszulę. Dopiero po chwili spytał:

- Po co pani ten adres?

- Nie mnie. Nie mnie... Już sama nie wiem, co mówię...

Na słupach ogłoszeniowych znowu rozlepiono czerwone plakaty: „W związku z

dokonanym zamachem na życie funkcjonariusza niemieckich sił porządkowych, w dniu wczorajszym rozkazałem rozstrzelać 37 zakładników a mianowicie...”

Urszula, stojąca w tłumie, przebiegła wzrokiem listę nazwisk. Jedno po drugim.

Koper, Kujawski, Krzemień... Już skończyła się litera „K” i Urszula odetchnęła z ulgą. Ale przy ostatnim nazwisku następowała uwaga: „A oto lista zakładników przewidzianych do ułaskawienia, o ile nie zdarzą się napady na Niemców lub obywateli państw sprzymierzonych z Rzeszą Niemiecką...”

I na tej drugiej liście był... „Kuraś Leon, przedsiębiorca, lat 31.

Kozakiewicz Stanisław, prawnik”. Tyle tylko dojrzała. Odwróciła głowę, roztrąciła zgromadzonych przy słupie ludzi i jak manekin ruszyła przed siebie.

Niwińskiego zaskoczyła nieoczekiwana wizyta Bugalskiego, lecz jeszcze bardziej to, co przed chwilą od niego usłyszał.

- Jak to, niech znika? - powtórzył dopiero co usłyszane słowa.

- Nie wiem. Tak powiedziała. Leć, mówi, do Władka, niech znika, bo dłużej już tego nie wytrzymam.

- Czego, na Boga? - pytał Niwiński.

- Dręczą ją tymi paczkami. A Leon... widziałeś go na liście?

- Widziałem... Widziałem i innych znajomych.

- Ja myślę... - Bugalski zawahał się.

- Co? Dokończ!

- Myślę, że brak im jest ciebie do tego towarzystwa.

- Ty coś wiesz? Co? - Niwiński potrząsnął kierownicą.

- Nic nie wiem. Wiem tylko, że baby nie są z żelaza. Żebyś ty widział tę koszulę Leona... A taki był kozak, taki kozak.

- Dlaczego mówisz: był? Może jeszcze jest?

- Może...

Nazajutrz Niwiński został wezwany do Mundka. Zastał tam starszego mężczyznę, którego Mundek tytułował doktorem.

- To jest właśnie podporucznik Nowy, doktorze.

- Nie przesadzajmy, podchorąży - poprawił Niwiński.

- Nie, nie, Władziu, ja się nie pomyliłem. Mogę ci już dzisiaj powiedzieć... Można, doktorze?

- Że co? - zainteresował się Władek.

- Że w imię położonych zasług... - zaczął Mundek, ale natychmiast porzucił ten

oficjalny ton. - W dobrych czasach to taki awans oblewano szampanem. Z tym kiepsko, ale flaszcza bimbrowa się znajdzie. Można, doktorze?

- Jakie czasy, takie trunki - westchnął doktor.

Mundek wyciągnął z kredensu butelkę.

- Za wasz awans - doktor wzniosł kieliszek. - Orientujecie się zapewne, jakie straty przyniosła nam wyspa drukarni?

- Otarłem się o tę wyspę. Można powiedzieć, otarłem się w bramie.

- Nasz wywiad ustalił ponad wszelką wątpliwość sprawców tej katastrofy.

Niestety, prowokacja. Nowaczyk i niejaka Karolina. Wyrok jest już zatwierdzony.

Jutro - ona.

- Już jutro? - zdziwił się Niwiński.

- O siedemnastej - uściślił Mundek. - Wtedy jest w domu. Tu jest kartka z adresem.

Kogo wyznaczysz? Czy Sekuła, twoim zdaniem, dorósł już do takiej akcji?

- Wolałbym nie.

- Nie Sekuła?

- Wolałbym, żeby nikt.

Mundek z doktorem wymienili spojrzenia.

- O co ci chodzi? - spytał Mundek, z niepokojem patrząc na przyjaciela.

Niwiński usiadł za stołem, przez chwilę bawił się obracaniem pustego kieliszka.

- Na liście przewidzianych do ułaskawienia - powiedział wreszcie - jest mój... ty wiesz zresztą, Mundek, kto...

- Mój brat - przerwał mu ostro doktor.

- Jak to?

- On też tam jest - powiedział doktor już spokojniej. - Pan wierzy w ich listy ułaskawień? Wprowadzili zbiorową odpowiedzialność. Czy to znaczy, że mamy się poddać? Dać się zastraszyć? Na to przecież oni liczą.

- Wiem, ale...

- Władek! - krzyknął Mundek.

- Chwileczkę - powstrzymał go doktor. - To właśnie nas różni od nich, że my jeszcze kierujemy się sumieniem. Dziwne słowo w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Dziwne, ale wyróżniające nas od zwierząt. Zastrzelimy zwierzę. Łatwiej?

- Potem za nie znów odpowie dziesięciu ludzi - mówił jakby do siebie Niwiński. -

Potem znowu my dwóch, a oni dwudziestu. Błędne koło.

- Mój brat odpowiedzialby panu: w obronie własnej. Pan go też zna.

- To Kozakiewicz - cicho wtrącił Mundek.

- Ach, więc pan jest...?

- Jestem stryjem Kasi.

W milczeniu, które po tym zapanowało, Mundek znów rozlał do kieliszków.

- Kto wie, któremu z nas trudniej rozprawiać o tym wyroku - przerwał ciszę doktor. -

Ale, poruczniku, musimy do nich strzelać. Musimy.

Pod murem, na ulicy stali cudacznie ubrani ludzie. Głowy przystrojono im w papierowe błazeńskie czapki. Zamiast ubrań, długie sięgające do pół łydki, również papierowe worki. Wyglądali w nich jak w sztywnych, szeleszczących i przydługich nocnych koszulach. Usta mieli zagipsowane.

Oczy skazańców patrzyły w piękne, bez jednej chmurki niebo. Ludzie w oknach sąsiednich domów zegnali się znakiem krzyża.

Wzdłuż szeregu wolno przechadzał się Schroeder. Tym razem był w mundurze.

Lustrował twarze, które nie mogły wypowiedzieć już ani słowa. Stał tam, w tym szeregu, Kuraś, stał Widymski, Kozakiewicz, stał szewc i jeszcze kilkunastu innych.

W pewnej odległości od skazańców pluton egzekucyjny dokonywał ostatnich przygotowań. Dowodził nim jakiś młody oficer. I on przechodził wzdłuż swoich żołnierzy, jak Schroeder wzdłuż linii skazańców. Po chwili podszedł do niego Heimann i coś mu zaczął tłumaczyć. Oficer potakująco skinął głową.

Heimann przemierzył odległość dzielącą żołnierzy od skazańców, zbliżył się do Schroedera. Schroeder, wysłuchawszy Heimanna, również wykonał gest wyrażający aprobatę.

Potem wolno zaczął iść ku oficerowi, Heimann zaś wzdłuż szeregu skazanych. Widymski, który dotychczas nie patrzył na oprawców, nagle podniósł głowę. Na widok Heimanna zdumienie i przerażenie odmalowało się w jego oczach. Heimann uciekł w bok spojrzeniem, przyspieszył kroku i zatrzymał się dopiero przed Kurasiem.

W oknach domów było coraz więcej głów.

Schroeder skończył rozmawiać z oficerem i wolno podszedł do Kurasia.

- Powiesz? - spytał.

Kuraś przytaknął kiwnięciem głowy.

Heimann jednym ruchem zerwał mu gips kneblujący usta. Wtedy Kuraś krzyknął:

- Niech żyje Polska!

Oficer dowodzący plutonem coś wrzasnął, Schroeder i Heimann odeszli na bok. Padła krótka komenda.

Kuraś postąpił krok do przodu i znalazł się przed szeregiem skazańców.

Wydawało się, że jeszcze raz zawoła, ale w tej samej chwili padła pierwsza salwa.

Na podwórku zakładu kamieniarskiego, gdzie stały w nieładzie nie wykończone jeszcze nagrobki, leżały płyty z piaskowca i żelazne krzyże.

Stary kamieniarz drewnianym młotem uderzał w dłuto, wykuwając litery w kamieniu.

Skrzypnęła furtka i obok kamieniarza stanął jego pomocnik.

- No i co? - spytał kamieniarz.

- Faktycznie, zgadza się - odpowiedział chłopak. - Grabarz sam widział w nocy.

- I faktycznie ci z rozwałki?

- Mówi, że w workach byli. Przywieźli, powrzucałi, darnią przykryli.

- Co im się stało? - dziwił się kamieniarz. - Zawsze do getta po rozwałce wywożą albo w las... I palą. Co im się stało, że tych na cmentarz? Grabarz wie, w którym miejscu?

- Pod samym murem...

Znów skrzypnęła furtka, zjawił się klient. Kamieniarze przerwali rozmowę.

Klientem był ten sam szpicel, który kiedyś inwigilował Widymskiego.

- Dzień dobry - uprzejmie zagadnął przybyły.

- Szacunek - odpowiedział kamieniarz.

Klient przyglądał się chwilę nagrobkom. Kamieniarz spojrział na pomocnika, wygrzebał z kieszeni drobne.

- Skocz mi do budki po paczkę egipskich - polecił.

- A leżą koło pana - rzeczowo odpowiedział pomocnik.

Przy nodze kamieniarza rzeczywiście leżało pudełko papierosów.

- Skocz, mówię, do budki! - powtórzył ze złością kamieniarz. - Słyszałeś?

Pomocnik wzruszył ramionami, wziął pieniądze i poszedł w kierunku furtki.

Kiedy jego głowa zniknęła za parkanem, kamieniarz pytająco spojrział na klienta.

- Słyszałem dziś, że podobno tych z rozwałki... - zaczął szpicel i głową wskazał na mur cmentarny.

- Podobno.

- Żeby to rodziny chociaż wiedziały. Wrzucili ludzi jak do śmietnika...

Kamieniarz patrzył pytająco, jeszcze nie wiedział, do czego przybysz zmierza.

- A pan nawet nie pyta, panie Walenciak, co z pańską siostrą?

- Przecież od pół roku chodzę z tym do pana.

- Teraz może dałoby się ją wyciągnąć. Od pana tylko zależy, żeby wróciła z Oświęcimia.

- Ile? - spytał rzeczowo kamieniarz.

Szpicel pogrzebał w kieszeni, wyjął kartkę i podał ją kamieniarzowi.

- Tu są adresy rodzin tych, których tam... - znów wskazał głową za mur. - Nawet telefony przy niektórych nazwiskach. O, widzi pan: Widymski. Tu ma pan Kozakiewicza, doktora. I w ogóle trzeba, żeby wiedzieli. Zajmij się pan tym, panie Walenciak.

- A z siostrą co?

- Pytał pan, ile, to panu powiedziałem cenę. Trochę się pan po mieście nalata, to wszystko. A trumny niech im pan poleci u pańskiego brata.

Szybko, tanio. I brat przy okazji zarobi.

Kiedy wrócił pomocnik, przybysz zaabsorbowany był oglądaniem nagrobków.

- Mewy tylko były - oświadczył pomocnik, oddając papierosy.

Kamieniarz podniósł się, zdjął fartuch, otrzepał ręce o portki i zwrócił się do pomocnika:

- Wykończ ten napis. Wdowa po południu przyjdzie. Niech trzysta złotych zostawi.

Pokwituj.

- A pan?

- A mnie nie będzie. Mam pilną sprawę na mieście.

Szpicel przestał oglądać nagrobki, uchylił kapelusza i odchodząc rzucił:

- Na razie nic mi tu nie odpowiada. Przepraszam.

Misternie obmyślana prowokacja i tym razem, niestety, zaowocowała. Dość szybko do rodzin rozstrzelanych dotarła wiadomość o miejscu pogrzebania ofiar. Niwiński, którego oddział miał właśnie znów wyruszyć w lasy, wystąpił z inicjatywą, by na pożegnanie z Warszawą jego chłopcy oddali ostatnią przysługę pomordowanym towarzyszom. Zamierzali wydobyć ich ciała z bezimiennej, wspólnej mogiły i pochować raz jeszcze, z honorami, na które zasłużyli.

Tyle mógł uczynić dla swego kaprala, z którym przed czterema laty rozpoczął wojnę. Z rozrzewnieniem wspominał teraz te pierwsze, wrześnie dni trzydziestego dziewiątego roku. Pamiętał, jak po jakimś nalocie zbierał rozproszony pluton. Długo nie mógł doszukać się kaprala, którego odnalazł wreszcie zagrzebanego w stogu siana i pogrążonego w twardym śnie. „Rany boskie, kapralu - potrząsał wtedy wściekły Kurasiem - myślałem, że was zabili”. A Kuraś spojrzał na niego rozespany i spytał w ten sobie tylko właściwy, na poły naiwny, na poły żartobliwy sposób: „Mnie? A za co?”

...Za co więc w końcu zginąłeś, kapralu, który nigdy nie chciałeś wojować, a może tak

ci się tylko zdawało? Za co dopadła cię śmierć, której nie mogłeś przekupić? Za co gipsem zaklejono ci usta i za co ległeś potem na twardym chodniku, choć tak bardzo lubiłeś wygodę?

Tak myślał Niwiński i tak pytał w imieniu przyjaciela, który na wszystkie te pytania już odpowiedział, kiedy mu tylko odgipsowano usta.

Ale o tym Niwiński nie wiedział, bo go przy tym nie było, więc maszerując teraz w kierunku cmentarza, wciąż myślał o bezsensownej śmierci kaprała.

Lecz bezsensownych śmierci nie było w tej wojnie...

Oddział z Mariuszem i Niwińskim, nie zakłócając nocnej ciszy, posuwał się gęsiego pomiędzy grobami. Mariusz przepuścił oddział i zrównał się z grabarzem.

- Groby na pewno wykopane? - spytał szeptem.

- Wszystkie.

- Jeżeli zdążymy, zasypimy, jeżeli nie...

- Do rana daleko - uspokoił go grabarz. - Da radę. Tu w lewo, panowie, w lewo.

Zeszli z alejki. Mało tu już było grobów, potem i one się skończyły.

Ziemia była miękka, jakby świeżo spulchniona. Niedaleko czerniał cmentarny mur.

Oddział zatrzymał się. Chłopcy zdjęli deszczowce i wyjęli ukryte pod nimi automaty. Pod drzewami dojrzeli stertę leżących łopat. Dwóch już nawet po nie sięgnęło, gdy ciszę nocną rozdarł nieoczekiwany głos. Ktoś mówił przez tubę ze wzmacniaczem.

- Stać! Jesteście okrążeni. Rzućcie broń i pojedynczo, z rękami nad głową podchodźcie do furtki.

Chłopcy skierowali wzrok na Niwińskiego. Zaskoczenie było ogromne.

Grabarz natychmiast padł na ziemię i podczołgał się ku najbliższym krzakom.

- Liczę do trzech! - grzmiał głos w ciemnościach. - Powtarzam: pojedynczo, z rękami nad głową do furtki. Raz...

Niwiński w milczeniu dał znak, aby oddział odskoczył i szukał schronienia między grobami.

- Dwa...

Niektórzy nie zdążyli nawet zabrać swoich płaszczy.

- Trzy!

W tym momencie oślepiający snop światła przedarł się od strony muru i padł na polankę ze zbiorowym grobem. Tam leżały już tylko porzucone łopaty i dwa czy trzy płaszcze.

- Powtarzam po raz ostatni...

Ale głos z megafonu nie dokończył. Przerwał mu inny - głos Niwińskiego:

- Johann Heimann! Poznaję cię. Długo mnie szukałeś. Chodź, czekam na ciebie.

Niwiński skinął ręką. Chłopcy oddali pierwszą długą serię w stronę muru i wycofali się w głąb cmentarza. Tylko Niwiński został ukryty za drzewem.

Zobaczył to Mariusz i machnął do niego ręką. Niwiński dał mu znak, aby uciekał, sam zaś przeskoczył do następnego drzewa, bliżej muru.

Niemcy strzelali już ze wszystkich stron. Tam, dokąd poszli chłopcy, rozpoczęła się walka. Niwiński rozejrzał się: istotnie byli otoczeni.

Błyski pocisków ukazywały się we wszystkich stronach cmentarza.

Nagle zrobiło się jasno. Niemcy użyli miotaczy ognia. Pierwsze drewniane krzyże i drzewa wystrzeliły ognistym płomieniem. W tym oświetleniu Niwiński dojrzał grupkę gestapowców, a wśród nich Heimanna z tubą w dłoni.

- Heimann! - krzyknął raz jeszcze Niwiński.

Jednocześnie rzucił daleko w bok przed siebie blaszaną puszkę, na którą przed chwilą nadepnął. Niemcy zaczęli strzelać tam, gdzie puszka uderzyła o kamienny nagrobek, i ruszyli

w tamtym kierunku.

W głębi cmentarza - straszliwa strzelanina. Płomień objął nowe krzyże i drzewa.

Heimann, opuszczony przez swoich, nerwowo kręcił się przy murze.

Niwiński podczołgał się do wysokiego, murowanego grobowca. Teraz miał już

Johanna jak na dłoni. Raz jeszcze zawołał:

- Heimann!

Ten odwrócił się i w tej samej chwili padł trafiony.

Niwiński przeskoczył do następnego grobu; z drugiej strony cmentarza dobiegały go krzyki, nawoływania, strzały. Biegając potknął się o trupy dwóch zabitych żandarmów.

Reflektor błędził pomiędzy drzewami, jakby nie dość było oświetlenia płomieni. W

ich świetle Niwiński zauważył, że ktoś strzelał z wnętrza świeżo wykopanej mogiły. Po

chwili automat strzelającego umilkł. Niwiński cofnął się do zabitego Niemca, zabrał mu broń

i podrzucił człowiekowi ukrytemu w dole. To był Mariusz, który już za moment oddał nową serię i zaczął wyczołgiwać się z dołu. Chwilę pełzli razem. Przed sobą zobaczyli pustą alejkę,

trzeba ją było przesadzić. Tylko przeskoczyć... Niwiński zrobił to pierwszy. Po chwili

Mariusz, zgięty wpół, przesadził dróżkę. Już był przy Niwińskim, który - widać zmęczony - przyklęknął przy grobowcu z piaskowca.

Mariusz zaczął go popędzać, popychać. I wtedy Niwiński zwałił się twarzą na płaską płytę grobowca. Mariusz chwycił go za przegub dłoni.

- Nowy... Towarzyszu... - szeptał.

Ręka Niwińskiego martwo spoczywała w jego dłoni. Mariusz rozejrzał się.

Strzały rozlegały się już bardzo daleko... Znów zaczął się czołgać. Raz jeszcze

odwrócił się. Ciało Niwińskiego leżało pod krzyżem grobowca, jakby utrudzone po strasznym wysiłku.

Do sali szpitalnej, w której leżała Marta, weszła pani Zofia Niwińska.

Miała na sobie biały, lekarski fartuch. Marta, zmęczona, blada, uśmiechnęła się do niej z wysiłkiem.

- A Władek? - spytała.

Pani Zofia podeszła do niej i zaczęła czule głaskać po włosach.

- Nie wpuścili go, tak? Trzeba poprosić doktora Przybylca...

Pani Zofia wciąż gładziła jej włosy.

- Jak go nazwiemy, Martusiu?

- A Władek? Jak Władek by chciał?

- Nie. To my obie musimy zdecydować, dziecko. My obie...

Pierwsze podejrzenie zmało blady uśmiech Marty.

- Gdzie Władek?!

Niwińska odeszła od łóżka. Marta chciała ją przytrzymać, chwyciła kurczowo fartuch.

Odsłoniła się czarna suknia i czarne pończochy.

- Nie! Nie! Dlaczego pani znów jest w tej sukni? Nie! Nie! Mamo, dlaczego...

Do pokoju weszła pielęgniarka z maseczką na twarzy. Niosła dziecko okutane w biały kocyk.

- Karmienie, Martusiu!

Pani Niwińska wyciągnęła ręce po małego. Pielęgniarka zaprzeczyła ruchem głowy, wskazując na swoją maseczkę. Uniosła w górę chłopca. Rozbeczał się głośno.

- Zupełny Władek - powiedziała cicho Niwińska - Taki sam, taki sam...